

SAMANTHA DOWNING

„Intrygująca.  
Po prostu  
rewelacyjna!”

HARLAN COBEN

MOJA  
DOSKONAŁA  
ŻONA

MANDO

SAMANTHA DOWNING

MOJA  
DOSKONAŁA  
ŻONA

Przełożyła  
Anna Gralak

MANDO 

Powieść *Moja piękna żona* jest fikcją literacką. Postacie, miejsca i wydarzenia są wytworem wyobraźni i skutkiem zamysłu literackiego autorki. Jakiegokolwiek podobieństwo do prawdziwych wydarzeń, okoliczności czy osób, żywych lub nieżyjących, należy uważać za zbieg okoliczności.

Originally published under the title *My Lovely Wife*

© Samantha Downing, 2019

All rights reserved

This edition published by arrangement with Berkley, an imprint of Penguin Publishing Group, a division of Penguin Random House LLC

Copyright for this edition © Wydawnictwo WAM, 2020

Opieka redakcyjna: Agnieszka Ćwieląg-Pieculewicz

Redakcja: Agnieszka Zielińska

Korekta: Maria Armatowa

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz

Zdjęcie na okładce: © sashalaguna/Shutterstock

Skład: Lucyna Sterczewska

ISBN EPUB 978-83-277-2445-8

ISBN MOBI 978-83-277-2446-5

MANDO

ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

tel. 12 62 93 200

[www.wydawnictwomando.pl](http://www.wydawnictwomando.pl)

DZIAŁ HANDLOWY

tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496

e-mail: [handel@wydawnictwomando.pl](mailto:handel@wydawnictwomando.pl)

Druk i oprawa: POZKAL • Inowrocław

Publikację wydrukowano na papierze Ecco book cream 70 g vol. 2.0

dostarczonym przez Antalis Poland Sp. z o.o.

# 1

Patrzy na mnie. Jej niebieskie oczy są już nieco szkliste, biegną w dół, w stronę drinka, a potem znowu w górę. Też patrzę na swojego drinka i czuję na sobie jej wzrok. Zastanawia się, czy jestem równie zainteresowany jak ona. Spoglądam na nią, uśmiechając się, żeby pokazać, że tak. Odwzajemnia uśmiech. Większość pomadki starła się z jej ust, jest już tylko czerwonawą smugą na brzegu kieliszka. Podchodzę i siadam obok.

Poprawia włosy. Nie wyróżniają się ani kolorem, ani długością. Porusza ustami, mówi cześć, w jej oczach pojawia się błysk. Jakby coś je podświetliło.

Podobam jej się tak samo, jak podobałbym się większości kobiet w tym barze. Mam trzydzieści dziewięć lat, trzymam się doskonale, moją głowę porasta gęstwina włosów i jestem posiadaczem dwóch głębokich dołeczków w policzkach, a garnitur leży na mnie lepiej niż rękawiczka na dłoni. To dlatego na mnie spojrzała, dlatego się uśmiechnęła, dlatego się cieszy, że się do niej dosiadłem. Myślała o takim mężczyźnie jak ja.

Kładę na barze komórkę i przesuwam ją w jej stronę. Na ekranie widać wiadomość.

*Cześć. Jestem Tobias.*

Odczytuje ją i marszczy brwi, a potem przenosi wzrok na mnie. Piszę następną wiadomość.

*Jestem głuchy.*

Gwałtownie unosi brwi, zasłania usta dłonią, a potem się rumieni. Wstyd wygląda tak samo u wszystkich.

Kręci głową. Przeprasza, bardzo mnie przeprasza. Nie wiedziała.

*Jasne, że nie. Skąd miałabyś wiedzieć?*

Uśmiecha się. Niezbyt szeroko.

Przestałem pasować do obrazu w jej głowie, już nie jestem mężczyzną, którego sobie wyobrażała. Teraz nie jest pewna, co robić.

Bierze mój telefon i odpisuje.

*Jestem Petra.*

*Miło mi, Petro. Jesteś Rosjanką?*

*Moi rodzice byli Rosjanami.*

Kiwam głową i uśmiecham się. Też kiwa głową i się uśmiecha. Czuję, że intensywnie myśli.

Wolałaby ze mną nie siedzieć. Ma ochotę znaleźć faceta, który będzie mógł usłyszeć jej śmiech i nie musi się komunikować za pomocą telefonu.

Jednocześnie sumienie podpowiada jej, że nikogo nie należy dyskryminować. Petra nie chce wyjść na płytką kobietę, która odrzuca mężczyznę dlatego, że jest głuchy. Nie chce być taka jak inne.

Bo zakłada, że inne mnie odrzuciły.

Jej wewnętrzna walka przypomina sztukę w trzech aktach rozgrywającą się przed moimi oczami. Wiem, jak ta sztuka się skończy. Przeważnie kończy się właśnie tak.

Petra zostaje.

Jej pierwsze pytanie dotyczy mojego słuchu, a raczej jego braku. Tak, jestem głuchy od urodzenia. Nie, nigdy niczego nie słyszałem – ani śmiechu, ani głosu, ani szczekającego pieska, ani przelatującego nad głową samolotu.

Petra robi smutną minę. Nie zdaje sobie sprawy, że to protekcyjne, a ja jej o tym nie mówię, ponieważ się stara. Ponieważ została.

Pyta, czy umiem czytać z ruchu warg. Kiwam głową. Zaczyna mówić.

– Kiedy miałam dwanaście lat, złamałam nogę w dwóch miejscach. Wypadek na rowerze. – Przesadnie, groteskowo porusza ustami. – W każdym razie musiałam nosić gips, który sięgał od stopy aż po udo. – Urywa i kreśli linię w poprzek uda, w razie gdybym miał kłopot ze zrozumieniem. Nie mam, ale doceniam jej starania. Oraz udo.

– Przez sześć tygodni w ogóle nie mogłam chodzić – ciągnie. – W szkole musiałam jeździć na wózku, bo gips był za ciężki, żebym poruszała się o kulach.

Uśmiecham się, wyobrażając sobie małą Petrę z wielkim gipsem. Chyba wiem, dokąd zmierza ta historia.

– Nie twierdzę, że wiem, jak to jest żyć na wózku albo cierpieć z powodu jakiegokolwiek innej trwałej niepełnosprawności. Po prostu czuję, że... no wiesz, chyba miałam lekki przedsmak tego, jak by to było.

Kiwam głową.

Uśmiecha się z ulgą, bo obawiała się, że mogła mnie urazić.

Piszę:

*Jesteś bardzo wrażliwa.*

Wzrusza ramionami. Komplement wywołuje promienny uśmiech na jej twarzy.

Zamawiamy jeszcze po drinku.

Opowiadam jej historię zupełnie niezwiązaną z głuchotą. Mówię jej o zwierzątku, które miałem w dzieciństwie: o żabie, którą nazwałem Sherman. Była to żaba byk, siedziała na największym głazie w sadzawce i pożerała wszystkie muchy. Nigdy nie próbowałem złapać Shermana. Po prostu na niego patrzyłem, a on czasami patrzył na mnie. Lubiliśmy tak razem siedzieć, więc zacząłem go nazywać swoim zwierzątkiem.

– Co się z nim stało? – pyta Petra.

Wzruszam ramionami.

*Pewnego dnia nie było go na głazie. Nigdy więcej go nie widziałem.*

Petra mówi, że to smutne. Odpowiadam, że wcale nie. Smutno byłoby wtedy, gdybym znalazł go martwego i musiał pochować. Nie musiałem tego robić. Po prostu wyobraziłem sobie, że przeniósł się do większej sadzawki, gdzie miał więcej much.

Stwierdza, że takie podejście jej się podoba.

Nie mówię jej o Shermanie wszystkiego. Na przykład tego, że miał długi język, który wystrzelał tak szybko, że był prawie niewidoczny, i że zawsze miałem ochotę go za niego złapać. Siedziałem nad sadzawką i zastanawiałem się, czy takie pragnienie bardzo źle o mnie świadczy. Czy to okropne, że chciałbym złapać żabę za język? I czy to by ją zabolało? Czy gdyby umarła, byłbym mordercą? Nigdy nie spróbowałem złapać Shermana za język, zresztą prawdopodobnie i tak by mi się nie udało, ale rozmyślałem o tym. Czułem przez to, że nie jestem dla Shermana dobrym przyjacielem.

Petra opowiada mi o Lionelu, swoim kocie, który dostał imię po jej kocie z dzieciństwa. Mówię jej, że to zabawne, ale nie jestem pewny, czy rzeczywiście takie jest. Pokazuje mi zdjęcia. Lionel to dwukolorowy kot z czarno-białą mordką. Zbyt zwyczajny, by mógł być ładny.

Opowiada dalej, tym razem o swojej pracy. Zajmuje się brandingiem produktów i przedsiębiorstw. Mówi, że to najłatwiejsza i zarazem najtrudniejsza rzecz na świecie, ponieważ bardzo trudno sprawić, by ludzie coś zapamiętali, ale gdy już zaczną rozpoznawać markę, idzie łatwiej.

– W pewnym momencie przestaje mieć znaczenie, co sprzedajemy. Marka staje się ważniejsza niż produkt. – Wskazuje mój telefon i pyta, czy kupiłem go ze względu na markę, czy dlatego, że mi się spodobał.

*Jedno i drugie?*

Uśmiecha się.

– Widzisz. Nawet nie jesteś pewny.

*Chyba nie.*

– Czym się zajmujesz?

*Księgowością.*

Kiwa głową. To najmniej ekscytująca profesja na świecie, ale jest solidna, stała i głuchy gość może jej bez trudu podolać. Liczby nie mają głosu.

Podchodzi barman. Jest schludny, wygląda na studenta. Petra składa zamówienie, ponieważ ja jestem głuchy. Kobietom zawsze się wydaje, że trzeba się mną opiekować. Lubią mnie wyręczać, bo myślą, że jestem słaby.

Petra załatwia nam drinki i przekąski, a potem się uśmiecha, jakby była z siebie dumna. Chce mi się śmiać. Śmieję się tylko w myślach, ale to wciąż śmiech.

Przechyla się w moją stronę i kładzie rękę na moim ramieniu. Nie cofa jej. Zapomniała, że nie jestem jej ideałem mężczyzny, i już łatwo przewidzieć, jak skończy się ta historia. Wkrótce idziemy do niej. Decyzja przychodzi mi łatwiej, niż powinna, ale nie dlatego, że Petra szczególnie mi się podoba. Dokonuję wyboru. Ona daje mi moc decydowania, a ja jestem w tej chwili mężczyzną, który mówi „tak”.

Petra mieszka w centrum, blisko baru, pośród mnóstwa dużych szyldów z nazwami marek. Jej mieszkanie nie jest tak schludne, jak się spodziewałem. Wszędzie walają się jakieś rzeczy: kartki, ubrania i naczynia. Na ich widok myślę, że często gubi klucze.

– Lionel gdzieś tu jest. Pewnie się schował.

Nie rozglądam się za tym nijakim kotem.

Petra krząta się pośpiesznie, w jednym miejscu rzuca torebkę, w drugim zdejmuje buty. Przynosi dwa kieliszki wypełnione czerwonym winem, a potem prowadzi mnie do sypialni. Odwraca się do mnie, uśmiecha. Nagle stała się atrakcyjniejsza – nawet jej zwyczajne włosy jakby lśnią. Owszem, to zasługa alkoholu, ale także jej radości. Odnoszę wrażenie, że od jakiegoś czasu nie była równie szczęśliwa, i nie jestem pewny dlaczego. Jest dość atrakcyjną dziewczyną.

Przytula się do mnie, ma ciepłe ciało, oddech przesycony winem. Wyjmuje kieliszek z mojej dłoni i odstawia go.

Dopijam wino znacznie później, gdy jest już ciemno i jedynym źródłem światła jest ekran mojego telefonu. Piszemy do siebie, wygłupiając się i żartując z tego, że zupełnie się nie znamy.

Pytam:

*Ulubiony kolor?*

*Jasnozielony. Smak lodów?*

*Guma balonowa.*

*Guma balonowa? To te niebieskie?*

*Tak.*

*Jak można je lubić?*

*A ty które lubisz?*

*Z francuską wanilią. Ulubiona pizza?*

*Z szynką.*

*Od razu przeszła mi ochota.*

*Serio?*

*Zaraz, czy wciąż rozmawiamy o pizzy?*

*Nie, nie rozmawiamy o pizzy.*

Potem zasypia pierwsza. Zastanawiam się, czy nie wyjść, później czy nie zostać, i tak długo nie mogę się zdecydować, że w końcu zasypiam.

Gdy się budzę, wciąż jest ciemno. Wyślizguję się z łóżka, nie budząc Petry. Śpi na brzuchu, przekrzywiwszy jedną nogę, z włosami rozrzuconymi na poduszce. Nie potrafię zdecydować, czy naprawdę mi się podoba, więc nie decyduję. Nie muszę.

Na stoliku nocnym leżą jej kolczyki. Są z kolorowego szkła, kłębowisko niebieskich odcieni, przypominają jej oczy. Ubieram się i wsuwam je do kieszeni. Będą mi przypominały, żebym więcej tego nie robił. Prawie wierzę, że to podziła.

Nie odwracając się, ruszam w stronę drzwi.

– Naprawdę jesteś głuchy?

Mówi to głośno do moich pleców.

Słyszę ją, bo nie jestem głuchy.

Idę dalej.

Udaję, że jej nie słyszę, idę prosto do drzwi i zamykam je za sobą, a potem wychodzę z budynku, ruszam chodnikiem i skręcam za róg. Dopiero wtedy przystaję i zaczynam się zastanawiać, po czym poznała. Musiałem popełnić jakiś błąd.



## 2

Nie nazywam się Tobias. Używam tego imienia tylko wtedy, kiedy chcę, żeby ktoś mnie zapamiętał. W tym wypadku barman. Przedstawiłem mu się i napisałem to imię na telefonie, gdy pierwszy raz wszedłem do tego baru i zamówiłem drinka. Zapamięta mnie. Będzie pamiętał, że Tobias to ten głuchy facet, który wyszedł z baru z ledwie co poznaną kobietą. To imię było dla niego, nie dla Petry. Ona i tak mnie zapamięta – bo niby z iloma głuchymi facetami zdarzyło jej się przespać?

Gdyby nie to, że popełniłem błąd, byłbym dziwacznym przypisem do historii jej doświadczeń seksualnych. Teraz jednak zapamięta mnie jako „gościa, który udawał głuchego” albo „gościa, który prawdopodobnie udawał głuchego”.

Im dłużej o tym myślę, tym bardziej się zastanawiam, czy przypadkiem nie popełniłem dwóch błędów. Może zastygłem, gdy spytała, czy jestem głuchy. To niewykluczone, bo właśnie tak reagują ludzie, kiedy niespodziewanie coś słyszą. A jeśli na chwilę zastygłem, prawdopodobnie to zauważyła. Prawdopodobnie wie, że skłamałem.

W drodze do domu wszystko mnie drażni. Fotel w samochodzie wydaje się szorstki i bołą mnie od niego plecy. Radio gra za głośno, jakby każdy mówił wrzaskliwym głosem. Ale nie winię za to Petry. Już od jakiegoś czasu chodzę podenerwowany.

W domu jest cicho. Millicent, moja żona, jeszcze nie wstała. Jestem żonaty od piętnastu lat i żona nie mówi do mnie Tobias. Mamy dwoje dzieci: Rory ma czternaście lat, Jenna rok mniej.

W naszej sypialni jest ciemno, ale rozpoznaję zarys Millicent pod kołdrą. Zdejmuję buty i na palcach idę do łazienki.

– No i?

Głos Millicent brzmi tak, jakby od dawna nie spała.

Odwracam się lekko i widzę w ciemności jej sylwetkę podpartą na łokciu.

Znowu to samo. Wybór. Millicent rzadko mi go daje.

– Nie – mówię.

– Nie?

– Nie nadaje się.

Powietrze między nami zamarza. Zaczyna topnieć dopiero, gdy Millicent wzdycha i kładzie głowę z powrotem na poduszce.

Wstaje wcześniej niż ja. Gdy wchodzę do kuchni, Millicent organizuje śniadanie, kanapki do szkoły, dzień, nasze życie.

Wiem, że powinienem jej powiedzieć o Petrze. Nie o seksie – o tym bym żonie nie powiedział. Ale powinienem powiedzieć, że się pomyliłem, że Petra się nadaje. Powinienem to zrobić, bo zostawienie Petry samej sobie jest ryzykowne.

Ale nic nie mówię.

Millicent patrzy na mnie, jej rozczarowanie uderza we mnie, sprawiając mi autentyczny ból. Moja żona ma zielone oczy, oczy w wielu odcieniach zieleni. Wyglądają jak kamuflaż.

Zupełnie nie przypominają oczu Petry. Millicent i Petra nie mają ze sobą nic wspólnego oprócz tego, że obie ze mną spały. A raczej z jakąś wersją mnie.

Dzieci z łoskotem schodzą z góry i już na siebie wrzeszczą: kłócą się, kto i co o kimś tam powiedział wczoraj w szkole. Są ubrane i gotowe do wyjścia. Ja też jestem gotowy do pracy – mam na sobie biały strój do tenisa. Nie jestem księgowym i nigdy nim nie byłem.

Podczas gdy moje dzieci są w szkole, a żona sprzedaje domy, pracuję na korcie, w słońcu, ucząc ludzi gry w tenisa. Większość moich klientów to osoby w średnim wieku i w kieszkiej formie, mające za dużo pieniędzy i czasu. Niekiedy z moich usług korzystają rodzice, przekonani, że ich dziecko ma wielki talent, jest przyszłym mistrzem albo wzorem do naśladowania. Jak dotąd wszyscy się mylili.

Zanim jednak wyjdę, by kogokolwiek czegokolwiek nauczyć, Millicent zmusza nas wszystkich, żebyśmy przez co najmniej pięć minut posiedzieli razem przy stole. Nazywa to śniadaniem.

Jenna przewraca oczami i nerwowo tupie, nie mogąc się doczekać, kiedy odzyska komórkę. Przy stole telefony są zabronione. Rory jest spokojniejszy niż siostra. Przez te nasze pięć minut stara się zjeść jak najwięcej, a potem napycha kieszenie tym, co nie zmieściło mu się do ust.

Millicent siedzi naprzeciw mnie i trzyma przy ustach kubek kawy. Jest ubrana do pracy: w spódnicę i bluzkę, na nogach ma buty na obcasie, rude włosy upięła z tyłu. W porannym słońcu mają miedziany kolor. Jesteśmy równolatkami, ale ona wygląda lepiej – zawsze wyglądała. To kobieta, która powinna być poza moim zasięgiem.

Córka wystukuje jakiś rytm na moim ramieniu, coś jakby piosenkę, i przestaje dopiero wtedy, gdy zwracam na nią uwagę. Nie jest podobna do matki. Oczy, włosy oraz kształt twarzy ma po mnie, i czasami mnie to zasmuca. A czasami nie.

– Tato, pojedziesz dziś ze mną po nowe buty? – pyta. Uśmiecha się, bo wie, że się zgodzę.

– Tak – odpowiadam.

Millicent kopie mnie pod stołem.

– Te, które masz na nogach, nosisz od niecałego miesiąca – mówi do Jenny.

– Ale są już za ciasne.

Nawet moja żona nie potrafi odeprzeć takiego argumentu.

Rory pyta, czy przed szkołą może przez kilka minut pograć w grę wideo.

– Nie – mówi Millicent.

Rory patrzy na mnie. Też powinienem powiedzieć, że nie, ale nie mogę tego zrobić, bo przecież przed chwilą przystałem na prośbę jego siostry. Rory o tym wie, jest bystry, z wyglądu przypomina Millicent.

– Śmiało – mówię.

Biegnie do pokoju.

Millicent z hukiem stawia kubek na stole.

Jenna sięga po komórkę.

Śniadanie dobiegło końca.

Millicent wstaje, ale przedtem rzuca mi wściekłe spojrzenie. Wygląda całkiem jak moja żona i jednocześnie w ogóle jej nie przypomina.

Pierwszy raz zobaczyłem Millicent na lotnisku. Miałem dwadzieścia dwa lata i wracałem z Kambodży, gdzie spędziłem lato z trzema kumplami. Codziennie jaraliśmy, co wieczór się upijaliśmy i nigdy się nie goliliśmy. Wyjechałem z ojczyzny jako starannie ostrzyżony chłopak z przedmieścia, a wróciłem jako obszarpany, brodaty facet z mocną opalenizną i mnóstwem ciekawych historii. Wszystkie zbladły, gdy ujrzałem Millicent.

Miałem przesiadkę, pierwszą po przylocie do kraju. Przeszedłem odprawę celną i zanim dotarłem do terminala krajowego, zobaczyłem Millicent. Siedziała sama w pustej poczekalni przed bramką, trzymając nogi na walizce. Spoglądała przez wysokie okna wychodzące na płytę lotniska. Rude włosy związała w luźny kok, miała na sobie koszulkę, džinsy i tenisówki. Zatrzymałem się, zahipnotyzowany jej spojrzeniem.

Wszystko przez sposób, w jaki patrzyła na samoloty.

Patrzyłem tak samo, wyruszając w świat. Marzyłem o podróżowaniu, o ujrzeniu takich miejsc jak Tajlandia, Kambodża oraz Wietnam – i udało mi się. Teraz znów byłem na znajomym terenie, z powrotem tu, gdzie się wychowałem, tyle że już nie miałem rodziców. Choć nie jestem pewny, czy kiedykolwiek naprawdę istnieli. Nie dla mnie.

Gdy wróciłem do kraju, moje marzenie o podróżowaniu było już spełnione, lecz brakowało następnego, które mogłoby je zastąpić. Dopóki nie zobaczyłem Millicent.

Wyglądała, jakby właśnie zaczynała spełniać własne marzenie. Od razu zapragnąłem być jego częścią.

Wtedy zupełnie się nad tym nie zastanawiałem. Dotarło to do mnie dopiero później, gdy próbowałem wyjaśnić jej albo komuś innemu, dlaczego tak bardzo mi się spodobała. Tamtego dnia ruszyłem jednak w stronę swojej bramki. Po dwudziestu godzinach w drodze, mając przed sobą jeszcze dłuższą podróż, nie byłem w stanie wykrzesać z siebie energii, żeby do niej zagadnąć. Mogłem jedynie podziwiać.

Okazało się, że lecimy tym samym samolotem. Odebrałem to jako znak.

Miała miejsce przy oknie, a ja pośrodku w środkowym rzędzie. Musiałem trochę przekonywać, trochę poflirtować ze stewardesą i podsunąć jej dwadzieścia dolarów, żeby móc usiąść przy Millicent. Kiedy w końcu zająłem miejsce obok, nawet nie podniosła głowy.

Gdy podjechał wózek z napojami, miałem już plan. Postanowiłem zamówić to co ona, a ponieważ zdążyłem stwierdzić, że jest wyjątkowa, nie wyobrażałem sobie, by mogła zamówić coś tak banalnego jak woda. Byłem pewny, że zdecyduje się na coś bardziej niezwykłego, na przykład na sok ananasowy z lodem, i gdy zamówię to samo, nastąpi chwila symetrii, symbiozy, szczęśliwy zbieg okoliczności – mniejsza o nazwę.

Nie spałem od dłuższego czasu, więc plan wydawał mi się dobry, dopóki Millicent nie powiedziała stewardesie, że niczego nie chce. Nie chciało jej się pić.

Powiedziałem to samo. Nie wywarło to takiego wrażenia, na jakie liczyłem.

Kiedy jednak Millicent odwróciła się w stronę stewardesy, po raz pierwszy zobaczyłem jej oczy. Ich kolor przypominał mi bujne, otwarte pola, jakie widziałem w całej Kambodży. Zdecydowanie nie były tak ciemne jak teraz.

Znowu odwróciła się do okna. A ja znowu się w nią wpatrywałem, udając, że tego nie robię.

Powtarzałem sobie, że zachowuję się jak krety i że po prostu powinienem ją zagadnąć.

Powtarzałem sobie, że coś jest ze mną nie tak, bo normalni ludzie nie zachowują się w ten sposób z powodu dziewczyny, którą widzą pierwszy raz w życiu.

Powtarzałem sobie, że nie powinienem jej stalkować.

Powtarzałem sobie, że jest dla mnie zbyt piękna.

Pół godziny później odezwałem się.

– Cześć.

Odwróciła się w moją stronę. Spojrzała na mnie.

– Cześć.

Chyba dopiero wtedy przestałem wstrzymywać oddech.

Minęły całe lata, zanim spytałem, dlaczego ciągle patrzyła przez okna, zarówno na lotnisku, jak i w samolocie. Powiedziała, że nigdy wcześniej nie latała. Marzyła jedynie

o bezpiecznym lądowaniu.

### 3

Petra była numerem jeden na liście, ale ponieważ właśnie została skreślona, przechodzę do numeru dwa, młodej kobiety, która nazywa się Naomi George. Jeszcze z nią nie rozmawiałem.

Wieczorem jadę do hotelu Lancaster. Naomi pracuje w recepcji. To jeden z tych staromodnych hoteli, które przetrwały dzięki dawnej świetności. Budynek jest olbrzymi i urządzony z takim przepychem, że dziś z pewnością by nie powstał. Gdyby chciano go wybudować, jak należy, byłby za drogi, a gdyby go spartolono – zbyt tandetny.

Od frontu hotel ma szklane drzwi z doświetlami, zapewniające dobry widok na recepcję. Naomi stoi za kontuarem, ubrana w uniform Lancastera, granatową spódnicę i żakiet, jedno i drugie ze złotymi galonami, oraz śnieżnobiałą bluzkę. Ma długie, ciemne włosy, a piegi na nosie sprawiają, że wygląda na młodszą, niż naprawdę jest. Naomi ma dwadzieścia siedem lat. W barach pewnie wciąż żądają od niej dowodu tożsamości, ale nie jest tak niewinna, na jaką wygląda.

Co najmniej raz widziałem, jak późnym wieczorem trochę za bardzo spoufalala się z gośćmi płci męskiej. Wszyscy byli sami, starsi i dobrze ubrani, a ona nie zawsze wychodziła z hotelu po zakończeniu zmiany. Albo dorabia sobie na boku, albo jednorazowe numerki to jej sposób na życie.

Dzięki mediom społecznościowym wiem, że najbardziej lubi jeść sushi, ale nie tknie czerwonego mięsa. W liceum grała w siatkówkę i miała chłopaka o imieniu Adam. Teraz nazywa go Kretynem. Jej ostatni chłopak, Jason, wyprowadził się trzy miesiące temu i od tej pory jest sama. Naomi zastanawiała się, czy nie sprawić sobie jakiegoś zwierzątka, najchętniej kota, ale jeszcze tego nie zrobiła. Ma ponad tysiąc znajomych online, lecz z tego, co zauważyłem, tak naprawdę przyjaźni się tylko z dwojgiem ludzi. Najwyżej z trojgiem.

Wciąż nie jestem pewny, czy się nadaje. Muszę zebrać więcej informacji.

Millicent się niecierpliwi.

Wczoraj wieczorem zastałem żonę w łazience. Zmywała makijaż przed lustrem. Miała na sobie dżinsy i koszulkę oznajmiającą, że jest matką siódmoklasisty, który zdał do następnej klasy z czerwonym paskiem. Chodzi o Jennę, nie o Rory'ego.

– Co było z nią nie tak? – spytała. Millicent nie używa imienia Petry, bo nie musi. Wiem, o kogo pyta.

– Po prostu się nie nadawała.

Millicent nie spojrzała na mnie w lustrze. Rozsmarowała mleczo na twarzy.

– To już druga, którą skreśliłeś.

– Musi się nadawać. Przecież wiesz.

Gwałtownie zamknęła mleczo. Poszedłem do sypialni i usiadłem, żeby zdjąć buty. Dzień był długi i musiał się skończyć, ale Millicent nie chciała na to pozwolić. Weszła za mną do sypialni i stanęła obok.

– Jesteś pewny, że chcesz to zrobić? – spytała.

– Tak.

Byłem zajęty poczuciem winy z powodu przespania się z inną kobietą, więc nie wykazałem większego entuzjazmu. Dotarło to do mnie po południu, gdy zobaczyłem parę starszków. Musieli mieć co najmniej po dziewięćdziesiąt lat i szli ulicą, trzymając się za ręce. Takie pary to rzadkość. Spojrzałem na Millicent i zapragnąłem, żebyśmy też tacy byli.

Millicent uklękła przede mną i położyła dłoń na moim kolanie.

– Musimy to zrobić.

W jej oczach pojawił się błysk, ciepło jej dłoni powoli rozchodziło się po mojej nodze.

– Masz rację – powiedziałem. – Musimy.

Przysunęła się i pocałowała mnie – długo i mocno. Poczułem jeszcze większe wyrzuty sumienia. A przez to zapragnąłem zrobić wszystko, byle tylko ją uszczęśliwić.

Niespełna dwadzieścia cztery godziny później siedzę przed Lancasterem. Naomi kończy zmianę dopiero o jedenastej, a ja nie mogę tkwić pod hotelem przez najbliższe trzy godziny. Zamiast wracać do domu, kupuję coś do jedzenia i idę do baru. To wygodne miejsce, gdy nie ma dokąd pójść.

Wybrany przeze mnie lokal jest wypełniony tylko do połowy, przede wszystkim samotnymi mężczyznami. Nie jest tak przyjemnie jak w barze, w którym byłem z Petrą. Drinki kosztują o połowę mniej, a każdy, kto przyszedł w garniturze, poluzował już krawat. Drewniana podłoga jest porysowana od stołków barowych, bar zdobią zaś odcisnięte na nim okręgi. To miejsce dla pijaków prowadzone przez pijaków – miejsce, w którym wszyscy są zbyt odurzeni, by wnikać w szczegóły.

Zamawiam piwo, a potem oglądam mecz bejsbola w jednym telewizorze i wiadomości w drugim.

Druga połowa trzeciej rundy, dwa auty. Jutro ma padać deszcz, ale jest też szansa na słońce. Tu, w Woodview na Florydzie, w tak zwanej enklawie w prawdziwym świecie, zawsze świeci słońce. W mniej więcej godzinę możemy znaleźć się nad oceanem,

w stanowym parku krajobrazowym albo w jednym z największych parków rozrywki na świecie. Zawsze powtarzamy, że mamy wielkie szczęście, mogąc mieszkać w centralnej części Florydy, zwłaszcza ci z nas, którzy żyją na osiedlu Hidden Oaks. Oaks to enklawa w enklawie.

Pierwsza połowa czwartej rundy, jeden aut. Muszę poczekać jeszcze dwie godziny, aż Naomi skończy zmianę i będę mógł ją śledzić.

I wtedy zauważam Lindsay.

Jej uśmiechnięta twarz patrzy na mnie z ekranu telewizora.

Lindsay z wąskimi brązowymi oczami i prostymi jasnymi włosami, z naturalną opalenizną i dużymi białymi zębami.

Zaginęła rok temu. Przez tydzień była migającym punktem w wiadomościach, potem historia przycichła. Lindsay nie miała bliskiej rodziny, która zadbałaby o podtrzymanie zainteresowania mediów, więc nikt nie zwracał na nią uwagi. Nie była zaginionym dzieckiem, nie była bezbronna. Była dorosłą kobietą i zapomniano o niej w niespełna tydzień.

Ale ja nie zapomniałem. Wciąż pamiętam jej śmiech. Był tak zaraźliwy, że też zaczynałem się śmiać. Widząc ją ponownie, przypominam sobie, jak bardzo ją lubiłem.



## 4

Pierwszy raz rozmawiałem z Lindsay podczas pieszej wycieczki. W pewien sobotni rano poszedłem za nią na szlaki biegnące wśród pagórków tuż za miastem. Zaczęła na jednej trasie, ja na drugiej, i po godzinie się na siebie natknęliśmy.

Na mój widok skinęła głową i przywitała się tonem niezachęcającym do dalszej rozmowy. Pomachałem do niej i bezgłośnie poruszając ustami, odpowiedziałem „cześć”. Odruchowo rzuciła mi zdziwione spojrzenie, a ja podsunąłem jej swój telefon, żeby się przedstawić.

*Wybacz, pewnie dziwnie to wyglądało! Cześć, mam na imię Tobias. Jestem głuchy.*

Patrzyłem, jak opuszcza gardę.

Przedstawiła się, porozmawialiśmy, a potem usiedliśmy, żeby wypić trochę wody, i zaproponowała mi przekąskę. Cukierki Pixy Stix. Miała ich całą garść.

Przewróciła oczami.

– To okropne, prawda? Jeść cukier w czasie treningu. Ale ja je uwielbiam.

*Ja też.*

To była prawda. Nie jadłem Pixy Stix od czasów dzieciństwa, ale je uwielbiałem.

Opowiedziała mi o sobie, o pracy, domu i zainteresowaniach, o których już wiedziałem. Ja opowiedziałem jej te same bajeczki co im wszystkim. Gdy poranne słońce się wzniosło, postanowiliśmy dokończyć wędrowkę razem. Przez większość drogi milczeliśmy, i to mi się podobało. W moim życiu prawie nigdy nie bywało cicho.

Odrzuciła moje zaproszenie na lunch, ale wymieniliśmy się numerami. Podałem jej numer komórki, której używam, będąc Tobiasem.

Kilka dni po tej wędrowce Lindsay przysłała mi esemesa. Uśmiechnąłem się na jego widok.

*Wspaniale było cię poznać. Mam nadzieję, że będziemy mogli jeszcze kiedyś razem powędrować.*

Powędrowaliśmy.

Za drugim razem wybraliśmy inny szlak, bardziej oddalony na północ i biegnący bliżej lasu stanowego Indian Lake. Znowu przyniosła Pixy Stix, ja zabrałem koc. Zatrzymaliśmy się, żeby odpocząć w miejscu osłoniętym od słońca przez gęste listowie. Gdy usiedliśmy, uśmiechnąłem się do niej. Ten uśmiech był szczery.

– Jesteś słodki – powiedziała.

*Nie, to ty jesteś słodka.*

Kilka dni później przysłała esemesa, a ja go zignorowałem. Już uzgodniliśmy z Millicent, że Lindsay się nadaje.

Teraz, rok później, w telewizji znowu o niej mówią. Znaleźli ją.

Z baru idę prosto do domu. Millicent już jest, siedzi na ganku. Jeszcze się nie przebrała po powrocie z pracy, jej skórzane czółenka mają cielisty kolor. Mówi, że dzięki temu nogi wydają się dłuższe, i ma rację. Zawsze zauważam, kiedy je wkłada, nawet teraz.

Po całym dniu pracy, po której siedziałem w samochodzie i obserwowałem Naomi, uświadamiam sobie, że bardzo potrzebuję prysznic. Millicent jednak nawet nie marszczy nosa, gdy siadam obok niej.

– To nie problem – oznajmia, zanim zdążę coś powiedzieć.

– Jesteś pewna? – pytam.

– Tak.

Nie wiem, czy to prawda. Mieliśmy się zająć Lindsay razem, lecz wyszło inaczej. I brakuje mi argumentów.

– Nie rozumiem, jak...

– To nie problem – powtarza. Unosi palec, wskazując piętro naszego domu. Dzieci są w środku. Chcę zadać więcej pytań, ale nie mogę.

– Musimy poczekać z następną – mówię. – Teraz nie powinniśmy nic robić.

Nie odpowiada.

– Millicent?

– Słyszałam.

Mam ochotę spytać, czy to rozumie, ale wiem, że tak. Po prostu nie jest z tego zadowolona. Wkurzyła się, że Lindsay znaleziono akurat teraz, gdy planowaliśmy następną. Jakby się od tego uzależniła.

Nie tylko ona.

Gdy poznałem Millicent w samolocie, nie była to miłość od pierwszego wejrzenia. Nie dla niej. Z jej strony nie było to nawet umiarkowane zainteresowanie. Odpowiedziała na moje „cześć”, po czym odwróciła głowę i dalej patrzyła przez okno. Wróciłem

do punktu wyjścia. Oparłem głowę o zagłówek, zamknąłem oczy i po cichu wyrzucałem sobie, że nie mam odwagi powiedzieć czegoś więcej.

– Przepraszam.

Natychmiast otworzyłem oczy.

Patrzyła na mnie. Miała olbrzymie zielone oczy i marszczyła brwi.

– Wszystko w porządku?

Kiwnąłem głową.

– Na pewno?

– Na pewno. Dlaczego...

– Bo stukasz głową o to. – Wskazała zagłówek. – Całe siedzenie się trzęsie.

Nie zdawałem sobie sprawy, że to robię. Myślałem, że całe to besztanie się za tchórzostwo odbywa się tylko w moim umyśle.

– Przepraszam.

– Dobrze się czujesz?

Doszedłem do siebie na tyle, by sobie uświadomić, że dziewczyna, na którą się gapiłem, właśnie ze mną rozmawia. Nawet wydawała się zatroskana.

Uśmiechnąłem się.

– Wszystko w porządku, naprawdę. Po prostu...

– Po prostu siebie besztasz. Mam to samo.

– Z jakich powodów?

Wzruszyła ramionami.

– Najróżniejszych.

Poczułem palącą potrzebę poznania wszystkich powodów, które mogą wywoływać u tej dziewczyny frustrację i skłaniać ją do uderzania w coś głową, ale właśnie wysunęło się podwozie i nie było na to czasu.

– Podaj chociaż jeden – powiedziałem.

Zastanowiła się, nawet przyłożyła palec wskazujący do ust. Znowu powstrzymałem się od uśmiechu, nie tylko dlatego, że to ślicznie wyglądało, ale dlatego, że przyciągnąłem jej uwagę.

– Kretyni – odpowiedziała, gdy samolot wylądował. – Kretyni w samolotach, którzy próbują mnie podrywać, kiedy marzę tylko o tym, żeby wszyscy dali mi spokój.

– Mogę cię przed nimi obronić – odparłem bez zastanowienia, nawet nie zdając sobie sprawy, że mówi o mnie.

Spojrzała na mnie oniemiała. Gdy do niej dotarło, że mówię poważnie, wybuchnęła śmiechem.

Kiedy do mnie dotarło, dlaczego się śmieje, też zacząłem się śmiać.

Zanim weszliśmy do rękawa lotniczego, nie tylko się sobie przedstawiliśmy, ale też wymieniliśmy się numerami telefonów.

Przed pożegnaniem spytała:

– Jak?

– Co jak?

– Jak byś mnie obronił przed wszystkimi dupkami w samolotach?

– Zepchnąłbym ich na środkowe miejsce, zablokował podłokietnikami i pociął kartą bezpieczeństwa.

Znowu się roześmiała, dłużej i głośniejsze niż za pierwszym razem. Ten śmiech nie znudził mi się do dziś.

Ta rozmowa stała się częścią nas. W pierwsze wspólnie spędzone Boże Narodzenie dałem Millicent olbrzymie pudło, wystarczająco wielkie, by pomieścić gigantyczny telewizor, owinięte kolorowym papierem i przewiązane wstążką. W środku była tylko karta bezpieczeństwa z samolotu.

Później w każde Boże Narodzenie staraliśmy się znaleźć najbardziej twórcze nawiązanie do naszego prywatnego żartu. Raz podarowałem jej kamizelkę umieszczaną pod siedzeniem samolotu. Innym razem Millicent przystroiła naszą choinkę maskami tlenowymi.

Ilekcio wchodzę do samolotu i widzę kartę bezpieczeństwa, wciąż się uśmiecham.

To dziwne, ale gdybym miał wybrać chwilę, konkretną chwilę, w której wszystko poszło w ruch i zaprowadziło nas tu, gdzie teraz jesteśmy, musiałbym powiedzieć, że zaczęło się od skaleczenia papierem.

Zdarzyło się to, gdy Rory miał osiem lat. Miał kolegów, ale niezbyt wielu, na skali popularności plasował się gdzieś pośrodku, więc byliśmy zaskoczeni, gdy chłopak o imieniu Hunter zranił Rory'ego papierem. Specjalnie. Kłócili się o to, który superbohater jest najsilniejszy, Hunter się wkurzył i ciachnął Rory'ego. Rana była w zgięciu między kciukiem a palcem wskazującym prawej dłoni. Bolało wystarczająco mocno, by Rory zaczął krzyczeć.

Nauczyciel odesłał Huntera do domu, a Rory trafił do higienistki, która opatrzyła mu rękę i dała lizaka bez cukru. Mój syn szybko zapomniał o bólu.

Wieczorem, gdy dzieci poszły spać, rozmawialiśmy z Millicent o tym zdarzeniu. Leżeliśmy w łóżku. Właśnie zamknęła laptopa, a ja wyłączyłem telewizor. Niedawno zaczął się rok szkolny i letnia opalenizna Millicent jeszcze nie całkiem zeszła. Moja żona nie gra w tenisa, ale uwielbia pływać.

Millicent sięgnęła po moją dłoń i potarła cienką skórę między kciukiem a palcem wskazującym.

– Miałaś tu kiedyś ranę?

- Nie. A ty?
- Tak. Boli jak diabli.
- Jak to się stało?
- Przez Holly.

Bardzo niewiele wiedziałem na temat Holly. Millicent prawie nigdy nie wspominała o swojej starszej siostrze.

- Ciachnęła cię? - spytałem.

- Robiliśmy kolaże ze swoich ulubionych rzeczy, wycinałyśmy obrazki z czasopism i przyklejałyśmy je do dużych kawałków kolorowego papieru. Sięgnęłyśmy po ten sam obrazek w tym samym momencie i... - wzruszyła ramionami - Holly mnie ciachnęła.

- Krzyczałaś?

- Nie pamiętam. Ale płakałam.

Wziąłem ją za rękę i pocałowałem miejsce po dawno zagojonej ranie.

- A te ulubione rzeczy? - spytałem.

- Co?

- Powiedziałaś, że wycinałyście obrazki z ulubionymi rzeczami. Jakie to były rzeczy?

- O nie - powiedziała, cofając rękę i gasząc światło. - Nie zmienisz tego w kolejną dziwną bożonarodzeniową tradycję.

- Nie lubisz naszej dziwacznej bożonarodzeniowej tradycji?

- Uwielbiam ją. Ale nie potrzebujemy drugiej.

Wiedziałem o tym. Próbowałem unikać rozmowy o Holly, bo Millicent nie lubiła o niej wspominać. Dlatego spytałem o ulubione rzeczy.

Powinienem był spytać o Holly.

## 5

Lindsay króluje w wiadomościach. Dawno nie znaleziono niczych zwłok. Pierwszym zaskoczeniem jest miejsce, w którym je ukryto.

Ostatni raz widziałem Lindsay na pełnym pustkowiu. Zabraliśmy ją z Millicent w głąb mokradeł niedaleko rezerwatu przyrody, licząc na to, że dzikie zwierzęta znajdą ją szybciej niż ludzie. Lindsay wciąż żyła, mieliśmy ją zabić razem. Taki był plan.

O to w tym wszystkim chodziło.

Stało się inaczej – z powodu Jenny. Zorganizowaliśmy obojgu dzieciom nocowanie u przyjaciół: Rory grał z kolegą w gry wideo, a Jennę podrzuciliśmy na piżamową imprezę, w której miało uczestniczyć jeszcze sześć dwunastolatek. Gdy zadzwoniła komórka Millicent, dźwięk przypominał kocie miauczenie. To był dzwonek Jenny. Millicent odebrała przed drugim miauknięciem.

– Jenna? Co się stało?

Patrzyłem, jak Millicent słucha i z każdym skinieniem jej głowy moje serce biło trochę szybciej.

Lindsay leżała na ziemi, jej opalone nogi były rozłożone na piachu. Substancja, którą ją uspiliśmy, przestawała działać i Lindsay zaczynała się poruszać.

– Skarbie, czy możesz przekazać telefon pani Sheehan? – spytała Millicent.

Znowu zaczęło się kiwanie głową.

Gdy Millicent się odezwała, jej głos brzmiał inaczej.

– Rozumiem. Bardzo dziękuję. Zaraz tam będę. – Rozłączyła się.

– Co się...

– Jenna jest chora. To grypa żołądkowa albo może zatrucie pokarmowe. Od godziny siedzi w łazience. – Zanim zdążyłem się odezwać, Millicent dodała: – Ja pojedę.

Pokręciłem głową.

– Zajmę się tym.

Nie protestowała. Spojrzała na Lindsay i z powrotem na mnie.

– Ale...

– Załatwię to – powiedziałem. – Pojadę po Jennę i zawiozę ją do domu.

– Potrafię się nią zająć. – Millicent patrzyła na Lindsay. Nie mówiła o naszej córce.

– Oczywiście, że potrafisz. – Nigdy w to nie wątpiłem. Po prostu byłem zawiedziony, że mnie to ominie.

Gdy dotarłem do Sheehanów, Jenna wciąż źle się czuła. W drodze do domu zatrzymywałem się dwa razy, żeby mogła zwymiotować. Siedziałem przy niej przez większość nocy.

Millicent wróciła do domu tuż przed świtem. Nie spytałem, czy przeniosła Lindsay, bo założyłem, że pochowała ją na tym pustkowiu. Nie mam pojęcia, w jaki sposób ciało znalazło się w pokoju numer osiemnaście w motelu Moonlite Motor.

Moonlite zamknięto ponad dwadzieścia lat temu, gdy powstała nowa autostrada. Motel był opuszczony oraz wystawiony na działanie żywołów, gryzoni, włóczęgów i narkomanów. Nikt nie zwracał na niego uwagi, ponieważ nikt nie musiał obok niego przejeżdżać. Jakies nastolatki znalazły Lindsay i wezwały policję.

Motel to podłużny parterowy budynek z pokojami po obu stronach. Pokój numer osiemnaście jest z tyłu, w rogu, nie widać go z drogi. Gdy oglądam w telewizji nagranie zrobione z lotu ptaka, próbuję sobie wyobrazić, jak Millicent podjeżdża do Moonlite od tyłu, parkuje, wysiada z samochodu i otwiera bagażnik.

Jak wlecze Lindsay po ziemi.

Zastanawiam się, czy jest wystarczająco silna. Lindsay była dość umięśniona dzięki uprawianiu sportu na świeżym powietrzu. Może Millicent użyła czegoś do transportu. Jakiegoś wózka, czegoś wyposażonego w kółka. Jest wystarczająco bystra, żeby wpaść na taki pomysł.

Reporter jest młody i poważny. Mówi tak, jakby każde słowo było niezwykle istotne. Dowiaduję się, że Lindsay owinięto folią, wepchnięto do szafy i przykryto kocem. Nastolatki ją znalazły, gdy po pijaku bawiły się w chowanego. Nie wiem, jak długo leżała w szafie, ale reporter mówi, że ciało zidentyfikowano na podstawie uzębienia. Trwają testy DNA. Policja nie mogła zdjąć odcisków palców, ponieważ opuszki zostały spiłowane.

Staram się nie wyobrazać sobie, jak Millicent to zrobiła, ani w ogóle nie myśleć, że to zrobiła, ale nie potrafię się skupić na niczym innym.

Obrazy znajdujące się w mojej głowie zostają w niej na dobre. Stop-klatki z uśmiechniętą twarzą Lindsay, z jej białymi zębami. Z moją żoną spiłowującą jej opuszki palców. Wlekącą ciało Lindsay do pokoju motelowego i wpychającą je do szafy. Te obrazy przemykają mi przez umysł cały dzień, także wieczorem, gdy próbuję zasnąć.

Za to Millicent wygląda normalnie. Tak samo jak wtedy, gdy wraca z pracy i szykuje sałatkę, gdy zmywa makijaż, gdy przed pójściem spać pracuje przy komputerze. Jeśli słuchała wiadomości, w ogóle tego po niej nie widać. Kilka razy zbieram się, by spytać, dlaczego i w jaki sposób Lindsay znalazła się w tym motelu.

Nie pytam. Bo potrafię myśleć tylko o tym, dlaczego muszę zadać te pytania. Dlaczego sama mi nie powiedziała.

Następnego dnia dzwoni do mnie po południu, a ja mam to pytanie na końcu języka. Poza tym zaczynam się zastanawiać, czy jest jeszcze coś, o czym nie wiem.

– Pamiętaj, że dziś wieczorem idziemy z Prestonami na kolację – mówi Millicent.

– Pamiętam.

Nie pamiętałem. Ona o tym wie i od razu podaje mi nazwę restauracji.

– O siódmej – dodaje.

– Spotkamy się na miejscu.

Andy i Trista Prestonowie kupili u Millicent dom. Andy jest o kilka lat starszy ode mnie, ale znam go od zawsze. Wychował się w Hidden Oaks, chodziliśmy do tych samych szkół, nasi rodzice się znali. Teraz pracuje w firmie programistycznej i stać go na codzienne lekcje tenisa, jednak na nie nie chodzi – dlatego urosło mu brzuszysko.

Za to jego żona przychodzi. Trista też wychowała się w okolicy, ale nie w Oaks, lecz w innej części Woodview. Spotykamy się dwa razy w tygodniu; reszta czasu upływa jej na pracy w galerii sztuki. W sumie Prestonowie zarabiają dwa razy tyle co my.

Millicent wie, ile pieniędzy mają jej klienci, a większość z nich ma więcej od nas. Muszę przyznać, że gnębi mnie to bardziej niż ją. Według Millicent to dlatego, że zarabia więcej ode mnie. Myli się. To dlatego, że Andy zarabia więcej niż ja. Ale jej o tym nie mówię. Nie dorastała w Oaks. Nie rozumie, jak to jest, kiedy człowiek się tu wychował, a potem zaczął tu pracować.

Jemy kolację w eleganckiej restauracji, gdzie wszyscy zamawiają sałatkę, kurczaka albo łososia i piją czerwone wino. Andy i Trista opróżniają całą butelkę. Millicent w zasadzie nie pije i nie znosi, kiedy ja piję. Przy niej tego nie robię.

– Zazdroszczę ci – mówi do mnie Trista. – Byłabym w siódmym niebie, mając taką pracę jak ty i mogąc spędzać całe dni na świeżym powietrzu. Uwielbiam grać w tenisa.

Andy się śmieje. Zarumieniły mu się policzki.

– Przecież pracujesz w galerii sztuki. W gruncie rzeczy to jedno i to samo.

– Przebywanie całymi dniami na świeżym powietrzu i pracowanie całymi dniami na świeżym powietrzu to dwie różne rzeczy – odpowiadam. – Chciałbym całymi dniami siedzieć na plaży i nic nie robić.

Trista marszczy kształtny nos.



– Takie wylegiwanie się byłoby chyba nudne. Wolalabym mieć jakieś zajęcie.

Mam ochotę odpowiedzieć, że pobieranie lekcji tenisa i dawanie ich to dwie różne rzeczy. Kiedy jestem w pracy, przebywanie na tym wspaniałym świeżym powietrzu jest ostatnią rzeczą, na jaką mam ochotę. Większość czasu upływa mi na próbach nauczania gry w tenisa ludzi, którzy woleliby skupić się na swoim telefonie, oglądać telewizję, upić się albo coś zjeść. Nie potrzebuję nawet jednego palca, by policzyć tych, którzy naprawdę chcą grać w tenisa, a tym bardziej trenować. Trista nie jest wyjątkiem. Właściwie nie kocha tenisa – kocha dobrze wyglądać.

Zachowuję to jednak dla siebie, bo tak robią przyjaciele. Nie wytykamy sobie wad, jeśli nikt nas o to nie prosi.

Rozmowa schodzi na pracę Andy'ego i wtedy się wyłączam; wyłapuję tylko najważniejsze słowa, bo rozprasza mnie brzęczenie sztućców. Ilekroć Millicent odkrawa kawałek grillowanego kurczaka, myślę o tym, jak zabiła Lindsay.

– Uwaga – mówi Andy. – To jedyne, na czym zależy producentom oprogramowania. Jak możemy zdobyć twoją uwagę i ją utrzymać? Jak możemy sprawić, żebyś przez cały dzień siedział przed komputerem?

Przewracam oczami. Gdy Andy pije, ma skłonność do prawienia kazań. Albo dawania wykładów.

– No to odpowiedz mi na pytanie – mówi. – Co cię trzyma przed monitorem komputera?

– Filmiki o kotach – odpowiadam.

Trista chichocze.

– Nie bądź kutasem – mówi Andy.

– Seks – odzywa się Millicent. – To musi być albo seks, albo przemoc.

– Lub jedno i drugie – mówię.

– W zasadzie nie musi być w tym seksu – mówi Andy. – Nie wprost. Niezbędna jest obietnica seksu. Albo przemocy. Lub ich obu. Oraz fabuła, musisz mieć jakąś fabułę. Nieważne, czy prawdziwą, czy zmyśloną, ani kto ją opowiada. Ludzie po prostu muszą być ciekawi tego, co będzie dalej.

– I jak się to robi? – pyta Millicent.

Andy uśmiecha się i kreśli palcem wskazującym niewidoczny okrąg.

– Seks i przemoc.

– Ale ta zasada obowiązuje wszędzie. Nawet wiadomości są zbudowane na seksie i przemocy – mówię.

– Cały świat obraca się wokół seksu i przemocy – odpowiada Andy. Jeszcze raz kreśli palcem okrąg i odwraca się do mnie. – Przecież wiesz... jesteś stąd.

– Tak, wiem. – Oficjalnie Oaks to jedno z najbezpieczniejszych miejsc w całym stanie. Dlatego że cała przemoc dokonuje się za zamkniętymi drzwiami.

– Też o tym wiem – mówi Trista do swojego męża. – Woodview wcale aż tak bardzo się nie różni.

Różni się, ale Andy się z nią nie spiera. Zamiast tego przechyla się w stronę żony i daje jej całusa w usta. Gdy ich wargi się dotykają, Trista muska jego policzek dłonią.

Zazdroszczę im.

Zazdroszczę im tych zwyczajnych rozmów. Zazdroszczę im upijania się. Zazdroszczę tej prostej gry wstępnej i seksu, który będą uprawiać wieczorem.

– Chyba wszyscy rozumiemy, o co chodzi – mówię.

Andy puszcza do mnie oko. Zerkam na Millicent, która wpatruje się w swój talerz. Według niej publiczne okazywanie czułości jest niesmaczne.

Gdy przynoszą nam rachunek, Millicent i Trista wstają od stolika i idą do toalety. Andy mnie ubiega.

– Nie ma o czym mówić. Ja stawiam – zbywa moje protesty, spoglądając na wydruk. – Zresztą i tak niedrogie z was towarzystwo. Nie pijecie alkoholu.

Wzruszam ramionami.

– Nie lubimy dużo pić.

Andy z uśmiechem kręci głową.

– Co? – pytam.

– Gdybym wiedział, że skończysz jako taki nudny żonkoś, zmusiłbym cię do znacznie dłuższego pobytu w Kambodży.

Przewracam oczami.

– Teraz to ty zachowujesz się jak kutas – mówię.

– Od tego tu jestem.

Zanim zdążę coś powiedzieć, do stolika wracają nasze żony i przestajemy rozmawiać o piciu. Oraz o rachunku.

Wychodzimy razem i żegnamy się na parkingu. Trista mówi, że zobaczymy się na kolejnej lekcji. Andy zapowiada, że niedługo też zacznie u mnie trenować. Stojąca za nim Trista przewraca oczami i się uśmiecha. Odjeżdżają, zostawiając nas samych. Mamy dwa samochody, ponieważ spotkaliśmy się w restauracji.

Millicent odwraca się do mnie. W świetle latarni wygląda starzej niż kiedykolwiek dotąd.

– Dobrze się czujesz? – pyta.

Wzruszam ramionami.

– W porządku. – Nie mam innej możliwości.

– Za bardzo się przejmujesz – mówi, wpatrując się w morze samochodów. – Wszystko gra.

– Mam nadzieję.

– Zaufaj mi. – Millicent wyciąga rękę i bierze moją dłoń. Ścisną ją.

Kiwam głową i wsiadam do samochodu, ale nie jadę prosto do domu. Przejeżdżam jeszcze obok hotelu Lancaster.

Naomi stoi za kontuarem. Ciemne włosy opadają jej luźno na ramiona i choć nie dostrzegam piegów na jej nosie, wydaje mi się, że je zauważam. Jej widok, świadomość, że wciąż pracuje w recepcji i prawdopodobnie nadal angażuje się w dodatkową działalność – to wszystko przynosi mi ulgę. Nie mam powodu przypuszczać, że stało jej się coś złego, bo przecież uzgodniliśmy, że zaczekamy. Sprawdzanie, co się z nią dzieje, jest irracjonalne, ale i tak sprawdzam.

Nie po raz pierwszy zachowuję się irracjonalnie. Odkąd znaleźli Lindsay, nie sypiam dobrze. Budzę się w środku nocy i wali mi serce, zawsze z jakiegoś błahego powodu. Czy zamknąłem drzwi wejściowe? Czy opłaciłem rachunki? Czy nie zapomniałem załatwić którejś z tych drobnych spraw, o jakich powinienem pamiętać, żeby dom nie spłonął, nie został przejęty przez bank i żeby samochód się nie rozbił, ponieważ za długo zwlekałem z przeglądem hamulców?

Te wszystkie drobne rzeczy odciągają mój umysł od Lindsay. Oraz od tego, że już nic nie mogę w jej sprawie zrobić.

## 6

Jest sobotni poranek, Jenna gra mecz piłki nożnej. Kibicuję jej sam, bo Millicent musiała pokazać dom. Sobota to najważniejszy dzień tygodnia zarówno w branży nieruchomości, jak i dla nauczycieli tenisa. Poza tym to najważniejszy dzień tygodnia, jeśli chodzi o dodatkowe zajęcia naszych dzieci. Dzielimy się z Millicent tymi spędzonymi z dziećmi sobotami; ostatnia sobota w rodzinnym gronie przydarzyła nam się ponad rok temu, gdy Rory dotarł do finałów dziecięcego turnieju golfa. Należy do tego samego klubu, w którym uczę tenisa, i teraz też gra w golfa – podrzuciłem go na trening wcześniej rano, zanim zaczął się mecz jego siostry. Gra w golfa dlatego, że golf nie jest tenisem, a mnie wkurza to tak bardzo, jak Rory chce, żeby mnie wkurzało.

Jak dotąd Jenna nie przejawia podobnej buntowniczości. Nie próbuje być trudnym dzieckiem. Robi coś dlatego, że chce, a nie po to, żeby kogoś wkurzyć, i podziwiam ją za to. Poza tym często się uśmiecha, dzięki czemu ja też często się uśmiecham, a potem daję jej wszystko, o co prosi. Być może czegoś nie zauważam, a ponieważ nie potrafię się domyślić czego, Jenna cholernie mnie przeraża.

Piłka nożna to nie moja bajka. Nauczyłem się zasad dopiero, gdy Jenna zaczęła grać, więc niewiele mogę jej pomóc. Nie umiem jej powiedzieć, co powinna robić, żeby grać lepiej, tak jak mógłbym jej powiedzieć, gdyby grała w tenisa. Tylko za sprawą jakiegoś cudownego zrzędzenia losu stoi na bramce, więc przynajmniej wiem, że jej zadanie polega na niedopuszczeniu, by przeciwna drużyna strzeliła gola. Jedyne, co mogę poza tym zrobić, to jej kibicować.

- Dasz radę!
- Świetna robota!
- Tak trzymać!

Często się zastanawiam, czy nie wprawiam jej w zakłopotanie. Pewnie tak, lecz mimo to kibicuję dalej, bo gdyby nie to, pozostawałoby mi jedynie oglądać jej mecze w milczeniu. To wydaje się okrutne. Już wolę być zenujący. Gdy blokuje piłkę zmierzającą do bramki, tracę głowę. Uśmiecha się, ale macha ręką, dając mi znak, żebym się zamknął. W takich chwilach myślę tylko o mojej córce i jej meczu.

Millicent zakłóca ten spokój, przysyłając esemesa.

*Nie martw się.*

Tylko tyle.

Na boisku wrzeszczą dzieciaki. Przeciwna drużyna próbuje strzelić gola i moja córka znowu musi bronić. Tym razem jej się nie udaje.

Jenna odwraca głowę w moją stronę, stojąc plecami do mnie i trzymając ręce na biodrach. Chciałbym jej powiedzieć, że nic się nie stało, że każdy popełnia błędy. Ale właśnie tego nie powinienem robić. Wszyscy rodzice tak mówią, a dzieci tego nie znoszą. Ja nie znośłem.

Jenna spuszcza głowę i patrzy na murawę. Koleżanka z drużyny podchodzi, klepie ją po ramieniu i coś mówi. Jenna kiwa głową i się uśmiecha, a ja się zastanawiam, co powiedziała ta dziewczyna. Chyba to samo, co powiedziałbym ja, tylko że znaczyło więcej.

Sędzia wznawia grę. Znowu spoglądam na komórkę. Millicent nic więcej nie napisała.

Sprawdzam najświeższe wiadomości i wydaję z siebie zduszony okrzyk.

Z raportu medycznego wynika, że Lindsay nie żyła od zaledwie kilku tygodni.

Jakimś cudem Millicent przetrzymywała ją gdzieś żywą przez prawie rok.

Mam ochotę uciekać. Nie wiem dokąd. To nieistotne. Nie mam pojęcia po co. Po prostu chcę uciec.

Nie mogę jednak zostawić Jenny samej na meczu, gdzie nikt nie będzie jej kibicował. Nie mogę zostawić córki. Ani syna.

Gdy mecz się kończy, odbieram Rory'ego z klubu i wszyscy troje jak zwykle jedziemy na pizzę i mrożony jogurt. Mam trudności ze skupieniem się na rozmowie. Zauważają to, ponieważ są moimi dziećmi – widzą mnie codziennie i potrafią poznać, że coś jest nie tak. Zaczynam się zastanawiać, co myślą o Millicent.

Tylko że ona nigdy nie wygląda, jakby coś było nie tak. Przez ostatni rok była spokojna – nawet bardziej niż zwykle. Miesiąc temu wspomniała, że znalazła kolejną kobietę.

Wszystko układa się w logiczną całość. Nie wspominała o kolejnej, dopóki nie zabiła Lindsay.

Dla mnie ostatni rok był wypełniony pracą, dodatkowymi zajęciami dzieci, obowiązkami domowymi, kłótniami o rachunki i mycie samochodu. Niczym specjalnym. Nie pojawiło się nic – żadne zdarzenie, dzień, wspomnienie – co miałbym pamiętać za dwadzieścia, trzydzieści albo czterdzieści lat. Drużyna Jenny prawie dotarła do miejskich finałów, ale jednak jej się nie udało. Millicent odnotowała kolejny udany rok w pracy. Ceny paliw poszły w górę, potem spadły, odbyły się lokalne wybory, a moja ulubiona pralnia chemiczna wypadła z rynku i muszę poszukać nowej.

Albo może wypadła z rynku dwa lata temu. Wszystko mi się zlewa.

W tym samym czasie Millicent przetrzymywała Lindsay żywą. Więziła ją.

Przez głowę przelatują mi różne obrazy, od niepokojących po barbarzyńskie. Wyobrażam sobie rzeczy, o których słyszy się w wiadomościach, gdy odnajdują się kobiety przetrzymywane przez szaleńców. Nigdy nie słyszałem, żeby coś takiego robiła kobieta. I choć jestem mężczyzną, nie wyobrażam sobie, żebym był zdolny do czegoś takiego.

Odwożę dzieci i jadę do domu, który Millicent prezentuje dziś potencjalnym nabywcom. To tylko kilka przecznic od nas, podróż trwa raptem parę minut. Przed budynkiem stoją dwa samochody: jeden należy do mojej żony, drugi to jakiś SUV.

Czekam.

Dwadzieścia minut później wychodzi z domu z parą młodszą od nas. Kobieta jest pod wielkim wrażeniem. Mężczyzna się uśmiecha. Ściskając im dłonie, Millicent zauważa mnie kątem oka. Czuję, jak jej zielone oczy zatrzymują się na mnie, ale nie przerywa rozmowy, jej ruchy nie tracą płynności.

Para idzie do samochodu. Millicent zostaje przed domem i odprowadza ją wzrokiem. Dziś jest ubrana na granatowo, ma wąską spódnicę i buty na obcasach, a do tego bluzkę w prążki. Jej rude włosy są wyprostowane i równo obcięte na wysokości żuchwy. Były znacznie dłuższe, kiedy się poznaliśmy, ale to się z każdym rokiem zmieniało, jakby postanowiła regularnie skracać je o centymetr. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby rzeczywiście tak było. Nie jestem pewny, czy cokolwiek, co wiąże się z Millicent, mogłoby mnie jeszcze zdziwić.

Czeka, aż SUV odjedzie, a potem odwraca się do mnie. Wsiadam z samochodu i podchodzę do niej.

– Jesteś zdenerwowany – mówi.

Wpatruję się w nią bez słowa.

Kiwa ręką w stronę domu.

– Wejdźmy do środka.

Wchodzimy. Przedpokój jest olbrzymi, sufit znajduje się na wysokości jakichś siedmiu metrów. Wszystko jest otwarte i przestronne, a poza tym prowadzi do wielkiego salonu; właśnie do niego idziemy.

– Co jej robiłaś? Co jej robiłaś przez ten rok?

Millicent kręci głową. Jej włosy kołyszą się w przód i w tył.

– Nie możemy teraz o tym rozmawiać.

– Musimy...

– Nie tutaj. Jestem umówiona.

Odchodzi, a ja idę za nią.

Kilka miesięcy po ślubie Millicent zaszła w ciążę. W pewnym sensie było to dla nas zaskoczenie, bo wcześniej rozmawialiśmy o tym, że wolimy poczekać – ale nie do końca. Nie zawsze dbaliśmy o zabezpieczenie. Rozważaliśmy różne metody antykoncepcji, jednak za każdym razem wracaliśmy do prezerwatyw. Millicent nie chciała brać żadnych hormonów. Robiła się po nich zbyt płaczliwa.

Gdy spóźniał jej się okres, obydwójce przypuszczaliśmy, że jest w ciąży. Potwierdziliśmy to, wykonując w domu test, potem zrobiliśmy następny u lekarza. Tego dnia wieczorem nie mogłem zasnąć. Siedzieliśmy do późna na kanapie z drugiej ręki w zniszczonym domu, który wynajmowaliśmy. Skuliłem się obok niej, wtulając głowę w jej brzuch, i zacząłem się o wszystko martwić.

- A jeśli to spieprzymy? – powiedziałem.
- Nie spieprzymy.
- Potrzebujemy pieniędzy. Jak zdołamy...
- Poradzimy sobie.
- Nie chcę tylko sobie radzić. Chcę odnosić sukcesy. Chcę...
- Będziemy.

Podniosłem głowę i spojrzałem na nią.

- Skąd ta pewność?
- Skąd ten brak pewności?
- Nie brakuje mi pewności – sprostowałem. – Ja tylko...
- Martwisz się.
- Tak.

Westchnęła i delikatnie przysunęła moją głowę z powrotem do swojego brzucha.

- Przestań się wygłupiać – powiedziała. – Wszystko będzie dobrze. Lepiej niż dobrze.

Kilka minut wcześniej czułem się raczej jak dziecko niż ktoś, kto wkrótce ma zostać ojcem.

Dzięki niej stałem się silniejszy.

Przebyliśmy daleką drogę od tamtej pory, kiedy nie mieliśmy pieniędzy. Ja wróciłem na uczelnię, żeby zrobić MBA\*, ale gdy Millicent zaszła w ciążę, byłem dopiero w połowie. Potrzebowaliśmy pieniędzy, więc rzuciłem studia i znów zająłem się tym, na czym znałem się najlepiej: tenisem. Był to mój jedyny talent, coś, w czym byłem lepszy niż wszyscy rówieśnicy, wśród których się wychowałem. Na korcie lśniłem. Nie byłem wystarczająco dobry, by przejść na zawodowstwo, ale dość dobry, by udzielać prywatnych lekcji.

Gdy poznałem Millicent, właśnie skończyła roczny kurs sprzedaży nieruchomości i uczyła się do egzaminu. Zdała go, lecz minęło trochę czasu, zanim zaczęła pracować. Mimo to sprzedawała, nawet w ciąży, nawet kiedy dzieci były małe. I miała rację –

poradziliśmy sobie. Lepiej niż dobrze. I o ile mi wiadomo, jak na razie nie spieprzyliśmy dzieci.

---

\* MBA (Master of Business Administration) – dwuletnie podyplomowe studia biznesowe [przyp. red.].



# 7

Teraz, gdy stoimy w pustym domu, który Millicent próbuje sprzedać, wcale nie czuję się dzięki niej silniejszy. Boję się.

– Nie, nie jest w porządku – mówię. – Nic nie jest w porządku.

Unosi jedną brew. Kiedyś wyglądało to uroczo.

– Czyżbyś nagle zaczął mieć sumienie?

– Zawsze miałem...

– Nie wydaje mi się.

Znowu ma rację. Nigdy nie mam sumienia, gdy staram się ją uszczęśliwić.

– Co jej zrobiłaś? – pytam.

– Nieważne. To przeszłość.

– Już nie.

– Za bardzo się przejmujesz. Nic nam nie będzie.

Ktoś dzwoni do drzwi.

– Obowiązki wzywają – mówi Millicent.

Idę z nią do drzwi. Przedstawia mnie, opowiada tym ludziom o moich umiejętnościach w zakresie gry w tenisa. Są równie młodzi jak poprzednia para i równie zieloni.

Jadę do domu, ale nie zatrzymuję się przed nim.

Najpierw kieruję się do hotelu Lancaster. Naomi jest w recepcji, do końca jej zmiany zostało jeszcze wiele godzin.

Potem przejeżdżam obok country clubu. Zastanawiam się, czy tam nie wpaść, żeby zająć czymś myśli, czy nie pogadać z którymś z moich klientów podczas oglądania jakichś zawodów sportowych. Nie zatrzymuję się jednak.

Przychodzi mi do głowy kilka innych miejsc: bar, park, biblioteka, kino. Spalam prawie pół baku paliwa, jeżdżąc w kółko, starając się obrać jakiś kierunek, aż w końcu pozostaje mi nieunikniony cel.

Dom.

Zawsze tam wracam.

Gdy otwieram drzwi, słyszę odgłosy mojego życia. Moją rodzinę. Jedyną prawdziwą rodzinę, jaką kiedykolwiek miałem.

Rory gra w grę wideo, elektroniczne huk wystrzałów rozbrzmiewają w całym domu. Jenna trzyma w ręce telefon – rozmawia, pisze wiadomości – i jednocześnie nakrywa do stołu. W salonie unosi się zapach kolacji: kurczak z czosnkiem i coś z cynamonem. Millicent stoi przy blacie i wszystko przygotowuje. Jak zawsze nuci podczas przyrządzania posiłków. Zazwyczaj wybiera jakąś niedorzeczną melodię – dzingiel z programu telewizyjnego, arię operową, najnowszy popowy przebój – i to nasz kolejny prywatny dowcip.

Podnosi głowę i uśmiecha się, a jej uśmiech jest szczery. Widzę to w jej oczach.

Wszyscy siadamy i jemy razem kolację. Jenna zabawia matkę i zanudza brata szczegółową relacją z meczu. Rory przechwala się swoim wynikiem na polu golfowym: dziś był najlepszy wśród wszystkich golfistów poniżej szesnastego roku życia. Przeważnie nasze posiłki wyglądają właśnie tak. Są rozgadane i głośne, wypełnione relacjami z minionego dnia i swobodną atmosferą, bo jesteśmy razem od zawsze.

Zastanawiam się, ile razy to robiliśmy, gdy Lindsay była więziona.

Kładąc się spać, ze zdziwieniem myślę, że minęło wiele godzin, odkąd ostatni raz pomyślałem o Lindsay, o policji, o tym, co zrobiliśmy ja i Millicent. Tak właśnie działa na mnie dom i wszystko, co się z nim wiąże.

Moje dzieciństwo wyglądało inaczej. Choć dorastałem z obojgiem rodziców w ładnym domu w Hidden Oaks, gdzie mieliśmy dwa samochody, chodziłem do dobrych szkół i na mnóstwo zajęć pozalekcyjnych, nie jadaliśmy razem posiłków tak, jak jada teraz moja rodzina. A jeśli zdarzyło nam się jeść w tym samym czasie, ignorowaliśmy się nawzajem. Ojciec czytał gazetę, matka siedziała ze wzrokiem utkwionym przed sobą, a ja starałem się jeść najszybciej, jak się da.

Przychodzili popatrzeć, jak gram w tenisa, tylko jeśli startowałem w turnieju, a nawet wtedy wyłącznie, jeśli dotarłem do finału. Za żadne skarby nie zrezygnowaliby z soboty. Dom był miejscem, w którym się śpi, w którym trzyma się swoje rzeczy i które czym prędzej się opuszcza. Tak właśnie postąpiłem. Wyjechałem z kraju przy pierwszej nadarzającej się okazji. Nie potrafiłem sobie wyobrazić, że przez całe życie miałbym się czuć jak chodzące rozczarowanie.

Nie jestem pewny, czy to była moja wina. Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że miałem naprawić ich małżeństwo. Po wielu latach rozmyślenia o tym, analizowania w kółko swojego dzieciństwa, doszedłem do wniosku, że rodzice zdecydowali się na mnie, żeby spróbować naprawić swój związek. Nie udało się. I ich rozczarowanie stało się moją porażką.

Wróciłem do Hidden Oaks tylko dlatego, że rodzice odeszli. Zginęli w niecodziennym wypadku, któremu nie można było zapobiec ani go przewidzieć. Jechali autostradą i samochód przed nimi zgubił koło. Walnęło w przednią szybę luksusowego sedana

mojego ojca i rodzice zginęli. Tak po prostu. Wciąż razem, wciąż bez wątpienia nieszczęśliwi.

Nigdy nie widziałem ich zwłok. Policjant powiedział, że bym tego nie chciał.

Okazało się, że mieli znacznie mniej pieniędzy, niż udawali, że mają, więc wróciłem do domu pogrążonego w kredytach i do kwoty, która starczyła raptem na zapłacenie prawnikowi, by pozafatwiał wszystkie sprawy i pozbył się nieruchomości. Rodzice nie byli nawet ludźmi, za których ich uważałem, byli oszustami. Nie było ich stać na życie w Hidden Oaks, po prostu udawali, że mogą sobie na nie pozwolić. Nie został mi nikt z rodziny i nie wiedziałem, co to rodzina.

Naszą rodzinę stworzyła Millicent. Mówię tak dlatego, że to nie mogłem być ja. Nie miałem pojęcia, jak zbudować dom ani nawet jak zebrać wszystkich przy jednym stole w porze posiłku. Ona to potrafiła. Gdy Rory pierwszy raz usiadł na krzeselku dla dzieci, przysunęła go do stołu i odtąd już zawsze jedliśmy razem. Mimo coraz częstszych narzekania naszych dorastających dzieci wciąż to robimy.

W ciąży z Jenną Millicent ustanowiła zasady obowiązujące w naszej rodzinie. Nazwałem je przykazaniami Millicent.

*Śniadanie i kolacja razem, zawsze.*

*Żadnych zabawek ani telefonów przy stole.*

*Na kieszonkowe trzeba zarobić wykonywaniem obowiązków domowych.*

*Raz w tygodniu będziemy oglądać razem film.*

*Cukier zostanie ograniczony do owoców, nie do soku owocowego, i do specjalnych okazji.*

*Jeśli budżet pozwoli, będziemy jedli tylko organiczne produkty.*

*Aktywność fizyczna jest mile widziana. Nie, jest obowiązkowa.*

*Lekcje mają być odrobione, zanim zacznie się oglądanie telewizji i granie w gry wideo.*

Ta lista mnie rozbawiła. Gdy jednak się roześmiałem, Millicent spiorunowała mnie wzrokiem, więc zamilkłem. Wtedy znałem już różnicę między chwilami, w których udaje wściekłą, a tymi, w których jej złość jest prawdziwa.

Millicent konsekwentnie wprowadzała swoje zasady. Zamiast zmienić nasz dom w więzienie, nadała rodzinie strukturę. Nasze dzieci uprawiają sport. Nie dostają pieniędzy, jeśli na nie nie zapracują. Raz w tygodniu oglądamy razem film. Jedzą przede wszystkim organiczne produkty i bardzo niewiele takich, które zawierają cukier. Zawsze odrabiają lekcje, zanim wrócę z pracy. A to wszystko zasługa Millicent.

Tej samej Millicent, która przetrzymała Lindsay przez rok, robiąc jej Bóg wie co.

Wciąż nie mogę spać. Wstaję i idę zajrzeć do dzieci. Rory leży rozwalony na łóżku w wymiętoszonej pościeli. Gdy skończył czternaście lat, nie chciał dłużej mieć dinozaurów namalowanych na ścianie. Wyremontowaliśmy mu pokój, pomalowaliśmy

go, odnowiliśmy meble, i teraz ma jedną ciemną ścianę i trzy beżowe, trochę plakatów zespołów rockowych, drewniane meble pociągnięte ciemną bejcą i zaciemniające zasłony. Wygląda to jak wyobrażenie dziecka o pokoju dorosłej osoby. Mój syn staje się nastolatkiem.

Jenna wciąż mieszka w pomarańczowym pokoju. Prawie od urodzenia ma obsesję na punkcie tego koloru. Wiąże się to chyba z kolorem włosów Millicent. Włosy Jenny mają taki kolor jak moje, są ciemnobrązowe i próżno w nich szukać choćby krztyny rudego. Na ścianach jej pokoju wiszą plakaty z zawodniczkami drużyn piłkarskich, a obok nich kilka plakatów grup muzycznych i paru aktorów. Nie kojarzę ich, ale ilekroć pojawiają się w telewizji, Jenna i jej przyjaciółki piszczą. Teraz, gdy moja córka osiągnęła dojrzały wiek trzynastu lat, wszystkie lalki wepchnęła do szafy. Interesuje się modą, biżuterią i makijażem, którego nie wolno jej jeszcze robić. Lubi też kilka pluszaków i gry wideo.

Krążę po domu, sprawdzając wszystkie drzwi i okna. Zaglądam nawet do garażu, szukając śladów gryzoni, robaków czy choćby zalania. Wychodzę na podwórze za domem i sprawdzam boczną furtkę. To samo robię od frontu, a potem jeszcze raz obchodzę cały dom, ponownie zamykając wszystkie zamki.

Kiedyś robiła to Millicent, zwłaszcza po narodzinach Rory'ego. Wynajmowaliśmy zniszczony dom. Codziennie wieczorem chodziła po nim, zamykając wszystkie drzwi i okna. Siadała na kilka minut, a potem wstawiała i robiła to jeszcze raz.

– To nie jest niebezpieczna okolica – tłumaczyłem jej. – Nikt się nie włamie.

– Wiem. – I znowu wstawiała.

W końcu postanowiłem pójść razem z nią. Szedłem marszowym krokiem i naśladowałem każdy jej ruch. Na początku spiorunowała mnie wzrokiem, naprawdę wściekłym.

Szedłem dalej, więc dała mi w twarz.

– To nie jest zabawne – powiedziała.

Byłem zbyt oszołomiony, żeby się odezwać. Nigdy nie dostałem w twarz od kobiety. Żadna nie dała mi nawet klapsa, choćby w żartach. Ponieważ jednak chwilę wcześniej przedrzeźniałem żonę, wyrzuciłem ręce w górę i ją przeprosiłem.

– Przepraszasz tylko dlatego, że dałam ci w twarz – powiedziała Millicent. Odwróciła się gwałtownie, weszła do sypialni i zamknęła drzwi.

Przez całą noc myślałem, że ode mnie odejdzie. Że zabierze mojego syna i po prostu odejdzie, bo wszystko popsulem. Wiem, to ekstremalne. Ale Millicent nie tolerowała wybryków i kropka. Kiedyś, gdy ze sobą chodziliśmy, powiedziałem, że zadzwonię do niej o określonej porze, i tego nie zrobiłem. Nie odzywała się do mnie przez ponad tydzień. Nawet nie odbierała telefonów.

Wtedy do mnie wróciła. Nie miałem jednak wątpliwości, że jeśli wkurzę Millicent wystarczająco mocno, po prostu ode mnie odejdzie. I pewnego razu to zrobiła.

Rory miał półtora roku, Jenna sześć miesięcy, a my z Millicent całymi dniami próbowaliśmy pogodzić opiekę nad dziećmi z pracą. Pewnego dnia znowu obudziłem się wyczerpany i uświadomiłem sobie, że mam dwadzieścia siedem lat, żonę, dwoje dzieci i nowiutki kredyt hipoteczny.

Marzyłem tylko o odpoczynku. O chwilowym wytchnieniu od całej tej odpowiedzialności. Umówiłem się z kumplami i tak się spiłem, że musieli mnie wnieść do domu. Gdy obudziłem się następnego dnia, Millicent nie było.

Nie odbierała telefonu. Nie było jej w biurze. Jej rodzice powiedzieli, że u nich też jej nie ma. Millicent przyjaźniła się tylko z kilkoma osobami, ale żadna z nich nie miała z nią ostatnio kontaktu. Moja żona zniknęła, a w dodatku zabrała ze sobą dzieci.

Po trzech albo czterech dniach dzwoniłem na jej numer co godzinę. Pisałem mejle, esemesy, stałem się najbardziej obłąkaną wersją siebie, jaką dotąd byłem. Nie dlatego, że się o nią martwiłem. Wiedziałem, że nic jej nie jest i że moim dzieciom nie dzieje się krzywda. Odchodziłem od zmysłów, bo myślałem, że Millicent, że oni wszyscy odeszli na zawsze.

Minęło osiem dni. I wróciła.

Położyłem się późno, rozwalony na niezaścielonym łóżku usłanym kartonami po pizzy oraz całą kolekcją talerzy, kubków i przypadkowych opakowań po produktach spożywczych. Obudziłem się w wysprzątanym pokoju, a wokół unosił się zapach naleśników.

Millicent była w kuchni, szykowała śniadanie. Rory siedział przy stole na swoim krzeselku, Jenna leżała w łóżeczku. Millicent odwróciła się do mnie i się uśmiechnęła. Jej uśmiech był szczery.

– Doskonałe wyczucie czasu – powiedziała. – Za chwilę śniadanie będzie gotowe.

Podbiegłem do Rory'ego, podniosłem go i trzymałem wysoko w górze, aż zaczął piszczeć. Ucałowałem Jennę, która wpatrywała się we mnie ciemnymi oczami. Usiadłem przy stole, bojąc się odezwać. Obawiając się, że to tylko sen, i nie chcąc się obudzić.

Millicent przyniosła talerz pełen naleśników. Gdy stawiała je na stole, pochyliła się tak, że jej usta znalazły się tuż obok mojego ucha, i szepnęła:

– Następnym razem nie wrócimy.

Od początku naszego małżeństwa nie miałem innego wyjścia, jak tylko jej wierzyć. A mimo to przespałem się z Petrą.

I z tą drugą.

## 8

Gdy wracam z pracy, Millicent i dzieci są w domu. Rory leży na kanapie i gra w grę wideo. Millicent stoi nad nim z surową miną, ręce trzyma oparte na biodrach. Za jej plecami Jenna przesuwając telefon w przód i w tył, próbując pstryknąć sobie selfie na tle okna. Ekran telewizora rzuca na nich wszystkich poświatę. Na chwilę zastygają – portret współczesnego życia.

Wściekłe spojrzenie Millicent przesuwając się z Rory'ego w moją stronę. Jej oczy mają najciemniejszy odcień zieleni.

– Wiesz, co dziś zrobił nasz syn? – pyta.

Rory nasunął czapkę bejsbolową głęboko na oczy i twarz. Jednak nie aż tak bardzo, żeby zasłoniła jego sarkastyczny uśmiezek.

– Co dziś zrobił nasz syn? – pytam.

– Powiedz ojcu, co zrobiłeś.

Jenna odpowiada za niego.

– Oszukiwał na sprawdzianie za pomocą telefonu.

– Marsz do swojego pokoju – mówi Millicent.

Moja córka wychodzi. Idąc po schodach, cały czas chichocze, a potem trzaska drzwiami.

– Rory – pytam – co się stało?

Cisza.

– Odpowiedz ojcu.

Nie lubię, kiedy Millicent mówi naszemu synowi, jak ma się w stosunku do mnie zachowywać, ale nie komentuję tego.

Millicent wyrzuca gamepada z ręki Rory'ego. Rory wzdycha i w końcu się odzywa.

– Przecież nie zostanę botanikiem. Jeśli kiedykolwiek będę chciał się czegoś dowiedzieć o fotosyntezie, znajdę potrzebne informacje tak samo jak dzisiaj. – Patrzy na mnie i wytrzeszcza oczy, jakby chciał spytać: „Prawda?”

Mam ochotę przyznać mu rację, bo właściwie ją ma. Ale jestem jego ojcem.

– Został zawieszony na trzy dni – mówi Millicent. – Ma szczęście, że go nie wyrzucili.

Gdyby go wyrzucili z prywatnej szkoły, trafiłby do publicznej. Nie przypominam o tym Millicent, gdy wymierza naszemu synowi karę.

– ...żadnej komórki, żadnych gier, żadnego internetu. Zaraz po szkole wracasz do domu i bez obaw, sprawdzę, czy rzeczywiście tu jesteś.

Odwraca się gwałtownie i idzie do garażu, stukając obcasami. Ma na nogach czółenka w cielistym kolorze.

Gdy rozlega się warkot jej samochodu, siadam obok syna. Odziedziczył po Millicent rude włosy, ale jego oczy są jaśniejsze. Szeroko otwarte.

– Dlaczego?

Wzrusza ramionami.

– Po prostu tak było łatwiej.

Rozumiem go. Czasami łatwiej jest po prostu płynąć z prądem. To prostsze niż zburzenie wszystkiego i zaczęcie od nowa.

– Nie wolno oszukiwać – mówię.

– Ty oszukujesz.

– O czym ty mówisz?

– Słyszę, jak się wymykasz.

Ma rację. Wymykam się w nocy, bo nie mogę zasnąć.

– Czasami mam ochotę się przejechać.

Rory parska śmiechem.

– Wyglądam na kretyna?

– Nie.

– Tato, widziałem, jak wchodziłeś chyłkiem do domu i miałeś na sobie garnitur. Kto wkłada garnitur, żeby pojechać samochodem?

Ostatni raz miałem na sobie garnitur, gdy spędziłem noc z Petrą.

– Wiesz, że często spędzam wieczory w klubie. Nawiązywanie kontaktów to część mojej pracy.

– Nawiązywanie kontaktów. – Mówi to z wyraźnym przekąsem.

– Nie zdradzam twojej matki – oznajmiam. I to niemal prawda.

– Kłamiesz.

Zaczynam zaprzeczać, ale uświadamiam sobie, że to bez sensu. Zaczynam zaprzeczać, że zdradzam żonę, ale uświadamiam sobie, że to też jest bez sensu. Mój syn jest na to zbyt bystry.

Chciałbym móc mu to wytłumaczyć, lecz nie mogę. Dlatego staję się hipokrytą.

– Nie rozmawiamy o mnie – mówię.

Przewraca oczami i milczy.

– Zresztą ja nigdy nie ściągałem w szkole. Bo co by było, gdyby pewnego dnia nastąpiła apokalipsa zombie, uciekłbyś na jakąś wyspę, żeby zapoczątkować zupełnie nową cywilizację, i musiałbyś uprawiać rośliny? Nie sądzisz, że w takiej sytuacji informacje o fotosyntezie okazałyby się przydatne?

– Tato, naprawdę doceniam twoje starania. Zwłaszcza tę apokalipsę zombie i w ogóle. Ale pozwól, że zaoszczędzę ci trochę czasu. – Wyjmuje coś z kieszeni i kładzie przede mną.

Na widok lśniącego niebieskiego szkiełka opada mi szczęka. To jeden z kolczyków Petry.

– Jenna nie ma przekłutych uszu – mówi Rory. – A mama nigdy nie założyłaby czegoś tak tandetnego.

Ma rację. Millicent nosi sztyfty z brylantami. Prawdziwymi brylantami, nie ze szkła.

– Chyba masz niewiele do powiedzenia – zauważa Rory.

Znowu ma rację. Nie mam nic do powiedzenia.

– Nie martw się. Jenna nie wie o twoim skoku w bok. – Na jego twarz wraca szydery uśmiezek. – Jeszcze nie.

Dopiero po chwili uświadamiam sobie, że syn próbuje mnie szantażować. I ma dowody.

Jestem pod wrażeniem jego sprytu i jednocześnie czuję przerażenie, bo ostatnią rzeczą, jakiej pragnę dla swoich dzieci, zwłaszcza dla córki, jest dorastanie z ojcem dupkiem, który zdradza matkę. Eksperci radzą unikać takich sytuacji. Twierdzą, że to na zawsze odciska piętno na późniejszych relacjach córek z mężczyznami. Mówili o tym w telewizji śniadaniowej.

Jenna nie może się dowiedzieć, nie może nawet podejrzewać tego, co Rory uważa za prawdę. Nie wyobrażam sobie nic gorszego.

Patrzę na Rory'ego.

– Czego chcesz?

– Nowej gry *Bloody Hell*.

– Twoja matka zabroniła ci w nie grać.

– Wiem.

Jeśli się nie zgodzę, powie Jennie, że zdradzam jej matkę. Zrobi dokładnie to, czym mi grozi.

Jeśli się zgodzę, mój czternastoletni syn odniesie sukces w roli szantażysty ojca.

Czuję, że powinienem był to przewidzieć. Powinienem był to przewidzieć już w dniu, w którym się urodził. Początkowo był taki cichutki, że wszyscy uznali go za martwego. Gdy w końcu zaczął płakać, wrzeszczał tak głośno, że dzwoniło mi w uszach.



A może powinienem był to przewidzieć w dniu, w którym urodziła się jego siostra, on zaś narobił równie wielkiego wrzasku, nie po to, żeby oznajmić swoją obecność, lecz by oznajmić swój brak zainteresowania.

Potem było jeszcze Halloween: Jenna i Rory poszli razem zbierać cukierki i Rory wmówił jej, że wszystkie miniaturowe batony zostały zatrute przez psychola pracującego w naszym lokalnym supersamie. Psychol był wielki jak drwal, potulny jak chomik, ale przerażał dzieci, mimo że wcale o to nie zabiegał. Jenna uwierzyła bratu i wyrzuciła wszystkie rzekomo zatrute batoniki. Ani Millicent, ani ja nie wiedzieliśmy, co się stało, dopóki Jenna nie zaczęła mieć koszmarów, które nękały ją przez tydzień, i nie znaleźliśmy w pokoju Rory'ego sterty papierków po batonikach.

Zatem teraz, gdy szantażuje mnie mój własny syn, mogę spojrzeć wstecz i powiedzieć, że powinienem był to przewidzieć. Tylko że jeszcze przed chwilą nie miałem pojęcia, co się święci.

– Odpowiedz mi na jedno pytanie – mówię do niego.

– Okej.

– Od jak dawna o tym wiesz? – Pilnuję się, żeby nie użyć słowa „zdrada”. Jakby to miało jakieś znaczenie.

– Od kilku miesięcy. Za pierwszym razem zszedłem rano do garażu po piłkę do nogi. Twojego samochodu nie było. Potem po prostu zacząłem być uważniejszy.

Kiwam głową.

– Jutro kupię ci grę. Dopilnuj, żeby matka jej nie zobaczyła.

– Bez obaw. A ty dopilnuj, żeby nie zauważyła, jak rano zakradasz się do domu.

– Nie będę tego więcej robił.

Uśmiecha się, sięga po kolczyk i wkłada go z powrotem do kieszeni. Nie wierzy mi, ale jest wystarczająco bystry, by trzymać gębę na kłódkę, dopóki ma nade mną przewagę.

Powinienem powiedzieć Millicent o naszym synu. Myślę o tym podczas kolacji, gdy Jenna dokłada wszelkich starań, by nabijać się z Rory'ego i nie dać się na tym przyłapać. Myślę o tym po kolacji, gdy Millicent rekwiruje Rory'emu telefon na całą noc. Myślę o tym nawet wtedy, gdy jestem w sypialni sam na sam z żoną i jak co dzień szykujemy się do snu. Właśnie teraz powinienem jej powiedzieć, jaki numer wywinął nasz syn, ale tego nie robię.

Nie mówię jej o tym, bo wywoła to więcej pytań, niż mam odpowiedzi.

Minęły zaledwie dwa tygodnie, odkąd spędziłem noc z Petrą. Myślę o niej tylko w środku nocy, gdy się obudzę i nie mogę z powrotem zasnąć. Zastanawiam się wtedy, czym się zdradziłem. Dlaczego spytała, czy naprawdę jestem głuchy? Czy zareagowałem na jakiś dźwięk, czy kiedy mówiła, patrzyłem jej w oczy zamiast na usta, albo czy za bardzo zwracałem uwagę na dźwięki, które wydawała w łóżku? Nie wiem. Nie wiem, czy

jeszcze kiedykolwiek będę udawał głuchego, ale wciąż nie daje mi to spać po nocach. Stało się luźnym wątkiem, do którego raz po raz muszę wracać.

Z szantażem Rory'ego jest podobnie. Kolejna pomyłka. Jakbym popełnił błąd, pozwalając synowi odkryć, że wymykam się w nocy. Millicent by się to nie spodobało.

Dlatego nic jej nie mówię. Rory i Petra to tajemnice, o których nie wspominam żonie. Może dlatego, że ona też ma tajemnice, i to większe, niż mógłbym przypuszczać. Rory i Petra stwarzają zagrożenie, każde z nich na swój sposób, lecz mimo to milczę.

Nie chcę, żeby Millicent się dowiedziała, jak bardzo schrzałem sprawę.

## 9

Na początku to nie było nic złego. Wciąż tak myślę.

W późne sobotnie popołudnie w październiku trzy lata temu stałem na podwórzu przed domem z Rorym i Jenną. Byli jeszcze na tyle mali, że mogli bez zażenowania przebywać w moim towarzystwie, i wszyscy troje dekorowaliśmy dom na Halloween. Było to jedno z ich ulubionych świąt, ustępowało tylko Bożemu Narodzeniu. Co roku otaczaliśmy dom pajęczynami, pajakami, szkieletami i czarownicami. Gdyby było nas stać na animatroniki, też byśmy je wykorzystali.

Millicent wróciła z prezentacji jakiegoś domu. Miała na sobie służbowe ubranie, stanęła na chodniku przed domem i uśmiechnęła się, podziwiając nasze dzieło. Dzieci oznajmiły, że są głodne. Millicent przesadnie przewróciła oczami i powiedziała, że pójdzie zrobić jakieś kanapki. Uśmiechała się, gdy to mówiła. Chyba wszyscy się uśmiechaliśmy.

Sytuacja nie wyglądała jednak różowo. Dom, który ozdabialiśmy, był naszym nowym domem – mieszkaliśmy w nim zaledwie od pół roku – i spłacaliśmy olbrzymi kredyt. Millicent żyła pod wielką presją, by sprzedawać więcej nieruchomości. Ja czułem podobną presję: chwilami rozważałem nawet znalezienie drugiej pracy.

Poza tym mieliśmy problemy z matką Millicent. Jej ojciec zmarł dwa lata wcześniej. Potem u matki zdiagnozowano alzheimera i zaczęło się powolne osuwanie ku śmierci charakterystyczne dla tej choroby. Długo szukaliśmy stałej pielęgniarki. Dwie pierwsze się nie nadawały, bo żadna z nich nie spełniała wymogów Millicent. Trzecia dawała radę, przynajmniej przez jakiś czas.

Nasza rodzina borykała się z pewnymi problemami – z mnóstwem problemów – ale tego dnia wszyscy byliśmy uśmiechnięci. Dopóki Millicent nie zaczęła krzyczeć.

Wbiegłem do domu, dzieci za mną. Wpadłem do kuchni w samą porę, by dostrzec, jak Millicent rzuca telefonem w ścianę. Roztrzaskał się na kawałki, zostawiając ślad na tynku. Millicent schowała twarz w dłoniach i się rozplakała.

Jenna zaczęła krzyczeć.

Rory pozbierał szczątki roztraskanego telefonu.

Objąłem Millicent i poczułem, jak jej ciałem wstrząsa szloch.

Do głowy przyszły mi dwie najbardziej przerażające rzeczy.

Ktoś umarł. Może jej matka. A może ktoś z przyjaciół.

Albo ktoś umierał. Śmiertelna choroba. Na przykład któreś z dzieci. Na przykład moja żona.

Byłem przekonany, że chodzi o jedną z tych rzeczy. Nic innego nie uzasadniało takiej reakcji. Ani pieniądze, ani praca, ani nawet strata zwierzęcia, którego zresztą nie mieliśmy. Ktoś musiał umrzeć albo miało to wkrótce nastąpić.

Byłem w szoku, gdy się okazało, że nie chodzi o żadną z tych rzeczy. Nikt nie umarł, nikt nie umierał. W zasadzie chodziło o coś przeciwnego.

Kilka miesięcy po tym, jak zaczęliśmy się spotykać, zorganizowaliśmy z Millicent coś, co nazwaliśmy Nocą Faktów. Kupiliśmy pizzę i wino, zanieśliśmy je do jej ciasnego mieszkania. Salon był tak mały, że mieścił tylko dwuosobową kanapę i stolik do kawy. Usiedliśmy na podłodze. Millicent zapaliła świece, ułożyła kawałki pizzy pepperoni na prawdziwych talerzach i naląła wino do kieliszków do szampana, bo tylko takie miała.

Przez całą noc zadawaliśmy sobie pytania. Żadnych granic, mogliśmy pytać o wszystko – właśnie tak to sobie zaplanowaliśmy. Początki były dość oklepane. Byliśmy zbyt trzeźwi, żeby rozmawiać o seksie, więc mówiliśmy o całej reszcie. O filmach, muzyce, ulubionych potrawach, ulubionych kolorach. Spytałem nawet, czy cierpi na jakieś alergie. Owszem. Jest uczulona na krople do oczu.

– Krople do oczu? – spytałem.

Pokiwała głową, upiła kolejny łyk wina.

– Te na zaczerwienienie. Tak puchną mi po nich oczy, że prawie nic nie widzę.

– Jak Rocky.

– Właśnie. Odkryłam to, kiedy miałam szesnaście lat i się upaliłam. Starłam się ukryć to przed rodzicami i wyłądowałam w szpitalu.

– Aha – powiedziałem. – Więc byłaś niegrzeczną dziewczynką?

Wzruszyła ramionami.

– A ty? Jakież alergie?

– Tylko na kobiety, które nie mają na imię Millicent.

Puściłem do niej oko, żeby pokazać, że to żart. Kopnęła mnie w stopę i przewróciła oczami. Potem upiliśmy się wystarczająco, by zacząć zadawać dobre pytania. Większość kręciła się wokół seksu i dawnych związków.

W końcu znudziło mi się słuchanie o jej byłym chłopaku, więc spytałem ją o rodzinę. Wiedziałem, skąd pochodzi i że jej rodzice wciąż są małżeństwem, ale na tym moja wiedza się kończyła. Nigdy nie wspominała o rodzeństwie.

– Masz braci albo siostry?

Byliśmy już wtedy porządnie wstawieni, w każdym razie ja, i bawiłem się woskiem, który spływał ze stojącej naprzeciwko nas świeczki. Tworzył kałużę w małym talerzu, a ja ścisnąłem go palcami, rolując w kulkę, by potem znowu rozpląszyć. Millicent patrzyła na mnie, ale nie odpowiadała na pytanie.

– Halo? – odezwałem się.

Upiła łyk wina.

– Mam siostrę. Holly.

– Starszą czy młodszą?

– Była starsza. Już jej nie ma.

Wypuściłem wosk, wyciągnąłem rękę i położyłem ją na dłoni, w której Millicent trzymała kieliszek do szampana.

– Bardzo mi przykro – powiedziałem.

– Nie ma sprawy.

Czekałem, aż powie coś jeszcze. Gdy tego nie zrobiła, spytałem:

– Jak to się stało?

Oparła się plecami o ścianę. Alkohol i światło świec sprawiały, że wszystko migotało, nawet jej rude włosy. Przez ułamek sekundy miałem wrażenie, że sypie się z nich żar.

Odpowiadając, odwróciła głowę.

– Miała piętnaście lat, była dwa lata starsza ode mnie. Najbardziej na świecie pragnęła jeździć samochodem. Nie mogła się doczekać, kiedy dostanie prawko. Pewnego dnia rodziców nie było w domu. Wzięli samochód taty, auto mamy zostało. Holly powiedziała, że powinniśmy się przejechać. Tylko po okolicy. Obiecała, że będzie jechać naprawdę wolno. – Millicent odwróciła się do mnie i wzruszyła ramionami. – Ale nie jechała wolno. I zginęła.

– Boże, tak mi przykro.

– To nic. Holly była moją siostrą, ale... nie była miłą osobą. Nigdy.

Miałem ochotę dowiedzieć się więcej i mogłem pytać dalej, bo przecież trwała Noc Faktów, lecz zrezygnowałem. Zamiast tego spytałem, kiedy pierwszy raz się upiła.

Temat Holly wypłynął ponownie, gdy pojechałem na kolację do domu rodziców Millicent. Poznałem ich wcześniej, w restauracji, kiedy przyjechali do miasta, ale tym razem to my wybraliśmy się w trzygodzinną podróż, żeby ich odwiedzić. Mieszkali w ogromnym domu na północy, niedaleko granicy z Georgią, pośrodku pustkowia. Stan, jej ojciec, wynalazł jakąś przynętę wędkarską, opatentował ją, a potem sprzedał firmie produkującej sprzęt sportowy. Nie byli bogaci, ale nie musieli pracować. Stan spędzał czas na obserwowaniu ptaków, łowieniu ryb na muchę i rzeźbieniu drewnianych budek dla ptaków. Abby, matka Millicent, była kiedyś nauczycielką i gdy nie uprawiała ogródka

z ziołami, prowadziła blog edukacyjny. Byli trochę jak hipisi, tyle że zamiast gandzi siali kolendrę.

Millicent była podobna do ojca, miała nawet jego oczy w wielu odcieniach zieleni, ale osobowość odziedziczyła po matce. Abby była jeszcze bardziej zorganizowana niż ona.

Zdjęcie zauważyłem dopiero po kolacji. Pomogłem sprzątnąć ze stołu i zaniósłem swój talerz do kuchni. Stało na parapecie nad zlewozmywakiem, było malutkie i częściowo schowane za jakąś rośliną. Moją uwagę przykuły rude włosy. Gdy sięgnąłem po fotografię i przyjrzałem się, uświadomiłem sobie, że przedstawia Millicent i jej siostrę Holly. Wtedy zauważyłem, że poza tym w domu brakuje zdjęć drugiej z sióstr. Były zdjęcia rodziców Millicent i jej samej, ale Holly widniała tylko na jednym.

– Uważaj, żeby go nie zobaczyła.

Podniosłem głowę. Stała przede mną matka Millicent. Jej ciepłe brązowe oczy miały niemal błagalny wyraz.

– Wiesz, co się stało z Holly?

– Tak. Millicent mi powiedziała.

– W takim razie rozumiesz, jak ją to przygnębia. – Wyjęła fotografię z mojej dłoni i wsunęła ją z powrotem za roślinę. – Kiedy przyjeżdża, chowamy wszystkie zdjęcia. Millicent nie lubi, żeby przypomniano jej o siostrze.

– Tak, ten wypadek ją przygnębia. Strata Holly w takich okolicznościach musiała być dla niej trudnym przeżyciem.

Matka Millicent dziwnie na mnie spojrzała.

Zrozumiałem to spojrzenie dopiero w dniu, w którym zadzwonił telefon i moja żona zaczęła krzyczeć.

# 10

Gra *Bloody Hell VII* ma tak obrazowe pudełko, że przednią część zasłania wielka żółta naklejka z ostrzeżeniem. Z tyłu jest czerwona naklejka z ostrzeżeniem dotycząca samej gry.

Nie jestem pewny, czy coś takiego powinno się znaleźć w moim domu.

Mimo to kupuję.

Rory, wciąż zawieszony w prawach ucznia, jest w domu. Matka zabrała mu komputer, zmieniła hasło do internetu i próbowała odłączyć kablówkę, ostatecznie jednak się poddała. Rory siedzi na kanapie w salonie i skacze po kanałach.

Rzucam grę na miejsce obok niego.

– Dzięki – mówi. – Ale mógłbyś popracować nad swoją postawą.

– Nie przeginaj.

Z szyderczym uśmieszkiem łapie grę i usuwa żółtą naklejkę ostrzegawczą. Obrazek pod spodem ukazuje dziesiątki zwłok leżących jedno na drugim. Na szczycie sterty stoi jakiś paskudny rogaty stwór, prawdopodobnie diabeł.

Rory spogląda na mnie i w jego zielonych oczach pojawia się błysk. Pyta, gdzie jest konsola. Waham się, po czym wskazuję przeszklony kredens w jadalni.

– Za srebrną tacą. Tylko niczego nie potłucz.

– Nie potłukę.

– I odłóż na miejsce.

– Odłożę.

– Nie będziesz więcej ściągał na sprawdzianach, prawda? – pytam.

Przewraca oczami.

– Jaki ojciec, taki syn.

Naszą rozmowę przerywa telewizja. Najnowsze sensacyjne wieści, które postanowiono przekazać w czasie porannego programu.

Pojawia się logo lokalnego kanału informacyjnego. Po nim na ekranie ukazuje się ten poważny młody reporter, który śledzi sprawę Lindsay. Ma na imię Josh i oglądam go codziennie, odkąd znaleziono zwłoki. Dzisiaj wydaje się trochę zmęczony, ale w oczach ma dzikość.

Policja wreszcie ujawniła, w jaki sposób zamordowano Lindsay.

– *Jest z nami doktor Johannes Rollins, były koroner hrabstwa DeKalb w stanie Georgia – mówi Josh. – Dziękujemy, że zgodził się pan na rozmowę, doktorze.*

– *Oczywiście.* – Doktor Rollins wydaje się starszy niż wszyscy, których znam, razem wzięci i przypomina mi Świętego Mikołaja, tyle że w nieodpowiednim stroju. Ma na sobie kraciastą koszulę i niebieski krawat.

– *Panie doktorze, słyszał pan dzisiejsze oświadczenie policji. Jak może pan je skomentować na podstawie swojego doświadczenia?*

– *Została uduszona.*

– *Tak, tak. Właśnie tak stwierdzono. Asfiksja wywołana uduszeniem.*

Doktor Rollins kiwa głową.

– *Dokładnie tak powiedziałem. Została uduszona.*

– *Może nam pan powiedzieć coś więcej?*

– *Straciła świadomość w ciągu kilku sekund i umarła w ciągu kilku minut.*

Josh czeka, żeby sprawdzić, czy doktor Rollins coś doda. Nie dodaje.

– *No dobrze. Bardzo dziękuję, panie doktorze. Jesteśmy naprawdę wdzięczni, że poświęcił nam pan swój czas.*

Kamera robi zbliżenie Josha, a on bierze głęboki oddech. Po jego oficjalnych doniesieniach zawsze następują te nieoficjalne, bo Josh jest ambitny i chyba wszędzie ma swoje źródła.

– *To jeszcze nie wszystkie informacje, które udało nam się zdobyć. News 9 jak zwykle ma ich więcej niż ktokolwiek inny i nie znajdą ich państwo w oświadczeniu policji ani na żadnym innym kanale. Według moich źródeł ślady na szyi Lindsay wskazują, że prawdopodobnie uduszono ją łańcuchem. Zabójca stał za nią i zaciskał łańcuch na jej tchawicy, dopóki nie umarła.*

– *Nieźle – odzywa się Rory.*

Za bardzo mnie mdli, żebym mógł go zganić, bo wyobrażam sobie jego matkę, moją żonę, jako morderczynię opisywaną przez Josha.

Obraz w mojej głowie jest bardzo wyraźny, trochę dlatego, że znam, a raczej znałem, obie kobiety. Wyobrażam sobie przerażenie na twarzy Lindsay. Wyobrażam sobie także twarz Millicent, choć jej wyraz się zmienia. Widać na niej przerażenie, ulgę, rozkosz. Uśmiecha się.

Rory szykuje się do włączenia gry wideo.

– *Wszystko w porządku? – pyta.*

– *Jasne.*

Nie mówi nic więcej. *Bloody Hell VII* już się uruchamia.



Wychodzę z domu, bo muszę zdążyć na lekcję tenisa. Ostatnio odwołałem ich zdecydowanie zbyt wiele.

W klubie przy tej samej ulicy czeka na mnie kobieta w średnim wieku. Ma ciemne proste włosy, mocną opaleniznę i akcent. Kekona pochodzi z Hawajów. Gdy się denerwuje, klnie łamaną angielszczyzną.

Kekona jest wdową na emeryturze, co oznacza, że ma mnóstwo czasu na obserwowanie innych ludzi. I plotkowanie o nich. Dzięki niej wiem, kto z kim sypia, które pary się rozstają, kto jest w ciąży i czyje dzieci pakują się w tarapaty. Czasami to więcej, niż mam ochotę wiedzieć. Czasami chcę tylko uczyć ją gry w tenisa.

Dziś dowiaduję się, że jedna z nauczycielek Rory'ego prawdopodobnie ma romans z ojcem ucznia. To niepokojące, ale przynajmniej nie romansuje z uczniem. Poza tym Kekona przekazuje mi najnowsze wieści o rozwodzie McAlisterów, który trwa już ponad rok, oraz świeże pogłoski o szansie na pojednanie. Szybko zaznacza, że ta ostatnia informacja jest „raczej niewiarygodna, lecz nigdy nic nie wiadomo”.

W połowie naszej godzinnej lekcji wspomina o Lindsay.

To niezwykle, ponieważ Lindsay nie została znaleziona w Hidden Oaks ani nie należała do country clubu. Lindsay mieszkała, pracowała i została znaleziona trzydzieści kilometrów dalej, czyli poza plotkarskim zasięgiem Kekony. Wdowa przeważnie nie rusza się z Oaks, gdzie mieszka w jednym z największych domów położonych w głębi osiedla. Niecałą przecnicę od miejsca, w którym się wychowałem. Dobrze znam jej dom. A raczej znałem. Mieszkała w nim moja pierwsza dziewczyna.

– W sprawie tej dziewczyny w motelu jest coś dziwnego – mówi Kekona.

– Czy nie można by tego powiedzieć o każdym morderstwie?

– Niezupełnie. Mordowanie to prawie nasza narodowa rozrywka. Jednak zwyczajne dziewczyny nie pojawiają się tak po prostu martwe w opuszczonych motelach.

Kekona mówi to, co od dawna myślę.

Wciąż nie wiem, co myśleć o tym motelu. Nie rozumiem, dlaczego Millicent nie zakopała zwłok albo nie wywiozła ich do jakiegoś lasu oddalonego o sto kilometrów czy gdziekolwiek indziej, byle nie tutaj, w pobliże miejsca, w którym mieszkamy, do budynku, w którym w końcu z pewnością by je znaleziono. To bez sensu.

Chyba że Millicent chce, żeby ją złapano.

– Zwyczajne dziewczyny? – mówię do Kekony. – A jakie to?

– No wiesz, nie narkomanki ani prostytutki. Nie takie, które żyją na krawędzi. Ta dziewczyna była zwyczajna. Miała pracę i mieszkanie, prawdopodobnie płaciła podatki. Była normalna.

– Często oglądasz seriale kryminalne?

Kekona wzrusza ramionami.

– Jasne. A kto ich nie ogląda?  
Millicent ich nie ogląda. Ale czyta kryminały.  
Wysyłam żonie wiadomość:

*Potrzebujemy wieczornej randki.*

Od ponad dziesięciu lat nie byliśmy z Millicent na prawdziwej randce. To nasze tajne hasło. Tak, w pewnym momencie usiedliśmy i wymyśliliśmy sobie hasło. „Wieczorna randka” oznacza, że musimy porozmawiać o naszych dodatkowych zajęciach. Naprawdę porozmawiać, a nie tylko szeptać w ciemności.

Między moim esemesem a wieczorną randką jest jeszcze zawieszenie Rory’ego w prawach ucznia. Siedział sam w domu przez cały dzień. W wyobrazeniach Millicent na pewno czytał książkę, by rozwinąć swój umysł. Tak naprawdę grał w nową grę wideo – dzięki mojej uprzejmości. Gdy wchodzę do domu, po grze nie ma śladu. Rory w milczeniu nakrywa do stołu.

Spogląda na mnie i puszcza do mnie oko. Pierwszy raz nie podoba mi się człowiek, którym staje się mój syn. I to moja wina.

Idę na górę, by wziąć przed kolacją szybki prysznic. Gdy schodzę z powrotem, Jenna już jest w domu. Nabija się z Rory’ego.

– Wszyscy dziś o tobie gadali – mówi. Jednocześnie pisze coś w telefonie. Zawsze tak robi. – Podobno jesteś taki głupi, że musiałeś sprawdzić, jak się pisze twoje imię. To dlatego ściągałeś.

– Ha, ha – odpowiada Rory.

– Mówili, że jesteś za głupi, żeby być moim starszym bratem.

Rory przewraca oczami.

Millicent jest w kuchni. Przebrała się po powrocie z pracy i teraz ma na sobie spodnie do jogi, długą dresową bluzę i skarpetki w paski. Upięła włosy na czubku głowy, zabezpieczając je olbrzymią spinką. Uśmiecha się i podaje mi miskę sałaty, żebym postawił ją na stole.

Gdy nakładamy jedzenie, dzieci dalej sobie dogryzają.

– Ale ty jesteś głupi – mówi Jenna. – Mówią, że z nas dwojga tylko ja mam mózg.

– Bo na pewno nie urodę – odcina się Rory.

– Mamo!

– Dość tego – mówi Millicent. Siada przy stole.

Rory i Jenna milkną. Rozkładają serwetki na kolanach.

Wszystko jest takie normalne.

Po jedzeniu Millicent pyta mnie i Jennę, czy zajmiemy się naczyniami. Chce przejrzeć z Rorym jego pracę domową, żeby sprawdzić, czy zrobił wszystko, co należało.

Widzę panikę w jego oczach.

Rory'ego czeka długi wieczór. Słyszę to w kuchni, gdy sprzątam z Jenną po kolacji. Opłukuję talerze, ona wkłada je do zmywarki, i trochę przy tym rozmawiamy.

Jenna trąkocze o piłce nożnej, wdając się w szczegóły, których nie mam szans zrozumieć. Nie po raz pierwszy zastanawiam się, czy nie powinienem się bardziej angażować, zgłosić się na ochotnika jako pomocnik trenera albo coś. Potem sobie przypominam, że zwyczajnie nie mam na to czasu.

Jenna cały czas mówi, a moje myśli biegną w stronę Millicent. Do naszej wieczornej randki.

Gdy naczynia są już w zmywarce, a Rory'emu kończą się wymówki, dzień powoli chyli się ku końcowi. Rory idzie do swojego pokoju, żeby odrobić lekcje, których nie odrobił wcześniej. Jenna gawędzi, rozmawia i pisze wiadomości – wszystko jednocześnie. Gdy przychodzi pora kłaść się spać, Millicent rekwiruje dzieciom komputery. Zabiera je codziennie wieczorem, żeby nie zarywały nocy, czatując z obcymi ludźmi przez internet, kiedy zaśniemy. Moim zdaniem obcy ludzie są w internecie o każdej porze, ale nie spieram się o to z Millicent.

Gdy dzieci są w łóżkach, idziemy do garażu na naszą wieczorną randkę.

# 11

Siedzimy w samochodzie Millicent. Ona jeździ tym ładniejszym, luksusowym modelem crossovera, ponieważ często wozi klientów, pokazując im domy. Skórzane siedzenia są wygodne, w środku jest dużo miejsca, a gdy zamkniemy drzwi, dzieci nie mogą nas podsłuchiwać.

Trzymam rękę na konsoli między nami i Millicent kładzie na niej swoją dłoń.

- Jesteś zdenerwowany – mówi.
- A ty nie?
- Nie znajdą niczego, co mogłoby ich do nas doprowadzić.
- Skąd ta pewność? Wiedziałaś, że ją znajdą?

Wzrusza ramionami.

- Nie obchodziło mnie to.

Mam wrażenie, że wszystko, co wiem, mogłoby się zmieścić w dłoni, a to, czego nie wiem, wypełniłoby cały dom. Mam mnóstwo pytań, ale nie chcę znać odpowiedzi.

- Pozostałych nie znaleźli – mówię. – Dlaczego akurat Lindsay?
- Lindsay. – Wypowiada jej imię powoli. To sprawia, że wracam myślami do chwili, w której ją znaleźliśmy. Zrobiliśmy to razem: obserwowaliśmy, wybraliśmy – uczestniczyłem w każdej decyzji.

Po drugiej wędrownicy z Lindsay powiedziałem Millicent, że znaleźliśmy odpowiednią dziewczynę. To wtedy stworzyliśmy swoje hasło, tę specjalną wieczorną randkę, tylko że nie spotkaliśmy się w garażu. Sąsiadka zgodziła się przez jakiś czas popilnować dzieci, a ja i Millicent pojechaliśmy na mrożony jogurt. Ona wzięła waniliowy, ja z orzechami pecan, i spacerowaliśmy po centrum handlowym, w którym pozamykano wszystko oprócz kina. Zatrzymaliśmy się przed sklepem z luksusowym sprzętem kuchennym i gapiliśmy się na wystawę. To był jeden z ulubionych sklepów Millicent.

- No więc mów – powiedziała.

Rozejrzałem się. Najbliżsi ludzie byli jakieś sto metrów dalej, stali w kolejce po bilety do kina. Mimo to ściszyłem głos.

- Moim zdaniem jest idealna.

Millicent uniosła brwi, wydawała się zaskoczona. I szczęśliwa.

– Naprawdę?

– Jeśli zamierzamy to zrobić, to tak. Nadaje się doskonale. – Nie była pierwsza, lecz trzecia. Wydawała się jednak inna, ponieważ była obcą osobą, znaną w internecie. Wybraliśmy ją spośród miliona innych. Pierwszych dwóch w ogóle nie wybieraliśmy. Same do nas przyszły.

Millicent zjadła łyżeczkę waniliowego jogurtu i oblizwała ją.

– Więc myślisz, że to dobry pomysł? Że powinniśmy to zrobić?

Coś w jej oczach sprawiło, że odwróciłem wzrok. Czasami przy Millicent brakuje mi tchu. Wtedy też tak się stało – gdy byliśmy w centrum handlowym i zdecydowaliśmy o losie Lindsay. Odwróciłem się od Millicent i zajrzałem do zamkniętego sklepu ze sprzętem kuchennym. Wszystkie te nowe, lśniące rzeczy wpatrywały się we mnie drwiąco, jakby chępiły się swoją nieosiągalnością. Nie było nas stać na wszystko, czego pragnęliśmy. Nikogo na to nie stać, ale mnie nie dawało to spokoju.

– Tak – powiedziałem do Millicent. – Zdecydowanie powinniśmy to zrobić.

Przechyliła się w moją stronę i dała mi zimnego waniliowego buziaka.

Nigdy nie rozmawialiśmy o przetrzymywaniu Lindsay.

Teraz siedzimy w garażu i znowu mamy wieczorną randkę. Nie ma mrożonego jogurtu, tylko małe opakowanie precli, które znalazłem w schowku na rękawiczki. Proponuję je Millicent, ale ona marszczy nos.

Wracam do powodu, dla którego siedzimy w samochodzie.

– Na pewno wiedziałaś, że ją znajdą...

– Tak.

– Ale dlaczego? Czemu chciałaś, żeby ją znaleźli?

Spogląda przez szybę samochodu na sterty plastikowych pojemników wypełnionych starymi zabawkami i ozdobami bożonarodzeniowymi. Gdy znowu się do mnie odwraca, ma przechyloną głowę i lekko się uśmiecha.

– Z okazji naszej rocznicy.

– Nasza rocznica była pięć miesięcy temu.

– Nie mówię o tej.

Zastanawiam się; nie chcę tego spieprzyć, bo przecież powinienem wiedzieć. Powinienem wiedzieć takie rzeczy.

Nagle doznaję olśnienia.

– Wybraliśmy Lindsay rok temu. Podjęliśmy decyzję.

Rozpromienia się.

– Tak. Znaleźli ją rok później, co do dnia.

Wpatruję się w nią. Wciąż nie widzę w tym sensu.

– Dlaczego miałybyś chcieć...

– Słyszałeś o Owenie Rileyu? – pyta.

– Co?

– O Owenie Rileyu. Wiesz, kto to jest?

Początkowo to nazwisko nic mi nie mówi. Po chwili jednak sobie przypominam.

– Masz na myśli Owena Olivera? Tego seryjnego zabójcę?

– Tak go nazywaliście?

– Owen Oliver Riley. Mówiliśmy po prostu Owen Oliver.

– Więc wiesz, co zrobił?

– Jasne, że wiem. Nie dałoby się tu mieszkać i nie wiedzieć.

Uśmiecha się do mnie, tak jak czasami jej się zdarza, i znów jestem skołowany.

– To nie tylko nasza rocznica, Owena też – mówi.

Wyteżam umysł, próbuję sobie przypomnieć zdarzenia z czasów mojej wczesnej młodości. Owen Oliver pojawił się latem, kiedy skończyłem liceum. Nikt nie zwrócił uwagi na zniknięcie jednej kobiety, a potem nikt nie zwrócił uwagi na zniknięcie drugiej. Zauważyli dopiero, gdy jedną z nich znaleziono martwą.

Pamiętam, że byłem wtedy w barze z fałszywym dowodem w kieszeni, otoczony przyjaciółmi w tym samym wieku co ja. Piliśmy tanie piwo i jeszcze tańszy mocny alkohol, oglądając w telewizji relację ze znalezienia pierwszych zwłok. W Woodview nigdy nic się nie działo, a już z pewnością nic takiego jak zamordowanie młodej kobiety o imieniu Callie, która pracowała jako ekspedientka w sklepie odzieżowym. Znaleziono ją w budynku na opuszczonym parkingu przy drodze międzystanowej. Zwłoki zauważył jakiś kierowca ciężarówki.

Początkowo było to tylko makabryczne morderstwo jednej kobiety. Przez całe lato obserwowałem zafascynowany, jak dziennikarze, policja i okoliczni mieszkańcy próbują znaleźć motyw.

Ogólnie przyjęta odpowiedź brzmiała: „jakiś włóczęga”. Wszyscy czuli się lepiej, wierząc, że morderca nie mieszka wśród nas, nawet jeśli miało to oznaczać, że jakiś przybysz porwał Callie i przetrzymywał ją żywą miesiącami, zanim ją zamordował. I tak w to wierzyliśmy. Nawet ja.

Gdy historia się powtórzyła, wszyscy poczuliśmy się zdradzeni. To musiał być ktoś z nas.

Nikt nie wiedział, że to Owen Oliver Riley. Jeszcze nie. Nazywaliśmy go po prostu mordercą z Woodview.

Dziewięć martwych kobiet, później został złapany. Owen Oliver Riley był trzydziestoparoletnim mężczyzną z jasnymi włosami, niebieskimi oczami i zaczątkiem brzuszyska. Jeździł srebrnym sedanem, przesiadywał w barach sportowych i udzielał się w kościele jako wolontariusz. Ludzie go znali, rozmawiali z nim, sprzedawali mu towary

i usługi oraz machali do niego na powitanie. Wpatrywałem się w jego zdjęcie w telewizji, myśląc, że to nie mógł być on. Wyglądał tak normalnie. I był normalny, tyle że zabił dziewięć kobiet.

Początkowo oskarżono go o jedno morderstwo. Reszta zarzutów musiała poczekać, bo brakowało dowodów. Odmówiono wyznaczenia kaucji. Owen Oliver siedział w areszcie trzy tygodnie, po czym został zwolniony z powodu jakiegoś błędu proceduralnego. Nakaz dotyczący pobrania próbki jego DNA nie był podpisany w chwili, w której policja pobrała wymaz z jego ust. Nawet jego przydzielony z urzędu obrońca mógł z łatwością wykorzystać ten błąd. I wykorzystał.

Gdy zabrakło dowodu w postaci DNA, policja nie miała nic więcej. Wciąż usilnie próbowała coś na niego znaleźć, gdy Owen Oliver wychodził z więzienia. Wyglądał tak normalnie, że od razu wtopił się z powrotem w społeczeństwo i zniknął.

Kiedy go uwolniono, byłem za granicą, ale i tak o tym usłyszałem – podczas jednej z niewielu rozmów, jakie przeprowadziłem z rodzicami przed ich śmiercią. Po ich wypadku wróciłem do domu, nie planowałem jednak zostać, dopóki nie poznałem Millicent. Gdy pierwszy raz zgodziła się ze mną umówić, zakładałem, że to dlatego, że jest nowa i nikogo innego tu nie zna.

Czasami nadal tak myślę.

Wtedy Owena Olivera już dawno nie było. Ale co roku w rocznicę dnia, w którym go wypuszczono, jego twarz znowu pokazują w wiadomościach. W ciągu tych lat Owen stał się naszym lokalnym potworem, złym duchem, seryjnym zabójcą. W końcu jego mit przerósł rzeczywistość.

– Musiało minąć z siedemnaście lat, odkąd ostatni raz kogoś zabił – mówię.

– Właściwie to osiemnaście. W tym miesiącu minęło osiemnaście lat, odkąd zaginęła jego ostatnia ofiara.

Kręcę głową, usiłując powiązać te elementy w swojej głowie. Millicent jak zawsze mnie wyręcza.

– Pamiętasz, kiedy zniknęła Lindsay? Kiedy ludzie zaczęli jej szukać? – pyta.

– Jasne.

– Jak myślisz, co się stanie, gdy zniknie następna? Na przykład jedna z kobiet z naszej listy.

Luźne wątki jeden po drugim zaczynają się ze sobą splatać. Jeśli zniknie następna kobieta, policja zacznie myśleć, że mamy seryjnego mordercę. Millicent wskrzesiła Owena, by zrzucić na niego naszą winę.

Planuje z wyprzedzeniem.

– To dlatego tak długo trzymałaś Lindsay żywą – mówię. – Naśladowałaś go.

Millicent kiwa głową.

- Tak.
- Dusił swoje ofiary, prawda?
- Tak.

Wypuszczam powietrze. Odczuwam tę ulgę zarówno ciałem, jak i umysłem.

– To wszystko było ukartowane.

– Oczywiście, że tak. Gdy policja zacznie szukać, a na pewno zacznie, przypomni sobie o Owenie.

– Ale dlaczego mi nie powiedziałaś? Przez rok?

– Chciałam ci zrobić niespodziankę – odpowiada. – Z okazji naszej rocznicy.

Wpatruję się w nią. W moją uroczą żonę.

– To chore – mówię.

Unosi brew. Zanim cokolwiek powie, kładę palec na jej ustach.

– I genialne – dodaję.

Millicent przechyla się i całuje mnie w czubek nosa. Jej oddech pachnie deserem, który zjedliśmy na kolację. Tym razem nie wanilią. Lodami czekoladowymi i wiśniami.

Przesuwa się po konsoli i siada na mnie okrakiem. Zdejmując bluzę, zahacza nią o spinkę; jej włosy się rozsypują. Spogląda na mnie z góry oczami ciemnymi jak mokradła.

– Chyba nie myślałaś, że przestaniemy, co? – pyta.

Nie. Teraz już nie możemy przestać.

I wcale tego nie chcę.



# 12

Wszystko zaczęło się od Holly. I ponieważ byliśmy do tego zmuszeni.

Tamtego rześkiego jesiennego dnia, gdy zadzwonił telefon, nasz świat się zawalił. Telefon miał związek z Holly. Zamierzano ją wypuścić ze szpitala psychiatrycznego.

Myślałem, że się przesłyszałem. Właśnie tak się czułem, gdy Millicent oznajmiła, że jej siostra nie zginęła w wypadku w wieku piętnastu lat. Została umieszczona w szpitalu psychiatrycznym.

Tamtej soboty, późnym wieczorem, gdy dzieci zostały już uspokojone, nakarmione i położone spać, usiedliśmy z Millicent w salonie na nowej kanapie, którą wciąż splanaliśmy, i żona opowiedziała mi prawdziwą historię o Holly.

Zaczęło się od ciachnięcia papierem. Tę historię już znałem – przygotowywały kolaże ze swoich ulubionych rzeczy.

– Zrobiła to specjalnie – powiedziała Millicent. – Złapała mnie za rękę i przecięła ją kartką. O tu. – Wskazała miejsce między kciukiem a palcem wskazującym. – Wmówiła rodzicom, że to był wypadek.

Minął miesiąc i sześciolatka Millicent prawie o tym zapomniała. Tylko że sytuacja się powtórzyła. Były razem w pokoju Holly, pochłonięte zabawą, którą zwały Fioletowa Jama. Millicent i jej siostra stworzyły własny mały świat, pełen lalek, pluszaków i plastikowych koni, i nazwały go Fioletową Jamą. Nazwa nawiązywała do koloru pokoju Holly. Był lawendowy. Pokój Millicent był żółty.

Gdy były w Jamie, Holly znowu ją ciachnęła. Tym razem użyła ostrego kawałka plastiku, który oderwała od jakiejś zabawki.

Rana znajdowała się poniżej kostki. Millicent krzyknęła i krew pociekła na dywan. Holly wpatrywała się w plamę, dopóki do pokoju nie weszła matka. Wtedy zaczęła płakać razem z Millicent.

Ten incydent też uznano za wypadek.

Przez następne dwa lata Millicent wielokrotnie ulegała wypadkom. Ojciec uważał ją za niezdarę. Matka powtarzała, żeby była ostrożniejsza.

Holly się z niej śmiała.

Im więcej Millicent mi opowiadała, tym większe czułem przerażenie. Pewne rzeczy nabierały sensu.

Ślad ugryzienia na jej ramieniu, rzekomo wina psa. Dwie małe blade blizny, które nigdy nie miały zniknąć.

Palec złamany wskutek przytrzaśnięcia drzwiami. Wciąż był trochę krzywy.

Siekacz na dole, który lekko się ukruszył, gdy Millicent rzekomo się potknęła i wpadła na ościeżnicę.

Podłużna, głęboka rana na łydce od kawałka szkła na ulicy. Blizna wciąż jest widoczna, to ciemniejszy pasek mierzący prawie piętnaście centymetrów.

Miałem wrażenie, że ta lista ciągnęła się godzinami. Z upływem czasu sytuacja się pogarszała.

Gdy Millicent miała dziesięć lat, Holly zepchnęła ją ze schodów. Millicent złamała rękę. Pół roku później Holly wjechała w Millicent rowerem. Potem Millicent spadła z drzewa za domem.

Rodzice wierzyli, że to wszystko działo się przez przypadek. Albo widzieli to, co chcieli widzieć. Żaden rodzic nie przyzna, że jego dziecko jest potworem.

W pewnym sensie to rozumiałem. Nic nie zdołałoby mnie przekonać, że Rory albo Jenna mogliby się tak zachowywać. To po prostu niemożliwe, nierealne. Byłem pewny, że rodzice Millicent tak samo myśleli o Holly.

Wcale jednak nie złagodziło to mojej złości. Gdy siedziałem i słuchałem, co Millicent musiała znosić w okresie dorastania, nie potrafiłem wyperswadować sobie tej wściekłości.

Takie traktowanie – nie, takie tortury – trwały przez kilka lat. Millicent dawno przestała być miła dla siostry w nadziei, że ta przestanie się nad nią znęcać. W odwecie też zapragnęła zrobić Holly krzywdę.

Pierwszą i jedyną próbę podjęła, gdy obie chodziły do gimnazjum. Po lekcjach wychodziły przed budynek razem z innymi dziećmi i czekały, aż rodzice zabiorą je do domu. Gdy szły obok siebie, Millicent podstawiła siostrze nogę.

Holly upadła na ziemię.

Wszystko trwało zaledwie sekundę, ale widziało to pół szkoły. Dzieci zaczęły się śmiać, nauczyciele podbiegli, żeby pomóc, a Millicent uśmiechnęła się do siebie w głębi ducha.

– To wydaje się chore – powiedziała Millicent – ale naprawdę myślałam, że już po wszystkim. Myślałam, że przestanie mnie krzywdzić.

Mylła się.

Kilka godzin później Millicent obudziła się w środku nocy. Miała związane nadgarstki unieruchomione przy wezglowiu łóżka. Holly właśnie kneblowała jej usta.

Holly nie powiedziała ani słowa. Po prostu usiadła w kącie i wpatrywała się w Millicent aż do wschodu słońca. Tuż przed obudzeniem się rodziców rozwiązała ją i wyjęła knebel z ust.

– Nigdy więcej nie próbuj robić mi krzywdy – powiedziała. – Następnym razem cię zabiję.

Millicent nie próbowała. Dalej w milczeniu znosiła przemoc siostry, starając się udowodnić, że nie jest niezdara i nie robi sobie krzywdy przez przypadek. Holly była zbyt sprytna, by dać się nagrać kamerom, zbyt przebiegła, by ktokolwiek mógł ją przyłapać.

Millicent do dziś jest przekonana, że ta sytuacja trwałaby dalej, gdyby nie samochód.

Wypadek samochodowy, o którym mi kiedyś powiedziała, zdarzył się naprawdę. Holly miała piętnaście lat, Millicent trzynaście, i Holly naprawdę postanowiła pojechać na przejażdżkę autem mamy. Oznajmiła Millicent, że ta ma jechać razem z nią, a potem celowo wjechała w ogrodzenie, uderzając w nie stronę pasażera.

Uznano by to za wypadek, gdyby nie nagranie.

Zdarzenie zarejestrowały kamery monitoringu. Na pierwszym filmie było widać jadący prosto ulicą samochód, który nagle skręca w prawo i wpada na ogrodzenie. Drugie nagranie ukazywało samochód od strony kierowcy. Holly siedziała za kierownicą i było widać, że skręca celowo.

Przesłuchała ją policja i stwierdzono, że wypadek wcale nie był wypadkiem.

Po wielu rozmowach z Millicent, Holly i ich rodzicami ludzie uświadomili sobie, że z Holly dzieje się coś bardzo niedobrego. Poza tym doszli do wniosku, że próbowała zabić swoją młodszą siostrę.

Zamiast zgodzić się na to, by ich córce postawiono zarzut usiłowania zabójstwa, rodzice Millicent woleli umieścić ją w szpitalu psychiatrycznym. Lekarze długo nie pozwalali jej stamtąd wyjść.

Dwadzieścia trzy lata później została wypuszczona.

Tak, pierwsza była Holly.

Po naszej wieczornej randce szukam informacji o Owenie Oliverze Rileyu. Jeśli zamierzamy wskrzesić naszego lokalnego potwora, muszę odświeżyć sobie fakty, a konkretnie to, jakie kobiety obierał za cel. Niewiele na ten temat pamiętam. Wiem jednak, że kobiety w okolicy bały się go jak cholera, co albo bardzo ułatwiało, albo bardzo utrudniało mi ich poznawanie. Albo patrzyły na mnie jak na potencjalnego mordercę z Woodview, albo szacowały moje szanse na to, że zdołam je przed nim obronić.

W tamtym czasie były to kobiety w moim wieku, między osiemnastką a dwudziestką, choć jak się zdaje, Owen Oliver zupełnie się takimi nie interesował. Lubił nieco starsze,

między dwudziestym piątym a trzydziestym piątym rokiem życia.

Blondynka czy brunetka – to nie miało znaczenia. Owen Oliver nie miał preferencji w tym zakresie.

Za to miał w innych. Kobiety były raczej niskie, żadna z nich nie miała więcej niż metr pięćdziesiąt osiem. Takie łatwiej przetransportować. Nie tylko jemu – także Millicent.

Wszystkie mieszkały same.

Wiele pracowało nocą. Jedna była nawet prostytutką.

Ostatni wymóg Owena był jednocześnie tym, który go pogrążył. Każda z jego ofiar była w pewnym momencie pacjentką Szpitala Świętej Maryi. Od hospitalizacji niektórych z nich upłynęły długie lata. Jednej usunięto tam migdałki, inna chorowała na zapalenie płuc i przez dwa dni leżała pod kroplówką. Owen pracował w księgowości. Wiedział wszystko o leczeniu, jakiemu je poddano, a także znał ich wiek, stan cywilny i adres.

Szpital Świętej Maryi był jedynym elementem łączącym ofiary. Długo tego nie zauważano, ponieważ w naszej okolicy wszystkich kieruje się właśnie tam. To jedyny duży szpital w regionie. Do drugiego trzeba jechać godzinę.

Pomijam większość szczegółów dotyczących tego, co robił ofiarom, gdy je przetrzymywał. Zbyt wiele informacji, których nie potrzebuję, zbyt wiele obrazów, których nie chcę widzieć.

Jedyne, co przykuwa mój wzrok, to odciski palców. Owen spiłowywał opuszki wszystkim ofiarom. Millicent zrobiła to samo z Lindsay.

Następnie scrolluję zdjęcia kobiet, które zabił. Były młode, inteligentne i szczęśliwe. Jak wszystkie ofiary morderców. Nikt nie chce oglądać zdjęć ponurych młodych kobiet, nawet jeśli są martwe.

Zauważam jeszcze kilka rzeczy. Wszystkie zamordowane były dość zwyczajne. Nie nosiły mocnego makijażu ani modnych ciuchów. Większość wyglądała normalnie: prosta fryzura, dzinsy i koszulki, żadnych ciemnych szminek, żadnych lakierowanych paznokci. Lindsay odpowiada temu profilowi, a także wymogom Owena dotyczącym wzrostu.

Naomi też jest raczej zwyczajna niż olśniewająca, ale okazuje się za wysoka.

Nigdy dotąd nie wybierałem kobiety na podstawie takich wymogów. Moje kryteria obracały się wokół tego, ile osób mogłoby jej szukać, jak szybko zawiadomiono by policję i ile czasu poświęcono by na szukanie jej.

Cała reszta była arbitralna. Wybrałem Lindsay, ponieważ spełniała wszystkie ważne kryteria oraz dlatego, że Millicent wierciła mi dziurę w brzuchu, żebym jak najszybciej wybrał następną.

Z Petrą było inaczej. Dlatego że się z nią przespałem albo że przypuszczała, iż nie jestem głuchy. Może z obu powodów. Wciąż gdzieś tam jest, wciąż stwarza zagrożenie, ale zupełnie nie pasuje do naszego nowego profilu. Jest za wysoka i stanowczo zbyt olśniewająca: nosi spódniczki i buty na obcasach, nawet palce u nóg miała polakierowane na czerwono.

Muszę znaleźć inną. Naszą czwartą.

Właśnie tak pracował Owen Oliver. Zawsze wybierał kolejną ofiarę, gdy znaleziono poprzednią.

Gdy przeglądam strony mediów społecznościowych, czuję, jak wzbiera we mnie adrenalina. Nie jest to gwałtowny przypływ, jeszcze nie, ale niebawem będzie. Razem z Millicent wskrzesimy Owena.

Nie mogę się doczekać.

# 13

Dwóch pierwszych kobiet nie wybraliśmy. Pierwszą, którą znaleźliśmy sami, była Lindsay. Natknęliśmy się na nią w mediach społecznościowych. Wtedy jednak nie mieliśmy jeszcze profilu ani wymogów dotyczących wzrostu. Większość ludzi nie podaje w internecie informacji na temat swojego wyglądu – na Facebooku czy Instagramie nie ma kategorii dotyczących wzrostu, wagi ani koloru oczu. Utrudnia mi to wstępne poszukiwania numeru cztery.

Udało mi się jednak znaleźć jedno miejsce, w którym podaje się wzrost: to portale randkowe. Niestety, krótki przegląd kilku z nich okazuje się rozczarowujący. Następnego dnia proszę Millicent o spotkanie w porze lunchu. Kupujemy po kubku kawy i siadamy w parku po drugiej stronie ulicy. Dzień jest piękny, niebo ma nieskazitelnie niebieski kolor, powietrze jest niezbyt wilgotne, a park znajduje się na tyle blisko, że można w nim korzystać z kawiarnianego internetu.

Objaśniam Millicent nasze nowe wymogi i pokazuję jej, co znalazłem w sieci. Przegląda kobiety z portalu randkowego, a potem patrzy na mnie.

– Wszystkie wydają się takie... – Kręci głową i milknie.

– Sztuczne?

– Tak. Jakby próbowały się dopasować do męskich pragnień, zamiast być sobą.

Wskazuję jedną, która napisała, że jej hobby to windsurfing i imprezy na plaży.

– Poza tym mogą mieć za dużo przyjaciół.

– Niektóre na pewno mają.

Dalej przegląda profile, marszczy brwi.

– Nie możemy wybierać na portalu randkowym.

Milczę. Patrzy na mnie. Uśmiecham się.

– Co? – pyta.

– Mam inny pomysł.

Odpręża się, przestaje się martwić i unosi jedną brew.

– Masz?

– Mam.

– Powiedz.

Rozglądam się po parku i po chwili moje oczy zatrzymują się na kobiecie, która siedzi na innej ławce i czyta książkę.

– Co powiesz na nią? – pytam.

Millicent spogląda w jej stronę, przypatruje się i się uśmiecha.

– Chcesz poszukać kogoś w prawdziwym świecie.

– Na początek tak. Znajdziemy kogoś odpowiadającego profilowi. Potem poszperamy w internecie, żeby się upewnić, czy się nadaje.

Millicent znowu na mnie patrzy. Ma takie jasne oczy. Kładzie dłoń na mojej dłoni. Jej dotyk rozchodzi się po całym moim ciele, czuję się tak, jakby ładował moje baterie. Nawet szumi mi w uszach.

Kiwa głową, a kąciki jej ust unoszą się, bo powoli się uśmiecha. Nie potrafię myśleć o niczym innym, jak tylko o tym, żeby ją pocałować. Żeby rzucić ją na ziemię na środku parku i zedrzeć z niej ubranie.

– Wiedziałam, że wyszłam za ciebie nie bez powodu – odzywa się w końcu.

– Dlatego że jestem niewiarygodnie genialny?

– Oraz skromny.

– I całkiem niebrzydki – dodaję.

– Jeśli dobrze to rozegramy – mówi – policji nigdy nie przyjdzie do głowy, żeby szukać pary. Będziemy mogli robić, co nam się podoba.

Z jakiegoś powodu te słowa sprawiają, że podniecam się jeszcze bardziej. Świat jest pełen rzeczy, których nie mogę robić i na które mnie nie stać, poczynając od domów, a kończąc na samochodach i sprzęcie kuchennym, ale dzięki temu – właśnie dzięki temu – możemy być wolni. Tylko to jest naprawdę nasze, tylko nad tym mamy kontrolę. Dzięki Millicent.

– Zgoda – mówię.

– Zgoda na co? – pyta.

– Zgoda na wszystko.

Jadę na dworzec SunRail i wsiadam do pociągu do Altamonte Springs, jadącego w przeciwnym kierunku, niż mieszka Petra. Teoretycznie miasteczko znajduje się poza Woodview, ale wciąż leży na dawnym terenie łowieckim Owena.

Kobiety są wszędzie. Młode, stare, wysokie, niskie, chude, grube. Są na każdej ulicy, w każdym sklepie, za każdym rogiem. Nie widzę mężczyzn, tylko kobiety – zawsze tak było. Gdy byłem młody, nie wyobrażałem sobie, że miałbym wybrać tylko jedną. Nie, kiedy w zasięgu moich rąk było ich aż tyle.

Oczywiście to było, zanim pojawiła się Millicent.

Zmieniłem się. Wciąż oceniam wszystkie kobiety, tyle że nie tak jak dawniej. Nie widzę w nich potencjalnych partnerek, kochanek ani trofeów. Oceniam je na podstawie tego,

czy pasują do profilu Owena. Patrząc na każdą z nich, najpierw szacuję wzrost, a potem przyglądam się makijażowi i ubraniu.

Widzę młodą kobietę wychodzącą z pralni i idącą po schodach do mieszkania na pierwszym piętrze. Z takiej odległości trudno stwierdzić, czy nie jest za wysoka.

Druga wychodzi z biurowca. Jest dość niska, ale denerwująco energiczna. Patrzę, jak wsiada do samochodu, który jest fajniejszy od mojego. Nie jestem pewny, czy udałoby mi się do niej zbliżyć.

Widzę kobietę w kawiarni i siadam przy stoliku za nią. Ma otwartego laptopa, scrolluje strony, które można zaliczyć do dwóch kategorii: polityka i jedzenie. Wiem co nieco o jednym i o drugim, więc zastanawiam się, o czym moglibyśmy rozmawiać. Jestem na tyle zaintrygowany, że patrzę za nią, gdy wychodzi, a potem idę zanotować numer rejestracyjny jej samochodu.

Potem dalej idę chodnikiem, aż w końcu zauważam niską kobietę wypisującą mandaty za parkowanie bez biletu. Właśnie wypełnia blankiet. Ma krótko obcięte paznokcie i włosy. Oczu nie widzę, bo nosi okulary przeciwsłoneczne, ale nie ma pomalowanych ust.

Przechodzę wystarczająco blisko niej, by odczytać nazwisko na plakietce.

A. Parson.

Może ona, może nie. Jeszcze nie zdecydowałem. Gdy nie widzi, robię jej parę zdjęć.

Tego samego dnia wieczorem Millicent leży na łóżku i wpatruje się w arkusz kalkulacyjny w komputerze. Dzieci śpią – a przynajmniej taką mamy nadzieję. W każdym razie są cicho. Chyba nie powinniśmy liczyć na nic więcej.

Wślizguję się do łóżka obok Millicent.

– Cześć – mówię.

– Cześć. – Przesuwa się, żeby zrobić mi miejsce, choć nasze łóżko jest aż nadto szerokie.

– Byłem dzisiaj na zakupach.

– Jezu, mam nadzieję, że nie wydawałeś pieniędzy. Właśnie patrzę na nasz budżet i okazuje się, że nie mamy żadnych nadwyżek. To przez tę wymianę zmywarki.

Uśmiecham się.

– Nie miałem na myśli takich zakupów. – Kładę przed nią telefon, na którym widnieje zdjęcie A. Parson.

– Aha – mówi Millicent. Powiększa zdjęcie i mruży oczy. – Co to za uniform?

– Parkingowej.

– Z całą pewnością nie miałabym nic przeciwko małej zemście na którejś z nich.

– Ja też. – Śmiejemy się. – Poza tym pasuje do profilu Owena.



– Rzeczywiście. – Millicent zamyka komputer i odwraca się do mnie całym ciałem. –  
Dobra robota.

– Dziękuję.

Całujemy się i wszystkie problemy budżetowe odpływają.

# 14

Początkowo nie widziałem w tym nic seksownego. To było przerażające.

Holly miała być końcem, nie początkiem. W dniu, w którym wypuścili ją ze szpitala, Millicent ujrzała ją na progu naszego domu. Zatrzasnęła siostrze drzwi przed nosem.

Holly napisała list i wsunęła go do naszej skrzynki na listy. Millicent nie odpisała.

Holly dzwoniła. Millicent przestała odbierać telefon.

Gdy skontaktowałem się ze szpitalem psychiatrycznym, nie chcieli mi nic powiedzieć.

Holly zaczęła się pojawiać w miejscach publicznych. Trzymała się w odległości co najmniej stu metrów, ale była wszędzie. W sklepie spożywczym, gdy Millicent robiła zakupy. Na parkingu przed centrum handlowym. Po drugiej stronie ulicy, gdy szliśmy na kolację.

Nigdy nie obserwowała nas wystarczająco długo, byśmy zdążyli wezwać policję. A ilekroć próbowaliśmy zrobić jej zdjęcie, żeby mieć jakiś dowód, odchodziła, odwracała się albo poruszała, by obraz wyszedł zamazany.

Millicent nie chciała mówić o tym matce. Alzheimer sprawiał, że moja teściowa i tak zapomniała, kim jest Holly, a Millicent wołała, żeby tak zostało.

Przeglądałem w internecie przepisy dotyczące stalkingu i spisałem wszystkie przypadki pojawiania się Holly. Gdy pokazałem tę listę Millicent, powiedziała, że to bezużyteczne.

– To na nic – powiedziała.

– Ale gdybyśmy...

– Znam przepisy o stalkingu. Nie złamała ich i nie złamie. Jest na to za sprytna.

– Musimy coś zrobić – powiedziałem.

Millicent wpatrywała się w mój notes, kręcąc głową.

– Chyba nie rozumiesz. Ona zmieniła moje dzieciństwo w piekło.

– Wiem o tym.

– W takim razie powinieneś wiedzieć, że taka lista nic nie da.

Chciałem iść na policję i powiedzieć, co się dzieje, ale jedynym namacalnym dowodem, jakim dysponowaliśmy, był list od Holly wsunięty do skrzynki. Nie było w nim pogróżek. Jak powiedziała Millicent, Holly była na to zbyt sprytna.

M.,

*nie sądzisz, że powinniśmy porozmawiać? Ja tak.*

*H.*

Zamiast pójść na policję, poszedłem do Holly. Kazałem jej zostawić Millicent i moją rodzinę w spokoju.

Nie zostawiła. Gdy znowu ją zobaczyłem, była w moim domu.

To było we wtorek, mniej więcej w porze lanczu. Właśnie kończyłem lekcję w klubie i zastanawiałem się, co zjeść. Mój telefon zapikał trzy razy z rzędu, wszystkie wiadomości były od Millicent.

911

*Wracaj do domu SZYBKO*

*Holly*

Minął niespełna tydzień, odkąd złożyłem Holly wizytę.

Nie traciłem czasu na odpisywanie Millicent. Gdy dotarłem do domu, powitała mnie w drzwiach. Miała mokre oczy, łzy mogły w każdej chwili wypłynąć na policzki. Moja żona nie płacze z byle powodu.

– Co, do diabła...

Zanim zdążyłem dokończyć, złapała mnie za rękę i pociągnęła do salonu. Holly siedziała na kanapie w głębi pomieszczenia. Na mój widok wstała.

– Kiedy wróciłam, Holly już tu była – powiedziała Millicent. Jej głos drżał.

– Co? – odezwała się Holly.

– Siedziała tu, w naszym salonie.

– Nie, to nieprawda...

– Zapomniałam aparatu fotograficznego – ciągnęła Millicent. – Miałam dziś zrobić zdjęcia domu Sullivanów, więc wróciłam, a ona już na mnie czekała.

– Zaraz...

– Siedziała na naszej kanapie, jak gdyby nigdy nic. – Wreszcie popłynęły łzy, morze łez, i Millicent schowała twarz w dłoniach. Objąłem ją ramieniem.

Holly wyglądała jak normalna trzydziestoparolatka w dżinsach, koszulce i sandałach. Krótkie rude włosy zaczesła do tyłu, umalowała usta jaskrawą szminką. Wzięła głęboki oddech i uniosła obie ręce, jakby chciała mi pokazać, że są puste.

– Chwileczkę. To nie tak...

– Przestań kłamać! – krzyknęła Millicent. – Zawsze kłamiesz.

– Nie kłamię!

– Zaczekajcie – powiedziałem, robiąc krok do przodu. – Uspokójmy się.

– Tak – powiedziała Holly. – Jestem za.

– Nie, nie zamierzam się uspokoić. – Millicent wskazała okno w kącie. Zasłona była zaciągnięta, ale na podłodze leżało potłuczone szkło. – Tędy weszła do środka. Wybiła szybę, żeby dostać się do naszego domu.

– Nieprawda!

– Więc jak tu weszłaś?

– Wcale nie...

– Holly, przestań. Po prostu przestań. Nie uda ci się oszukać mojego męża tak, jak oszukałaś mamę i tatę.

Millicent miała rację.

– O Boże – powiedziała Holly. Złapała się za głowę i zamknęła oczy, jakby chciała odciąć się od świata. – Obożeobozęobozę.

Millicent zrobiła krok do tyłu.

Ja zrobiłem krok do przodu.

– Holly – powiedziałem – dobrze się czujesz?

Nie przestała. Jakby w ogóle mnie nie słyszała. Gdy uderzyła się otwartą dłonią w bok głowy, spojrzałem na Millicent. Wpatrywała się w Holly i wydawała się zbyt przerażona, by wykonać jakikolwiek ruch. Zamarła.

Podniosłem głos.

– Holly.

Gwałtownie na mnie spojrzała.

Szybko opuściła rękę.

Jej twarz wykrzywiła się, przybierając wyraz złości, niemal zdziczenia. Czułem, że patrzę na to, czego tak bardzo boi się Millicent.

– Powinnaś była zginąć w tym wypadku – powiedziała do Millicent. Zabrzmiało to jak warknięcie.

Millicent przysunęła się do mnie, zasłaniając się mną jak tarczą, i chwyciła mnie za ramię. Odwróciłem się lekko, chcąc jej powiedzieć, że powinniśmy wezwać policję, ale ona odezwała się pierwsza. Jej głos był ledwie szeptem.

– Dzięki Bogu, że dzieci tego nie widzą.

Dzieci. Ich twarze mignęły mi przed oczami. Zobaczyłem Rory'ego i Jennę w salonie zamiast nas. Poczułem ich strach na widok tej szalonej kobiety.

– Holly – powiedziałem.

Nie słyszała mnie. Nikogo nie słyszała. Miała wzrok skupiony na Millicent, która próbowała się za mną schować.

– Ty suko – powiedziała Holly.

Rzuciła się w moją stronę.

W stronę Millicent.

W tym momencie nie podjąłem decyzji. Nie rozważyłem wszystkich możliwości, nie przeanalizowałem wszystkich za i przeciw, używając logiki, by wybrać najlepszy sposób działania. Gdybym to zrobił, Holly wciąż by żyła.

Nie myślałem jednak, nie decydowałem. To, co zrobiłem, zrodziło się gdzieś znacznie głębiej. To była biologia, walka o przetrwanie. Instynkt.

Holly zagrażała mojej rodzinie, a zatem także mnie. Sięgnąłem po to, co było najbliżej. Stało tuż obok, oparte o ścianę.

Rakieta do tenisa.

# 15

Mija kilka dni, zanim ktoś w telewizji zadaje pytanie o Owena Olivera Riley'a.

Josh, mój młody, poważny Josh, przywołał nazwisko seryjnego zabójcy podczas konferencji prasowej. Odkąd znaleziono Lindsay, policja zwołuje konferencje prasowe co najmniej raz na dwa dni. Odbywają się późnym popołudniem, żeby w wieczornych wiadomościach można było przedstawić najważniejsze informacje.

Dziś najważniejsze będzie pytanie Josha.

– *Czy przyszło wam do głowy, że Owen Oliver Riley wrócił?*

Detektyw prowadzący sprawę, łysiejący facet po pięćdziesiątce, nie wydawał się zaskoczony.

Josh jest zdecydowanie za młody, by pamiętać jakiegokolwiek szczegóły sprawy Owena Olivera, ale to inteligentny, ambitny reporter, umiejący surfować w internecie z prędkością światła. Po prostu potrzebuje kogoś, kto wskaże mu punkt wyjścia.

Dlatego zasięgnąłem informacji o kilku najślawniejszych seryjnych mordercach. Niektórzy komunikowali się z prasą, czasami nawet z policją, a było to na długo przed wynalezieniem poczty elektronicznej. Biorąc jednak pod uwagę, jak łatwo namierzyć wszelką elektronikę, postanowiłem nie korzystać z mejli. Zdecydowałem się na starą szkołę.

Owen nigdy do nikogo nie pisał, więc musiałem jedynie stworzyć coś wystarczająco wiarygodnego, by wypadło prawdziwie. Po kilku próbach, przetestowaniu długich i krótkich form, tych poetyckich i tych chaotycznych, zdecydowałem się na jedną linijkę:

*Dobrze być w domu.*

*Owen*

Dotykając kartki, koperty i znaczka, miałem na dłoniach rękawiczki. Gdy koperta była już zaklejona i gotowa do wysyłki, spryskałem ją tanią wodą kolońską z drogerii. Pachniała jak piżmowy kowboj.

Zrobiłem to tylko po to, żeby namieszać w głowie Joshowi.

Potem pojechałem na drugi koniec miasta i wrzuciłem list do skrzynki. Trzy dni później Josh wspomniał na konferencji prasowej o Owenie, ale nie o liście. Może

zachował go dla siebie, a może policja poprosiła, żeby o nim nie mówił.

Na razie spokojnie czekam, co będzie dalej, bo mam do zrobienia coś innego. Wczoraj wieczorem obserwowałem mieszkanie Annabelle Parson. W końcu. Parkingową, która wpadła mi w oko, trudniej było znaleźć niż inne. W wypadku Lindsay i Petry musiałem jedynie poszukać ich nazwisk w internecie. Annabelle okazała się sprytniejsza, bez wątplenia chciała się ukryć przed tymi wszystkimi rozwścieczonymi ludźmi, którym wystawiała mandaty za brak biletu parkingowego. Żeby się dowiedzieć, gdzie mieszka, musiałem ją śledzić, gdy pewnego wieczora szła po pracy do domu. Było to trochę denerwujące.

Wczoraj wieczorem czekałem przed jej budynkiem, by sprawdzić, czy wróci do domu sama, czy może się z kimś spotyka. Koło północy dostałem esemesa od syna.

*Znowu poza domem? To cię będzie słono kosztowało.*

*Czego chcesz?*

*Raczej ile chcę.*

Tym razem nie żąda gry wideo. Domaga się gotówki.

Następnego dnia spotykam się z nim w domu po powrocie z pracy. Już siedzi na kanapie, skacząc po kanałach, esemesując i grając w grę. Millicent jeszcze nie wróciła. Jenna jest na górze.

Siadam obok niego.

Patrzy na mnie i unosi brwi.

To błąd. Powinienem był powiedzieć o wszystkim Millicent. Moglibyśmy usiąść razem z Rorym oraz Jenną i wyjaśnić im, że nie dzieje się nic złego.

„Tata po prostu lubi długie przejażdżki w środku nocy. Czasami w garniturze”.

Podaję Rory'emu gotówkę.

Jest tak zajęty liczeniem pieniędzy, że nie zwraca uwagi na lecące w telewizji wiadomości, w których podają najważniejsze informacje z konferencji prasowej. Nie ma pojęcia, dlaczego tak naprawdę jego ojciec wychodzi nocą. A wystarczyłoby, żeby podniósł głowę.

Na kolację jemy tacos z resztkami kurczaka. Są pyszne. Moja żona dobrze gotuje i codziennie uparcie szykuje kolację, ale chyba najlepiej wychodzi jej to, co przyrządza naprędce.

Nie mówię jej o tym.

Na deser są plastry brzoskwini oprószone brązowym cukrem, a do tego każde z nas dostaje po ciastku z cynamonem. Rory pierwszy przewraca oczami, ale Jenna też z tym nie zwleka. Millicent zawsze skąpi im deserów.

Każde z nas zjada deser inaczej. Jenna zlizuje brązowy cukier z brzoskwiń, potem je ciastko i wraca do owoców. Rory najpierw zjada ciastko, a potem brzoskwinie, choć trudno za tym nadążyć, bo pochłania wszystko bardzo szybko. Millicent je na zmianę owoce i ciastko, kęs tego, kęs tamtego. Ja rozgniatam brzoskwinie razem z ciastkiem i zjadam wszystko łyżką.

Jutro jest nasz wieczór filmowy i rozmawiamy o tym, co będziemy oglądać. W ubiegłym tygodniu był to film o gadającym zwierzaku. Rory na początku zawsze narzeka, ale uwielbia ten zwyczaj tak jak wszyscy. Nasze dzieci gustują w filmach o sporcie, więc tym razem wybieramy historię o drużynie młodzieżowej ligi bejsbola próbującej zakwalifikować się do mistrzostw świata. Głosowaliśmy w tej sprawie, jakby to były poważne wybory, i *Batter Up* wygrało przytłaczającą większością głosów.

– Będę w domu o wpół do szóstej – zapowiadam.

– Kolacja o szóstej – mówi Millicent.

– Możemy już iść? – pyta Rory.

– Kto to jest Owen Oliver Riley? – pyta Jenna.

Wszystko nieruchomieje.

Ja i Millicent patrzymy na Jenę.

– Gdzie usłyszałaś to nazwisko? – pyta Millicent.

– W telewizji.

– Owen to okropny człowiek, który krzywdzi innych – mówię. – Ale tobie nigdy nie zrobi krzywdy.

– Aha.

– Nie przejmuj się Owenem.

– Ale dlaczego wszyscy o nim mówią? – pyta Jenna.

– Z powodu tej martwej dziewczyny – odpowiada Rory.

– Kobiety – poprawiam go. – Martwej kobiety.

– Aha. Jej. – Jenna wzrusza ramionami i patrzy na komórkę. – No to możemy już iść?

Millicent kiwa głową i dzieci sięgają po telefony, a potem piszą wiadomości, sprząając ze stołu. Ja opłukuję talerze, Jenna pomaga je włożyć do zmywarki, Millicent pozbywa się zaś tego, co zostało z tacos.

Gdy szykujemy się do snu, Millicent włącza lokalne wiadomości. Ogląda skrót konferencji prasowej, a potem odwraca się do mnie. Nic nie mówi, lecz jej oczy pytają, czy miałem z tym coś wspólnego.

Wzruszam ramionami.

Unosi brew.

Puszczam do niej oko.

Uśmiecha się.



Czasami nie musimy nic mówić.

Nie zawsze tak między nami było. Na początku rozmawialiśmy całymi nocami jak wszystkie zakochane młode pary. Opowiadałem jej swoje historie. Nie potrafiłem przestać, bo wreszcie znalazłem kogoś, kto uznał je za fascynujące. Kto uznał, że ja jestem fascynujący.

W końcu poznała wszystkie moje historie, więc dzieliliśmy się tylko nowymi. Pisałem do niej w środku dnia, informując o najbłahszych sprawach. Ona przesyłała mi zabawne zdjęcia obrazujące, jak upływa jej dzień. Nigdy nikogo tak dobrze nie znałem, z nikim nie dzieliłem się całym swoim życiem. Trwało to aż do ślubu, a nawet dłużej; nawet gdy Millicent zaszła w ciążę.

Wciąż pamiętam pierwszą sprawę, o której jej nie powiedziałem. To znaczy pierwszą ważną sprawę. Chodziło o samochód. Mieliśmy dwa. Jej był nowszy, ja jeździłam starą zdezelowaną furgonetką, w której mieścił się cały mój sprzęt do tenisa. Gdy Millicent była w ósmym miesiącu ciąży, furgonetka się zepsuła. Potrzebowałem tysiąca dolarów na naprawę, a nie mieliśmy forsy. Wszystkie pieniądze po trochu odkładaliśmy, by móc kupić kołyskę, wózek i całą górę pieluch, których niebawem mieliśmy potrzebować.

Nie chciałem jej denerwować, nie chciałem jej martwić, więc dokonałem wyboru. Powiedziałem Millicent, że furgonetka się zepsuła, ale nie wspomniałem, ile będzie kosztowała naprawa. Aby pokryć jej koszt, wziąłem z banku nową kartę kredytową tylko na swoje nazwisko.

Spłacałem ją ponad rok i nigdy nie wspomniałem o tym Millicent. Nigdy też nie wspomniałem jej o innych zakupach, za które płaciłem tą kartą.

To było pierwsze poważne przemilczenie, ale poza tym przestaliśmy rozmawiać ze sobą o drobnostkach. Urodziło się nam dziecko, potem drugie, i dni Millicent stały się bardziej wyczerpujące niż zabawne. Przestała mi opowiadać o każdym drobiazgu, a ja przestałem dzielić się z nią wszystkimi szczegółami mojej pracy.

Przestaliśmy zadawać sobie pytania, przestaliśmy wymieniać się najbłahszymi informacjami i zamiast tego skupiliśmy się na meritum. Wciąż tak robimy.

Czasami wystarcza nam uśmiech i puszczenie oka.

# 16

Dwadzieścia cztery godziny później Owen Oliver Riley jest już wszędzie. Jego twarz króluje w lokalnych wiadomościach i na stronach internetowych. Moi klienci chcą o nim rozmawiać. Ci, którzy nie są stąd, domagają się więcej szczegółów. Ci stąd zastanawiają się, czy naprawdę wrócił. Kekona, lokalna plotkara, należy do obu tych grup jednocześnie.

Choć urodziła się na Hawajach, mieszka tu wystarczająco długo, by znać nasze legendy, mity i osławionych mieszkańców. Jej zdaniem Owen Oliver wcale nie wrócił. Nawet na sekundę.

Jesteśmy na korce i Kekona pracuje nad serwem. Znowu. Myśli, że jeśli nauczy się serwować jednego asa za drugim, dalsza część gry będzie zbędna. Teoretycznie ma rację. W rzeczywistości nikt tego nie potrafi. Chyba że przeciwnik jest pięciolatkiem.

– Owen mógł pojechać w dowolne miejsce, żeby dalej zabijać kobiety, a im się wydaje, że wrócił? – pyta.

– Jeśli mówiąc „im”, masz na myśli policję, to nie, policja nawet nie wspomniała o Owenie Oliverze. Po prostu spytał o niego jakiś reporter.

– Phi.

– Nie jestem pewny, co to znaczy.

– To znaczy, że to niedorzeczne. Owenowi już raz się upiekło. Nie ma powodu tu wracać.

Wzruszam ramionami.

– Może wrócił, bo tu był jego dom?

Kekona przewraca ciemnymi oczami.

– Życie to nie film grozy.

Nie tylko ona tak uważa. Każdy, kto nie przeżył tego za pierwszym razem, sądzi, że powrót Owena byłby niedorzeczny. Postrzegają to tak jak Kekona: jako decyzję pozbawioną sensu.

Ci, którzy tu wtedy mieszkali i przeżyli dość, żeby pamiętać tamte wydarzenia, wierzą jednak, że Owen wrócił do domu. Zwłaszcza kobiety.

Pamiętają, jak się bały, ilekroć zostawały same, w domu albo poza nim, ponieważ Owen porywał swoje ofiary w przeróżnych miejscach. Dwie zniknęły z własnych domów. Jedna była w bibliotece, inna w parku, a trzy ostatnie na parkingach. Dwie z nich zarejestrowały kamery monitoringu. Nagrania były stare i niewyraźne. Owen przypominał wielką plamę w ciemnym ubraniu i czapce bejsbolowej. Całymi dniami puszczali te filmy w wiadomościach.

Dzisiaj mam lekcję tenisa z Tristą, żoną Andy'ego, ale przechodząc przez klub, zauważam ją w barze. Ogląda wiadomości na jednym z dużych telewizorów. Podobnie jak jej mąż, ma czterdzieści parę lat, wygląda jednak młodziej. Przesadnie rozjaśnia końcówki włosów, oczy zawsze obrysowuje czarną kredką, a do tego ma mocną, niepokojąco naturalną opaleniznę. Siedzi sama i pije czerwone wino o pierwszej po południu. Butelka stoi na stoliku.

Domyślam się, że dzisiejsza lekcja jest odwołana.

Obserwuję Tristę z daleka, nie wiedząc, czy powinienem podejść. Czasami klienci mówią mi więcej, niż chciałbym usłyszeć. Jestem jak tenisowy fryzjer.

Muszę jednak przyznać, że to bywa interesujące.

Podchodzę.

– Cześć.

Trista macha do mnie i wskazuje wolne krzesło, nie odrywając oczu od ekranu telewizora. Mnóstwo razy widziałem, jak pije alkohol na imprezach i kolacjach, ale nigdy w takich okolicznościach.

W przerwie na reklamę spogląda na mnie.

– Odwołuję dzisiejszą lekcję – mówi.

– Dzięki, że dałaś mi znać.

Uśmiecha się, choć wcale nie wygląda na szczęśliwą. Uświadamiam sobie, że może być zła na Andy'ego. Może czymś podpadł, a ja nie mam ochoty się w to mieszać. Podnoszę się z krzesła, ale wtedy Trista się odzywa.

– Pamiętasz, jak wtedy było? – pyta, wskazując telewizor. – Kiedy zabijał?

– Owen?

– A niby kto?

– Oczywiście. Wszyscy stąd pamiętają. – Wzruszam ramionami i siadam z powrotem.

– Bywałeś kiedyś w The Hatch? Chodziliśmy tam całą paczką na sobotnie popijawy i wszystkie telewizory były ustawione na wiadomości. Chyba właśnie tam... – Bierze głęboki oddech. – Znałam go.

– Kogo?

– Owena Olivera. Znałam go. – Trista sięga po butelkę i napełnia kieliszek.

– Nigdy mi o tym nie wspominałaś.

Przewraca oczami.

– Raczej nie jest to coś, z czego można być dumnym. Zwłaszcza że był moim chłopakiem.

– Niemożliwe.

– Poważnie.

Opada mi szczęka. Dosłownie.

– Andy o tym wie?

– Nie. I nawet nie myśl, żeby mu powiedzieć.

Kręcę głową. Nie powiedziałbym mu za żadne skarby. Nie zamierzam być posłańcem przynoszącym takie wieści.

– Ale jak...

– Najpierw się napij. – Trista podsuwa mi butelkę z winem. – Będziesz tego potrzebował.

Miała rację. Wino złagodziło potworność tego, co mi opowiedziała.

Poznała Owena Olivera, gdy miał trzydzieści kilka lat. Była o dziesięć lat młodsza, miała dyplom z historii sztuki i pracowała w firmie windykacyjnej. Właśnie tak się poznali. Owen był pracownikiem księgowości Szpitala Świętej Maryi. Gdy ktoś nie płacił rachunków, przekazywano je firmie windykacyjnej.

– To była paskudna robota – powiedziała. Wino zniekształcało jej słowa. – Dzwoniłam do chorych ludzi i żądałam od nich pieniędzy. Taka byłam. Paskudna. Przez cały dzień czułam się jak paskudny człowiek robiący paskudne rzeczy.

Owen powiedział jej, że wcale taka nie jest. Pierwszy raz rozmawiali o jakiejś Leann, która była winna szpitalowi ponad dziesięć tysięcy dolarów. Trista dzwoniła do niej siedemnaście razy, a potem doszła do wniosku, że ma zły numer. Słuchawkę podnosił jedynie mężczyzna, który brzmiał jak dziewięćdziesięciolatek i wyraźnie cierpiał na demencję. Leann była dwudziestoosmiolatką i mieszkała sama. Trista zadzwoniła do księgowości szpitala, żeby sprawdzić numer telefonu. Nie powinna była kontaktować się bezpośrednio ze szpitalem, ale to zrobiła. Odebrał Owen.

– Oczywiście miałam właściwy numer. Owen powiedział, że Leann jest aktorką. – Trista głęboko westchnęła. – Tak się zawstydziałam, że nawet nie spytałam, skąd o tym wie.

Porozmawiali ze sobą. Jej spodobał się jego głos, jemu jej śmiech, więc postanowili się spotkać. Randkowała z Owenem przez pół roku.

– Obydwoje lubiliśmy jeść i pić, a poza tym woleliśmy oglądać rozgrywki sportowe niż uprawiać sport. Jedynym wyjątkiem był seks. Uprawialiśmy mnóstwo seksu. Dobrego, ale nie wspaniałego. Nie takiego, od którego drży ziemia. Za to... – Trista uniosła palec i pomachała nim – piekielne obłędne bułeczki z cynamonem. I to od zera. Wałkował ciasto, rozsmarowywał na nim stopione masło, a potem dodawał mieszankę cynamonu

z cukrem... – Przez chwilę milczała. Powoli wróciła do przerwanej wątku. – W każdym razie bułeczki cynamonowe były dobre. Niczego im nie brakowało. Owenowi w zasadzie też. Tylko że był księgowym zatrudnionym w szpitalu.

Trista spojrzała na stolik i uśmiechnęła się. Nie był to prawdziwy uśmiech, lecz uśmiech przepełniony wstrętem do samej siebie. Podniosła głowę i spojrzała mi prosto w oczy.

– Zerwałam z nim, ponieważ nie miałam zamiaru wyjść za trzydziestoparoletniego księgowego zatrudnionego w szpitalu. O nie, za cholere. Jeśli jestem przez to snobką, to trudno, ale niech mnie diabli, jeśli miałabym biedować przez całe życie. – Wyrzuciła ręce w górę, poddając się wszelkim obelgom, jakimi miałbym ochotę ją obrzucić.

Nie odezwałem się. Zamiast tego sięgnąłem po kieliszek, wzniesiliśmy toast i wypiliśmy.

Trista mówiła o Owenie Oliverze Rileyu przez prawie dwie godziny.

Lubił oglądać rozgrywki sportowe. Do jego ulubionych dyscyplin należał hokej, mimo że najbliższa zawodowa drużyna hokeja trenuje setki kilometrów od Oaks. Zawsze nosił dżinsy. Zawsze, chyba że był pod prysznicem, w łóżku albo w pobliżu basenu. Ale nie umiał pływać. Trista przypuszczała, że bał się wody.

Mieszkał w domu po północnej stronie miasta, w tej samej okolicy, w której mieszkaliśmy z Millicent zaraz po ślubie. Północna część miasta nie jest zła, choć jest starsza i bardziej zaniedbana niż strona południowo-wschodnia, gdzie mieści się Hidden Oaks. Owen odziedziczył dom po matce. Według Tristy budynek był „całkiem ładny, ale trochę przypominał szopę”. Nic dziwnego. Mnóstwo domów w północnej części miasta to chatki z werandami, wymyślną stolarką i małymi mansardowymi oknami. W środku większość z nich jest przestarzała i popada w ruinę. Dom Owena nie był wyjątkiem.

Grzejnik nie działał, okno w sypialni było zaklinowane, a dywan miał odrażający niebieskawozielony kolor. W łazience stała wanna na lwich łapach, którą Trista wprawdzie lubiła, ale przeciekający kran doprowadzał ją do szału. Jeśli tam nocowała, zamykała drzwi do łazienki. W przeciwnym razie kapanie słychać było nawet na końcu korytarza. Gdy jedli u Owena, korzystali z zastawy jego matki. Wzdłuż brzegów talerzy biegł żółty kwiecisty wzorek.

Po jakimś czasie Trista była zbyt pijana i zmęczona, żeby opowiadać dalej, więc poprosiłem klubowego szofera, żeby odwiózł ją do domu. Powiedziałem jej, że jeśli będzie miała ochotę znowu porozmawiać o Owenie, chętnie jej wysłucham. Mówiłem szczerze.

Dostarczyła mi dokładnie tego, czego potrzebowałem, żeby napisać drugi list do Josha.

# 17

Planowanie nie było moją mocną stroną. Nie planowałem nawet wyprawy do Azji. Zadzwoił do mnie przyjaciel i tydzień później spotkałem się z nim na lotnisku w Orlando. Nie miałem żadnego planu, gdy zdałem sobie sprawę, że nigdy nie będę wystarczająco dobry, żeby grać w tenisa zawodowo. W dniu, w którym Millicent powiedziała, że jest w ciąży, nie miałem planu dotyczącego wychowania dziecka. Tak samo było, gdy ponownie zaszła w ciążę. Tylko wspólny sekret z Millicent skłania mnie do planowania.

Moją grą jest tenis, nie szachy. Gram, trenuję tenisistów grających indywidualnie i zazwyczaj widzę tylko to: dwie strony siatki, dwie przeciwne siły, jeden cel. Nie ma w tym niczego skomplikowanego. Teraz jednak układam plan, który dotyczy wielu osób – jakbym chciał coś udowodnić.

Aktualna wersja mojego planu obejmuje troje ludzi: Owena, Josha i Annabelle. Z Millicent jest ich czworo, w zasadzie mógłbym nawet włączyć Tristę. Albo przynajmniej informacje, których mi dostarczyła.

Na początek postanawiam wysłać drugą wiadomość do Josha. Będzie zawierała nie tylko szczegóły dotyczące prawdziwego życia Owena – a konkretnie domu jego matki – lecz także datę zniknięcia kolejnej kobiety.

Wiem, to ryzykowne. Może nawet niepotrzebne. Ale pozwala osiągnąć nasz cel. Tak, to Owen. Tak, jest odpowiedzialny za śmierć Lindsay i następnej ofiary. Nie muszę się bawić w zgadywanki ani lawirować między policją i mediami, zastanawiającymi się, czy morderca naprawdę wrócił, czy raczej ma naśladowcę. Informacje, które dostałem od Tristy, udowodnią im, że to on. Nikt nie będzie w to wątpił, gdy zniknie następna kobieta.

To będzie Annabelle Parson, ale nie wymieniam jej nazwiska.

Minus tej sytuacji jest taki, że cały wydział policji będzie wiedział, że tej nocy zniknie kobieta, i zaczną jej szukać, gdy tylko ktoś zgłosi zaginięcie.

Plus jest taki, że Annabelle ma bardzo niewielu przyjaciół. Nikt nie zgłosi jej zaginięcia, chyba że Annabelle nie pojawi się w pracy. Dość łatwo zyskamy dwudniową przewagę.

Musimy jeszcze wymyślić, jak porwać Annabelle, by nikt nas nie widział – również kamery – w wieczór, w który wszyscy będą się spodziewać zaginięcia kobiety. A ponieważ policja będzie szukała Owena, nie zwróci uwagi na Millicent.

Plan jest tak prosty, że mógłby być genialny.

Analizuję go jeszcze raz, zaczynając od listu do Josha i kończąc na zniknięciu Annabelle. Po drodze zauważam ze sto dziur, luźnych wątków i potencjalnych problemów.

Właśnie dlatego nigdy nie robię planów. To wyczerpujące. I dlatego tak wszystko analizuję. Staram się dopracować plan, zanim przedstawię go Millicent. Choć jesteśmy ze sobą od lat, wciąż pragnę jej imponować.

Od dawna mi się to nie udaje. Nie było łatwo imponować Millicent nawet, gdy była młoda. Teraz to prawie niemożliwe.

Ale nasz związek nie jest jednostronny. Wiele razy ona też próbowała mi zaimponować. Chciała to zrobić, gdy przystrajała choinkę maskami tlenowymi. W piątą rocznicę ślubu włożyła tę samą bieliznę, którą miała na sobie w naszą noc poślubną. A w dziesiątą zaplanowała mały urlop.

Mieliśmy dwoje dzieci i marzyliśmy o większym domu, więc nie było nas stać na urlop ani nawet na porządną kolację. Millicent znalazła jednak sposób.

Najpierw zjawiała się na kortach. Moja żona nigdy nie przychodzi na korty. Jeśli w ogóle pojawia się w klubie, to tylko po to, żeby popływać albo zjeść z kimś lancz, więc gdy weszła na kort, pomyślałem, że stało się coś złego. Ona jednak chciała mnie po prostu porwać.

Zawiozła nas na jakieś pustkowie, zatrzymała się i wskazała las.

– Idź – rozkazała.

Poszedłem.

Kilkaset metrów od drogi była polana. Tuż obok otoczonego kamieniami miejsca na ognisko stał już rozbity namiot. Na małym stoliku piknikowym leżały plastikowe talerze, stały kubeczki i grube świece.

Millicent zabrała mnie na biwak. Nie gustuje w takich rozrywkach, ale przez jedną noc udawała, że jest inaczej.

Dokuczały nam owady, bo zapomniała wziąć spreju na komary. Świece były osłonięte, lecz co chwila gasły, a poza tym nie pomyślała o zabraniu dodatkowej wody, żeby pozmywać naczynia albo umyć zęby. Żadna z tych rzeczy nie miała jednak znaczenia. Siedzieliśmy przy ognisku, jedliśmy podgrzaną zupę, piliśmy tanie piwo i uprawialiśmy jeszcze tańszy seks. Rozmawialiśmy o przyszłości, która wyglądała zupełnie inaczej niż przeszłość, bo pojawiły się dzieci. Nie była to zła zmiana, po prostu nasze priorytety były inne.

Unikaliśmy rozmawiania o tym, czego kiedyś chcieliśmy, ale czego już nie mogliśmy mieć.

Jakiś czas po północy zasnęliśmy. Nie wytrzymałem tak długo od Wigilii Bożego Narodzenia, gdy musieliśmy powstrzymać się od spania, by wyłożyć prezenty.

Kiedy nazajutrz wyszedłem z namiotu, Millicent stała przed nim i bez słowa przyciskała dłoń do ust. Nasze obozowisko zostało splądrowane.

Wszystko było przewracane, rozrzucone, zmiecione. Jedzenie zniknęło albo leżało w rozerwanych opakowaniach, a nasze ubrania wałały się po ziemi.

– Padlinożercy – powiedziałem. – Pewnie szopy.

Nie odezwała się. Była za bardzo wkurzona, żeby się odezwać.

Zaczęła zbierać to, co zostało z naszych rzeczy.

– Zostało jeszcze trochę kawy – powiedziałem, podnosząc słoiczek z rozpuszczalną. – Moglibyśmy...

– Wątpię, żeby to były szopy.

Wpatrywałem się w nią, a ona dalej zbierała to, co zostało z zawartości plecaka.

– Więc co...

– Nasze obozowisko zniszczyli ludzie. Nie zwierzęta.

– Dlaczego tak mówisz?

Wskazała miejsce, w którym spaliśmy.

– Nie tknęli namiotu.

– Może chodziło im tylko o jedzenie. Może nie interesował ich...

– Albo może to byli ludzie.

Przestałem się spierać. Poczłapaliśmy do samochodu.

Do dziś, gdy wraca temat tamtego biwaku, Millicent opowiada o okropnych ludziach, którzy splądrowali nasze obozowisko. Ja nadal uważam, że to było jakieś zwierzę, ale się z nią nie kłócę. Millicent we wszystkim doszukuje się jakiegoś motywu.

Najbardziej zapamiętałem z tego biwaku coś innego. Najważniejsze było to, że Millicent zaplanowała tę wyprawę, żeby mi zaimponować.

Annabelle Parson nigdy nie bierze chorobowego ani nie spóźnia się do pracy, nigdy nie wzięła więcej niż dwóch dni urlopu z rzędu, a gdy ktoś zachoruje, zawsze jest gotowa go zastąpić.

To oznacza, że nie ma chłopaka. Każdy, kto go ma, od czasu do czasu spóźnia się do pracy. Poza tym pary biorą urlopy – zwłaszcza te pary, które nie mają dzieci, a Annabelle ich nie ma. Co więcej – to wisienka na torcie – Annabelle pięciokrotnie zdobyła tytuł Parkingowej Miesiąca i piszą o tym na stronie internetowej naszego hrabstwa.

Pokazuję to wszystko Millicent, która po przejrzeniu tych informacji stwierdza:

– Masz rację. Nadaje się idealnie.



- Poza tym pracuję nad następnym listem do Josha, ale ci go nie pokażę.
- Nie pokażesz?
- To ma być niespodzianka.

Uśmiecha się lekko.

- Ufam ci.

To najlepsza wiadomość, jaką słyszałem w tym tygodniu.

Zaczynam obserwować Annabelle, tak jak obserwowałem pozostałe. Z należytą starannością i tak dalej.

Znów jadę pociągiem do tej części miasta, w której Annabelle pracuje, żeby przypadkiem nie rozpoznała mojego samochodu. Gdy pracuje, nie sposób jej śledzić. Korzysta ze służbowego pojazdu terenowego i jeździ po mieście, szukając aut parkujących bez biletu albo w niedozwolonych miejscach. Zatrzymuje się i rusza bardzo nieregularnie.

Przez jakiś czas siedzę w kawiarni przy głównej ulicy. Przejeżdża tamtędy co dwadzieścia, trzydzieści minut, by sprawdzić bilety. Czekaając, piszę roboczą wersję listu od Owena Olivera. Zakładam, że ostateczna wersja będzie tak przekonująca, że zostanie upubliczniona. Josh i stacja, dla której pracuje, nie będą w stanie się temu oprzeć.

Wystarczy wzmianka na temat powrotu Owena, żeby wszyscy zaczęli się emocjonować. Lokalne stacje puszczały materiały archiwalne, tworzą retrospektywy i profile. Twarz Owena od kilku dni widnieje na pierwszej stronie gazety. Rory i jego koledzy zdążyli już zmienić imię Owena w czasownik („Zaraz zowenuję ci dupsko!”), a lokalna grupa kobiet lobbuje za tym, by uznać zamordowanie Lindsay za zbrodnię nienawiści.

Próbuję sobie wyobrazić, jak by to wszystko eskalowało, gdyby pogłoski się potwierdziły. Albo gdyby chociaż ludzie myśleli, że się potwierdziły. Tak naprawdę niczego więcej nam nie potrzeba. Tylko wiary. Jeśli uda mi się sprawić, że policja w to uwierzy, nie będą szukali nikogo oprócz Owena.

Może i Millicent wszystko zaczęła, ale ja potrafię doprowadzić to do końca. Będzie pod wielkim wrażeniem.

# 18

Gdyby nie Robin, do niczego by nie doszło. Nie szukaliśmy jej, nie wybraliśmy tak, jak potem wybraliśmy Lindsay. Robin wszystko zmieniła, pukając do naszych drzwi.

To się stało we wtorek. Właśnie wszedłem do domu. Nastąpiła pora lanczu, więc nikogo oprócz mnie nie było, a do następnej lekcji tenisa miałem dwie godziny. Od Holly minął prawie rok i życie wróciło do normalności. Jej zwłoki dawno zniknęły, rozłożyły się na mokradłach. Nie rozmawialiśmy o niej z Millicent. Już nie czekałem na policyjne syreny. Serce nie zamierało mi w piersi za każdym razem, gdy dzwonił telefon albo dzwonek do drzwi. Naciskając klamkę, nie miałem się na baczności.

Kobieta stojąca na ganku miała dwadzieścia kilka lat, była ubrana w obcisłe dżinsy i koszulkę z wyciętym ściągaczem pod szyją. Miała polakierowane na czerwono paznokcie, różową szminkę na ustach i włosy koloru pieczonych kasztanów.

Za nią na ulicy stał zaparkowany mały czerwony samochód. Był stary, prawie zabytkowy, lecz nie do końca. Kilka minut wcześniej widziałem go przed znakiem stopu niedaleko naszego domu. Zatrąbiła, ale nie miałem pojęcia, że trąbi na mnie.

– O co chodzi? – spytałem.

Przechyliła głowę, patrząc na mnie z ukosa, a potem się uśmiechnęła.

– Wiedziałam, że to pan.

– Słucham?

– Jest pan przyjacielem Holly.

Na dźwięk tego imienia podskoczyłem, jakbym wsadził palec do kontaktu.

– Holly?

– Widziałam was razem.

– Chyba mnie pani z kimś pomyliła.

Oczywiście nie pomyliła mnie. Po chwili ją rozpoznałem.

Gdy Holly wyszła ze szpitala, jeden z lekarzy pomógł jej zdobyć pracę w sklepie spożywczym. Wykładała towar na półki w niepełnym wymiarze godzin. Właśnie tam pojechałem, żeby jej powiedzieć, by trzymała się od nas z daleka, właśnie tam doszło między nami do konfrontacji, bo nachodziła moją rodzinę.

Nie chciałem, żeby sytuacja wymknęła się spod kontroli.

Pojechałem tam w poniedziałek rano, gdy w sklepie był mały ruch i uzupełniano asortyment. Holly pracowała w jednej z alejek, zapelniając półkę pudełkami batonów zbożowych, i była sama. Kiedy szedłem do niej między regałami, odwróciła się w moją stronę. Miała oszałamiające jasnozielone oczy.

Oparła dłoń na biodrze i wpatrywała się we mnie, aż stanąłem tuż obok niej.

– Słucham? – powiedziała.

– Chyba nie zostaliśmy sobie oficjalnie przedstawieni. – Wyciągnąłem rękę i zaczekałem, aż ją uściśnie. W końcu to zrobiła.

Wyraziłem ubolewanie, że poznamy się w takich okolicznościach – że być może w innym miejscu, w innym czasie bylibyśmy rodziną. Aktualnie jednak nie było to możliwe, ponieważ jej zachowanie przerażało moją żonę i moje dzieci. Dzieci nigdy nie zrobiły jej nic złego. Nie zasłużyły na to.

– Proszę cię – powiedziałem – żebyś zostawiła moją rodzinę w spokoju.

Roześmiała się.

Śmiała się, aż z jej oczu popłynęły łzy, a potem jeszcze chwilę. Im dłużej to trwało, tym bardziej czułem się upokorzony. To tylko jeszcze bardziej ją bawiło. Zacząłem rozumieć, jak czuła się przez nią Millicent, i wpadłem w złość.

– Ty suko – powiedziałem.

Przestała się śmiać. Jej oczy prawie zalsniły gniewem.

– Wynoś się stąd.

– A jeśli nie? Jeśli tu zostanę i uprzykrzę ci życie? – Mówiłem o wiele głośniejszym głosem, niż powinienem.

– Wynoś się.

– Trzymaj się z dala od mojej rodziny.

Wpatrywała się we mnie nieruchoma jak pomnik. Nie ustąpiła ani wtedy, ani potem.

Odwróciłem się, żeby wyjść, czułem się trochę bezradny. Nie umiałem przemówić Holly do rozsądku, nie potrafiłem jej przekonać.

Robin stała na końcu alejki i wszystko widziała.

Ona też pracowała w tym sklepie. Miała na sobie taką samą żółtą koszulę i zielony fartuch jak Holly. Zauważyłem ją, minąłem w drodze do wyjścia, może nawet do niej skinąłem. A może nie. Ale była tam, widziała mnie, a teraz stała na progu mojego domu.

– Nie, nie pomyliłam się – powiedziała. – To pana wtedy widziałam.

Nie zastanawiałem się ani chwili.

– Przykro mi, rozmawia pani z niewłaściwą osobą.

Zamknąłem drzwi.

Zapukała jeszcze raz.

Nie otworzyłem.

Zza drzwi dobiegł jej głos.

– Wie pan, że ona zniknęła, prawda? Nawet nie podjęła ostatniej wypłaty.

Otworzyłem drzwi.

– Niech pani posłucha, naprawdę mi przykro z powodu pani przyjaciółki, ale nie mam pojęcia...

– Rozumiem, rozumiem. Nie ten facet. To nie był pan. Ale skoro już wiem, kim pan jest, pozwolę, żeby tą sprawą zajęła się policja.

Odwróciła się i zaczęła odchodzić.

Zatrzymałem ją.

Nikt nie wiedział o zaginięciu Holly. Nikt jej nie szukał, a ja nie chciałem, żeby ktokolwiek zaczął. Nie byliśmy z Millicent ekspertami w dziedzinie medycyny sądowej, DNA ani tego rodzaju rzeczy. Każdy, kto zacząłby węszyć, z pewnością znalazłby wszystkie nasze błędy.

Spytałem, czy Robin chciałaby wejść i porozmawiać. Początkowo się wahała. Wyjęła komórkę i wchodząc do środka, trzymała ją w dłoni. Poszliśmy do kuchni. Zaproponowałem jej coś do picia. Odmówiła. Zamiast tego sięgnęła po pomarańczę leżącą na stole i zaczęła ją obierać. Nie przyznając się do niczego, nawet się nie przedstawiając, spytałem, co się stało. Zaczęła opowiadać o sklepie spożywczym, o Holly i o sobie.

Poznałem całą historię: o tym, jak zaczęła tam pracować, jak poznała Holly i jak się zaprzyjaźniły. Wstałem od stołu i poszedłem do lodówki po napój. Stojąc za drzwiami, przesłałem Millicent krótką wiadomość. Użyłem tego samego sformułowania co ona, gdy w domu była Holly.

911

*Wracaj do domu SZYBKO*

Miałem wrażenie, że minęło wiele godzin, zanim podjechał samochód. Tymczasem Robin zaczęła się głośno zastanawiać, co powinniśmy zrobić, by rozwiązać aktualny problem. Nie domagała się sprawiedliwości dla ukochanej przyjaciółki Holly. Chciała pieniędzy – i to dużo.

– Myślę, że wszyscy możemy na tym skorzystać – powiedziała. Otworzyły się drzwi i Robin gwałtownie odwróciła głowę. – Kto to?

– Moja żona – powiedziałem.

Millicent stanęła na progu, dysząc, jakby biegła. Była w służbowym stroju: spódnicy, bluzce i butach na obcasie. Miała rozchyłony żakiet, nie zwracała sobie głowy zapinaniem go. Przeniosła spojrzenie ze mnie na Robin, a potem znowu popatrzyła na mnie.

– To jest Robin – powiedziałem. – Kiedyś pracowała z kobietą o imieniu Holly.

Millicent uniosła brew, a Robin skinęła do niej głową.

– Zgadza się. I widziałam, jak pani mąż z nią rozmawia. Nazwał ją suką.

Uniesiona brew skierowała się w moją stronę.

Milczałem.

Millicent zdjęła żakiet i zarzuciła go na oparcie krzesła.

– Robin – powiedziała, wchodząc do kuchni – może opowiesz mi wszystko, co się stało?

Robin posłała mi szyderczy uśmiezek i zaczęła mówić, zaczynając od tego, że zjawiłem się w sklepie spożywczym.

Millicent szukała czegoś w kuchni. Nie widziałem, co robi. Słyszałem stukanie jej obcasów, gdy do nas szła. Robin dziwnie na nią spojrzała, ale mówiła dalej.

Zobaczyłem gofrownicę w ręce Millicent dopiero, gdy rozległ się trzask czaszki Robin. Dziewczyna z głuchym łoskotem runęła na ziemię.

Millicent zamordowała Robin tak samo, jak ja zamordowałem Holly. Bez wahania. Instynktownie.

I to było seksowne.

# 19

Komórka dzwoni, gdy wychodzę z klubu z zamiarem sprawdzenia, co porabia Annabelle. Millicent mówi, że nasza córka się rozchorowała.

– Odebrałam ją ze szkoły.

– Gorączka? – pytam.

– Nie. Co masz w planach?

– Mogę wrócić do domu.

Wszystkie myśli o Annabelle ulatują. Zawracam.

Millicent krąży po przedpokoju, rozmawiając przez telefon. Telewizor w salonie jest włączony, a Jenna siedzi na kanapie opatulona kocami i opiera głowę na stosie poduszek. Na stoliku widać szklankę piwa imbirowego, zapas sucharów i dużą miskę – na wszelki wypadek.

Siadam obok córki.

– Mama mówi, że jesteś chora.

Kiwa głową. Robi nadąsaną minę.

– Tak.

– Nie udajesz?

– Nie. – Jenna lekko się uśmiecha.

Wiem, że nie udaje. Jenna nienawidzi chorować.

W przedszkolu miała zapalenie płuc i spędziła miesiąc w domu. Nie była aż tak chora, żeby trafić do szpitala, ale wystarczająco, by dobrze to zapamiętać. Millicent też pamięta. Czasami zachowuje się, jakby Jenna znowu miała pięć lat. To lekka przesada, bo nasza córka ma już trzynaście, ale się nie spieram. Też się o nią martwię.

– Pooglądaj ze mną. – Jenna wskazuje telewizor.

Zdejmuję buty i opieram nogi na stoliku. Oglądamy teleturniej i wykrzykujemy odpowiedzi, zanim pokażą się na ekranie.

Obcasy Millicent stukają w podłogę. Przychodzi do nas i staje przed telewizorem.

Jenna wycisza dźwięk.

– Jak tam? W porządku? – pyta Millicent.

Jenna kiwa głową.

– W porządku.

Millicent spogląda na mnie.

– Ile czasu możesz pobyc w domu?

– Całe popołudnie.

– Zdzwonimy się.

Millicent podchodzi do Jenny i sprawdza temperaturę jej czoła, najpierw dłonią, potem ustami.

– Nadal nie ma gorączki. Zadzwoń, jeśli będziecie czegoś potrzebować.

Po chwili jej obcasy stukają w przedpokoju. Jenna czeka z włączeniem dźwięku w telewizorze, aż zamkną się drzwi wejściowe. Wracamy do oglądania teleturnieju. W przerwie na reklamę Jenna znowu ścisza telewizor.

– Wszystko w porządku? – pyta.

– U mnie? Przecież to nie ja jestem chory.

– Nie o to pytam.

Wiem, że nie o to.

– Nic mi nie jest. Po prostu jestem zajęty.

– Zbyt zajęty.

– No. Zbyt zajęty.

Nie zadaje więcej pytań.

Millicent dzwoni dwa razy, najpierw w czasie teleturnieju, a potem gdy leci opera mydlana dla młodzieży. Rory wraca do domu koło trzeciej i po wstępnych narzekaniach dołącza do naszego maratonu telewizyjnego.

O piątej znowu staję się ojcem.

– Pora odrobić lekcje – mówię.

– Jestem chora – odpowiada Jenna.

– Rory, lekcje.

– Przypomniałeś sobie, że chodzę do szkoły?

– Lekcje – powtarzam. – Znasz zasady.

Przewraca oczami i idzie na górę.

Powinienem był coś powiedzieć wcześniej. Nie chodzi o to, że zapomniałem. Po prostu nie pamiętam, kiedy ostatni raz byłem sam na sam z moimi dziećmi.

Millicent wraca czterdzieści pięć minut później. Prędko się z nami wita, a potem energicznie krząta się w kuchni, wkładając kolację do piekarnika, mimo że jeszcze nie zdążyła się przebrać. Po jej powrocie atmosfera w domu się zmienia. Wszystko wskakuje na nowy poziom, bo oczekiwania są wyższe.

Tym razem jemy na kolację rosół z kury. Nikt nie narzeka. Właśnie tak robimy, kiedy ktoś jest chory.

Inne zasady też ulegają lekkiemu rozluźnieniu. Jako że Jenna leży na kanapie, Millicent postanawia, że wszyscy zjemy w salonie. Siadamy przed telewizorem i stawiamy talerze na tackach. Millicent ma już na sobie dres, a Rory twierdzi, że odrobił lekcje. Oglądamy nowy sitcom, który jest beznadziejny, a potem kiepski serial o policjantach, i przez dwie godziny wszystko wydaje się normalne.

Gdy dzieci idą spać, sprzątam z Millicent w salonie. Choć cały dzień leżałem na kanapie, czuję się wyczerpany. Siadam przy stole w kuchni i przecieram oczy.

– Dużo cię dzisiaj ominęło? – pyta Millicent.

Mówi o mojej prawdziwej pracy, która i tak by mnie ominęła, bo zamierzałem obserwować Annabelle.

Wzruszam ramionami.

Staje za mną i zaczyna masować mi kark. Przyjemne uczucie.

– To ja powinienem masować ci kark – mówię. – Przecież to ty pracowałaś cały dzień.

– Opieka nad chorym dzieckiem jest bardziej stresująca.

Millicent ma rację, choć Jenna była raczej markotna niż chora.

– Wyzdrowieje – mówię.

– Oczywiście, że wyzdrowieje.

Masuje dalej. Po chwili pyta:

– Jak tam inne sprawy?

– Twoja niespodzianka jest już prawie gotowa.

– To dobrze.

– Będzie dobrze.

Millicent przestaje masować mi kark.

– To zabrzmiało jak obietnica.

– Może nią jest.

Bierze mnie za rękę i prowadzi do naszej sypialni.

Nie rozmawialiśmy o Robin. Nie rozmawialiśmy też o Holly. Obydwoje wróciliśmy do swojego życia, swojej pracy, do dzieci. Pomysł z Lindsay – trzecią – zaczął w nas kiełkować półtora roku temu. Wtedy tego nie wiedziałem, nie wyobrażałem sobie, że mógłbym wytypować, śledzić i zabić kobietę. Zdecydował pewien mały incydent, do którego doszło w centrum handlowym.

Byliśmy tam z Millicent tylko we dwoje. Kupowaliśmy prezenty bożonarodzeniowe dla dzieci. Brak pieniędzy doskwierał nam bardziej niż zwykle. Millicent miała zamknąć sprzedaż dwóch domów, ale obie transakcje zawieszono z powodu jakichś kłopotów finansowych. Do Bożego Narodzenia został tydzień, a my nie mieliśmy ani prezentów, ani gotówki. Na kartach kredytowych też niewiele zostało. Trzy razy obniżaliśmy świąteczny budżet. Nie byłem z tego powodu zadowolony. Musieliśmy kupić prezenty



nie tylko dla dzieci – trzeba było coś podarować także przyjaciołom, współpracownikom i klientom.

W centrum handlowym Millicent co chwila powtarzała „nie”. Cokolwiek wybierałem, było za drogie.

- Wyjdziemy na skąpców – powiedziałem.
- Dramatyzujesz.
- Dorastałem wśród tych ludzi.

Millicent przewróciła oczami.

- A ty znowu swoje?
- Co chcesz przez to powiedzieć?
- Nic. Nieważne.

Położyłem rękę na jej ramieniu. Miała na sobie bluzkę z długim rękawem, ale nie włożyła kurtki, bo nawet w grudniu temperatury sięgały u nas szesnastu stopni.

- Nie, słucham. Co chcesz przez to powiedzieć?
- Chcę powiedzieć, że ciągle mówisz o „tych ludziach”. O ludziach z Hidden Oaks. Obrażasz ich, ale potem chełpisz się tym, że jesteś jednym z nich.
- Wcale nie.

Nie odpowiedziała. Patrzyła na półkę ze świecznikami.

- Wcale tak nie robię – powiedziałem.
- Jak ci się podobają? – Podniosła dwa wykonane ze srebra. Albo z czegoś przypominającego srebro.

Zmarszczyłem nos.

Z hukiem odstawiła świeczniki na półkę.

Już na początku byłem podenerwowany. Potem dołączyło do tego zmęczenie. Ostatnio rozmawialiśmy wyłącznie o pieniądzach. Miałem dość słuchania, że nam ich brakuje, że nie mogę czegoś kupić, że muszę wybrać coś tańszego. Nie byłem w stanie nawet kupić dzieciom tego, co chciały dostać pod choinkę.

Millicent mówiła dalej, gładząc o budżecie i kontach w banku. Wyłączyłem się. Nie mogłem tego dłużej słuchać, nie mogłem o tym myśleć – i potrzebowałem czegoś, co odwróci moją uwagę.

Przypadkiem przeszła obok nas. Miała włosy koloru pieczonych kasztanów.

- Halo? – Millicent pstryknęła palcami tuż przed moim nosem.
- Jestem.
- Na pewno? Bo...

– Była trochę podobna do Robin – powiedziałem. – Do przyjaciółki Holly.

Millicent odwróciła się i patrzyła, jak kobieta znika w tłumie. Gdy znów na mnie spojrzała, miała uniesioną brew.

– Naprawdę tak myślisz?

– Tak.

– Dziwne.

To rzeczywiście było dziwne. Tak jak uczucie, które mnie ogarniało, gdy wracałem myślami do zamordowania Robin. Ilekroć to robiłem, myślałem, jak fantastyczny był tamten dzień, gdy się zjednoczyliśmy i zrobiliśmy to, co trzeba było zrobić, by chronić siebie nawzajem. By chronić naszą rodzinę. To było wspaniałe.

I takie seksowne.

Powiedziałem o tym żonie.

## 20

Annabelle zawsze pracuje w tych samych godzinach. Od poniedziałku do piątku, od ósmej do piątej wlepia mandaty za parkowanie bez biletu, wzywa lawety i wysłuchuje pretensji ludzi, mimo że tylko wykonuje swoje obowiązki. Ludzie ją przeklinają, wyzywają, kierują do niej niegrzeczne gesty. Annabelle zachowuje spokój, ale zastanawiam się, jak jej się to udaje. Naprawdę się nie przejmuje czy wspomaga się jakimiś substancjami? Zastanawiam się, jaki jest odsetek uzależnionych wśród parkingowych.

Jej wieczory nie są łatwe. To samotna kobieta, która lubi wychodzić, lecz nie za często, a ponieważ jest parkingową, niewiele zarabia. W środy je kolację z rodzicami, ale poza tym nie ma ustalonego planu. Gdybym miał wybrać dzień, w którym wychodzi najczęściej, byłby to piątek.

Za dwa tygodnie wypada piątek trzynastego. Trudno o bardziej nedorzecznie doskonałą okazję. Annabelle zniknie w piątek trzynastego.

W końcu mogę sklecić drugi list Owena do Josha. Podobnie jak pierwszy, jest napisany na komputerze, ale znacznie dłuższy.

*Drogi Joshu,*

*chyba nie wierzysz, że to ja. Albo może wierzysz, ale policja nie. Nie jestem naśladowcą ani uzurpatorem. To ja, ten sam Owen Oliver Riley, który mieszkał przy Cedar Crest Drive 4233 w małym, starym domu z paskudnym dywanem. Nawiasem mówiąc, to nie ja go wybrałem. Był kiepskim nabytkiem mojej matki.*

*Mam wrażenie, że nie darzysz mnie zaufaniem. To zupełnie zrozumiałe, bo przecież nikt mnie nie widział ani ze mną nie rozmawiał. Oczywiście z wyjątkiem Lindsay. Ona napatrzyła się na mnie do woli. I często ze sobą rozmawialiśmy w ciągu tego roku, kiedy była moja.*

*Teraz jednak jestem sam, a ty mi nie wierzysz. Dlatego coś ci obiecuję. Za dwa tygodnie zniknie kolejna kobieta. Podam ci nawet dokładną datę: piątek trzynastego. Tandetne, prawda? O tak, tandetne. I zarazem łatwe do zapamiętania.*

*Może jeszcze mi nie ufasz, Josh, ale przekonasz się, że zawsze dotrzymuję słowa.*

*Owen*

List dotrze do Josha we wtorek. Znowu spryskuję kopertę piżmowym zapachem kowboja. Przesyłkę najpierw obejrzy policja. Kto wie, ile odbędą dyskusji, zanim postanowią go upublicznić. Albo przynajmniej ten fragment o piątku trzynastego.

Tymczasem wracam do prawdziwego życia. W ostatnich tygodniach odwołałem zbyt wiele lekcji. Teraz mam wypełnione całe dni, codziennie, a oprócz tego muszę załatwiać mnóstwo drobnych spraw. Zawozić dzieci, przywozić je, jeździć do sklepu po to, czego akurat zabrakło. Zanurzenie się w takich drobnostkach sprawia, że moje życie wydaje się normalne. Nerwowe drżenie, które nieustannie czuję, prawie ustaje. Mogłoby ustać zupełnie, gdyby Millicent ciągle mi się nie przyglądała i nie zadawała zbyt wielu pytań za pomocą wymownych spojrzeń.

Wszystkie odpowiedzi otrzymuje w czwartek wieczorem.

Obydwoje jesteśmy w country clubie na przyjęciu z okazji przejścia na emeryturę któregoś z członków zarządu. Klubowe wieczorki są tak ostentacyjne, że wręcz wulgarne. Drogie jedzenie, ciężkie wino i wszyscy gratulują sobie nawzajem sukcesów.

Chodzimy na nie z obowiązku – nawiązywanie kontaktów to część naszej pracy. Stosujemy pewien system. Przez chwilę jesteśmy razem, a potem się rozdzielamy. Ja idę w lewo, ona w prawo, okrążamy salę i ponownie spotykamy się na środku. Zamieniamy się stronami, znowu się rozdzielamy i za drugim razem spotykamy się przy wyjściu.

Millicent ma na sobie jasnożółtą sukienkę. Z rudymi włosami wygląda jak płomień. Z drugiego końca sali raz po raz dostrzegam, jak porusza się w tłumie. Ta żółta sukienka nigdy nie znika mi z oczu. Widzę, jak Millicent się śmieje, jak okazuje zatroskanie albo zachwyty. Gdy porusza ustami, próbuję zgadnąć, co mówi. Trzyma kieliszek szampana, ale z niego nie pije. Nikt tego nigdy nie zauważył.

Dziś wieczorem jej oczy mają bardzo jasny odcień. Od dawna go nie widziałem. Przypomina młodzieńki listek w słońcu. Jej wzrok przesuwają się w moją stronę. Millicent wie, że ją obserwuję.

Puszcza do mnie oko.

Oddycham z ulgą i też biorę się do nawiązywania kontaktów.

Andy i Trista również tu są, obydwójce trzymają pełne kieliszki wina. Andy klepie się po brzuchu i mówi, że naprawdę powinien zacząć trenować albo coś, a przecież trenuje. Trista mówi niewiele, ale trochę za długo mi się przygląda. Pewnie przypomina sobie naszą rozmowę o Owenie – lub przynajmniej jej część.

Na przyjęciu jest też Kekona. Przyszła z jakimś młodym mężczyzną, swoim najnowszym chłopakiem, lecz nie zadaje sobie trudu, żeby go przedstawić. Zamiast tego rozmawia o innych – o tym, kto wygląda dobrze, a kto nie, kto się za siebie wziął, a kto powinien to zrobić. Jako jedna z najbogatszych członkiń klubu może mówić, co jej się podoba – ludzie i tak będą ją akceptowali.

Beth, kelnerka zatrudniona w klubie, podchodzi do mnie z tacą zastawioną drinkami i proponuje coś do picia. Akcent z Alabamy wyróżnia ją z tłumu i sprawia, że Beth zawsze brzmi wesoło.

Kręcę głową.

– Nie dzisiaj.

– Okej – mówi.

Podchodzę do jednej z nowszych par, do Rhinehartów. Lizzie i Max właśnie wprowadzili się do Hidden Oaks. Moja żona sprzedała im dom, a ja już ich poznałem. Max gra w golfa, ale Lizzie oznajmia, że kiedyś grała w tenisa. Myśli, że powinna do tego wrócić. Ten temat nudzi jej męża, który zaczyna mówić o marketingu, czyli o swojej branży. Max uważa, że może zrobić wspaniałe rzeczy dla country klubu Hidden Oaks, choć oficjalnie nikt go jeszcze nie zatrudnił.

Przechodzę dalej, prosząc Lizzie, żeby zadzwoniła, jeśli będzie chciała znowu grać w tenisa. Obiecuje, że to zrobi.

Spotykamy się z Millicent w pół drogi. Jej kieliszek wciąż jest pełny szampana. Wylewa połowę do doniczki.

– Wszystko w porządku? – pyta.

– Tak.

– Jeszcze jedna rundka?

– Zgoda.

Znowu się rozdzielamy i przechodzę drugą stroną sali, witając się ze wszystkimi, których jeszcze nie widziałem. Czuję się, jakbym chodził w kółko – bo przecież chodzę.

Podają tę informację przed wiadomościami o jedenastej. Nie wiem, kto pierwszy ją zauważył albo o niej wspomina, ale widzę, że ludzie wyjmują telefony. Zbyt wielu ludzi, wszyscy naraz.

Jakaś kobieta obok mnie szepcze:

– To on.

I wtedy już wiem.

Ktoś włącza telewizory w barze. Otacza nas Josh, który właśnie przeżywa swój moment chwały. Tym razem nie wygląda aż tak młodo; być może to zasługa okularów. Kupił sobie nowe.

– *Dostałem ten list na początku tygodnia. Po omówieniu sprawy z policją i właścicielem kanału postanowiliśmy, że w interesie bezpieczeństwa publicznego nie mamy innego wyjścia, jak tylko ogłosić to na antenie.*

Na ekranie pojawia się list. Wszyscy wodzimy wzrokiem po napisanych na komputerze słowach, gdy Josh czyta je na głos. Kiedy dociera do fragmentu o tym, że

w piątek trzynastego zniknie kobieta, uczestnicy przyjęcia wydają z siebie kolektywny zduszony okrzyk.

Rozglądam się i odnajduję żółtą sukienkę.

Millicent patrzy na mnie, uśmiecha się lekko i unosi brew, jakby zadawała mi jakieś pytanie.

Puszczam do niej oko.

– Genialne – mówi. – Jesteś geniuszem.

Leży naga na łóżku, a żółta sukienka wisi zarzucona na krzesło.

– Myślisz, że teraz wszyscy już wierzą? – Wiem, że wierzą. Chcę, żeby to powiedziała.

– Oczywiście, że tak. Wszyscy wierzą.

Stoję przy nogach łóżka, także nagi. Uśmiecham się i czuję, jakbym zdobył sztandar.

Millicent podnosi ręce i chwytą za wezglowie.

Padam obok niej.

– Wszyscy będą szukali Owena.

– Tak.

– Nie będą zwracali uwagi na nic innego.

Millicent dotyka mojego nosa.

– Dzięki tobie.

– Daj spokój.

– To prawda.

Kręcę głową.

– Musimy przestać się chełpić.

– Jutro.

Przez następnych kilka dni jest wspaniale. Millicent uśmiecha się do mnie w taki sposób, że rośnie mi serce. Nawet chodzę bardziej wyprostowany.

Ona też to czuje. Nazajutrz po przyjęciu przesyła mi wiadomość, podpisując się „Centówka”. To jedyne przezwisko, jakie kiedykolwiek dla niej wymyśliłem. Nie używałem go od lat.

Wpadłem na nie, gdy byliśmy na randce, zanim oficjalnie zostaliśmy parą, ale już po tym, jak się ze sobą przespaliśmy. Żadne z nas nie miało dużo pieniędzy, więc nasze randki były proste. Chodziliśmy na długie spacery i na tanie popołudniowe seanse, korzystaliśmy z happy hours w barach. Czasami zdobywaliśmy się na większą kreatywność. Tego wieczora jechaliśmy trzydzieści kilometrów, żeby zjeść tanią pizzę i pograć w gry wideo w staromodnym salonie gier. Pokonałem ją w grach sportowych, ale ona skopała mi tyłek we wszystkich strzelankach.

Po drugiej stronie ulicy był mały park z fontanną. Millicent wyjęła jednocentówkę, pomyślała życzenie i wrzuciła ją. Patrzyliśmy, jak moneta idzie na dno i osiada na wielu

innych. Woda była tak czysta, że widziałem słowa wypisane na monecie.

*One Cent.*

– Właśnie tak powinienem cię nazwać – powiedziałem. – Centówka.

– Centówka?

– Millicent.

– Boże.

– W dodatku masz rude włosy – powiedziałem.

– Centówka? Mówisz poważnie.

Uśmiechnąłem się.

– Centówka.

Pokręciła głową.

Byłem zakochany po uszy i bez wątpliwości, ale nie wypowiedziałem tych słów na głos. Zamiast tego nazwałem ją Centówką. W końcu powiedzieliśmy właściwe słowa i przestałem ją tak nazywać. Teraz to wskrzesiła, a ja nie chcę, żeby znów popadło w zapomnienie.

# 21

W poniedziałek dziewiątego Annabelle jest w pracy. Mamy piękny dzień – mnóstwo słońca, ale nie za gorąco. Wręcz rześko. Annabelle zaparkowała przy jednej przecznicy i idzie ulicą, oglądając tablice rejestracyjne i sprawdzając bilety. Krótkie włosy wystają jej spod czapki, którą nosi, by osłonić oczy. W prawym uchu ma słuchawkę, biały kabelek spływa na jej pierś, zanurza się w koszuli i wpada do prawej przedniej kieszeni spodni. Jej granatowy uniform jest zdecydowanie uniseksowy.

Obserwuję ją z pewnej odległości i czekam. Gdy dociera do zielonego samochodu, zaczyna wciskać klawisze trzymanego w ręce skanera.

Biegnę chodnikiem i zatrzymuję się kilka kroków od niej. Podnoszę dłonie, jakbym chciał jej powiedzieć, żeby zaczekała.

Annabelle patrzy na mnie jak na wariata.

Wyjmuję komórkę, piszę i podaję jej.

*Przepraszam, nie chciałem cię wystraszyć! Mam na imię Tobias. Jestem głuchy.*

Czyta. Odpręża się, kiwa głową.

Wskazuję samochód, a potem siebie.

Ona wskazuje przeterminowany bilet.

Składam dłonie pod brodą w błagalnym geście. Albo jakbym się modlił.

Śmieje się. Ma ładny śmiech.

Uśmiecham się, pokazując jej swoje dołeczki.

Annabelle grozi mi palcem.

Podaję jej telefon.

*Obiecuję, że to się nie powtórzy...*

Wzdycha.

Wygrałem. Zielony samochód nie dostaje mandatu.

Nawet nie jest mój.

Nawet nie jestem pewny, dlaczego nawiązałem kontakt z Annabelle. Tym razem nie musiałem. Nie muszę nic więcej wiedzieć o jej życiu – gdzie mieszka ani czy ktoś na nią



czeka. Już zdobyłem wszystkie odpowiedzi, a mimo to do niej podbiegłem. To wszystko jest elementem mojego procesu dokonywania wyboru.

W środę znowu ją zobaczę. Jeszcze o tym nie wie.

Zdjęcie Owena jest wszędzie. Eksperti od informatyki postarzyli go, teoretyzując na temat tego, jak mógłby teraz wyglądać. Zastanawiają się, jak mógł zmienić swój wygląd. Jestem bombardowany zdjęciami: są we wszystkich wiadomościach, w gazetach, w internecie. Na ulotkach przyklejonych do słupów telefonicznych. Owen z brodą, wąsami, ciemnymi włosami, łysy, gruby i chudy. Owen z długimi i krótkimi włosami, w okularach przeciwsłonecznych i w szklach kontaktowych, z baczkami i kocią bródką. Owen wyglądający jak każdy i jak nikt.

To moja zasługa.

Nie, właściwie to zasługa Millicent. Ona to zapoczątkowała. Ale moja też.

Niewiele osiągnąłem – z pewnością nie osiągnąłem niczego niezwykłego – ale to przede mną wszyscy szukają Owena Olivera Riley.

Zawsze chciałem być trochę wyżej niż tylko nieco ponad przeciętną.

Na początku był tenis. Ojciec grał, matka udawała, że gra, a ja w wieku siedmiu lat pierwszy raz odbiłem piłkę. Wcześniej nie interesowałem się żadnym sportem, więc zatrudnili trenera, kupili mi pierwszą rakietę i wysłali w drogę. Po kilku latach byłem najlepszym młodym graczem w klubie. Mimo to nie zwracali na mnie uwagi – nie tak, jak bym chciał – ale to jeszcze bardziej mnie mobilizowało. Nie miałem pojęcia, ile noszę w sobie złości, dopóki nie odbiłem tej żółtej piłki.

Wtedy nie byłem przeciętnikiem, nie byłem rozczarowaniem dla nikogo oprócz moich rodziców. Grałem lepiej niż inni – do czasu. Potem już nie wiedziałem, jak z powrotem stać się kimś zwyczajnym, więc wyjechałem za granicę, byle dalej od rodziców, w poszukiwaniu miejsca, w którym mógłbym być lepszy niż przeciętniak, lepszy niż ktoś rozczarowujący. Z Millicent taki jestem.

To okropne, ale po śmierci rodziców moje życie znacznie się poprawiło.

I poprawiło się jeszcze bardziej, gdy zjawiała się w nim Millicent. Dzięki niej czuję się lepszy od pozostałych. Mój list zrobił na niej wielkie wrażenie. Mówi o nim w łóżku.

– Szkoda, że nie mogę go wyciąć i przykleić do lodówki.

Śmieję się i masuję jej nogę. Przerzuciła ją leniwie przez moją.

– Dzieci mogłyby uznać, że to dziwne.

– Nawet by nie zauważyły.

Ma rację. Nasza lodówka to miszmasz zdjęć poprzyklejanych jedno na drugie i tworzących coś w rodzaju rodzinnego albumu. Szczegóły są tak stłoczone, że żaden się nie wyróżnia.

– Masz rację – mówię. – Nie zauważyłyby.

Millicent przewraca się na bok i przysuwa twarz do mojej.

– Mam pewien sekret – szepcze.

Na chwilę zamiera mi serce, i to w nieprzyjemny sposób.

– Co? – pytam. Bynajmniej nie szeptem.

– Obserwowałam ją.

– Ją?

– Annabelle. – Wypowiada to imię, bezgłośnie poruszając ustami. Trochę się odprężam. Ostatnim razem też tak robiliśmy: obserwowaliśmy Lindsay, a potem zdawaliśmy sobie nawzajem relację.

– No i? – pytam.

– Będzie wspaniale wyglądała w telewizji.

Światło jest wyłączone, ale nie panuje tu zupełna ciemność. Nasza sypialnia znajduje się na piętrze, a jej okno wychodzi na ulicę. Światło latarni rozjaśnia krawężnie zasłon. Wpatrywałem się w nie wiele razy, odkąd wprowadziliśmy się do tego domu. Prostokąt złocistego światła wydaje się zupełnie nierzeczywisty.

– Centówko – mówię.

Śmieje się.

– Co?

– Kocham cię.

– A ja ciebie.

Zamykam oczy.

Czasami mówię to ja, innym razem ona. To mi się podoba, bo zapewnia poczucie równości. Ale tak w ogóle pierwsza zrobiła to Millicent. To ona pierwsza powiedziała, że mnie kocha.

Nastąpiło to po trzech miesiącach. Od chwili, w której poznaliśmy się w samolocie, do chwili, w której wyznała mi miłość, upłynęły trzy miesiące. Kochałem ją od co najmniej dwóch i pół z tych trzech miesięcy, ale jej tego nie wyznałem. Dopiero gdy ona to zrobiła. Siedzieliśmy wtedy na drzewie. Młodzi i spłukani, szukaliśmy jakiejś rozrywki, więc wspięliśmy się na drzewo.

Jak można się domyślić, w Woodview rosną drzewa. Mamy park pełen olbrzymich dębów, doskonale nadających się do wspinaczki. Ale tego dnia siedzieliśmy na klonie. Powinienem był wiedzieć, że gdy Millicent mówi, że ma ochotę wspiąć się na drzewo, wybierze takie, które wymaga wtargnięcia na cudzy teren.

Drzewo rosnęło na prywatnej posesji przed domem zbudowanym kilkaset lat temu. Między drogą a drzwiami wejściowymi rozciągał się tylko płaski zielony trawnik, a na nim rósł ten ogromny klon.

Był środek sierpnia, apogeum letnich upałów, i gapiliśmy się na to drzewo, siedząc w moim klimatyzowanym samochodzie. Zaparkowaliśmy kawałek dalej, w miejscu, z którego roztaczał się dobry widok na całą okolicę, i zaczekaliśmy, aż w domu zgasną wszystkie światła. Zostało tylko jedno, na górze po prawej. Millicent ścisnęła moją rękę, jakby stała nad krawędzią przepaści.

– Naprawdę chcesz się na nie wspiąć? – spytałem.

Odwróciła się do mnie, błyszczały jej oczy.

– A ty nie?

– Nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

– A teraz?

– Teraz mam wielką ochotę wspiąć się na to przeklęte drzewo.

Uśmiechnęła się. Też się uśmiechnąłem. Światło w oknie w końcu zgasło.

Obróciłem kluczyk, wyłączając klimatyzację. W samochodzie natychmiast zrobiło się cieplej. Millicent wyszła pierwsza. Zamykając drzwi, trzymała klamkę, by zrobić to jak najciszej. Wyszedłem i postąpiłem tak samo.

Wpatrywałem się w klon, który nagle wydał się zbyt odsłonięty, zbyt widoczny, i zastanawiałem się, czy karą za wtargnięcie na czyjś teren nie jest przypadkiem więzienie.

Millicent ruszyła biegiem. Przebiegła ulicę, trawnik, a potem zniknęła za pniem drzewa. Jeśli towarzyszył temu jakiś dźwięk, ja go nie słyszałem.

Pobiegłem tą samą drogą. Moje stopy wydawały się ciężkie, głośnie, jakby każdy krok dudnił w całej okolicy. Biegłem, aż dotarłem do Millicent. Gdy stanąłem pod drzewem, przyciągnęła mnie do siebie i pocałowała. Mocno. Gdy skończyła, musiałem zaczerpnąć tchu.

– Gotowy na wspinaczkę? – spytała.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, podciągnęła się, chwytając za olbrzymi sęk. Następnie złapała za najniższą gałąź i wspięła się wyżej. Patrzyłem na nią i czekałem, aż w domu zapali się światło. Albo aż Millicent spadnie, żebym mógł ją złapać. Żadna z tych rzeczy nie nastąpiła.

– Chodź – szepnęła.

Siedziała wysoko na gałęzi i patrzyła na mnie. W świetle księżycy widziałem tylko zarys jej sylwetki. Widziałem długie włosy kołyszące się na lekkim wietrze i stopy dyndające po obu stronach gałęzi. Cała reszta wyglądała jak cień.

Wspiąłem się na górę, co okazało się znacznie trudniejsze, niż przypuszczałem. Moje stękanie i dyszenie znów wydawało się tak głośnie, jakby miało obudzić wszystkich w promieniu piętnastu kilometrów. Mimo to rodzina w domu obok nadal spała. W oknach wciąż było ciemno.

Zanim dotarłem do Millicent, zdążyłem się spocić. Było tak gorąco. Wśród liści powietrze wydawało się gęstsze. Pachniało potem, mchem i korą.

Millicent chwyciła mnie za koszulkę, przyciągnęła do siebie i zmiążdżyła moje usta swoimi. Przysięgam, że smakowała jak syrop klonowy. Wtuliła twarz w moją szyję, jakby próbowała się w nią wryć. Czułem na skórze jej gorący oddech.

– Hej – powiedziałem.

Podniosła głowę i spojrzała na mnie. Wilgotne pasemko włosów przykleiło jej się do skroni.

– Kocham cię – powiedziała.

– Ja ciebie też.

– Naprawdę? Poważnie?

– Oczywiście.

Przyłożyła dłoń do mojego policzka.

– Przysięgnij.

– Przysięgam.

## 22

Automaty do kawy to jeden z najwygodniejszych wynalazków wszech czasów. Żadnych baristów, żadnego pełnotłustego mleka zamiast dwuprocentowego, żadnego pomijania dodatkowej porcji syropu smakowego. Wszystko, co muszę zrobić, to dokonać wyboru – określić rodzaj kawy, mleka, aromatu, a nawet temperaturę – i wcisnąć zielony przycisk. Dostaję swoją kawę. W dodatku jest tania.

Słabą stroną tego wynalazku jest to, że owe wymyślne, choć zarazem proste maszyny są dostępne wyłącznie na stacjach benzynowych. W prawdziwych kawiarniach nie ma samoobsługowych automatów.

Mój ulubiony automat stoi w sklepie EZ-Go przy stacji benzynowej oddalonej od Oaks o trzy kilometry. Jeżdżę tam nawet, jeśli nie mam czasu. Przy kasie stoi miła młoda dziewczyna o imieniu Jessica. Należy do tych osób, które zawsze się uśmiechają i dla każdego mają dobre słowo. Może po trosze właśnie dla niej pokonuję te trzy kilometry do EZ-Go. To element mojej codziennej rutyny. A każdy ma jakąś rutynę.

Zwłaszcza Annabelle.

Co tydzień w środę wieczorem je z rodzicami kolację w tej samej włoskiej restauracji. Domyślam się, że zamawiają te same potrawy, te same napoje, może nawet te same desery. Kolacja zaczyna się o wpół do siódmej i kończy późnym wieczorem. Annabelle idzie na nią pieszo, a dotarcie z restauracji do mieszkania zajmuje jej jedenaście minut, chyba że zajdzie po drodze do sklepu, odbierze telefon albo spotka kogoś znajomego. Na przykład mnie.

Wpadam na nią, gdy wpatruje się w komórkę.

Zaskoczona podnosi głowę. Po chwili mnie rozpoznaje.

– O, cześć – mówi.

Ma mocniejszy makijaż niż w ciągu dnia. Użyła dość ciemnej szminki, obrysowała oczy kredką. Jej krótko przycięte włosy sprawiają, że twarz wygląda jeszcze atrakcyjniej.

Wyjmuję telefon.

*Czy to nie najmiłsza parkingowa w mieście?*

Przewraca oczami.

– Wszystko u ciebie dobrze?  
Kiwam głową i pokazuję na nią.  
Unosi oba kciuki.

*Co tu robisz sama o tej porze? Nie wiesz, że w okolicy grasuje seryjny morderca?*

Uśmiecha się, czytając te słowa.  
– Właśnie idę do domu.

*Miałabyś ochotę skoczyć przedtem na drinka?*

Waha się.  
Wskazuję pobliski bar.

Patrzy na zegarek. Gdy się zgadza, jestem zaskoczony. Powinna odmówić, zwłaszcza po tej aferze z Owenem Oliverem, ale Annabelle jest jeszcze bardziej samotna, niż przypuszczałem.

Barman Eric macha do mnie na powitanie. Byłem tu kilka razy, zawsze sam, zawsze czekałem, aż Annabelle przejdzie obok tego baru, wracając z kolacji z rodzicami. Eric zna mnie jako Tobiasa. Nauczyłem go całego języka migowego, jaki znam. Potrafi przeliterować moje imię i nazwę ulubionego drinka: dżinu z tonikiem.

Annabelle zamawia to samo.

– Z dużą ilością toniku – zaznacza.

Nie ufa mi i wcale jej się nie dziwię. Jestem tylko facetem, który ją ubłagał, żeby nie wystawiła mandatu. Prawdopodobnie bardzo miłym, niegroźnym głuchym gościem.

– Znasz go? – Annabelle zwraca się do Erica, wskazując mnie.

– Jasne. Tobias mało pije i daje duże napiwki. Ale niewiele mówi. – Puszczą do niej oko, dając znać, że żartuje.

Annabelle się śmieje. To przyjemny dźwięk. Zaczynam wyobrażać sobie nas w łóżku. Zastanawiam się, ile minie czasu, zanim zaprosi mnie do siebie. Już wiem, że to robi, i wiem, że mieszka niedaleko. Właśnie to lubię – poczucie władzy towarzyszące tak wielkiej wiedzy i decydowaniu, co będzie dalej.

– Jesteście w znowie – mówi Annabelle, wskazując Erica i mnie. Stara się trzymać twarz zwróconą w moją stronę. Nie zapomina, że jestem głuchy.

Gdy zaczynamy pić drinki, Eric wycofuje się w stronę drugiego końca baru. Zostajemy z Annabelle tylko we dwoje. Opowiada mi o sprawach, o których wiem, i o paru nowych. Na przykład o tym, że jadła dziś na kolację linguine z grzybami. Już wiem, co jada w środowe wieczory.

Wstawiam jej bajeczkę o Tobiasie. Jestem księgowym, rozwodnikiem, nie mam dzieci. Bardzo kochałem żonę, ale poznaliśmy się w liceum i za szybko wzięliśmy ślub. Zdarza

się.

Annabelle umie słuchać. Potakuje we właściwych momentach.

*A ty? Masz chłopaka?*

Kręci głową.

– Od jakiegoś czasu nie.

Wiem, że to już niedługo. Przewiduję, że zaprosi mnie do siebie po drinku numer dwa, przed drinkiem numer trzy.

*Dlaczego?*

Nie pytam jedynie po to, żeby podtrzymać rozmowę. Naprawdę jestem ciekawy.

Annabelle wzrusza ramionami.

– Bo nie poznałam nikogo odpowiedniego?

Kręcę głową.

*Zbyt oklepane.*

Przez chwilę milczy. Zakładam, że zaraz mi powie, że jej ostatni chłopak był dupkiem. Że ją zdradzał. Że ciągle wychodził z kumplami. Że był samolubnym kutasem.

– Mój ostatni chłopak został zamordowany – mówi.

Jestem w takim szoku, że o mało nie mówię czegoś na głos.

*To okropne. Jak to się stało?*

– Pijany kierowca.

Przypominam sobie mgliście, że Annabelle zamieściła w internecie post o zbiórce pieniędzy na akcję przeciwko jeżdżeniu po pijaku. Nie przypuszczałem, że robi to z osobistych pobudek.

Proszę, żeby opowiedziała mi o nim więcej. Miał na imię Ben, poznała go w pracy. Był gliniarzem. Wieczorami chodził na zajęcia z prawa karnego i chciał zostać detektywem, a potem sierżantem.

Już nie trzyma jego zdjęcia w telefonie, bo uznała, że wpatrywanie się w nie jest niezdrowe.

To wyznanie jest tak smutne, że muszę odwrócić wzrok.

– Hej – mówi Annabelle. Klepie mnie po ramieniu, żebym na nią spojrział. – Przepraszam. To zbyt ciężki temat.

*Nie, nie szkodzi. Sam spytałem.*

– Nudzi mnie opowiadanie o sobie. A ty? Masz dziewczynę?

Kręcę głową.

– Twoja kolej. Dlaczego nie?

*Trudno było wrócić do randkowania. Byłem żonaty przez dziesięć lat. A jeśli jest się głuchym... to chyba jeszcze trudniejsze.*

– Wiesz, każda kobieta, która nie chce się z tobą umówić tylko dlatego, że jesteś głuchy, nie jest tego warta.

Uśmiecham się. To oklepany tekst, ale w jej ustach brzmi szczerze. Zastanawiam się, jak by zareagowała, gdybym powiedział jej prawdę.

I wtedy podejmuję decyzję. Nie prześpię się z nią.

Zmieniam temat i przestajemy rozmawiać o sobie. Gadamy o muzyce, filmach, aktualnych wydarzeniach. O niczym osobistym, po prostu prowadzimy niezobowiązującą rozmowę, która nie wywołuje bólu. Gdy przestaję z nią flirtować, ona też przestaje. Atmosfera między nami się zmienia.

Eric wraca i pyta, czy mamy ochotę na następnego drinka. Żadne z nas nie zamawia.

Annabelle nie chce, żebym odprowadził ją do domu. To zrozumiałe, ale nalegam, by Eric wezwał dla niej taksówkę. Annabelle się zgadza i jestem pewny, że to przez Owena Olivera. Zanim wyjdzie, proszę ją o numer telefonu. Podaje mi go, a ja podaję jej numer swojej komórki na kartę.

Annabelle dziękuje za drinka, ściskając mi dłoń. To oficjalny i zarazem ujmujący gest. Patrzę, jak wychodzi z baru.

Nie napiszę do niej. Tego jestem pewny.

Poza tym jestem pewny, że Annabelle się nie nadaje. To nie ona zaginie w piątkowy wieczór.

To przez jej chłopaka. Gdy tylko opowiedziała mi swoją historię, wiedziałem, że to nie będzie ona.

Może dlatego, że byłby to nadmiar tragedii w jednym krótkim życiu. Stracić ukochanego w okropnym wypadku, a potem paść ofiarą morderstwa.

Nie ma w tym żadnej sprawiedliwości. Wybraliśmy ją, wzorując się trochę na Owenie, ale zrobiliśmy to w arbitralny sposób. Po prostu tak się złożyło, że tego dnia zobaczyłem Annabelle. To mógł być ktokolwiek inny.

Teraz znów jestem obok hotelu Lancaster i patrzę na Naomi. Wciąż jest trochę za wysoka, by pasować do profilu ofiary Owena. Wiem o niej tylko tyle, ile się dowiedziałem z komputera i z obserwacji przez szklane drzwi hotelu. Nigdy z nią nie rozmawiałem, nigdy nie słyszałem jej głosu.

Ale chcę go usłyszeć. Chcę się przekonać, jak się śmieje, jak się zachowuje po paru drinkach. Chcę się dowiedzieć, czy naprawdę ma słabość do starszych facetów, czy po prostu potrzebuje forsy. Chcę się przekonać, czy mi się spodoba, czy nie spodoba, czy



może będzie mi obojętna. Choć nie. Nie mogę ryzykować, że coś mnie skłoni do darowania jej życia.

Dlatego nie wchodzę do hotelu, nie zagaduję do niej. Gdy kończy zmianę, patrzę, jak opuszcza hotel. Przebrała się z uniformu w dzinsy i koszulkę. Idąc do samochodu, małego autka koloru limonki, rozmawia przez telefon. Piętnaście po jedenastej w środę wieczorem zatrzymuje się tylko przy fastfoodowym okienku dla zmotoryzowanych. Kilka minut później jest już w domu, wchodzi do swojego mieszkania, trzymając torbę z jedzeniem w jednej ręce i uniform w drugiej. Mieszka na parterze w spokojnym budynku dla ludzi, którzy niewiele zarabiają. Podwórko jest zarośnięte gęstymi krzakami posadzonymi obok wejścia.

Doskonale. Mamy mnóstwo możliwości na piątek trzynastego, poczynając od parkingu przed hotelem, a kończąc na budynku, w którym mieszka Naomi.

Teraz muszę tylko powiedzieć Millicent, że zmieniłem zdanie.

## 23

O szóstej rano głos spikera radiowego ryczy mi do ucha tak głośno, że aż podskakuję. Millicent lubi swoje radio z budzikiem. To model starego typu, z przeskakującymi cyframi i obudową ze sklejk. Potwornie działa mi na nerwy. Radio to odpowiednik podniesionej deski klozetowej u Millicent.

*– Dzień dobry. Jest czwartek, dwunasty dzień października, i macie jeszcze jeden dzień, żeby pozamykać się w domach, drogie panie. Owen Oliver przybędzie po jedną z naszych ślicznych...*

Radio milknie. Otwieram oczy i widzę, że stoi nade mną Millicent.

– Przepraszam – mówi. – Zapomniałam wyłączyć.

Odwraca się i znowu idzie do łazienki. Jej rude włosy, bawełniane szorty i koszulka na ramiączkach rozmazują się i zmieniają w długi ciemny kucyk oraz granatowy uniform ze złotymi galonami.

Gdy włączył się budzik, śniła mi się Naomi. Stała za kontuarem recepcji w Lancasterze i gawędziła z mężczyzną tak starym, że kiedy mówił, wydawał z siebie świszczanie. Naomi odrzuciła głowę do tyłu i roześmiała się. Zabrzmiało to jak rechot czarownicy z bajki. Potem odwróciła się do mnie i puściła oko. Piegi na jej nosie zaczęły blednąć. Chyba właśnie miałem coś powiedzieć, ale włączył się budzik.

Millicent skłamała. Wcale nie zapomniała go wyłączyć. Wciąż trochę się na mnie gniewa. Nie dlatego, że w ostatniej chwili musieliśmy wrócić do Naomi, ale dlatego, że podjąłem tę decyzję bez porozumienia z nią.

Wczoraj wieczorem znowu mieliśmy randkę w garażu. Millicent myślała, że w ostatniej chwili będziemy dopracowywali plan, przygotowywali wszystko na wielki dzień. I początkowo tak było, przynajmniej dopóty, dopóki jej nie powiedziałem, że to nie może być Annabelle.

– Nie rozumiem – odparła.

– Mówię, że powinniśmy wrócić do Naomi.

– Naomi jest za wysoka. Nie pasuje do profilu.

– Wiem, ale Annabelle jest...

– Jaka?

Decyzję o tym, żeby skłamać, podjąłem w ułamku sekundy.

– Zaczęła się z kimś spotykać.

– Ma chłopaka?

– Jeszcze nie, ale będzie miała. Od razu zadzwoniłby na policję. – Takiego scenariusza wolimy uniknąć.

Millicent pokręciła głową. Może nawet zaklęła pod nosem.

– Nie mogę uwierzyć, że dowiadujemy się o tym dopiero teraz.

– Gdy ją obserwowaliśmy, zawsze była w pracy.

– Nie zawsze.

Puściłem to mimo uszu. To nie była odpowiednia pora, by pytać Millicent, czego mi nie powiedziała. Dlatego że właśnie sam kłamałem.

– Zatem Naomi – powiedziałem.

Millicent westchnęła.

– Naomi.

Nie wspominałyśmy więcej o Annabelle.

Nie chce mi się pracować, ale nie mam innego wyjścia. Cały dzień wypełniają mi lekcje, a gdy wreszcie się kończą, odbieram dzieci ze szkoły i zawożę je do dentysty. Tak się złożyło, że ich wizyty wypadły akurat w czwartek dwunastego. Millicent umawia nasze dzieci na czyszczenie z wyprzedzeniem, dokładnie co pół roku.

Gdy wchodzimy do gabinetu, Jenna i Rory grają w papier, kamień, nożyce, żeby rozstrzygnąć, kto wejdzie pierwszy. To jedna z niewielu sytuacji, w której są jednowyślni.

– Kamień, papier, nożyce...

Rory przegrywa, Jenna triumfuje, i umyka im sedno sprawy: tak czy inaczej czeka ich czyszczenie zębów.

W poczekalni wyjmuję telefon i sprawdzam wiadomości. Bombardują mnie zdjęciami ofiar Owena. Nasza lokalna gazeta umieszcza je wszystkie na pierwszej stronie – zdjęcia zrobiono, gdy kobiety żyły i się uśmiechały. Przesłanie jest niezbyt subtelne. Jeśli wyglądasz jak one, jutro będziesz w niebezpieczeństwie. Owen może po ciebie przyjść. Nic nie wskazuje na to, że można z nim walczyć albo uciec – przetrwają tylko te, których Owen nie wybierze. Moim zdaniem to trochę obraźliwe, że traktuje się kobiety, jakby były zupełnie bezradne. Autor tego artykułu nie zna mojej żony.

Po dentyście idziemy na lody. Millicent dołącza do nas, by wspólnie kultywować tę dziwną rodzinną tradycję. To ja ją zapoczątkowałem, gdy dzieci były o wiele młodsze i chciałem, żeby nie płakały u dentysty. Obietnica pójścia na lody podziałała, a teraz nie chcą z tego zrezygnować.

Każde z nas wybiera swój ulubiony smak. Millicent zamawia waniliowe, ja czekoladowe, a Rory czekoladowe z orzechami i kawałkami pianki marshmallow. Jenna

lubi eksperymentować. Zawsze wybiera specjalność dnia. Tym razem to jagodowe z kawałkami czekolady. Jest zachwycona. Moim zdaniem są obrzydliwe.

Gdy już wszyscy czujemy mrowienie w zębach i zamarzają nam mózgi, rozdzielamy się. Millicent zabiera dzieci do domu, a ja wracam do pracy. W drodze do klubu wpadam na Tristę. Odwołała naszą ostatnią lekcję i prawie w ogóle jej nie widziałem od tamtego pijackiego dnia, w którym opowiedziała mi o swoim związku z Owenem Oliverem. Jestem jej bardzo wdzięczny za te informacje, choć ona o tym nie wie. W zasadzie niewiele teraz wie: wpatruje się we mnie martwymi oczami pijaczki, ale to nie jest wina alkoholu. Łyknęła jakieś tabletki – najprawdopodobniej przeciwbólowe, i to dużo. Często coś takiego widuję w country clubie.

Ale nigdy u niej.

– Cześć. – Wyciągam rękę i dotykam jej ramienia. – Dobrze się czujesz?

– Doskonale. – Wymawia to słowo z naciskiem, jakby było dokładnie odwrotnie.

– Nie wyglądasz najlepiej. Mam zadzwonić po Andy'ego?

– Nie, nie chcę, żebyś dzwonił po Andy'ego.

Myszę, że powinienem to zrobić, bo gdyby moja żona nałykała się prochów, wolałbym o tym wiedzieć. Sięgam po telefon.

Trista patrzy na mnie.

– Jutro zaginie jakaś kobieta. A potem umrze.

Mam ochotę jej powiedzieć, że może wcale do tego nie dojdzie, może go złapią, ale tego nie mówię, bo nie chcę kłamać. Policja nie złapie mnie i Millicent. Nawet nie wie o naszym istnieniu.

– Tak – mówię. – Prawdopodobnie ktoś zaginie.

– Owen to drań. – Trista wydaje się nieobecna, ale jej umysł pracuje. Pod tabletkami tkwi coś, co nie pozwala się ogłuszyć. Coś rozeźlonego.

– Ej, przestań. Nie możesz się obwiniać o to, co robi ten dupek.

Prycha.

– Nie będziesz jutro sama, prawda? – Pytam, bo naprawdę się o nią martwię. Trista wszystkim, co robi, wyrządza krzywdę tylko samej sobie.

– Andy będzie w domu. – Spogląda na telewizor, w którym pokazują materiały z aresztowania Owena przed piętnastoma laty. Trista drży. – Muszę już iść.

– Zaczekaj... podwiozę cię do domu.

– Nie jadę do domu.

– Tristo.

– Do zobaczenia kiedy indziej. Przekaż Millicent, że do niej zadzwonię. – Idzie w stronę damskiej toalety, ale po chwili wraca. – Nie mów Andy'emu, okej?

Nie wspomniałem mu, że widziałem pijaną Tristę ani że jego żona była kiedyś związana z Owenem Oliverem. Kolejne przemilczenie nie zmieni faktu, że już go zdradziłem.

– Nie powiem mu – obiecuję.

– Dzięki.

Znika w szatni, a ja odprowadzam ją spojrzeniem, zastanawiając się, co myśmy narobili. Wskreszenie Owena wpłynęło nie tylko na policyjne dochodzenie.

Mój ostatni klient tego dnia też mówi o tej sprawie. To miły facet, ma trzy córki i dwie z nich pasują do grupy docelowej Owena. Wszystkie wciąż są w okolicy. Dwie są singielkami i mieszkają same. Gość tak się o nie martwi, że zaproponował im wyjazd na weekend. Nie mieszkał tu, gdy Owen zabijał za pierwszym razem, ale słyszał wystarczająco dużo.

Mimo że po południu byliśmy na lodach, kolacja i tak jest o szóstej. Jenna wspomina, że w szkole mówi się tylko o Owenie. Jedna z jej koleżanek ma starszą siostrę, która jest przekonana, że Owen przyjdzie właśnie po nią. Rory prychnie i mówi, że nic takiego się nie wydarzy, bo obie są za brzydkie dla seryjnego mordercy. Jenna rzuca w brata bułką, a Millicent nakazuje im przestać. Zadowolają się przerywaniem się wyzwiskami, które miotają, bezgłośnie poruszając ustami.

– Kazałam wam przestać.

Millicent nie lubi się powtarzać, więc przestają. Na chwilę. Jenna krzywi się, gdy Rory kopie ją pod stołem. Jestem pewny, że Millicent to widzi, ale nic nie mówi, bo po kolacji ogłasza spontaniczny wieczór filmowy. Czasami, gdy za bardzo się ze sobą kłócą, zmusza ich do spędzania razem więcej czasu. Dba w ten sposób, by rozwiązali problem, zamiast przestać się do siebie odzywać.

Przez dwadzieścia minut kłócą się o to, który film mamy oglądać. Ani Millicent, ani ja nie interweniujemy. W zasadzie nie zwracamy na nich uwagi. Jesteśmy w kuchni i kończymy chować naczynia do zmywarki. Millicent pyta, czy znowu zamierzam wyjść w nocy.

– Tak.

– Jesteś pewny, że to dobry pomysł?

– Wszystko pod kontrolą.

Brzmi to ostrzej, niż zamierzałem. Jestem zestresowany po całym dniu słuchania o Owenie. I po spotkaniu z Tristą. Z jakiegoś powodu to, co się z nią dzieje, nie daje mi spokoju.

Wszystko, co stanie się jutro, to moja wina. To ja napisałem list do Josha, ja wybrałem datę, ja zapowiedziałem, że zniknie kolejna kobieta. I ja w ostatniej chwili przetrzuciłem się z Annabelle na Naomi. Zatem to ja muszę się upewnić, że dokonałem właściwego wyboru.

Rzut ćwierćdolarówką przesądza o wyborze filmu na wieczór. Oglądamy film o delfinach. Rory i Jenna siedzą razem na podłodze obok miski popcornu, którym się nie obrzucają. Ja i Millicent siedzimy na kanapie i też mamy swój popcorn. Moja żona częściej patrzy na nasze dzieci niż na film, a jej oczy wydają się wtedy o dziesięć odcieni jaśniejsze. Zawsze się takie robią, gdy na nie patrzy.

Trwa to, dopóki film się nie skończy i dzieci nie pójda do łóżek, przerzucając się żarcikami o delfinach. Gdy zaczynam się podnosić, Millicent kładzie rękę na moim kolanie i ścisza je.

– Lepiej się przygotuj – mówi.

Brzmi to tak, jakby sama wpadła na ten pomysł, i to mnie denerwuje.

– Masz rację – odpowiadam. – Muszę stąd wyjść.

– Wszystko w porządku?

Patrzę na nią, na moją żonę o jasnych oczach, zupełnie niepodobnych do oczu Tristy. Millicent jest dokładnym przeciwieństwem żony Andy'ego.

Uśmiecham się, zadowolony, że nie ożeniłem się z Tristą.

## 24

Nie zamierzałem wkładać garnitur, bo rozmowy z Naomi nie było w planie, ale w ostatniej chwili włożyłem ten, który Millicent lubi najbardziej. Jest granatowy, ma ręcznie obszyty kołnierz i dużo kosztował. Skoro już go mam, równie dobrze mogę go nosić.

Gdy stoję przed lustrem i zawiązuję krawat, Millicent staje obok. Opiera się o ścianę, spleta ręce na piersi i mnie obserwuje. Wiem, że ma ochotę spytać o garnitur, bo dotąd chodziłem w nim tylko, gdy byliśmy razem. To ona mi go kupiła.

Później zawiązuję krawat, wkładam buty, biorę portfel, telefon i kluczyki. Telefonu na kartę nie trzymam w domu.

Gdy się odwracam, Millicent wciąż stoi pod ścianą, wciąż w tej samej pozie.

– No to chyba jadę – mówię.

Kiwa głową.

Czekam, aż coś powie, ale milczy. Przechodzę obok niej i ruszam na dół po schodach. Gdy docieram do drzwi prowadzących do garażu, słyszę jego głos.

– Tato.

Rory stoi w drzwiach do kuchni, trzyma szklankę wody. Podnosi drugą rękę i pociera kciukiem o palec wskazujący. Chce więcej pieniędzy.

Nieprzypadkowo znalazł się w kuchni. Czekał na mnie.

Kiwam głową i wychodzę.

Naomi jest w recepcji, melduje gości hotelu, odbiera telefony, rozwiązuje problemy, z którymi przychodzą do niej ludzie. Dziś nie siedzę na zewnątrz. Wszedłem do holu.

Jest ogromny i luksusowy, wypełniony ciemnymi, zbyt miękkimi meblami obitymi grubymi tkaninami. W oknach wiszą aksamitne zasłony obszyte złotymi galonami jak uniformy personelu. Wszędzie widać frędzle i chwosty.

Mogę się schować w tym holu, w jego bogatym wystroju – kolejny nieznaną gość pracujący na komputerze i sączący drinka, bo nie potrafi wysiedzieć w pokoju hotelowym ani chwili dłużej. To w zasadzie prawda. Nie mogę wysiedzieć kolejnej

minuty w samochodzie zaparkowanym przed hotelem. Jeśli Naomi się nadaje, czuję się w obowiązku trochę bardziej się do niej zbliżyć.

Ale nie będę z nią rozmawiał. Postanowiłem tego nie robić. Po prostu nie ma na to czasu, bo przecież plan uległ zmianie w ostatniej chwili. Za bardzo się stresuję, za bardzo niepokoję. Wskrzeszenie Owena Olivera okazało się bardziej skomplikowane, niż przypuszczałem. Może to wina mediów, może Tristy – a może moich dzieci, które ciągle o nim gadają.

Jest zupełnie inaczej niż z Lindsay. Wtedy byliśmy tylko ja i Millicent, nikogo więcej, nawet z boku.

W sylwestra poszliśmy z Millicent na przyjęcie w country clubie. Jenna miała dwanaście lat, Rory o rok więcej, i trzydziestego pierwszego grudnia pierwszy raz zostawiliśmy ich samych. Byli przeszczęśliwi. My też. Ostatni raz świętowaliśmy sylwestra w gronie dorosłych przed narodzinami dzieci.

Niespełna miesiąc wcześniej zauważyłem w centrum handlowym tę kobietę przypominającą Robin. Wieczorem uprawialiśmy z Millicent seks. Nie ten małżeński spod znaku „miejmy to już z głowy”, ale taki jak dawniej, gdy zaczęliśmy się ze sobą spotykać i nie mogliśmy się sobą nasycić. Wspaniały seks.

Następnego dnia wszystko się skończyło. Seks, nastrój, klimat. Znow kłóciliśmy się o pieniądze – o to, na co nas stać, a na co nie. Między innymi o przyjęcie sylwestrowe.

Był to bal przebierańców. Przebraliśmy się za ludzi z lat dwudziestych: gangstera i jego dziewczynę. Ja włożyłem garnitur w prążki, buty z dziurkowanymi noskami i fedorę. Millicent miała na sobie połyskliwą fioletową sukienkę i opaskę z piórem, a usta pomalowała karmazynową szminką.

Zwykle bale przebierańców mnie przygnębiają. Czuję się na nich tak, jakby otaczali mnie ludzie, którzy marzą, by być kimś innym, niż są.

Tej nocy było inaczej. Nie byliśmy tacy jak inni, nie przypominaliśmy żadnego z uczestników balu. Rozmawialiśmy o zrobieniu tego jeszcze raz. O zabiciu kobiety. Rozmawialiśmy o tym, co byśmy jej zrobili. Gdybyśmy to zrobili. Dlaczego byśmy to zrobili.

– Co powiesz o tej? – spytała Millicent, wskazując kobietę o tak wielkich piersiach, że wyglądały niemal groteskowo. Były sztuczne i wszyscy o tym wiedzieliśmy, bo każdemu opowiadała, ile za nie zapłaciła.

Wzruszyłem ramionami.

– Tej nie udało się utopić.

– Racja.

– A o tej? – spytałem i skinąłem głową w stronę plażowej blondynki; przyszła z mężczyzną, który mógłby być jej dziadkiem.



Millicent uśmiechnęła się, jej białe zęby zaślniły w otoczeniu rubinowych ust.

– Zabójstwo z litości. Sądząc po tej opaleniznie, i tak dostanie raka skóry.

Zduśłem śmiech. Millicent zachichotała. Zachowywaliśmy się karygodnie, plotkowaliśmy w najbardziej pokręcony sposób, ale to było tylko gadanie. Przez większość balu rozmawialiśmy wyłącznie ze sobą.

Ponieważ wyszliśmy pierwszy raz od bardzo długiego czasu, byłem przygotowany, że zostaniemy do późna, i w domu wypilem nawet energetyka. Ale wcale nie zostaliśmy długo. Pięć minut po północy byliśmy w drodze powrotnej.

Piętnaście po dwunastej nasze kostiumy z lat dwudziestych leżały już na podłodze w sypialni.

Nie miałem pojęcia, czy coś zaczynamy, czy kontynuujemy, ale nie chciałem, żeby to się skończyło.

W holu hotelu Lancaster spoglądam na zegarek, sprawdzam telefon i surfuję w internecie. Robię to wszystko, żeby udawać, że nie obserwuję Naomi. Nie zauważa mnie. Dziś wieczorem panuje o wiele większy ruch niż zwykle, trochę dlatego, że nazajutrz jest piątek trzynastego. Ludzie zjechali do miasta, żeby zobaczyć, co zrobi Owen, kogo porwie i zabije. Część tych osób pracuje dla mediów, inne rejestrują różne sceny i zdarzenia, by wrzucić je do sieci.

Grupka takich ludzi siedzi niedaleko mnie w holu. To dzieciaki w wieku studenckim, które szukają zarobku. Spekulują, ile uda im się skasować. Wszystko zależy od tego, jak obrazowe jest nagranie. Bank rozbiłoby oczywiście uchwycenie sceny porwania. Zakładając, że zdołaliby utrzymać kamerę.

Gdy wreszcie wychodzą, by poszukać miejsc, w których mogą się czaić mordercy, z powrotem skupiam się na Naomi. Wypatruję czegoś, o czym będę mógł powiedzieć Millicent, czegoś, czym będziemy mogli się podzielić. Chcę poczuć się tak jak dawniej.

Naomi się uśmiecha, tak jak uśmiechała się przez cały wieczór. To zadziwiające, wręcz godne podziwu. Do recepcji podchodzi wiele niezadowolonych albo domagających się czegoś osób, a mimo to dla wszystkich jest uprzejma. Uśmiecha się nawet, gdy ktoś nazywa ją kretynką.

Zaczynam myśleć, że jest kimś w rodzaju Pollyanny: miła i zadowolona bez względu na okoliczności. To mi się nie podoba. Nie możemy z Millicent szeptać o tym w ciemności.

Nagle jednak coś zauważam – rysę w słodkiej powierzchowności Naomi. Gdy jeden z wyjątkowo niemiłych gości odwraca się do niej plecami, Naomi pokazuje mu środkowy palec.

Uśmiecham się.

Pora wrócić do domu i powiedzieć o tym mojej żonie.

## 25

Budzę się w ciszy. Do wschodu słońca została godzina i świat jest spowity ciemnością.

Mamy sobotę czternastego.

Millicent nie wróciła jeszcze do domu.

Decyzję o rozdzieleniu się podjęliśmy w czwartek późnym wieczorem po moim powrocie z Lancastera. Planowaliśmy przez jakiś czas utrzymać Naomi przy życiu, tak jak Lindsay. Należało tak zrobić, bo tak robił Owen.

Tylko że mi się to nie podobało. Nie chciałem tego nawet oglądać.

Z jednej strony wiedziałem, że powinienem, bo zmuszanie Millicent, by wszystkim zajęła się sama, było nie w porządku. Próbowałem sobie wyobrazić, jak by to było zamknąć Naomi i trzymać ją przy życiu, karmić ją, poić wodą i torturować. Na tę myśl przewraca mi się w żołądku.

Wątpię, żebym zdołał znieść ten widok z bliska.

Dlatego nie pytam Millicent, gdzie przetrzymywała Lindsay i gdzie zamierza trzymać Naomi. Myślałem o tym, żeby spytać, ale ostatecznie tego nie zrobiłem. Czasami jest mi z tego powodu trochę źle, ale jednak niewystarczająco źle. Przeważnie czuję po prostu ulgę.

– Mogę to zrobić sama – powiedziała Millicent.

W piątek rano byliśmy w domu tylko we dwoje. Dzieci poszły już do szkoły. Siedzieliśmy w kuchni, piliśmy dolewkę kawy i omawialiśmy plan.

– To nie powinno być tylko na twojej głowie – odrzekłem.

– Już raz dałam sobie radę. – Millicent wstała i zaniósła kubek do zlewu.

– Nieważne – powiedziałem. Moje protesty wypadły słabo i wiedziałem o tym. Ale i tak poczułem się lepiej.

– Ważne – odparła Millicent. – Zajmę się tym. Ty zajmij się reporterem.

– Dobrze. W końcu będę musiał znowu się z nim skontaktować.

– Właśnie.

Odwróciła się do mnie i uśmiechnęła, rozświetlona promieniami porannego słońca wpadającymi przez okno.

Plan był gotowy. Wyglądał tak jak ten, który zastosowaliśmy w wypadku Lindsay.

Przygotowaliśmy każdy szczegół, jak w każdym planie ułożonym przez Millicent. Najpierw narkotyk. Lindsay, a teraz Naomi musiała być nieprzytomna, by dało się ją wywieźć w odludne miejsce. Okazuje się, że chloroform nie jest taki cudowny, jak pokazują w filmach. Poszukiwania zawiodły nas w mroczne i przerażające zakątki internetu, gdzie wszystko jest na sprzedaż. Dzięki elektronicznej walucie, anonimowemu adresowi e-mail i prywatnej skrzynce pocztowej można zdobyć wszystko, w tym środek uspokajający dość silny i szybki, by mógł powalić dinozaura.

Ponieważ musieliśmy powalić jedynie kobietę ważącą sześćdziesiąt kilogramów, nie potrzebowaliśmy go dużo.

Millicent kupiła notebooka, o którym wiedzieliśmy tylko my dwoje. Korzystaliśmy z niego, szukając informacji o lekach. I o Lindsay.

I o Petrze.

I o Naomi.

W piątek wieczorem razem uprowadziliśmy Naomi. Tak jak Lindsay.

Na parkingu za hotelem Millicent pomachała do odjeżdżającej Naomi. Były tuż za zasięgiem kamer monitoringu. Patrzyłem, jak Millicent pochyła się przy szybie po stronie kierowcy i szybko coś mówi, jakby potrzebowała pomocy, bo zepsuł jej się samochód. Potem zauważyłem charakterystyczny ruch ramienia, gdy wstrzyknęła Naomi narkotyk. Odepchnęła jej bezwładne ciało, wślizgnęła się na miejsce kierowcy i odjechała.

Ruszyłem za nią z uśmiechem. Po tak długich przygotowaniach, planowaniu i omawianiu szczegółów z radością patrzyłem, jak wszystko się dokonuje.

Rozdzieliliśmy się w lesie. Ja zabrałem samochód Naomi i pozbyłem się go, a Millicent odjechała moim z naszą wciąż nieprzytomną ofiarą. Zanim wróciłem do auta Millicent, zaparkowanego przecnicę od Lancastera, i pojechałem do domu, minęła północ. W Hidden Oaks świeciły się światła na wszystkich werandach. Na naszej też.

Dzieci nie spały. Robiły dokładnie to, co sam robiłbym w ich wieku: oglądały horrory. Rozbiły obóz w salonie, otoczone telefonami, tabletami i górami śmieciowego jedzenia. Dołączyłem do nich.

Myślały, że patrolowałem okolicę, pomagając chronić Hidden Oaks przed Owenem Oliverem. Mamy prywatną ochronę, ale poprzedniego wieczora grupa mieszkańców postanowiła pomóc i czuwać. Nie było mnie jednak wśród nich.

Dzieci już wiedziały, że Millicent wróci dopiero rano. Powiedzieliśmy im, że będzie z koleżankami, które nie chcą zostawać same. Żadne z nich się nie przejęło. Nie jestem pewny, czy Owen Oliver jest dla nich prawdziwą postacią. To zjawa z telewizji, psychol z filmów. Nie przychodzi im do głowy, że może zagrażać jakiejś kobiecie – nauczycielce,

sąsiadce czy nawet ich matce. Mam w związku z tym mieszane uczucia. Chcę, żeby moje dzieci czuły się bezpieczne. Chcę także jednak, by wiedziały, jak niebezpieczny jest świat.

Wciąż leżąc na łóżku, zaczynam się zastanawiać, dokąd Millicent zabrała Naomi i co jej zrobi. Co już jej zrobiła. Żeby przestać o tym myśleć, wstaję i włączam telewizor. Kanał sportowy. Słuchając wyników meczów bejsbolowych z poprzedniego dnia, parzę kawę. Słyszę stłumione pacnięcie gazety w drzwi wejściowe, ale nie idę po nią. Zamiast tego piję kawę i oglądam kreskówki, dopóki dzieci nie wstaną, a potem wyłączam telewizor, zanim zejda na dół. Rory jest pierwszy w kuchni. Łapie pilota i włącza wiadomości.

– No to kogo sprzątnął? – Wyjmuje miseczkę z szafki i wysypuje do niej płatki.

– Nie mów tak.

Przewraca oczami.

– Dobra, kogo zamordował?

Jenna staje w drzwiach. Jej spojrzenie kursuje między mną a Rorym.

– Stało się? Owen wrócił?

Rory podgłośnia telewizor. Nie pokazują Josha, lecz młodą blondynkę, która pasowałaby do grupy docelowej Owena.

– *Policja mówi, że przez jakiś czas nie będzie nic wiadomo. Biorąc pod uwagę niepokój, jaki wywoływał wczorajszy wieczór, otrzymała wiele zgłoszeń dotyczących kobiet, które nie odebrały telefonu albo nie odezwały się do krewnych. Nie wiemy, czy któraś z nich rzeczywiście zaginęła, i prawdopodobnie minie trochę czasu, zanim policja to wszystko przeanalizuje...*

– Policjanci to krety – mówi Rory. Odwraca się do Jenny i trąca ją w ramię. – Tak jak ty.

Jenna przewraca oczami.

– Spadaj.

Przestają mówić o Owenie. Ponownie słyszę o nim dopiero w samochodzie, gdy jedziemy na mecz Jenny. W przerwie między piosenkami spiker radiowy przekazuje, że policja otrzymała ponad tysiąc zgłoszeń od ludzi, którzy twierdzą, że w piątkowy wieczór widzieli Owena Olivera.

Millicent wciąż się nie odzywa, ale okłamuję dzieci, mówiąc, że poszła na brancz z koleżankami. Chyba w ogóle ich to nie interesuje.

Podczas meczu zaczynam częściej spoglądać na komórkę.

Kilkoro rodziców rozmawia o wiadomościach, snuje spekulacje na temat listu zapowiadającego porwanie w piątek trzynastego i zastanawia się, czy to wszystko nie było głupim kawałem. Jeden z ojców stwierdza, że to pewne, ale kobiety nie są przekonane. Gdy gość zaczyna się śmiać, któraś z nich pyta, co jest takiego zabawnego w twierdzeniu, że w piątek trzynastego ktoś zostanie zamordowany.

Sprawdzam telefon. Wciąż nic.

Drużyna Jenny wygrywa jednym golem. Pokazuję jej uniesione kciuki. Uśmiecha się i jednocześnie przewraca oczami. Uświadamiam sobie, że uniesione kciuki prawdopodobnie wyszły z mody.

Wtedy ją zauważam. Jest za Jenną, obok parkingu, i krąży w pobliżu boiska. Jej rozpuszczone rude włosy kołyszają się przy każdym ruchu. Ma na sobie dzinsy, tenisówki i koszulkę z lwem, maskotką szkoły. Zawsze stara się wyglądać jak wszystkie inne piłkarskie mamuśki, ale nigdy jej się nie udaje. Millicent za bardzo się wyróżnia.

Gdy do mnie podchodzi, uśmiecha się. To wielki, szeroki uśmiech sięgający w głąb jej oczu. Po moich żyłach rozplywa się ulga. Dopiero wtedy uświadamiam sobie, jak bardzo się denerwowałem. To niemądre. Przecież wiem, że nie należy wątpić w Millicent.

Wyciągam do niej rękę. Obejmuje mnie w pasie i przysuwa się, żeby mnie pocałować. Ma ciepłe usta, a jej oddech pachnie cynamonem i kawą.

– Jak idzie Jennie? – pyta, odwracając się w stronę boiska. Nie mogę oderwać od niej oczu.

– Wygrywają jednym golem.

– Świetnie.

Odsuwa się ode mnie i wita z innymi rodzicami. Gawędzą o meczu, o pięknej pogodzie, a w końcu także o Owenie.

Po meczu muszę iść do pracy. W tę sobotę to Millicent zabiera dzieci na lancz. Mamy tylko chwilę, by porozmawiać w cztery oczy na parkingu. Dzieci są w samochodzie, zapięte pasami i skłócone. My stoimy między samochodami.

– Wszystko w porządku?

– Doskonale – odpowiada. – Żadnych problemów.

Rozchodzimy się. Jadąc do klubu, jestem więcej niż szczęśliwy. Może nawet czuję euforię. Jakbym unosił się w powietrzu.

W klubie mam jedną z niewielu sobotnich lekcji z Kekoną, naczelną plotkarą Hidden Oaks. Chyba wykupiła tę godzinę, żeby porozmawiać o Owenie, o tym, co mogło się wydarzyć poprzedniego wieczora. Na lekcji moje domysły się potwierdzają. Kekona mówi wyłącznie o nim.

– Pięćdziesiąt trzy kobiety. W wiadomościach podają, że od wczorajszego wieczora do dzisiejszego ranka zgłoszono zaginięcie pięćdziesięciu trzech kobiet. – Kręci głową. Jej długie, ciemne włosy są zwinięte w kok na karku.

– Owen nie porwał wczoraj pięćdziesięciu trzech kobiet – odpowiadam.

– Nie, nie porwał. Może nie porwał ani jednej. Ale pięćdziesiąt trzy rodziny wierzą, że to zrobił.

Kiwam głową, chłonąc jej słowa, próbując ogarnąć taki ogrom bólu. Czuję się, jakbym stał z boku, jakby to nie miało ze mną nic wspólnego.

## 26

Czekamy, aż wszyscy odkryją, co się stało. Gdy w telewizji lecą wiadomości, Millicent puszcza do mnie oko. Kiedy ktoś wspomina o Owenie, patrzę na nią w sposób, który rozumie tylko ona. To nasza sprawa – sprawa oddzielająca nas od pozostałych.

Pierwszy raz poczułem to po Holly. Drugi raz po Robin, a później po Lindsay. Po każdej kobiecie przeżyaliśmy z Millicent chwilę, w której byliśmy sami na świecie. Czuliśmy się jak wtedy, gdy wspięliśmy się na tamto duże drzewo. Teraz, po Naomi, też się tak czujemy.

Millicent i ja jesteśmy zupełnie przytomni, podczas gdy cała reszta śpi.

W poniedziałek policyjne poszukiwania zawężają się do dwóch kobiet. Pozostałe odnaleziono albo wróciły do domu. Dowiaduję się o tym z radia, jadąc do pracy, i jestem zaskoczony. Nie miałem pojęcia, że minie aż tyle czasu, zanim wszyscy sobie uświadomią, kto zaginął. Mam ochotę wysłać kolejny list do Josha i zawiadomić go, że chodzi o Naomi.

Nie robię tego. Jednak im więcej czasu spędzają na próbach ustalenia, kto zaginął, tym mniej poświęcają go na zlokalizowanie ofiary. Policja nie wie nawet, kogo szukać.

W połowie dnia dzwoni do mnie dyrektorka szkoły. To dziwne, bo zawsze dzwoni najpierw do Millicent. Mówi jednak, że Millicent nie odbiera telefonu. Poza tym wyjaśnia, że w szkole doszło do pewnego incydentu i że powinienem natychmiast przyjechać. Pytam, czy chodzi o Rory'ego.

– Chodzi o pana córkę – odpowiada. – Mamy problem z Jenną.

Gdy przyjeżdżam do szkoły, Jenna siedzi w kącie gabinetu dyrektorki. Nell Granger jest dyrektorką od wieków i w ogóle się nie zmienia. Wygląda jak urocza babcia, która szczypałaby cię w policzki, aż pojawiłyby się na nich siniaki.

Jenna wpatruje się w podłogę, nie podnosi głowy.

Nell daje mi znak, żebym usiadł, więc siadam. Potem zauważam nóż.

Piętnastocentymetrowe ostrze, stal nierdzewna. Rzeźbiona drewniana rączka. Nóż pochodzi z naszej kuchni, a teraz leży na jej biurku.

Dyrektorka stuka w niego różowym paznokciem.

– Pana córka przyniosła to dziś do szkoły.

– Nie rozumiem – mówię. I nie jestem pewny, czy chcę zrozumieć.

– Nauczyciel zauważył to w jej plecaku, kiedy wyjmowała zeszyt.

Jenna siedzi oparta o ścianę, zwrócona w naszą stronę, lecz wciąż ma spuszczoną głowę. Nie odzywa się.

– Dlaczego przyniosłaś to do szkoły? – pytam.

Kręci głową. Milczy.

Nell wstaje i daje mi znak, żebym poszedł za nią. Wychodzimy z gabinetu, a ona zamyka drzwi.

– Jenna nie powiedziała ani słowa – mówi Nell. – Miałam nadzieję, że panu albo pana żonie uda się ją skłonić, żeby nam wyjaśniła, dlaczego przyniosła ten nóż.

– Sam chciałbym wiedzieć.

– Więc niczego takiego pan nie...

– Jenna nigdy nie miała skłonności do przemocy – mówię. – Nie bawi się nożami.

– A mimo to... – Nell nie kończy zdania. Nie musi.

Wracam do gabinetu sam. Wygląda na to, że Jenna nawet nie drgnęła. Przysuwam do niej krzesło i siadam na nim.

– Jenna – zaczynam.

Nic.

– Możesz mi powiedzieć, o co chodzi z tym nożem?

Wzrusza ramionami. Zawsze to jakiś początek.

– Zamierzałaś zrobić komuś krzywdę?

– Nie.

Jej głos jest silny, brzmi pewnie i zaskakuje mnie.

– Okej – mówię. – Skoro nie zamierzałaś nikogo skrzywdzić, po co przyniosłaś nóż do szkoły?

Podnosi głowę. W jej oczach nie ma tej siły, którą słychać w głosie.

– Żeby się bronić.

– Ktoś cię gnębi?

– Nie.

Z trudem powstrzymuję się od chwycenia ją za ramiona i wyduszenia z niej odpowiedzi.

– Jenna, proszę, powiedz mi, co się stało. Ktoś ci groził? Zrobił ci krzywdę?

– Nie. Po prostu chciałam...

– Co chciałaś?

– Nie chciałam, żeby mnie skrzywdził.

– Kto?

– Owen – szepcze.



To dla mnie taki szok, jakby ktoś uderzył mnie w brzuch. I to mocno. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że Jenna będzie się bała Owena.

Obejmuję ją.

– Owen nigdy nie zrobi ci krzywdy. Nawet za milion trylionów lat.

Lekko się uśmiecha.

– Głupi jesteś.

– Wiem. Ale nie w tej sprawie. Nie w sprawie zagrożenia ze strony Owena.

Jenna odsuwa się i patrzy na mnie. Już nie tak wytrzeszczonymi oczyma.

– Właśnie dlatego wzięłam ten nóż. Nie zamierzałam nikogo skrzywdzić.

– Wiem.

Czeka za drzwiami, a ja rozmawiam z Nell, która kiwa głową i lekko się uśmiecha, gdy wyjaśniam, że Jenna boi się Owena Olivera. Tłumaczę, że od tygodni mówią o nim w wiadomościach, jego twarz jest w całym internecie i na wszystkich kanałach telewizyjnych, a nawet na ulotkach przed sklepem spożywczym.

– To było chyba nieuniknione – mówię, wskazując nóż. – Jeśli się chwilę zastanowić, wcale mnie to nie dziwi. Media mówią o Owenie, odkąd tylko wrócił.

Nell unosi brew.

– Myśli pan, że wrócił?

Czuję się jak trzynastolatek, ubrudzony i posiniaczony, z odrobiną krwi w kąciku ust. Moja bójka z Dannym Turnbullem poszła dobrze, przynajmniej z mojej perspektywy, tylko że wysłano mnie do gabinetu dyrektorki. Gdy jej powiedziałem, że Danny zaczął, spojrzała na mnie tak jak teraz Nell Granger.

– Nie wiem, czy wrócił – mówię. – Ale moja córka najwyraźniej myśli, że tak.

– Tak mówiła.

– Ma pani powody, żeby wątpić w jej szczerłość? Bo ja nie.

Nell kręci głową.

– Nie, nie mam żadnych powodów. Jenna zawsze była dobrym dzieckiem. – Nie dodaje „jak dotąd”, ale nie musi.

– Mogę ją zabrać do domu?

– Może pan. Ale nóż muszę zatrzymać.

Nie protestuję.

Jenna została zwolniona z pozostałych lekcji, więc idziemy na lunch. Wybieramy dużą sieciową restaurację z dziesięciostronicowym menu, w którym jest wszystko, od tłustych śniadań po grillowane żeberka. Byliśmy w tej restauracji ze sto razy, Jenna zawsze zamawiała kanapkę z grillowanym serem i pomidorem. Dziś wybiera sałatę z dressingiem podanym z boku i wodę zamiast napoju gazowanego.

Gdy pytam, czy wszystko jest w porządku, odpowiada, że tak.

Chcę porozmawiać z Millicent. Chcę jej powiedzieć, co się dzieje z naszą córką. Ale moja żona wciąż nie odbiera telefonu.

Pewnie jest z Naomi. Prawdopodobnie są w jakimś bunkrze albo betonowym schronie, całkiem jak w filmach, i dlatego Millicent nie odbiera. Pod ziemią nie ma zasięgu.

Albo może jest po prostu zajęta.

Piszę do niej wiadomość, dając znać, że wszystko jest w porządku, ale nie jestem pewny, czy to prawda. Gdy wysyłam esemesa, rozlega się znajomy dźwięk ważnej wiadomości z serwisu informacyjnego.

Naprzeciwko naszego boksu znajduje się bar z kilkoma telewizorami. Ze wszystkich patrzy na mnie Naomi. Na olbrzymich ekranach wydaje się większa niż w rzeczywistości. Czytam napis na pasku.

### *KOBIETA Z SĄSIEDZTWA WCIĄŻ ZAGINIONA*

– To ona, prawda? – Jenna też patrzy na ekrany. – To ją porwał Owen.

– Nie wiedzą tego na pewno – mówię.

– Ona zginie, prawda?

Nie odpowiadam. W głębi ducha się uśmiecham. Przynajmniej połowa mnie.

Druga połowa martwi się o Jennę.

Naomi. Naomi z rozpuszczonymi włosami, Naomi z upiętymi włosami, Naomi bez makijażu i Naomi z ustami pomalowanymi na kolor różowej gumy balonowej. Naomi w hotelowym uniformie, Naomi w dżinsach, w zielonej satynowej sukience druhny. Naomi jest wszędzie, na wszystkich kanałach telewizyjnych, w internecie i na ustach wszystkich ludzi. W ciągu kilku godzin jej trzy bliskie znajome uległy rozmnożeniu. Nagle wszyscy ją znają i z wielką chęcią opowiadają dziennikarzom o swojej drogiej przyjaciółce Naomi.

W poniedziałek wieczorem jesteśmy w domu. Oglądamy telewizję. Millicent już wróciła. Podaje tylko ogólnikowe wytłumaczenie swojej popołudniowej nieobecności. Odwdzięczam się ogólnikowym wyjaśnieniem tego, co zaszło w szkole Jenny. Udaję, że sprawa jest o wiele mniej niepokojąca, niż naprawdę myślę.

– W sumie zaszło wielkie nieporozumienie – mówię.

Millicent wzrusza ramionami.

– Jesteś pewny?

– Tak.

Lecą wiadomości. Jenna ma obsesję na ich punkcie, ale Rory nudzi się, jeśli nie podają nowych informacji. Nakazuje jej zmienić kanał. Jenna odmawia.

Nie przypuszczałem, że Owen Oliver będzie miał taki wpływ na nasze dzieci. Holly i Robin nie budziły równie wielkiego zainteresowania mediów. Teraz dziennikarze rozprawiają o Owenie od tygodni. Jenna może mówić o Naomi w nieskończoność.

To sprawia, że przyjemne uczucia, jakie mi towarzyszyły, zaczynają słabnąć.

Wychodzę na podwórko. W rogu rośnie wielki dąb. W drugim stoi stara zjeżdżalnia dla dzieci – niszczeje od lat. Zupełnie zapomniałem o jej istnieniu, ale teraz widzę tylko, jak bardzo wypłowiła, jak niebezpieczny musi być popękany plastik. Wracam do domu, idę do garażu i wydaję skrzynkę z narzędziami. To ważne, niezwykle ważne, żebym rozmontował tę zjeżdżalnię i pozbył się jej, zanim ktoś zrobi sobie krzywdę.

Śruby mocno trzymają, są z dzieciopodobnego plastiku. Łamię jedną młotkiem.

– Co robisz?

Głos Millicent mnie nie zaskakuje. W zasadzie się go spodziewałem.

– A jak myślisz?

– Myślę, że to może poczekać do jutra.

– Ale chcę załatwić to teraz. – Nie słyszę jej westchnienia, ale wiem, że wzdycha. Stoi za mną i patrzy, jak rozwalam następną plastikową śrubę. – Zamierzasz się temu przyglądać przez całą noc? – pytam.

Wraca do domu. Przesuwane drzwi zamykają się z hukiem.

Niespełna godzinę później jestem już spocony, a obok mnie piętrzy się góra plastiku. Podwórko wygląda gorzej, niż kiedy zacząłem.

W salonie nikogo nie ma. Słyszę ich na górze. Ktoś jest w łazience, ktoś inny idzie korytarzem. Siadam przed telewizorem. Leci jakiś sitcom o takiej rodzinie jak moja, z dwojgiem rodziców i dwojgiem dzieci, którzy jednak są o wiele zabawniejsi niż my. Ich problemy nie obejmują trzynastolatek przynoszących do szkoły noże ani synów szantażujących swoich ojców.

W czasie przerwy na reklamę wyświetlają zapowiedź wiadomości, więc przełączam na inny kanał, a potem na jeszcze inny, i robię to, dopóki Millicent nie wchodzi do pokoju i nie zabiera mi pilota. Przysuwa się do mnie i syczy mi do ucha:

– Ogarnij się, do cholery. I to już. – Rzuca pilota na drugi koniec kanapy i wychodzi z pokoju.

Może się wydawać, że nigdy nie stawiam się Millicent, ale to nieprawda. Nie zdarza się to często, lecz historia odnotowała takie przypadki. Postawiłem się raz, co najmniej raz, i dobrze to pamiętam. Sprawa była wystarczająco ważna, by o nią walczyć.

Rory miał sześć lat, Jenna pięć, a my z Millicent mieliśmy tyle roboty, że z trudem nadążaliśmy. Ja pracowałem na dwa etaty. Oprócz dawania prywatnych lekcji tenisa pracowałem w klubie sportowym. Millicent próbowała sprzedawać nieruchomości. Dzieci chodziły do dwóch różnych placówek – do przedszkola i do szkoły – i zawsze trzeba było któreś podwieźć albo odebrać. Mieliśmy dwa samochody, ale jeden ciągle się psuł. Mimo to starczało nam na jedzenie, mieliśmy dach nad głową i wszystkie niezbędne rzeczy. Cała reszta była tylko wrzodem na tyłku.

Pewnego dnia los się do nas uśmiechnął. Nie przewidziałem, że wydarzy się coś tak dziwnego. Wytoczono sprawę z powództwa grupowego mojemu byłemu pracodawcy, u którego zatrudniłem się jeszcze w liceum, i po przeszło dziesięciu latach wreszcie osiągnięto ugodę. Może grupa była mała, a może prawnicy okazali się lepsi niż większość z nich – w każdym razie moja dola wyniosła dziesięć tysięcy dolarów. Więcej, niż kiedykolwiek dostałem naraz.

Usiedliśmy z Millicent przy stole w kuchni i wpatrywaliśmy się w czek. Dzieci były już w łózkach, w domu panowała cisza i przez chwilę marzyliśmy o wszystkich rzeczach, jakie moglibyśmy za to kupić. Tydzień na Hawajach albo miesiąc w górach. Wycieczka

do Europy. Pierścionek zaręczynowy, na który Millicent zasługiwała. Wypiliśmy po kieliszku wina i nasze marzenia stały się bardziej niedorzeczne. Ubrania szyte na miarę. Zestaw kina domowego. Wymyślne chromowane felgi do obu samochodów. Dziesięć tysięcy dolarów to nie była żadna fortuna, ale udawaliśmy, że jest.

– A tak poważnie – powiedziała Millicent, dopijając wino. – Dzieci. College.

– Bardzo roztropnie.

– Musimy być roztropni.

Miała rację. College kosztuje fortunę i nie zaszkodziłoby na niego oszczędzać. Tylko że to było nam nie w smak. Było nie w smak nam i naszej przyszłości, w której wszystko mogło wyglądać lepiej.

– Mam lepszy pomysł – powiedziałem.

– Lepszy niż wykształcenie naszych dzieci?

– Wysłuchaj mnie.

Zaproponowałem, żebyśmy zainwestowali te pieniądze w siebie. W pierwszych latach po ślubie i narodzinach dzieci nasza sytuacja ekonomiczna niewiele się poprawiła. Podobnie było z naszymi karierami. Millicent utknęła w sprzedaży mieszkań i tańszych domów. Bardziej doświadczeni agenci obstawiali wszystkie droższe transakcje i sprzedaży. Ja prowadziłem prywatne lekcje na publicznych kortach tenisowych w parku i nie miałem stałej klienteli. Zaproponowałem, żebyśmy coś z tym zrobili.

Początkowo brzmiało to jak jedno z naszych niedorzecznych marzeń. Bożonarodzeniowa gala w country clubie Hidden Oaks kosztowała dwa i pół tysiąca dolarów za osobę. Nie była jednak zwyczajnym przyjęciem, lecz przepustką do grona ludzi, których nie moglibyśmy spotkać nigdzie indziej. W Oaks mieszkało nowe pokolenie. Większość nie znała ani mnie, ani moich rodziców. Ci ludzie mogli sobie pozwolić na prywatne lekcje tenisa i drogie domy. To oni mieli zapłacić za wykształcenie naszych dzieci.

– Szaleństwo – stwierdziła Millicent.

– Nie słuchasz mnie.

– Nie. – Zbyła mój pomysł machnięciem ręki.

Wtedy się zaparłem.

Spieraliśmy się przez tydzień. Nazwała mnie dzieckiem, ja zarzuciłem jej krótkowzroczność. Nazwała mnie karierowiczem; ja powiedziałem, że brak jej wyobraźni. Przestała się do mnie odzywać, a ja zacząłem spać na kanapie. Nie poddałem się jednak. To ona się poddała.

Stwierdziła, że to ją męczy. Myślę, że raczej mój projekt ją zaniepokoił. Że chciała się przekonać, czy mam rację.

Wydaliśmy połowę pieniędzy na bilety, a potem kupiliśmy sukienkę i buty dla niej, smoking i buty dla mnie oraz wypożyczyliśmy na wieczór luksusowy samochód. Poza tym Millicent poszła zrobić sobie fryzurę, makijaż i paznokcie. Po opłaceniu opiekunki do dzieci niewiele nam zostało.

Efekt okazał się wart każdego wydanego centa. Pół roku po gali zaproponowano mi pracę na stanowisku profesjonalnego trenera tenisa w klubie. Millicent poznała na gali swoich pierwszych zamożnych klientów i zaczęła piąć się w górę w świecie obrotu nieruchomościami. W ciągu jednej nocy przeskoczyliśmy dobre pięć lat mozolnego gramolenia się po drabinie. Jakbyśmy automatycznie przeszli na kolejny poziom gry wideo.

Nie jesteśmy bogaci, nie tak jak nasi klienci, ale ten wieczór trochę nas do tego przybliżył.

Millicent do dzisiaj wie, że to moja zasługa. To ja zdecydowałem, na co wydać tamte pieniądze. Przypomina sobie o tym co rok, gdy idziemy na galę, lecz szczerze mówiąc, nie jestem pewny, czy to docenia.

## 28

Przyznaję, początkowo mi imponowało, że Rory znalazł sposób, by mnie szantażować. Byłem bardziej zły na siebie, że dałem się przyłapać, niż na niego, że mnie przyłapał.

Ale teraz mój syn zaczyna mnie wkurzać.

Jestem w jego pokoju. Siedzi przy biurku. Ma włączony komputer, a z ekranu wpatruje się we mnie Naomi. Minęło czterdzieści osiem godzin, odkąd wskazano ją jako jedyną zaginioną. Jej twarz jest wszędzie, we wszystkich wiadomościach i mediach społecznościowych.

– Dlaczego to oglądasz? – pytam, kiwając głową w stronę jego komputera.

– Zmieniasz temat.

Ma rację. Unikam faktu, że właśnie zażądał ode mnie setek dolarów za trzymanie gęby na kłódkę w związku z moim fikcyjnym romanssem. Albo raczej, jak powinienem powiedzieć, moim jednorazowym skokiem w bok, bo przecież przespałem się z Petrą.

– Długo zamierzasz to ciągnąć? – pytam.

– A ty? W ubiegłym tygodniu widziałem, jak wymykasz się z domu.

Gdy tak mówi, nie sposób myśleć o nim jak o dziecku. Mimo opadających rudych włosów i workowatych ubrań nie wygląda na czternastolatka. Wygląda jak mój rówieśnik.

– Zawrzyjmy umowę – mówię. – Dam ci pieniądze i obydwaj przestaniemy. Nigdy więcej nie zobaczysz, jak wymykam się z domu.

– A jeśli zobaczę?

– Jeśli znowu się wymknę, dostaniesz dwa razy więcej.

Rory traci pokerową twarz, jego brwi wędrują w górę. Próbuje ukryć zaskoczenie, pocierając brodę i udając, że rozważa moją ofertę.

– Będę cię obserwował – mówi.

– Wiem.

Kiwa głową, namyśla się, a potem odrzuca moją propozycję.

– Mam inny pomysł.

Wkurzony kręcę głową. Przed chwilą byłem na krawędzi, ale już ją przekroczyłem.

– Nie zamierzam dawać ci więcej...

– Nie chcę pieniędzy.

– Więc czego?

– Następnym razem, kiedy wymkniesz się z domu, nie będę chciał pieniędzy. Nie będę chciał niczego – mówi. – Ale powiem Jennie.

– Naprawdę powiedziałbyś siostrze?

Wzdycha. Nie jest to westchnienie starszego faceta, wypełnione znużeniem i wyczerpaniem. To westchnienie dziecka, któremu drży warga.

– Przestań, tato – mówi. – Po prostu przestań zdradzać mamę.

Teraz to ja jestem zaskoczony. Cała moc tego, co właśnie powiedział, zalewa mnie centymetr po centymetrze, aż w końcu widzę pełny obraz sytuacji.

Rory jest dzieckiem. Do dorosłości zostały mu jeszcze całe lata, wciąż mu do niej daleko. W tej chwili wygląda młodziej niż kiedykolwiek. Młodziej niż wtedy, gdy okłamałem go pierwszy raz, młodziej, niż gdy skłamałem po raz drugi i trzeci. Młodziej niż w dniu, w którym nauczyłem go trzymać raketę do tenisa, i młodziej niż w dniu, w którym odrzucił ją na rzecz golfa. Rory wygląda młodziej niż wczoraj. Wciąż jest tylko małym chłopcem.

Tu nigdy nie chodziło o pieniądze, gry wideo ani nawet o szantaż.

Cały czas najważniejsze było dla niego to, co mu się wydaje, że robię. Myśli, że wymykam się z domu, żeby zdradzać jego matkę. I chce, żebym przestał.

Gdy to sobie uświadamiam, czuję się, jakby ktoś strzelił mi w brzuch. W każdym razie przypuszczam, że człowiek tak się wtedy czuje. To coś znacznie boleśniejszego niż cios pięścią. Nie wiem, co powiedzieć ani jak.

Kiwam głową i podaję mu rękę.

Pieczętujemy umowę uściskiem dłoni.

Wciąż nie wspominam o tym wszystkim Millicent. Nie mówię jej nawet, że Rory czyta o Naomi w internecie. Dzieci i tak wszystko widzą. Te informacje są wszędzie.

Josh w dalszym ciągu zajmuje się relacjonowaniem przebiegu zdarzeń i przez cały dzień widać go w telewizji, gdzie przekazuje najnowsze wieści i wieczorne raporty. Nadal jest bardzo młody i poważny, ale teraz wygląda na zmęczonego i powinien się ostrzec.

Od dwóch dni jeździ z policją po przydrożnych parkingach. Owen przetrzymywał swoje ofiary właśnie na opuszczonym parkingu, gdzie opróżnił budynek i zmienił go w bunkier. Policja przeszukuje je wszystkie, jak również nadające się na bunkier budynki na mapie. Niczego nie znajduje.

Dziś wieczorem Josh stoi na pustej drodze, w tle widać flotę radiowozów. Młody reporter ma na sobie kurtkę i czapkę bejsbolową, w których wygląda jeszcze młodziej. Mówi, że sprawdzają kolejną potencjalną lokalizację. Szukają coraz dalej, nawet daleko na wschód, w pobliżu lasu stanowego Goethego.



To dlatego, że Naomi wciąż żyje.

Josh tego nie mówi. Policja też tego nie mówi. Ale wszyscy wiedzą, że jeśli Owen wciąż żyje, żyje także Naomi. Owen zawsze przetrzymuje je żywe i robi im potworne rzeczy. Rzeczy, o których nie wspomina się w telewizji. Rzeczy, o których nie myślę, ponieważ Millicent właśnie je robi.

W każdym razie zakładam, że robi. Zakładam, że Naomi wciąż żyje, choć o to nie pytam i nie mam pojęcia, gdzie Millicent ją trzyma. Policyjne poszukiwania sprawiają, że zaczynam się zastanawiać.

Nazajutrz rano, gdy cofam na podjeździe, Millicent wychodzi z domu. Podnosi rękę, dając mi znak, żebym zaczekał. Patrzę, jak podchodzi do mojego samochodu. Ma na sobie wąskie spodnie i białą bluzkę w maleńkie kropeczki.

Pochyliła się przy drzwiach po stronie kierowcy. Jej twarz znajduje się tak blisko mojej, że widzę malutkie zmarszczki w kącikach jej oczu – nie głębokie, ale już nie nowe. Gdy kładzie dłoń na krawędzi drzwi, zauważam zadrapania na jej przedramieniu. Jakby bawiła się z kotem.

Spostrzega, że się przyglądam, i opuszcza rękaw. Patrzę jej w oczy. W porannym słońcu wyglądają prawie tak jak kiedyś.

– Co? – pytam.

Sięga do kieszeni i wyjmuję białą kopertę.

– Pomyślałam, że to mogłoby się przydać.

Koperta jest zaklejona.

– Co to?

Puszcza do mnie oko.

– Do twojego następnego listu.

Ta drobnostka poprawia mi humor. Nie pisuję listów, ale Owen owszem.

– To ich przekona – mówi Millicent.

– Jak sobie życzysz.

Kładzie dłoń na moim policzku i głaszcze go kciukiem. Myślę, że zamierza mnie pocałować, ale tego nie robi, nie tutaj, na podjeździe, gdzie mogliby nas zobaczyć wszyscy sąsiedzi. Wraca do domu równie zwyczajnie, jak z niego wyszła, jakby przed chwilą mi przypomniała, żebym wracając do domu, kupił mleko migdałowe.

Wsuwam palec pod skrzydełko koperty i lekko ją rozchylam.

W środku jest kosmyk włosów Naomi.

## 29

Mimo tego, co powiedziała Millicent, długo się waham w kwestii kosmyka włosów Naomi. Zastanawiam się, czy wykorzystanie go poprawi, czy pogorszy sprawę. Z tego, co wiem, Jenna już nie nosi przy sobie noża, ale wciąż nie ma apetytu. Trąca jedzenie widelcem i przesuwa je po talerzu. Podczas kolacji prawie się nie odzywa. Przestała zdawać nam szczegółowe relacje z treningów piłki nożnej i wydarzeń w szkole.

To mi się nie podoba. Chcę odzyskać swoją Jennę, tę uśmiechającą się do mnie, tę proszącą o różne rzeczy, które mogę jej dać. Teraz prosi tylko o pozwolenie na odejście od stołu.

Jeśli wyślę list do Josha, potwierdzając, że Naomi jest ofiarą Owena, poszukiwania tylko się zintensyfikują. Policja przeszuka wszystkie budynki w promieniu siedemdziesięciu kilometrów, a media będą relacjonowały każdy moment tej akcji.

Może jednak niewysłanie listu będzie jeszcze gorsze? Może będzie gorzej, jeśli pozwolę wszystkim w nieskończoność snuć domysły, czy Owen dopadł Naomi. Bo wtedy Jenna się dowie, że ludzie mogą tak po prostu zniknąć i nigdy się nie odnaleźć. To prawda, ale chyba nie powinna o tym wiedzieć. W każdym razie jeszcze nie teraz.

Millicent znów ma rację. Kosmyk włosów jest przydatny.

Piszę kilka roboczych wersji listu. Pierwsza jest zbyt zawiła, druga wciąż za długa. Trzecią ograniczyłem do jednego akapitu. Potem uświadamiam sobie, że Owen wcale nie musi nic pisać.

Włosy powiedzą wystarczająco dużo.

Policja przeprowadzi test DNA i odkryje, że to włosy Naomi. Wszystko, co muszę zrobić, to zawinąć je w kartkę i podpisać u dołu.

*Owen*

Ostatni szlif to tania woda kolońska.

Kładę na kartce kosmyk włosów. Jest ich z pięćdziesiąt, może sto – nie wiem, ile dokładnie, ale mają jakieś pięć centymetrów długości. Na jednym końcu są postrzępione, widać niewielkie różnice długości. Drugi koniec jest ucięty tak prosto, że prawie słyszę ciachnięcie nożyczek.

Nie pozwalam sobie myśleć o tym dłużej. Nie chcę sobie wyobrazać, jaką minę zrobiła Naomi na widok nożyczek, nie chcę sobie wyobrazać ulgi, którą odczuła, gdy obcięto jej tylko włosy.

Zamiast tego zawijam kosmyk w kartkę, wkładam go do nowej koperty i używam gąbki, by ją zakleić. Nie zdejmuję rękawiczek, dopóki list nie trafi do skrzynki.

Gdy tylko do niej wpada, czuję przyływ adrenaliny.

Praca powinna być wytchnieniem, ale nie jest. Wszyscy mówią o Naomi, o Owenie, o tym, gdzie może ją przetrzymywać i czy kiedykolwiek ją znajdą. Kekona jest w klubie. Nie ma lekcji, ale i tak przyszła, by poplotkować z grupą kobiet w takim wieku, że każda mogłaby być matką Naomi. Mężczyźni w barze wpatrują się w ekran telewizora, patrząc na ładną zaginioną kobietę, którą chętnie by poznali. Nikt nie wspomina o tym, co robiła w Lancasterze. Dla wszystkich stała się córką, siostrą, dziewczyną z sąsiedztwa.

Przeraża mnie, jak szybko to nastąpiło.

Z pozostałymi było inaczej – zwłaszcza z Holly. Nikt jej nie szukał, bo nigdy nie zgłoszono zaginięcia.

Wspólnie z Millicent podejmujemy decyzję. Po zaginięciu Holly nigdy nie rozmawialiśmy o tym, co się stało, nie przyszło mi do głowy, że powinniśmy porozmawiać. Byłem tak pochłonięty modleniem się, żeby mnie nie złapali, że nie zastanawiałem się, co będzie potem. Po kilku dniach zadzwoniła matka Millicent. Alzheimer nie był zaawansowany do tego stopnia, by nie pamiętała, ile ma córek. Nigdy jej nie powiedzieliśmy, że Holly wypisano, ale i tak o tym wiedziała. Zadzwoniła do szpitala.

Tego dnia umówiliśmy się na pierwszą wieczorną randkę. Nigdy wcześniej tego nie robiliśmy. Nabijaliśmy się z tego sformułowania, dopóki nie stało się przydatne.

Gdy powiedziałem Millicent, że dzwoniła jej matka, wyraz jej twarzy się nie zmienił. Przed chwilą skończyliśmy kolację, dzieci oglądały telewizję, a my wciąż siedzieliśmy przy stole. Wegetariańskie paszteciki z pomidorami i organicznym serem, frytki z batatów i sałata. Wciąż dłużałem we frytkach, zanurzając je w pikantnym pseudomajonezie.

– Wiedziała, że tak będzie – powiedziała.

Obejrzałem się, chcąc sprawdzić, czy w pobliżu nie ma dzieci. W tamtych dniach bałem się własnego cienia. Nie przywykłem do łamania prawa, a tym bardziej do mordowania, więc nawet najdrobniejszy dźwięk oznaczał, że zostaliśmy przyłapani. Każdego dnia czułem się, jakbym postarzał się o rok.

– Nie powinniśmy tu o tym rozmawiać – powiedziałem.

– Oczywiście. Porozmawiamy później, kiedy dzieci pójdą spać.

Nawet to mnie przerażało.

– Powinniśmy wyjść na zewnątrz. Albo do garażu. Możemy posiedzieć w samochodzie albo coś.

– Świetnie. Zatem jesteśmy umówieni.

Nasza pierwsza wieczorna randka odbyła się, gdy jedenastoletni Rory i dziesięcioletnia Jenna już spali. Millicent zostawiła uchylone drzwi do domu, w razie gdybyśmy byli im potrzebni.

Zakładałem, że powiemy jej matce, że nie widzieliśmy Holly. Myliłem się.

– Nie możemy jej powiedzieć, że zaginęła – oznajmiła Millicent. – Zacznie jej szukać.

– Ale przecież nie znajdzie...

– Nie, nie znajdzie. Ale nie przestanie szukać, dopóki nie zapomni, że powinna to robić.

– Więc okłamiemy twoją matkę? Powiemy, że Holly tu jest i wszystko u niej w porządku?

Pokręciła głową. Pogrążona w myślach, wpatrywała się w deskę rozdzielczą. W końcu odrzekła:

– Nie da się tego przeskoczyć.

Czekałem w obawie, że znowu powiem coś głupiego.

Pamiętam, że gdy Millicent oznajmiła mi zamiar udawania, że Holly wciąż żyje, pomyślałem, że to nie wypali. Po tym wszystkim, co zrobiliśmy, i co najwyraźniej uszło nam na sucho, coś takiego mogło nas pogrążyć. Nie przemyśleliśmy tego. Nigdy nawet o tym nie rozmawialiśmy.

– To się nie uda – powiedziałem. – W końcu będzie chciała z nią porozmawiać, spotkać się. Przyjedzie tu albo spróbuje ją znaleźć... – Rozwodziłem się nad tym, wymieniając wszystkie powody, dla których taki plan nie mógł się powieść. Nie mogliśmy utrzymywać, że jesteśmy jedynymi ludźmi, którzy widują Holly albo z nią rozmawiają.

– Holly chyba chce stąd wyjechać – powiedziała Millicent. – Prawdopodobnie przeze mnie, bo przypominam jej o tym, co zrobiła i dlaczego ją zamknęli.

Zaczynałem rozumieć.

– Gdybym był na jej miejscu i chciał zacząć wszystko od nowa, mógłbym nawet wyjechać za granicę.

– Ja z pewnością wyjechałabym za granicę – powiedziała.

– Wysłałabyś mejla do matki?

– List. Długi list, w którym zawiadomiłabym ją, że nic mi nie jest, że po prostu potrzebuję trochę czasu, żeby wszystko sobie poukładać.

Wysłała ten list prawie tydzień po śmierci Holly. Holly napisała, że jedzie do Europy, żeby podreperować zdrowie, odnaleźć siebie, poszukać swojego miejsca w świecie, ale będzie regularnie przysyłać listy. Wyraziła nadzieję, że matka to zrozumie. Dołączyła

nawet zdjęcie. Pochodziło z mojego telefonu i ukazywało ją na tle szkoły naszych dzieci. Potem list zatoczył pełny krąg, gdy matka pokazała go Millicent podczas odwiedzin. Umierając, moja teściowa nie pamiętała żadnej ze swoich córek.

# 30

Najnowsze doniesienia docierają do mnie za pośrednictwem komórki, gdy siedzę w samochodzie przed kawiarnią. Jestem między domem a pracą, jadę do klubu po odebraniu dzieci ze szkoły i zatrzymałem się, żeby kupić kawę. Mój telefon wydaje z siebie dźwięk oznaczający ważną wiadomość.

## OWEN ZNOWU NAWIĄZUJE KONTAKT

Na nagraniu Josh mówi o ostatniej przesyłce od Owena. Pierwszy raz od dłuższego czasu nie wydaje się zmęczony. Stoi przed komisariatem. Ma zaróżowione policzki i oczy wytrzeszczone nie od nadmiaru kofeiny, lecz z przejęcia. Po tygodniu patrzenia, jak policja sprawdza opuszczone przydrożne parkingi i porzucone szopy, wygląda jak nowo narodzony.

Na ekranie migają zdjęcia listu. Wyraźnie widać imię Owena.

*– Człowiek, który twierdzi, że jest Owenem Oliverem Rileyem, przysłał mi nie tylko ten liścik. W kopercie znalazłem kosmyk włosów zawinięty w kartkę. Nie wiemy, czyje to włosy. Nie wiemy nawet, czy należą do mężczyzny, czy do kobiety. Właśnie trwają testy DNA i gdy tylko zdobędziemy więcej informacji, pierwsi je państwu przekazemy.*

Josh przedstawia młodą kobietę, która mówi, że jest przyjaciółką Naomi. Reporter ponownie zaznacza, że nie wiemy, co się stało z dziewczyną. Przyjaciółka nie wygląda znajomo. Nie przypominam sobie, że bym widział ją z Naomi w prawdziwym życiu ani online. Kobieta mówi nosowym głosem, który działa mi na nerwy; mam wrażenie, że siedzę w samochodzie razem z nią. Twierdzi, że Naomi jest „urocza, ale nie w pretensjonalny sposób, to wspaniała przyjaciółka, ale jednocześnie osoba niezależna, inteligentna, ale nie przemądrzała”. Nie mam pojęcia, co znaczą te wszystkie słowa.

Kobieta wychodzi z kadru. Kamera przesuwa się w stronę Josha, a następnie kadr się rozszerza. Obok reportera stoi jakiś mężczyzna. To duży facet z wąsami upodobniającymi go do morsa. Josh mówi, że jest zastępcą kierownika hotelu Lancaster, w którym pracowała Naomi. Nie prosi tego człowieka, by opisał zaginioną jednym słowem, ale ten i tak postanawia to zrobić.

– Gdybym miał opisać Naomi jednym słowem, powiedziałbym, że była miła. Była miła dla każdego, dla wszystkich gości i współpracowników. Zawsze chętna do pomocy. Jeśli gość zamawiał coś do pokoju, a room service był akurat zajęty, dobrowolnie oferowała pomoc. Jeśli ktoś zachorował, zastępowała go. Nigdy o nic nie prosiła. W każdym razie nie mnie. Nie mogę mówić za wszystkich.

Pukanie w szybę tak mnie zaskakuje, że aż się wzdrygam.

To Trista.

Widzę ją i jej odbicie w szybie. Ostatnim razem była tak odurzona, jakby za chwilę miała zapaść w śpiączkę. Dotrzymałem obietnicy i nie wspomniałem o tym Andy'emu.

Trista uśmiecha się i daje znak, żebym opuścił szybę. Gdy to robię, wsuwa głowę do samochodu i całuje mnie w policzek. Jej szminka koloru moreli wydaje się lepka.

– O, cześć – mówię.

Śmieje się. Dzięki temu wygląda młodziej – a także dzięki sportowemu daszkowi w stokrotki.

– Wybacz. Jestem w dobrym humorze.

– To widać. – Wsiadam z auta i staję przed nią. Ma przytomne spojrzenie, jej źrenice nie są ani za duże, ani za małe. Skóra jest lekko zaróżowiona, jak po dniu na plaży. – Wyglądasz wspaniale.

– Czuję się wspaniale.

Nagle ogarnia mnie ulga, która uświadamia mi, jak bardzo się o nią niepokoiłem.

– Tak się cieszę. Martwiłem się o ciebie.

– Zostawiłam Andy'ego – mówi.

– Gdzie? – Spoglądam za nią, myśląc, że Andy siedzi w kawiarni. Serio.

– Nie, mam na myśli to, że już nie jesteśmy razem.

Nie potrafię ukryć szoku. Andy i Trista pobrali się niedługo po mnie i Millicent. Byliśmy na ich ślubie. Żadne z nich nigdy nie sygnalizowało problemów ani mnie, ani Millicent. Powiedziałyby coś.

– Nie mówił ci? – pyta Trista.

– Nie.

– No cóż, zrobiłam to. Odeszłam od niego.

Chcę jej powiedzieć, że jest mi przykro z powodu rozpadu jej małżeństwa, bo naprawdę jest. Dlatego że są moimi przyjaciółmi. Wydaje się jednak taka szczęśliwa, że nie mówię ani słowa.

Trista przewraca oczami.

– Nie ma sprawy, nie musisz nic mówić. Ale wiesz co? Tak naprawdę nigdy go nie kochałam. Nie tak, jak ty kochasz Millicent. – Uśmiecha się, nie jest ani trochę

zakłopotana. – Poważnie. Wysłałam za Andy'ego, bo spełniał wszystkie kryteria. Okropnie to brzmi, prawda? Śmiało, możesz to powiedzieć. Jestem okropna.

– Nigdy nie mówiłem, że jesteś okropna.

– Ale tak myślisz. Na pewno. Przecież przyjaźnisz się z Andym.

– Z tobą też się przyjaźnię.

Wzrusza ramionami.

– Muszę zrezygnować z lekcji. Przykro mi z tego powodu, ale nie mogę przychodzić do klubu, w którym jest Andy.

– Rozumiem.

– Wiesz, naprawdę mi pomogłeś – mówi. – Tamta rozmowa pomogła mi wszystko poukładać.

Tamta rozmowa pomogła także mnie. Dzięki niej dowiedziałem się o Owenie tego, czego inaczej nie mógłbym wiedzieć, i mogłem napisać do Josha przekonujący list. Ale Trista ma na myśli coś innego.

– Przecież nic nie zrobiłem – mówię. Być może próbuję przekonać samego siebie, że nie doprowadziłem do rozpadu małżeństwa przyjaciela.

– Gdyby nie to, że jesteś takim dobrym słuchaczem, nie opowiadałabym tyle o Owenie. Nikt nie chce tego słuchać. Wszyscy wolą, żeby był potworem.

– A nie jest?

Zastanawia się na tym, ssąc słomkę.

– Jest. I nie jest. Pamiętasz, jak powiedziałem, że seks z Owenem był dobry? Nie wspaniały, ale dobry.

Kiwam głową.

– Skłamałam. Był wspaniały. Właściwie to fantastyczny. Owen był... był... – Milknie. Wpatruje się w parking przed kawiarnią, pogrążona we wspomnieniach, których nie mogę zobaczyć. Czuję się niezręcznie, gapiąc się na nią bez słowa, ale odezwanie się byłoby jeszcze bardziej niezręczne, więc się nie odzywam.

– Kochałam go – mówi.

– Owena?

Potakuje, a potem kręci głową.

– To brzmi okropnie. Nie chcę powiedzieć, że zamierzam uciec i z nim być ani nic w tym rodzaju. Zresztą nie wiedziałabym, gdzie go szukać. Boże, kiepsko to zabrzmiało.

– Rozkłada ręce, rezygnując z wyjaśnień. – Przepraszam. To dziwaczne.

– Nie, to... – Nie potrafię znaleźć innego słowa.

– Dziwaczne.

Wzruszam ramionami.

– Okej, to dziwaczne. – I okropne.



- Czy kochanie potwora nie jest czymś złym?
  - Zakochując się w nim, nie wiedziałaś, że jest potworem, prawda?
  - Prawda.
  - I nie zakochałaś się w nim dlatego, że był potworem, prawda?
- Tym razem wzrusza ramionami. Uśmiecha się.
- Skąd miałabym wiedzieć?
- Nie mam odpowiedzi.

# 31

Kościół o nazwie Wspólnota Nadziei stał się miejscem spotkań ludzi pragnących porozmawiać o Naomi, modlić się za nią albo zapalić świeczkę. Zaczęło się od jej przyjaciół i współpracowników, być może zapoczątkował to ten morsowaty facet lub dziewczyna z nosowym głosem, i teraz akcja zatacza szersze kręgi.

Nie wszedłem do kościoła, ale zatrzymałem się obok niego, wracając z pracy do domu. Patrzyłem, jak ludzie wchodzą i wychodzą. Niektórzy spędzają tam dłuższą chwilę, inni tylko kilka minut. Kilka osób kojarzę z klubu i założę się, że żadna z nich nie znała Naomi. To nie są ludzie, którzy zadają się z hotelowymi recepcjonistkami.

Wiadomość dociera do Millicent, być może za pośrednictwem jednego z jej klientów, i moja żona postanawia, że nasza rodzina powinna pójść do kościoła w piątek.

Tego wieczora wszyscy jesteśmy zabiegani. Wracam późno z lekcji tenisa i wskakuję pod prysznic. Rory poszedł po szkole do kolegi i stracił poczucie czasu, więc Millicent musi po niego pojechać. Jenna szykuje się w swoim pokoju. Nie mamy czasu na kolację w domu, więc pójdziemy coś zjeść po wizycie w kościele. Millicent przesyła nam grupową wiadomość, pytając, do jakiej restauracji chcielibyśmy pójść. Rory wybiera włoską, Jenna meksykańską, a mnie jest obojętne.

Gdy samochód wjeżdża do garażu, wołam Jennę.

– Pora na nas – mówię. Jenna zawsze powtarza, że kiedy to mówię, brzmie jak klasyczny ojciec.

Tym razem milczy.

– Jenna?

Gdy nie odpowiada za drugim razem, idę na górę i pukam do jej drzwi. Wisi na nich mała biała tablica. Jest ozdobiona tęczowymi wstążkami i słowami: „Nie wchodź, Rory!”, nakreślonymi jej krągłym charakterem pisma.

Na dole otwierają się drzwi do garażu.

– Gotowi? – woła Millicent.

– Prawie – odpowiadam i znowu pukam do drzwi.

Jenna się nie odzywa.

– Co się dzieje? – pyta Millicent.

Drzwi nie są zamknięte na zamek. Uchylam je.

– Jenna? Wszystko w porządku?

– Tak. – Cichutki dźwięk. Dobiega z łazienki.

W naszym domu nikt nie ma samej sypialni. Mamy sypialnie z łazienkami. Cztery sypialnie, cztery i pół łazienki – tak buduje się wszystkie domy w Hidden Oaks.

– Szybciej! – krzyczy Rory.

Millicent idzie po schodach.

Przechodzę przez pokój Jenny, mijam zabawki z dzieciństwa oraz ubrania, buty i kosmetyki do makijażu rozkwitającej nastolatki. Drzwi do łazienki są otwarte. Gdy zaglądam do środka, na progu pokoju Jenny staje Millicent.

– Co się dzieje? – pyta.

Jenna stoi na białych płytkach, a wokół jej stóp leżą pukle ciemnych włosów. Patrzy na mnie, jej oczy wydają się większe niż kiedykolwiek dotąd. Obcięła sobie wszystkie włosy. Ostrzygła je na krótko, mają najwyżej dwa centymetry.

Za moimi plecami rozlega się zduszony okrzyk Millicent. Żona przeciska się obok mnie, podbiega do Jenny i bierze jej głowę w obie ręce.

– Co ty zrobiłaś? – pyta.

Jenna wpatruje się w nią, nie mruga.

Milczę, choć znam odpowiedź. Wiem, co zrobiła Jenna. Ta świadomość mnie zmraża, moje ciało wrasta w dywan koloru persymony.

– O co tu... – Rory też wchodzi do pokoju, gapi się na siostrę, a potem na włosy na podłodze łazienki.

Jenna odwraca się do mnie i mówi:

– Teraz mnie nie zabierze, prawda?

– Jezus – mówi Rory.

Nie Jezus.

Owen.

Nie idziemy do kościoła. W ogóle nie wychodzimy z domu.

– Lekarz – mówi Millicent. – Nasza córka potrzebuje lekarza.

– Znam jednego – odpowiadam. – To mój klient.

– Zadzwoń do niego. Nie, zaczekaj. Chyba nie powinieneś korzystać z usług klientów. Lepiej, żeby się nie dowiedzieli.

– O czym?

– Że nasza córka potrzebuje pomocy.

Wpatrujemy się w siebie, nie mając pojęcia, co robić. Surrealizm to zbyt słabe określenie.

To dla nas nowy problem. W podręcznikach dotyczących wychowania dzieci można znaleźć odpowiedź na wszystko. Millicent ma wszystkie podręczniki. W razie choroby idzie się do lekarza. W razie złego samopoczucia kładzie się do łóżka. Jeśli tylko się symuluje, idzie się do szkoły. W razie problemu z innym dzieckiem dzwoni się do jego rodziców. W razie napadu hysterii stosuje się przeczekanie.

Z tym problemem jest jednak inaczej. Podręczniki nie mówią, co robić, gdy twoje dziecko boi się seryjnego mordercy. Zwłaszcza takiego jak ten.

Jesteśmy w sypialni, rozmawiamy ściszymi głosami. Jenna siedzi na kanapie na dole, ogląda telewizję w czapce bejsbolowej na głowie. Jest z nią Rory. Powiedzieliśmy mu, żeby nie spuszczał siostry z oka. Poza tym zabroniliśmy mu z tego żartować. Dla odmiany stosuje się do naszych poleceń.

Millicent postanawia zadzwonić do naszego lekarza rodzinnego. Doktor Barrow nie jest naszym klientem. To tylko lekarz, do którego chodzimy od lat. Leczy nasze bolące gardła i brzuchy, sprawdza, czy nie połamaliśmy sobie kości i nie mamy wstrząsu mózgu, ale wątpię, czy zdoła nam pomóc w tej sytuacji. To starszy facet, który niekoniecznie wierzy w istnienie czegoś takiego jak zdrowie psychiczne.

– Już późno – mówię do Millicent. – Nie odbierze.

– Zadzwonię do niego z przychodni. Zawsze jest jakiś sposób, żeby skontaktować się z lekarzem.

– Może powinniśmy...

– Zadzwonię do niego – ucina. – Musimy coś zrobić.

– Tak. Chyba musimy.

Sięgając po telefon, rzuca mi wymowne spojrzenie. To jeden z tych rzadkich wypadków, w których nie potrafię rozszyfrować wyrazu jej twarzy. Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że wygląda trochę jak panika.

Schodzę na dół, żeby sprawdzić, co robi Jenna. Siedzą z Rorem na kanapie. Oglądają telewizję, jedząc kanapki z wepchniętymi do środka chipsami ziemniaczanymi. Jenna patrzy na mnie. Uśmiecham się do niej, starając się pokazać, że wszystko jest w porządku, że z nią też wszystko jest w porządku, że cały świat jest w porządku i nikt jej nie skrzywdzi. Odwraca wzrok i odgryza kolejny kęs.

Nie udało mi się.

Na górze Millicent rozmawia przez telefon. Jej głos brzmi zbyt spokojnie, zbyt beznamyślnie, gdy wyjaśnia automatowi, że tak, to nagły wypadek, i tak, jeszcze dziś wieczorem musi pomówić z doktorem Barrowem. Rozłącza się, czeka pięć minut i dzwoni jeszcze raz.

Doktor Barrow wreszcie oddzwania. Millicent pospiesznie wyjaśnia, co się stało, co zrobiła nasza córka. Z trudem nadąża z wypowiedaniem słów.

To dla niej kryzys – dla nas, dla naszej rodziny. Ja pełnię funkcję pośrednika.

Jenna przeżywa kryzys.

Millicent próbuje temu zaradzić.

Rory nie wchodzi im w drogę. Trzyma się z dala od linii ognia.

Ja biegam tam i z powrotem po schodach, wszystko sprawdzając i o niczym nie decydując. Znowu jestem gdzieś pośrodku.

## 32

Doktor Barrow zaleca konsultację z psychologiem dziecięcym, który zgadza się przyjąć nas w sobotę za dwukrotnie wyższą opłatą. Wszystko w jego gabinecie jest beżowe, od dywanu po sufit, i czujemy się tam jak w misce z owsianką.

Psycholog specjalizuje się w tego rodzaju przypadkach, bo to poważne sprawy. Orzeka, że Jenna nie czuje się bezpieczna. Przypuszcza, że nasza córka cierpi na jakieś indukowane przez media zaburzenie lękowe, ale jego konkretna nazwa okazuje się nieistotna. Przyczyny, dla których Jenna tak się zachowuje, też są nieistotne, ponieważ nie mają racjonalnego uzasadnienia. Rozsądek nie ma tu nic do rzeczy.

– Mogą państwo powtarzać Jennie, że jest bezpieczna, aż zacznie mówić to przez sen, ale to niczego nie zmieni.

Millicent siedzi przed lekarzem, najbliżej, jak to możliwe. Spędziła noc w pokoju Jenny, prawie nie spała i wygląda koszmarnie. Ja prezentuję się podobnie. Jenna zasnęła bez problemu. Zdaje się, że obcięcie włosów przywróciło jej spokój ducha. Gdy staram się powiedzieć to lekarzowi, unosi dłoń.

– Błąd.

– Błąd – powtarzam. Kusi mnie, żeby naśladować ton jego głosu, ale byłoby to zbyt aroganckie.

– Ten spokój prawdopodobnie jest chwilowy i potrwa tylko dopóty, dopóki kolejne informacje znowu nie wytrącą jej z równowagi – mówi. Poprzednią godzinę spędził z Jenną w ramach pilnej sobotniej porannej sesji zorganizowanej przez doktora Barrowa. My bierzemy udział w jej drugiej części.

– Co mamy robić? – pyta Millicent.

Lekarz ma pewne pomysły na to, jak sprawić, by Jenna czuła się bezpieczna. Po pierwsze, dwie wizyty w tygodniu w jego gabinecie. Każda kosztuje dwieście dolarów, ubezpieczenie tego nie pokrywa, wyłącznie gotówka albo karta debetowa. Po drugie, spełnianie wszystkich obietnic. Nigdy nie możemy sprawiać Jennie zawodu. Nie możemy dopuścić do tego, by pomyślała, że jej nie wspieramy.

– Przecież zawsze tak robimy – mówię.

– Zawsze? – pyta.

– Co najmniej w dziewięćdziesięciu procentach przypadków – mówi Millicent. – Może nawet w dziewięćdziesięciu pięciu.

– Niech państwo tak robią w stu.

Millicent kiwa głową, jakby mogła machnąć czarodziejską różdżką, żeby tak się stało.

– Na koniec równie ważna sprawa – mówi lekarz. – Należy ograniczyć jej kontakt z mediami: z tym seryjnym mordercą i ze wszystkimi doniesieniami o jego ofierze. Zdaję sobie sprawę, że proszę o coś niemożliwego, zwłaszcza w tych czasach i w przypadku dziecka w tym wieku, ale proszę zrobić wszystko, co w państwa mocy. Nie oglądajcie wiadomości w domu. Nie rozmawiajcie o Owenie ani o niczym, co go dotyczy. Starajcie się zachowywać, jakby nie miał nic wspólnego z waszą rodziną.

– Bo nie ma – mówię.

– Oczywiście, że nie.

Wypisujemy lekarzowi wysoki czek i wychodzimy. Jenna siedzi w poczekalni. W telewizorze na ścianie lecą kreskówki. Nasza córka wpatruje się w telefon.

Millicent marszczy brwi.

Uśmiecham się i staram się, jak mogę.

– Kto ma ochotę na śniadanie?

Weekend to wir spotkań: z całą rodziną, z samą Jenną, z samym Rorym, z obojgiem dzieci i tylko z Millicent. Mnóstwo spotkań z Millicent. W niedzielę wieczorem mamy już ustalone nowe zasady, które kręcą się wokół wyeliminowania wiadomości z naszego życia. Wszystkie serwisy informacyjne są zakazane, podobnie jak gazety. Filmy będziemy przesyłali strumieniowo i zrobimy wszystko, żeby uniknąć oglądania programów na żywo. Żadnych transmisji radiowych. Byłoby łatwo, gdyby nie internet. Dzieci używają go do odrabiania lekcji, do zabawy, do komunikacji.

Mimo to Millicent podejmuje próbę, zaczynając od hasła dostępu. Nikt oprócz niej nie będzie mógł połączyć się z siecią.

Bunt.

– W takim razie nie mogę tu dłużej mieszkać. – Rory idzie na całość i nie owija w bawełnę.

Jenna kiwa głową, popierając brata. Rzadki moment solidarności.

Zgadzam się z dziećmi. Millicent zaproponowała coś niepraktycznego, niewykonalnego. Absurd.

Ale nic nie mówię.

Rory wodzi wzrokiem między mną a matką, wyczuwając słabość. Wymienia wszystkie powody, dla których pomysł z hasłem nie wypali, zaczynając od tego, że Millicent pracuje do późna.

Wreszcie wtrąca się Jenna.

– Nie zdam z angielskiego.

To przesądza sprawę.

W tym roku nasza córka ma problemy z angielskim. Pracuje dwa razy ciężiej niż dotąd, by utrzymać świadectwo z czerwonym paskiem, i na myśl o tym, że go nie dostanie, Millicent mięknie. Decyduje się na złagodzenie zasad.

Kontrola rodzicielska, korzystanie z laptopów w salonie, usunięcie z telefonów wszystkich apek serwisów informacyjnych. Ma to raczej wartość psychologiczną niż praktyczną, ale wszyscy rozumiemy, o co chodzi. Nie mam pojęcia, czy Jenna będzie się stosowała do nowych zasad.

Fryzjerka próbuje nadać kształt temu, co zostało z włosów Jenny. Po wyrównaniu nie wyglądają tak źle – tylko inaczej. Millicent kupuje przeróżne kapelusze i czapki, w razie gdyby Jenna wolała zasłonić fryzurę. Rozkłada wszystkie nakrycia głowy na stole w jadalni, a Jenna podchodzi do nich i po kolei przymierza. Na koniec wzrusza ramionami.

– Ładne – mówi.

– Co podoba ci się najbardziej? – pyta Millicent.

Jenna znowu wzrusza ramionami.

– Nie jestem pewna, czy potrzebuję kapelusza.

Ramiona Millicent lekko opadają. Bardziej przejmuje się włosami Jenny niż sama Jenna.

– Okej – mówi, zbierając nakrycia głowy. – Zaniosę je do twojego pokoju.

Przed porą kładzenia się spać idę zajrzeć do Rory'ego. Leży na łóżku i czyta komiks. Wsuwa go pod poduszkę, a ja udaję, że nie zauważyłem.

– Co? – pyta poirytowany.

Siadam przy jego biurku. Książki, zeszyty, ładowarki. Pełna paczka chipsów i rysunek przedstawiający coś, co wygląda trochę jak potwór, a trochę jak bohater.

– To nie w porządku – mówię. – Nie zrobiłeś nic złego, ale i tak musisz z tym żyć.

– Wszyscy za jednego. Kumam.

– Co o tym myślisz? – pytam.

– O czym?

– O tej sytuacji z twoją siostrą.

Zaczyna coś mówić. Poznaję po jego zielonych oczach, że ma ochotę rzucić jakiś głupi żarcik.

Ale milknie. Na dłuższą chwilę.

– Nie wiem – mówi. – Ma na tym punkcie lekką obsesję.

– Na punkcie Owena.

– No. To znaczy większą obsesję niż zwykle. Wiesz, jaka ona jest.



Ma na myśli zdolność Jenny do laserowego skupienia się na jakimś temacie, obojętnie, czy chodzi o piłkę nożną, wstążki, czy kucyki. Rory nazywa to obsesją, ponieważ jemu taki stan jest obcy.

– Jak się zachowuje w szkole? – pytam.

– Chyba normalnie. Nadal jest lubiana.

– Dasz mi znać, jeśli coś się zmieni?

Zastanawia się, może chce poprosić o coś w zamian.

– No – odpowiada.

– I nie bądź dla niej aż takim dupkiem.

– Przecież to moje zadanie. Jestem jej bratem. – Uśmiecha się.

– Wiem. Po prostu nie wykonuj tego zadania aż tak dobrze.

W niedzielę późnym wieczorem w końcu zostajemy z Millicent sami. Jestem wyczerpany. Zaniepokojony. Boję się kolejnych doniesień o Owenie, Naomi albo Lindsay.

Naomi. Pierwszy raz od dwóch dni uświadamiam sobie, że Millicent cały czas jest przy nas. Jest z Jenną, ze mną, z nami wszystkimi od piątku wieczorem. Zaczynam się zastanawiać, gdzie jest Naomi, czy wciąż żyje. Na pewno ma wodę. Bez niej by nie przetrwała.

Dotąd wolałem nie myśleć o tym, gdzie jest Naomi, jak jest unieruchomiona, co ją otacza. Zmuszałem się do skupienia na czymś innym. Mimo to napływają obrazy. Te, o których słyszałem: o podziemnym bunkrze albo piwnicy, o dźwiękoszczelnym pomieszczeniu w zupełnie zwyczajnym domu. Myślę też o ograniczeniu ruchów. O łańcuchach i stalowych kajdankach, których nie można złamać.

Możliwe jednak, że prawda wygląda zupełnie inaczej. Może Naomi po prostu siedzi zamknięta w jakimś pokoju i wolno jej po nim chodzić. To mógłby być zwyczajny pokój z łóżkiem, kredensem, łazienką, może z lodówką. Wygodny i czysty. Nie żadna przerażająca izba tortur ani nic z tych rzeczy. Niewykluczone, że byłby tam nawet telewizor.

Albo i nie.

Odwracam się do Millicent. Siedzi na łóżku, trzyma tablet i szuka informacji o dzieciach, które boją się czegoś, co zobaczyły w telewizji.

Znowu się zastanawiam, czy nie spytać jej o Naomi. Chcę się dowiedzieć, gdzie i jak ją przetrzymuje, ale boję się tego, co mógłbym zrobić z tymi informacjami.

Wątpię, żebym zdołał nad sobą zapanować.

Gdybym wiedział, gdzie jest, poszedłbym ją zobaczyć. Musiałbym. A gdyby najgorszy scenariusz okazał się prawdziwy? Gdyby siedziała przykuta do kaloryfera w jakiejś

piwnicy, brudna i zakrwawiona po torturach? Gdybym zobaczył coś takiego, nie jestem pewny, co bym zrobił.

Zabiłbym ją? Wypuścił?

Dlatego nie pytam.

## 33

Wskrzyszony Owen spełnił swoje zadanie. Nikt nie wątpi, że to on porwał i zamordował Lindsay, że to on ma teraz Naomi. Pora, żeby usunął się trochę w cień. To jedyny sposób, by zatrzymać lawinę wiadomości: koniec z listami, koniec z kosmykami włosów. Koniec z zaginięciami kobiet. Koniec ze zwłokami.

Potrzebujemy strategii wyjścia. Jenna jej potrzebuje.

W klubie wciąż mówi się o Owenie. Ja tego nie robię. Wychodzę z baru, trzymam się z dala od plotek, nawet od Kekony. Wciąż trenujemy tylko dwa razy w tygodniu, ale Kekona codziennie przesiaduje w klubie. Ja spędzam cały dzień na korcie: albo z klientem, albo czekając na następnego. W porównaniu z ostatnimi tygodniami – i ostatnim weekendem – ten dzień jest niemal normalny. Na pewno wydarzy się coś, co to zmieni.

Prowadzę lekcję z parą, która mieszka w Hidden Oaks od czasów jego powstania. Obydwoje poruszają się wolno, ale i tak jestem pod wrażeniem, że w ogóle mogą się jeszcze poruszać.

Po lekcji idziemy razem do klubowego sklepu. Chcę kupić kawę i spojrzeć na swój grafik na najbliższy tydzień. Najkrótsza droga do sklepu wiedzie przez bar i właśnie tam zauważam Andy'ego.

Ostatni raz widziałem go jeszcze przed odejściem Tristy. Wtedy wyglądał zwyczajnie: wystający brzuch, rzadzące włosy, cera zarumieniona od picia nadmiernych ilości wina.

Teraz wygląda fatalnie. Siedzi oparty o bar w dresowych spodniach wyglądających, jakby miały ze sto lat. Bawełniana koszulka Hidden Oaks jest nowiuteńka, ale pognieciona w miejscu złożenia, tak jakby przed chwilą kupił ją w sklepiku i od razu włożył. Jest gładko ogolony, lecz rozczochrany. Alkohol w jego szklance jest brązowy i czysty – żadnych dodatków, żadnego lodu.

Podchodzę do niego, bo jest moim przyjacielem. Albo raczej był, dopóki nie zacząłem przed nim zatajać różnych spraw.

– Cześć – mówię.

Odwraca się do mnie, choć nie wydaje się uszczęśliwiony.

– Proszę, proszę, toż to nasz zawodowiec. Mam na myśli zawodowego gracza w tenisa. Chyba że jesteś innego rodzaju zawodowcem.

– Co słyszeć?

– O, chyba wiesz, co słyszeć.

Kręcę głową. Wzruszam ramionami. Udaję, że nie mam pojęcia, co się dzieje.

– Dobrze się czujesz?

– Nie, nie bardzo. Ale może powinieneś spytać moją żonę. Doskonale ją znasz, prawda? Zanim ma szansę coś dodać, biorę go za ramię.

– Wyjdźmy na świeże powietrze – proponuję. Na szczęście nie protestuje. Nie mówi niczego, co mogłoby narobić mi kłopotów w pracy.

Przecinamy salę i wychodzimy frontowymi drzwiami. Zatrzymujemy się przy łukowatym wejściu. Bluszcz pnie się po jednym boku i spływa po drugim. Z jednej strony jest klubowy sklep. Z drugiej parking.

Odwracam się do Andy'ego.

– Słuchaj, nie wiem...

– Sypiasz z moją żoną?

– Jezu. Nie.

Wpatruje się we mnie, nie jest przekonany.

– Andy, nigdy nie przespałbym się z twoją żoną. Nigdy.

Jego ramiona lekko opadają i złość go opuszcza. Wierzy mi.

– Ale ona kocha kogoś innego.

– Nie mnie. – Nie zamierzam mu mówić kogo.

– Przecież ciągle się widujecie. Dwa razy w tygodniu, prawda? Dajesz jej lekcje tenisa?

– Od kilku lat. Sam wiesz. Ale nigdy nie wspominała, że ma romans.

Andy mruży oczy i przygląda mi się.

– Mówisz prawdę?

– Jak długo się znamy?

– Od dziecka.

– I myślisz, że byłbym lojalniejszy wobec Tristy niż wobec ciebie?

Andy rozkłada ręce.

– Nie wiem. Te historie z zaginionymi dziewczynami bardzo ją przygnębiły. Nie chce więcej oglądać wiadomości. – Spuszcza głowę i uderza czubkiem buta w sztuczny bruk. – Przysięgasz, że nic nie wiesz?

– Przysięgam.

– W porządku. Wybacz – mówi.

– Nie ma sprawy. Masz ochotę skoczyć na lancy albo coś? – Nie wspominam o drinkach.

- Nie teraz. Idę do domu.
- Jesteś pewny?

Kiwa głową i odchodzi. Nie wraca do baru, kieruje się w stronę parkingu. Już mam mu powiedzieć, że nie powinien prowadzić, ale ostatecznie tego nie robię. Obsługa parkingu go zatrzyma. Odpowiedzialność prawna i takie tam.

Kontynuuję lekcje. Nie docierają do mnie żadne wiadomości. Nikt nie dzwoni, nic więcej nie zakłóca mojego spokoju. Dopóki nie kończę pracy i wracając do domu, nie zatrzymuję się w myjni samochodowej.

Zazwyczaj sprawdzam telefon – ten na kartę – przynajmniej co drugi dzień, ale złamałem własną zasadę. Za dużo się dzieje, mam zbyt wiele innych spraw na głowie.

Komórka leży schowana w zapasowej oponie w moim bagażniku. W myjni wyjmuję wszystko, żeby można było odkurzyć, i zabieram telefon razem z całą resztą. Gdy samochód jest myty, włączam komórkę. Zaskakuje mnie dźwięk nowej wiadomości. Zarówno ten dźwięk, jak i sam telefon są przestarzałe. To nawet nie jest smartfon, tylko stary model, który jest cięższy, niż wygląda.

Kupiłem go przed laty w jakimś dyskoncie. Podjęcie decyzji zajęło mi trochę czasu. Nie decyzji w sprawie samego telefonu – wtedy wszystkie telefony na kartę wyglądały tak samo. Potrzebowałem czasu, by zdecydować, czy w ogóle go kupić. Miła ekspedientka podeszła i spytała, czy może mi w czymś pomóc. Wyglądała za staro, by znać się na elektronice, ale okazało się, że wie o niej wszystko. Poza tym była bardzo cierpliwa, bardzo uprzejma, a ja zadawałem jedno pytanie za drugim. Odpowiedzi zupełnie mnie nie interesowały. Nie obchodziły mnie szczegóły techniczne. Próbowałem zdecydować, czy chcę kupić drugi telefon, na kartę, i chyba postanowiłem to zrobić, ponieważ w pewnym momencie zrezygnowanie z zakupu wydałoby się niegrzeczne. Zająłem jej mnóstwo czasu.

Od tamtej pory mam drugi telefon. Najnowsza wiadomość przyszła od Annabelle.

Nie myślałem o niej, odkąd zdecydowałem, że się nie nadaje. Nie było sensu myśleć o niej, dopóki nie zadzwoniła. A raczej nie napisała. Dzwonienie do głuchego mężczyzny na niewiele się zdaje.

*Witaj, nieznajomy, wybierzmy się znowu na drinka. Aha, tu Annabelle.*

Nie mam pojęcia, kiedy wysłała tego esemesa. Dociera do mojej komórki dopiero, gdy ją włączę, ale mógł zostać napisany tydzień temu. Bo minął co najmniej tydzień, odkąd włączałem ten telefon.

Zastanawiam się, czy odpisać, czy przynajmniej nie wyjaśnić, że nie ignorowałem jej umyślnie.

Mój samochód wciąż jest myty, więc scrolluję wstecz. Przed wiadomością od Annabelle jest esemes od Lindsay. Ten, który zignorowałem. Piętnaście miesięcy temu.

*Wspaniale się ostatnio bawiłam, Tobias. Do zobaczenia wkrótce!*

Tobias nie miał mieć własnej osobowości. I nie miał z nikim sypiać.

Wymyśliliśmy go razem z Millicent. Stało się to w jeden z nielicznych zimnych wieczorów na Florydzie, gdy temperatura spada poniżej czterech stopni Celsjusza. Tobias przyszedł na świat między gorącym kakao a kubkiem lodów.

– W sumie nie zmienisz swojego wyglądu – powiedziała Millicent. – To znaczy musiałbyś użyć jakiejś peruki albo sztucznej brody.

– Nie zamierzam nosić peruki.

– W takim razie trzeba wymyślić coś innego.

To ja zaproponowałem, że będę udawał głuchego. Zaledwie kilka dni wcześniej udzielałem lekcji niesłyszącemu nastolatkowi i porozumiewaliśmy się za pomocą komórek. Zapadło mi to w pamięć, więc rzuciłem taki pomysł.

– Genialne – powiedziała Millicent. Pocałowała mnie tak, jak lubię.

Potem dyskutowaliśmy o moim imieniu. Musiało być łatwe do zapamiętania, ale nie dziwaczne, tradycyjne, ale nie pospolite. W końcu wybór zawęził się do dwóch możliwości: Tobias i Quentin. Ja chciałem wybrać to drugie ze względu na jego skróconą wersję. Quint brzmiał lepiej niż Toby.

Debatowaliśmy o zaletach i wadach obu imion. Millicent sprawdziła nawet ich znaczenie.

– Tobias pochodzi od hebrajskiego Tobiah – powiedziała, czytając w internecie. – Quentin od rzymskiego Quintus.

Wzruszyłem ramionami. Żadne z tych źródeł nic dla mnie nie znaczyło.

Millicent czytała dalej.

– Quintus to po łacinie „piąty”. Tobias to imię biblijne.

– Co zrobił biblijny Tobias?

– Zaczekaj. – Millicent kliknęła, poscrollowała i powiedziała: – Zabił demona, żeby uratować Sarah, a potem się z nią ożenił.

– Chcę być Tobiasem – oznajmiłem.

– Jesteś pewny?

– Kto nie chciałby być bohaterem?

Tego wieczora narodził się Tobias.

Niewiele osób go poznało – tylko kilku barmanów i parę kobiet. Nawet Millicent go nie zna. Tobias jest prawie jak moje alter ego. Ma też własne sekrety.

Nie odpisuję na esemesa, w którym Annabelle zaprasza mnie na drinka. Wyłączam komórkę i wkładam ją z powrotem do bagażnika.

# 34

Boże Narodzenie sześć lat temu. Rory miał osiem lat, Jenna siedem, i obydwójce zaczęli pytać, dlaczego mają tylko jeden zestaw dziadków. Nigdy nie mówiłem im o swoich rodzicach, nie wspominałem, kim byli ani jak umarli. Pytania dzieci sprawiły, że zacząłem się zastanawiać, co mógłbym im powiedzieć. Co powinienem powiedzieć.

Pewnej nocy zszedłem do kuchni, mając nadzieję, że jeśli napełnię brzuch, ogarnie mnie rozleniwienie, które pozwoli przewyciężyć bezsenność. Zjadłem prosto z patelni resztę zapiekanki z czarnej fasoli. Była zimna, ale całkiem niezła. Nim skończyłem jeść, do kuchni weszła Millicent. Wzięła widelec i usiadła obok mnie.

– Co się dzieje? – spytała. Włożyła do ust dużą porcję zapiekanki i wpatrywała się we mnie z oczekiwaniem. Normalnie nigdy nie wstawałem w środku nocy, żeby jeść. Wiedziała o tym.

– Dzieci pytają o moich rodziców.

Millicent uniosła brwi, ale milczała.

– Jeśli skłamię i powiem, że byli wspaniali, znienawidzą mnie, gdy odkryją prawdę, nie?

– Chyba tak.

– Ale i bez tego mogą mnie znienawidzić.

– Na jakiś czas – odparła. – To chyba normalne, że dzieci przechodzą etap, w którym za wszystko obwiniają rodziców.

– Ile on trwa?

Wzruszyła ramionami.

– Dwadzieścia lat?

– Mam nadzieję, że przynajmniej jest wtedy cicho.

Uśmiechnąłem się. Też się uśmiechnęła.

Mógłbym im powiedzieć, że moi rodzice stosowali wobec mnie przemoc. Psychiczną. Fizyczną. Nawet seksualną. Mógłbym powiedzieć, że mnie bili, związywali, przypalali papierosami i utrudniali mi życie na wszelkie możliwe sposoby. Nie robili tego jednak. Dorastałem w ładnym domu w ładnej okolicy i nikt nigdy nie dotknął mnie w niewłaściwy sposób. Moi rodzice byli kulturalnymi, grzecznymi ludźmi, którzy mogliby recytować zasady dobrego wychowania nawet przez sen.

Poza tym byli okropni, zimni i nie nadawali się na rodziców. Powinni być wystarczająco inteligentni, by wiedzieć, że dziecko nie zdoła rozwiązać ich problemów.

Kroplą, która przelała czarę goryczy, okazała się ich reakcja na mój wyjazd za granicę. Kiedy im oznajmiłem, że chcę zrobić przerwę w nauce i podróżować, dali mi trochę pieniędzy. Kupiłem otwarty bilet lotniczy i ogromny plecak, a potem wypłem kilkadziesiąt głębszych. Andy i dwaj inni kumple postanowili do mnie dołączyć, więc naprędce opracowaliśmy plan i ustaliliśmy datę. Nie powiedziałem im – nikomu nie powiedziałem – że się boję.

Kilka godzin przed lotem wciąż się pakowałem, wciąż próbowałem zdecydować, które koszulki zabrać i czy będę potrzebował grubej kurtki. Owszem, byłem podekscytowany. Nie mogłem się doczekać, kiedy się wydostanę z Hidden Oaks. Nie mogłem się doczekać, kiedy opuścę swój pokój z dzieciństwa, w którym wszystkie ściany pomalowano tak, jakbym był w niebie, otoczony gwiazdami. Miałem dość marzenia o tym, co jest poza nim, i chciałem się o tym przekonać na własne oczy.

Poza tym nie miałem pojęcia, co się wydarzy. Poniosłem już klęskę w tenisie, a potem następną, gdy nie dostałem się do dobrego college'u. Przeciętny tenisista, przeciętne stopnie. Co by się stało, gdybym okazał się przeciętnym podróżnikiem? Nie miałem pojęcia. Ale na pewno byłoby to lepsze niż poczucie, że w ogóle nie powinienem się urodzić.

Miałem nadzieję, że nigdy nie wrócę i nie zobaczę ponownie tych ścian pomalowanych jak niebo.

Rodzice nie odwieźli mnie na lotnisko. Zabrała mnie taksówka, bo za bardzo wstydziałem się poprosić o podwózkę kumpli i ich rodziców. Była środa rano, mieliśmy wystartować wcześniej i właśnie zaczynało świtać. Matka z kubkiem kawy, ojciec już ubrany – wszyscy staliśmy w przedpokoju na lśniących płytkach, otoczeni lustrami. Wazon na ustawionym na środku stoliku był wypełniony pomarańczowymi chryzantemami. Wschodzące słońce padło na kryształowy żyrandol nad naszymi głowami, tworząc tęczę na schodach.

Taksówkarz zatrąbił. Matka pocałowała mnie w policzek. Ojciec uścisnął mi rękę.

– Tato, chcę...

– Powodzenia – uciał.

Zapomniałem, co zamierzałem powiedzieć, więc po prostu wyszedłem. Nigdy więcej ich nie widziałem.

Ostatecznie nie okłamałem dzieci. Powiedziałem im, że ich dziadkowie zginęli w wypadku samochodowym i od wielu lat nie żyją.

Nie powiedziałem im wszystkiego, ale prawie wszystko. Ze względu na Millicent. Razem ustaliliśmy, ile powinny wiedzieć. Zwołaliśmy naradę rodzinną, żeby wyglądało to



jak najbardziej oficjalnie. Rory i Jenna byli jeszcze mali. Może nie postąpiliśmy sprawiedliwie, ale tak zdecydowaliśmy.

Usiedliśmy w salonie. Jenna miała już na sobie żółtą pizamę w balony. Uwielbiała balony, a Rory uwielbiał je przekłuwać. Ciemne włosy Jenny sięgały do podbródka, na czoło spadała prosta grzywka. Wyglądały spod niej ciemne oczy.

Rory miał na sobie niebieską koszulkę i spodnie dresowe. Skończywszy siedem lat, oznajmił, że jest za stary na pizamy. Uznaliśmy z Millicent, że jakoś to przeżyjemy, i przestaliśmy je kupować.

Trudno było patrzeć na ich maleńkie, ufnie twarze i mówić im, że czasami jest lepiej, jeśli pewni ludzie nie mają dzieci.

– Nie każdy powinien być rodzicem – powiedziałem. – Tak jak nie każdy jest miły.

Jenna odezwała się pierwsza.

– Już wiemy, że nie wolno ufać obcym.

– Nie wszyscy w waszej rodzinie są mili. Albo byli.

Zamyślane miny. Dezorientacja.

Mówiłem przez dziesięć minut. Tyle wystarczyło, by moje dzieci się dowiedziały, że ich dziadkowie nie byli dobrymi rodzicami.

Ironia tej sytuacji dotarła do mnie dopiero po latach, po Holly i pozostałych. Być może pewnego dnia Rory i Jenna będą rozmawiali ze swoimi dziećmi i powiedzą to samo o mnie i o Millicent.

## 35

Zakładałem, że badanie DNA kosmyka włosów Naomi potrwa dłużej niż tydzień. Może dlatego, że w telewizji zawsze idzie to tak szybko, doszedłem do wniosku, że w krótszym czasie jest to nierealne. Że prawdziwe badanie DNA musi trwać miesiącami. I najwyraźniej tak jest, ale nie w wypadku wstępnych testów. I nie gdy policja szuka kobiety, która wciąż może być żywa.

Testy wskazują, że z ponad dziewięćdziesięcioprocentową pewnością włosy należą do Naomi.

Dowiaduję się o tym od Kekony. Nasza zwyczajna lekcja tenisa zmienia się w zajęcia z medycyny sądowej, bo nowe hobby Kekony to kryminały inspirowane prawdziwymi zbrodniami i filmy dokumentalne. Często występują w nich zaginione i/lub martwe kobiety.

– Zawsze młode, piękne i w gruncie rzeczy niewinne – mówi Kekona, wymieniając jedną cechę po drugiej. Trzyma kubek kawy i wątpię, żeby to była jej pierwsza kawa tego dnia. – Choć czasami pokazują ku przestrodze historię jakiejś prostytutki.

– A potem? – pytam.

– Co masz na myśli?

– Co się dzieje, gdy znika ta młoda, piękna i w gruncie rzeczy niewinna kobieta?

Kekona unosi ręce, jakby próbowała uciszyć głośną publiczność.

– Opcja numer jeden: sprawcą jest jej zazdrosny i zaborczy chłopak. Albo zazdrosny i zaborczy były chłopak.

– To wszystko jest opcja numer jeden?

– Tak. Skup się. Opcja numer dwa to ktoś obcy albo najprawdopodobniej obcy. To psychol/stalker/socjopata/chory psychicznie/seryjny morderca. Przynajmniej jeden z nich, być może kilku.

Kekona nie mówi mi niczego nowego. Też oglądam telewizję. Tyle że ostatnio tego nie robię, bo w naszym domu wciąż obowiązuje zakaz śledzenia wiadomości. Ominęły mnie doniesienia Josha na temat wyników testu DNA i zapisuję sobie w pamięci, żeby poszukać ich w internecie.

– Możliwe skutki? – odzywa się Kekona, jakbym przed chwilą o nie spytał. Nie spytałem. – Śmierć. Gwałt i śmierć. Tortury, gwałt i śmierć.

Cóż mogę na to powiedzieć.

– Czasami któraś przeżywa – dodaje.

– Ale nieczęsto.

Kekona kręci głową.

– Nie, nawet w filmach.

Wracamy do gry w tenisa. W końcu zadaję jej jeszcze jedno pytanie.

– Jak myślisz, dlaczego te historie o zaginionych kobietach są takie popularne?

– Bo kto zdoła się oprzeć damie w opałach?

Zakaz oglądania wiadomości obowiązujący w naszym domu zawsze był trochę sztuczny, bo każde z nas ma internet w telefonie. Wszyscy znamy wyniki DNA. Po kolacji Millicent ciągnie mnie do garażu. Spontaniczna wieczorna randka.

Chce porozmawiać z Jenną o tych wynikach. Od incydentu z włosami nie minął jeszcze tydzień, ale z naszą córką nie dzieje się chyba nic złego. Jest wręcz szczęśliwa. Millicent obawia się nawrotu. Czego? Nie jestem pewny. Zaczynam myśleć, że Jenna nie ma paranoi, tylko jest zapobiegliwa. Bo kto by chciał zostać uprowadzony przez psychologa/stalkera/socjopatę/seryjnego mordercę? Na pewno nie ona.

Gdy siedzimy w samochodzie, Millicent przedstawia mi swój plan podejścia do tematu. Nie chcemy wystraszyć córki, ale z drugiej strony nie chcemy ignorować wiadomości. Nie chcemy traktować Jenny protekcyjnie, ale nie możemy się z nią kumplować. Chcemy dyskutować, ale nie prawić kazania, pocieszać, ale nie niańczyć. Millicent cały czas używa słowa „my”, jakby to był nasz plan, nie jej.

– Jak ona się czuje? – pytam.

– Na razie chyba w porządku. Choć w ubiegłym tygodniu też się tak wydawało, a potem...

– Nie pytam o Jennę.

Zdezorientowana przechyla głowę. Zaczyna się niecierpliwić. Po chwili już wie.

– Rozmawiamy o Naomi – mówi.

– Wciąż żyje?

– Tak.

Chciałbym cofnąć to pytanie. Chciałbym powiedzieć coś, co rozśmieszy Millicent, co zapewni mi gwałtowny przypływ adrenaliny, coś, dzięki czemu obydwójce poczujemy się dobrze.

Mam pustkę w głowie.

Wpatrujemy się w siebie. Jej oczy są tak ciemne, że przypominają dwie dziury. Wpatruję się w nie, aż przychodzi chwila, w której muszę albo przestać, albo spytać,

gdzie jest Naomi.

Odwracam wzrok.

Millicent wzdycha.

Wracam za nią do domu. Siadamy na kanapie w salonie, gdzie Jenna i Rory oglądają telewizję. Rory pierwszy zauważa, że patrzymy na nich, nie w telewizor. Nie spieszy mu się do rozmowy.

Wydaje mi się, że wszystko przebiega dobrze. Jenna słucha, potakuje, uśmiecha się. Gdy Millicent pyta, czy córka ma jakieś pytania, ta kręci głową. Gdy pytam, jak się czuje, odpowiada, że dobrze.

– Boisz się? – pyta Millicent.

Jenna podnosi rękę i dotyka swoich krótkich włosów.

– Nie.

– Owen nie zrobi ci krzywdy.

– Wiem.

Jej irytacja mnie uspokaja. Mówi normalnie i wygląda normalnie – nie licząc fryzury.

Później jesteśmy z Millicent w sypialni. Moja żona coś układa, chodzi między sypialnią a garderobą, chowa jakieś rzeczy i wyjmuje inne. Organizuje wszystko przed pójściem spać, żeby rano było łatwiej. Gorączkowa atmosfera to nie jej bajka. Podobnie jak spóźnianie się.

Obserwuję ją. Jej rude włosy są rozpuszczone i potargane; raz po raz odsuwa je dłonią. Ma na sobie bieliznę termiczną, taką staromodną, o supełkowej fakturze, a do tego skarpetki w paski. Strój do spania to najbardziej niemodna rzecz związana z moją żoną i nie omieszkałem jej powiedzieć, jak śmiesznie w nim wygląda. Ale dziś tak nie mówię. Zamiast tego idę zajrzeć do Jenny.

Moja córka śpi, umoszczona na pomarańczowym prześcieradle pod białą kołdrą. Ma odprężoną, spokojną twarz. Nie boi się.

Millicent już się położyła, więc kładę się obok niej. Spogląda na mnie i myślę, że za chwilę wspomni o naszej rozmowie w garażu. Zamiast tego wyłącza światło, jakby nie miało to żadnego znaczenia.

Czekam, aż jej oddech zwolni, a potem wstaję i jeszcze raz zaglądam do Jenny.

Za drugim razem nie zawracam sobie głowy powrotem do łóżka. W nocy zaglądam do córki jeszcze trzy razy. W międzyczasie oglądam telewizję. Koło drugiej zasypiam przy starym filmie. Po przebudzeniu widzę twarz Owena. W telewizji leci film dokumentalny.

Programy o Owenie cechują się różnym poziomem szczegółowości. Dotąd udawało mi się ich unikać, tak jak udawało mi się unikać czytania o tym, co Owen robił swoim ofiarom. Tym razem to niemożliwe, bo budzę się w niewłaściwym momencie. Zaraz po tym, jak widzę twarz Owena na ekranie, program zostaje przerwany. Następne, co

ukazuje się moim oczom, to pomieszczenie, w którym przetrzymywał wszystkie swoje ofiary.

Nagranie zrobiono na potrzeby procesu, do którego nigdy nie doszło. Ma piętnaście lat i filmowano z ręki, kamera bardzo się trzęsie. Owen wypatroszył opuszczony parking przy drodze, wyburzył ścianę między damską a męską toaletą. Płytki na podłodze mogły być kiedyś białe, lecz teraz są szarawobrązowe. Został jeden sedes, a oprócz niego widać umywalkę, materac i stolik. Rury biegną w górę i w dół wyburzonych ścian – zaczynają się głęboko w ziemi, a potem ciągną w poprzek sufitu i z drugiej strony znów opadają ku betonowej podłodze. Idealna szerokość, by przypiąć kajdanki. Jedne wciąż są przyczepione.

Obraz podskakuje i skupia się na podłodze. W szerszym kadrze nie było widać szczegółów. Teraz dostrzegam trochę rozmazanej krwi tu, kilka kropel tam. Czerwone plamki są wszędzie, jakby ktoś machnął w kierunku podłogi pędzlem zanurzonym w farbie. Kamera przesuwa się po podłodze w stronę rogu pomieszczenia. Na ścianie widać rozmazaną większą ilość krwi. Jest nisko, kilkanaście centymetrów od podłogi, jakby ten, kto krwawił, siedział skulony.

Obraz znów się przesuwa, tym razem w stronę materaca. Wyobrażam sobie leżącą na nim Naomi.

Zmieniam kanał.

## 36

O Trście dowiaduję się dopiero po dwóch dniach. Od Millicent.

Jest sobotni wieczór. Rory jest na górze, Jenna u koleżanki. Gdy tylko znikają z pola widzenia, opadam na kanapę i opieram nogi o stolik. To zabronione – zarówno mnie, jak i dzieciom – lecz Millicent siada obok, nie wspominając o tym.

To sprawia, że opuszczam nogi, mimo że nawet o to nie prosi. Tak, to dziwne.

– Co się stało? – pytam.

Kładzie rękę na mojej dłoni i wtedy zaczynam się martwić. Wręcz wpadam w panikę.

– Millicent, po prostu...

– Chodzi o Tristę – mówi.

– O Tristę?

– Zadzwoiła do mnie jej siostra. Andy jest zbyt przybity, żeby z kimkolwiek rozmawiać.

– Jej siostra. Po co miałyby...

– Trista popełniła samobójstwo.

Kręcę głową, jakby nie działały mi uszy. Jakbym przed chwilą nie usłyszał, że Trista się zabiła.

– Tak mi przykro – mówi Millicent.

Uświadamiam sobie, że to się dzieje naprawdę, i zapiera mi dech w piersiach.

– Nie rozumiem.

– Z tego, co powiedziała jej siostra, nikt nie rozumie. Zwłaszcza Andy.

– Jak? – pytam.

– Powiesiła się na pręcie od zasłony prysznic.

– Boże.

– Wiedziałam, że mieli problemy, ale nie miałam pojęcia, że aż tak z nią źle.

Millicent nie ma pojęcia, jaki był prawdziwy powód samobójstwa, bo nigdy jej nie powiedziałem, nigdy nie wspomniałem, że Trista była kiedyś z Owenem. I że wciąż go kochała.

Mam wrażenie, że kolacja wypala dziurę w moim żołądku. Biegnę do łazienki i wszystko zwracam. Millicent stoi w drzwiach, pyta, czy wszystko w porządku.

Odpowiadam, że tak, mimo że wciąż wstrząsają mną torsje.

Mówię, że za dużo zjadłem.

Wyciąga rękę i dotyka mojego czoła. Nie jest gorące. Siadam na podłodze pod ścianą i macham ręką, dając jej znać, że nic mi nie jest.

Odchodzi. Zamykam oczy i słucham, jak krząta się w kuchni, szukając czegoś w lodówce. Polując na to, co mi zaszkodziło.

Mam ochotę jej powiedzieć, że to przez nas. To my mamy córkę, która zabrała do szkoły nóż i obcięła sobie włosy. A teraz zginęła kobieta. Nie Naomi. Inna kobieta.

Przez Owena. Przeze mnie. To ja pisałem te listy do Josha.

Millicent przybiega z powrotem z buteleczką jakiegoś różowego lekarstwa.

Wypijam je duszkiem i znowu wymiotuję.

Ceremonia odbywa się w domu pogrzebowym Alton's, tym samym, w którym zorganizowano ceremonię Lindsay. W tamtej nie brałem udziału, ale o niej czytałem. Trumna była zamknięta z powodu tego, co zrobiła Millicent. Trumna Tristy jest otwarta.

Andy wciąż jest jej mężem i wszystko zorganizował. Sala jest olbrzymia, ale wszystkie krzesła są zajęte. Myślę, że Trista byłaby zadowolona, gdyby wiedziała, że na jej pogrzebie zostały tylko miejsca stojące. Zjawili się wszyscy, ubrani w swoje najlepsze czarne ubrania, albo po to, by pożegnać zmarłą, albo po to, żeby się pogapić. Ja jestem tu dlatego, że czuję się odpowiedzialny.

Millicent jest ze mną, choć wciąż nie ma pojęcia, dlaczego Trista się zabiła. Jak cała reszta. Od wielu dni rozmawia się w klubie o rozpadzie jej małżeństwa, depresji, problemach finansowych. W każdej chwili może stać się narkomanką, alkoholiczką, nimfomanką. Była w ciąży, teraz albo dawniej, ale straciła dziecko. Może i tak umierała wskutek jakiejś nieuleczalnej choroby albo guza mózgu.

Zdaje się, że nikt nie pamięta, ani nawet nie wie, że jakieś dwadzieścia lat temu spotykała się z Owenem Oliverem Rileyem.

Na pogrzebie jest jej siostra. To cięższa, ciemnowłosa wersja Tristy. Mówi, że Trista się nią opiekowała, kiedy ich rodzice byli w pracy. Przygotowywała kolację i robiła pranie.

– Wychowałyśmy się po drugiej stronie miasta. Nie zawsze mieszkała w Hidden Oaks.

Brzmi to jak obelga. Młodsza siostra Tristy wciąż mieszka po drugiej stronie miasta.

O Andym nie wspomina.

Następna przemawia jedna z nowszych przyjaciółek Tristy. Jest równie chuda i jasnowłosa jak Trista, opowiada długą historię o tym, że Trista zawsze była gotowa jej wysłuchać, wesprzeć ją, wyciągnąć pomocną dłoń, gdy tylko mogła.

Ostatnią osobą, która zabiera głos, jest Andy. Ma krótsze włosy niż wtedy, gdy widziałem go ostatnim razem, a zamiast dresu włożył ciemny garnitur. Mówi o tym, jak poznał Tristę. Była na bezpłatnym stażu w muzeum, wciąż szukała pracy, w której

mógłby się przydać jej dyplom z historii sztuki. On przyszedł tam na imprezę dobroczynną i ich drogi skrzyżowały się przed jakąś rzeźbą. Opowiedziała mu o niej wszystko.

– Byłem oczarowany. Nią, sposobem, w jaki mówiła, i tym, co mówiła, a nawet tonem jej głosu. Nie potrafię znaleźć lepszego słowa. Trista była po prostu czarująca.

Mówiąc to, Andy zaczyna płakać. Najpierw łzy, potem szlochanie.

Nikt się nie porusza.

Odwracam wzrok. Znowu czuję mdłości.

Do Andy'ego podchodzi brat i szepcze mu coś na ucho. Andy bierze głęboki oddech, opanowuje się. Mówi dalej. Nie słucham. Myślę o tym słowie.

*Czarująca.*

Gdy kończy mówić, mamy szansę pójść za trumną i ostatni raz pożegnać się z Tristą. Prawie wszyscy to robią. Tylko nieliczni trzymają się z tyłu. Ja i Millicent do nich nie należymy.

Trumna jest z tak ciemnego drewna, że wydaje się niemal czarna, ale wewnątrz ma jasnobrzoskwiniowy kolor. Nie wygląda to tak źle, jak mogłoby się wydawać. Takie tło ładnie eksponuje jasne włosy Tristy i jej morelową pomadkę. Dobrze jej było w tym kolorze i cieszę się, że ktoś postanowił właśnie tak ją umalować.

Jej ubranie robi na mnie jednak odwrotne wrażenie. Jest granatowe, z długimi rękawami. Wokół szyi Tristy spoczywa pojedynczy sznur pereł, a w uszach widać perłowe sztyfty. To do niej zupełnie nie pasuje. Wygląda, jakby ktoś kupił te rzeczy wczoraj, ponieważ uznał, że należy ją pochować w czymś godnym, a nie w czymś, co by jej się podobało.

Przygnębia mnie to bardziej, niż powinno. Nie podoba mi się myśl, że Trista spędzi całą wieczność w ubraniu, którego nie cierpi. Mam nadzieję, że nie przygląda się z góry swojemu pogrzebowi.

– Wygląda pięknie – mówi Millicent.

Gdybym mógł coś powiedzieć Triście, powiedziałbym jej, że jest mi przykro. Przykro z powodu jej ubrania, z powodu tego, że wypytywałem ją o Owena, z powodu tego, że go wskrzesiłem.

Poza tym powiedziałbym jej, że Andy ma rację. Była czarująca. Wiem o tym, bo doskonale rozumiem, co miał na myśli.

Millicent jest czarująca. Właśnie tak bym ją opisał. Była czarująca, gdy ją poznałem, i wciąż jest czarująca. A gdyby umarła i musiałbym przemawiać na jej pogrzebie, zachowałbym się tak jak Andy. Gdybym miał opisać, jaka była, i jednocześnie wiedziałbym, że już nigdy więcej z nią nie będę, wygrażałbym niebu pięścią. Albo temu, kto to wszystko zepsuł.



W przypadku Andy'ego tym kimś byłem ja. Jego przyjaciel.

## 37

Mężczyzna w telewizji ma nadwagę i niezdrowo wygląda, już po pięćdziesiątce przypomina żywego trupa. Ma miękkie, okrągłe brzuszysko, zaczątki drugiego podbródka i włosy poprzątkane siwizną. Znam ten typ. Moi klienci są tacy jak on – albo raczej byli.

Josh przeprowadza z nim wywiad przed hotelem Lancaster. Ten mężczyzna pierwszy powiedział, albo raczej dał do zrozumienia, że Naomi wcale nie była typową dziewczyną z sąsiedztwa, jaką wszyscy próbują z niej zrobić.

– *Nie mówię, że robiła coś złego – zastrzega. – Po prostu myślę, że jeśli chcemy ją znaleźć, musimy uczciwie mówić o tym, jaka była.*

Często gościł w Lancasterze, bo dwa razy w miesiącu przyjeżdżał do miasta w celach służbowych. Wiele razy rozmawiał z Naomi, podobnie jak z niektórymi stałymi gośćmi.

– *Powiedzmy, że w kontaktach z niektórymi gośćmi nie zawsze ograniczała się do spraw służbowych.*

– *Może pan to rozwinąć?* – pyta Josh.

– *To chyba zbędne. Ludzie są wystarczająco inteligentni, żeby się domyślić.*

Pierwszy raz ktoś wspomina o pozasłużbowej aktywności Naomi. Ale nie ostatni.

Zgłaszają się jej współpracownicy, twierdząc, że znają prawdę o Naomi. Sypiała z wieloma mężczyznami. Niektórzy z nich byli gośćmi hotelowymi. Nikt nie wspomina o pieniądzach, tylko o seksie. Nie była prostytutką. Była dwudziestosiedmiolatką, która uprawiała seks z więcej niż jednym gościem hotelowym.

Pierwszy z jej zgłaszających się kochanków nie wyjawia swojej tożsamości. W telewizji widać tylko zarys jego sylwetki, mówi zniekształconym głosem.

– *Był pan kiedyś gościem hotelu Lancaseter?*

– *Tak.*

– *Poznał pan recepcjonistkę o imieniu Naomi?*

– *Tak.*

– *Uprawiał pan z nią seks?*

– *Wyznaję ze wstydem, że tak.*

Potem mówi, że to Naomi zainicjowała spotkanie. To ona go zaczepiła.

Zgłasza się inny mężczyzna. I następny. Kolejne zacienione sylwetki, kolejne zniekształcone głosy. Wszyscy pozostają anonimowi. Żaden z mężczyzn, którzy spali z Naomi, nie wyjawia swojej tożsamości. Nie dlatego, że są żonaci, ponieważ co najmniej dwóch podało się za singli albo rozwodników. Po prostu nie chcą publicznie przyznać, że byli jednymi z jej mężczyzn.

Albo z jej zdobyczy. Ktoś w telewizji właśnie tak ich nazywa.

Ton rozmów w klubie ulega zmianie. Ludzie przestają mówić, że to hańba i wstyd. Część nawet przestaje nazywać Owena potworem. Zamiast tego zaczynają zadawać sobie pytanie, czy Naomi nie mogła temu zapobiec. Czy nie mogła uniknąć losu ofiary.

Jedną z takich osób jest Kekona. Opowieści o Naomi potwierdzają jej przekonanie, że kłopoty przychodzą do ludzi, którzy ich szukają. A w jej pojęciu seks zalicza się do kłopotów.

W telewizji nieustannie mówią o życiu osobistym Naomi. Josh cały czas jest w centrum wydarzeń. Każdy, kto się zgłasza, przychodzi najpierw do niego. Im dłużej się temu przyglądam, tym bardziej mnie to hipnotyzuje. Naomi jest jedną osobą, ale w mgnieniu oka staje się drugą.

Pierwszy raz mam okazję porozmawiać o tym z Millicent dopiero po ostatniej wizycie Jenny u psychologa. Odwozimy ją do szkoły, gdzie dołącza do koleżanek i kolegów dekorujących salę gimnastyczną przed zbliżającą się imprezą charytatywną. Potem Millicent zawozi mnie z powrotem do klubu, gdzie zaparkowałem swój samochód. Włącza radio i zalewają nas wiadomości. Spiker mówi, że kolejny mężczyzna, który podobnie jak poprzedni woli zachować anonimowość, twierdzi, że przespał się z Naomi podczas pobytu w Lancasterze. W sumie jest ich już siedmiu.

– Fantastycznie – mówi Millicent.

– Fantastycznie?

– Dopóki mówią o niej albo o Owenie, nie mamy powodu do zmartwień.

Mam ochotę wspomnieć o Jennie i o tym, jaki to wszystko może mieć na nią wpływ. Choć niczego nie pragnę bardziej niż tego, by moja córka pozostała dziewicą do końca życia, nawet ja muszę przyznać, że to niezdrowe.

Millicent wyciąga rękę i ściska moją dłoń.

– Miałaś rację, że zdecydowałaś się na tę zmianę. Z Annabelle to nie byłoby to samo.

To prawda. Odwzajemniam uścisk dłoni.

Idę do pokoju Jenny, żeby powiedzieć jej dobranoc. Leży na łóżku i czyta książkę, ponieważ laptop został na dole. Jej włosy już troszkę urosły i zaczynają wyglądać całkiem elegancko – chyba. Patrzy na mnie znad książki, pytając bez słów, czego chcę.

Siadam na krawędzi łóżka.

– Chcesz porozmawiać, prawda? – mówi.

– Robisz się dla mnie zbyt bystra.

Mruży oczy.

– Dlaczego tak mi słodzisz?

– Widzisz? Zbyt bystra.

Z westchnieniem odkłada książkę. Czuję się przez to głupio, co zresztą często mi się zdarza w towarzystwie moich dzieci.

– Co u ciebie? – zagaduję.

– W porządku.

– Pytam poważnie. Porozmawiaj ze mną.

Wzrusza ramionami.

– Jest okej.

– Podoba ci się ten lekarz?

– Chyba tak.

– Już się nie boisz Owena, prawda?

Znowu wzrusza ramionami.

Od kilku tygodni nasze rozmowy przebiegają właśnie w ten sposób. Kiedyś było inaczej. Jenna opowiadała mi o wszystkich swoich koleżankach, kolegach i nauczycielach – o tym, co kto zrobił albo powiedział. Jeśli jej pozwalałem, paplała w nieskończoność.

Wiedziałem nawet o pierwszym chłopaku, w którym się podkochiwała. Siedział przed nią na angielskim i między innymi właśnie dlatego angielski stał się dla niej najtrudniejszym przedmiotem.

Teraz nie chce nic mówić i to wszystko wina tego psychologa. Moja córka ma chyba dość mówienia.

Pochylam się i całuję ją w czoło. Gdy to robię, zauważam coś kątem oka. Między łóżkiem a stolikiem nocnym coś wystaje spod materaca. Poznają to, bo zwykle leży w naszej kuchni.

Moja córka znowu wzięła nóż i schowała go pod materacem.

Nie mówię ani słowa.

Zamiast tego życzę jej dobrej nocy i wychodzę, bezgłośnie zamykając drzwi. Idąc korytarzem, mijam pokój Rory'ego i słyszę, że rozmawia przez telefon. Już mam wejść i kazać mu spać, ale uświadamiam sobie, że rozmawia o Naomi.

Nie sposób zablokować dopływu informacji do naszego domu.

## 38

Zataiłem przed Millicent kilka spraw. Na przykład zepsuty samochód wiele lat temu. I Tristę. Nie powiedziałem jej, że Trista była związana z Owenem Oliverem Rileyem. Nigdy nie wspomniałem, że to dlatego odeszła od Andy'ego, że to dlatego popełniła samobójstwo.

Petra. Niemądrze byłoby wspominać teraz o Petrze, kobiecie, która przypuszczała, że wcale nie jestem głuchy. Nie, nie ma sensu o niej mówić.

Ani o Rorym. Nie wspomniałem, że mnie szantażował, dlatego że jego szantaż doprowadziłby do Petry.

Oprócz nich jest jeszcze Crystal.

Millicent nigdy nie chciała słyszeć o zatrudnieniu kogoś do pomocy w domu. Nie wierzyła, że ktoś sprzątałby tak, jak chciała, a poza tym wolała, żeby nikt obcy nie wychowywał jej dzieci. Zatrudniliśmy kogoś tylko raz, by woził dzieci do szkoły i na przeróżne zajęcia pozalekcyjne. Było to kilka lat temu, gdy obydwójce z Millicent mieliśmy tyle pracy, że zwyczajnie nie byliśmy w stanie ogarnąć wszystkiego sami.

Było to też zaraz po śmierci Holly. Zanim zginęły kolejne kobiety.

Zatrudniliśmy Crystal, żeby pomogła nam w wożeniu Rory'ego i Jenny. Była sympatyczną młodą kobietą, która nigdy się nie spóźniała i dobrze radziła sobie z dziećmi. Pracowała u nas, dopóki Millicent nie uznała, że już jej nie potrzebujemy.

Ale zanim to nastąpiło, Crystal mnie pocałowała.

Stało się to, gdy Millicent była w Miami na konferencji z kolegą z pracy o imieniu Cooper. Nigdy go nie lubiłem.

Przez trzy dni nieobecności Millicent Crystal spędzała u nas więcej czasu niż zwykle. Odbierała dzieci ze szkoły i szykowała dla nich kolację. Pewnego popołudnia zostaliśmy sami i właśnie wtedy to się stało.

W porze lunchu pojechałem do domu, żeby coś zjeść, i ona już tam była – sama, dzieci nie wróciły jeszcze ze szkoły. Przygotowała dla nas parę kanapek i zjedliśmy je razem, gawędząc o jej rodzinie. Nic wielkiego, nic niezwykłego. Nic, co mogłoby mnie skłonić do wniosku, że ze mną flirtuje. Po lunchu niechcący na siebie wpadliśmy, gdy ja szedłem do lodówki, a ona do zlewu.

Nie odsunęła się.

Szczerze mówiąc, ja też się nie odsunąłem. Może chciałem zobaczyć, co zrobi.

Pocałowała mnie.

Cofnąłem się. Nigdy wcześniej nie zdradziłem Millicent. Nawet o tym nie myślałem. Myślałem o mojej żonie, która była w Miami ze swoim kolegą z pracy.

Zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, Crystal przeprosiła i wyszła. Potem chyba już nigdy nie byliśmy sami.

Zastanawiałem się, czy powiedzieć o tym Millicent – aż do chwili, w której odebrałem ją z lotniska Orlando. Ostatecznie postanowiłem nie ryzykować.

Myślę o tym dlatego, że chyba nie tylko ja nie jestem całkowicie szczerzy. Wydaje mi się, że Millicent mnie okłamuje. Przyszło mi to do głowy, gdy Jenna się rozchorowała. Właśnie wróciłem z pracy, byłem spóźniony. Mieliśmy iść na imprezę organizowaną przez stowarzyszenie pośredników organizujących pożyczki hipoteczne. Millicent szykowała się w pośpiechu, Rory grał w gry wideo, a Jenna wymiotowała w łazience.

Tego wieczora Millicent poszła na imprezę sama. Ja zostałem w domu z Jenną.

Już kiedyś byliśmy z córką u lekarza z powodu jej problemów żołądkowych. Nasz lekarz rodzinny twierdzi, że Jenna za bardzo się przejmuje. Mówi, że dzieci bez przerwy miewają kłopoty z żołądkiem. Teraz jednak Jenna ma je częściej, jej problemy nasiliły się, odkąd Owen wrócił do życia. Skłania mnie to do wniosku, że jej strach przed nim nie słabnie. To przez niego choruje.

Otwieram kalendarz w telefonie i próbuję ustalić, jak często moja córka choruje. Jeden z pierwszych ataków nastąpił tego wieczora, gdy byliśmy z Lindsay; zostawiłem z nią Millicent, by czuwać przy Jennie.

Odkąd znaleziono zwłoki Lindsay, zastanawiam się nad tamtym wieczorem i nad tym, co by się stało, gdyby Jenna się nie rozchorowała. Czy zabilibyśmy wtedy Lindsay? A może Millicent powiedziała by mi, że chce ją utrzymać przy życiu?

I kiedy się nią zajmowała? Gdy powinna być w pracy? Jak udało jej się sprzedawać domy i jednocześnie przez rok utrzymywać Lindsay przy życiu?

Zbyt wiele pytań, na które nie potrafię odpowiedzieć. Mam swoje tajemnice. Dlaczego ona miałaby ich nie mieć?

Mój pierwszy pomysł był głupi. Myślałem, że mógłbym śledzić Millicent i dowiedzieć się, co robi, może nawet gdzie przetrzymuje Naomi. Jednak gdy tylko myślę o śledzeniu jej, uświadamiam sobie, dlaczego to jest niemożliwe. Moja żona za dobrze zna mój samochód, zna moje numery rejestracyjne. Od razu by mnie zauważyła.

Poza tym muszę pracować. Moje godziny pracy są elastyczne, ale nie dowolne.

Nie muszę jej jednak śledzić; istnieją nowoczesne urządzenia, które mogą mnie w tym wyręczyć. Pięć minut poszukiwań w internecie utwierdza mnie w przekonaniu, że działa

to tak jak w filmach. Kupuję magnetyczny nadajnik GPS, wciskam przycisk zasilania i przyczepiam urządzenie do podwozia samochodu. Wszystko, co trzeba potem zrobić, to zalogować się w aplikacji w telefonie i sprawdzić, gdzie jest jej samochód. Aplikacja rejestruje także adresy, pod którymi Millicent się zatrzymuje, więc nie muszę jej śledzić w czasie rzeczywistym. Całe ustrojstwo jest niewiarygodnie tanie, nawet jeśli doliczyć opłatę za przekazywanie informacji na bieżąco. Szpiegowanie ludzi nigdy nie było łatwiejsze.

Sądząc po tym opisie, może się wydawać, że to bułka z masłem, i w zasadzie tak jest, ale prawdziwy koszt ponosi moja psychika. I moje małżeństwo.

Nawet po zakupieniu urządzenia nie uruchamiam go od razu. Leży w bagażniku mojego samochodu, wypalając mi dziurę z tyłu głowy. Nie chcę zniszczyć swojego małżeństwa ani rodziny, a właśnie to się stanie, jeśli Millicent odkryje, że ją szpieguję.

Nie chcę tego robić, ale chcę się dowiedzieć, co robi moja żona.

Gdy wracam z pracy, Millicent jest już w domu, a jej samochód stoi w garażu. Przyczepienie nadajnika zajmuje tylko sekundę.

Jeszcze tego samego wieczora uświadamiam sobie, że może istnieć jakiś sposób, by Millicent dowiedziała się o nadajniku przyczepionym do podwozia. Wszystkie technologie mają kontrtechnologie – w każdym razie zakładam, że tak jest – więc przez godzinę sprawdzam w telefonie wszelkie sposoby, dzięki którym Millicent mogłaby odkryć, co zrobiłem. Okazuje się, że mam rację – może to sprawdzić. Ale najpierw musiałaby podejrzewać, że ją śledzę.

Spoglądam na nią. Siedzi z Rorym przy stole w jadalni i robią fiszki na lekcję historii. Rory nigdy nie był wspaniałym uczniem, ponieważ, jak twierdzą jego nauczyciele, nie przykłada się do nauki. Millicent zgadza się z tą opinią, więc kilka razy w tygodniu pomaga mu się przykładać. Żadnych telefonów, żadnych rozpraszaczy, nic, tylko odrabianie lekcji i matka. Nawet ja nie przeszkadzam, gdy Millicent pracuje z Rorym.

Po kilku minutach wyczuwa, że ją obserwuję. Podnosi głowę i puszcza do mnie oko. Też puszcza do niej oko.

Jeszcze tego samego wieczora odczepiam nadajnik od jej samochodu.

Nazajutrz rano przyczepiam go z powrotem.

## 39

Gdy obserwuję kogoś osobiście, ma to w sobie pewną intymność. Ludzie nie zdają sobie sprawy, że są obserwowani, więc się nie pilnują, nie są skrępowani. Dowiaduję się, jak chodzą i jak się poruszają, poznaję ich drobne tiki i gesty. Czasami potrafię nawet zgadnąć, co za chwilę zrobią.

Korzystanie z nadajnika to zupełnie co innego, ponieważ nie obserwuję Millicent. Obserwuję niebieską kropkę przesuwaną się po mapie.

Widzę, gdzie jest moja żona – znam adres, długość i szerokość geograficzną jej miejsca pobytu. Wiem, ile czasu tam spędza, z jaką prędkością jedzie samochodem, gdzie dokładnie parkuje. Aplikacja wypływa tabele i wykresy, które pokazują, ile czasu Millicent przebywa w samochodzie, podają mi jej średnią prędkość i uśrednioną ilość czasu, jaki spędza w poszczególnych miejscach. Próbuję sobie wyobrazić moją żonę za kółkiem, w służbowym ubraniu, być może rozmawiającą przez telefon albo słuchającą muzyki. Zastanawiam się, czy robi coś, o czym nie wiem. Może śpiewa, kiedy jest sama. Albo mówi do siebie. Nigdy nie widziałem, żeby robiła którąś z tych rzeczy, ale na pewno coś robi. Każdy coś robi, kiedy jest sam.

Pierwszego dnia podwozi dzieci do szkoły i jedzie do biura. Pracuje w agencji obrotu nieruchomościami, ale niewiele czasu spędza przy biurku. Potem jedzie do jakiegoś domu na Lark Circle w Hidden Oaks. W ciągu następnych ośmiu albo dziewięciu godzin odwiedza jedenaście domów, wszystkie są wystawione na sprzedaż. Sprawdzam je po kolei. Odbiera dzieci ze szkoły, zatrzymuje się obok sklepu, wraca do domu.

Zaskoczyło mnie miejsce, które wybrała na lunch. Zamiast zjeść sałatę, kanapkę czy nawet jakiś fast food, Millicent pojechała do lodziarni.

Przez resztę popołudnia zastanawiam się, czy kupiła loda w wafelku, czy w kubeczku.

Na kolację jemy pieczonego indyka z chorizo i batatami. Rory próbuje odwrócić uwagę od swojej oceny z klasówki z historii za pomocą fascynującej opowieści o chłopaku, którego przyłapano na paleniu, lecz uciekł, zanim ktokolwiek zdążył go zidentyfikować. Jenna też o tym słyszała, ale koleżanka koleżanki powiedziała, że chłopak uciekł, bo był synem wicedyrektora szkoły.

– Nieprawda – odpowiada Rory. – Słyszałem, że to Chet.



Jenna marszczy nos.

– Chet to palant.

– Chet Allison? – pyta Millicent. – Sprzedałam Allisonom dom.

– Nie. Chet Madigan.

– Macie w szkole dwóch Chetów? – dopytuje moja żona.

– Trzech – mówi Jenna.

Na chwilę rozmowa się urywa. Dumam nad powszechnością Chetów i jednocześnie zerkam na talerz Millicent. Nałożyła sobie gruby plaster indyka, łyżkę chorizo i małego batata. Dla niej to zwyczajna porcja. Na deser mamy owoce i pierniczki. Żadnych lodów.

Nagle zaczynają mnie fascynować zwyczaje żywieniowe mojej żony. Zastanawiam się, czy od jej lanczu zawsze zależy, co jemy na kolację, na deser albo na jedno i drugie.

Następnego dnia znowu śledzę niebieską kropkę.

Millicent podwozi dzieci do szkoły, ale to ja je stamtąd odbieram. Ona w tym czasie jest w jakimś domu na strzeżonym osiedlu Willow Park. Tym razem jedzie do biura, lecz nie robi sobie przerwy na lancz. Znowu trzyma się w pobliżu, koncentruje na terenie, na którym sprzedaje większość domów.

Za to policja rozszerzyła poszukiwania. W nocy, gdy Millicent śpi, oglądam wiadomości w telefonie w łazience, bo gdybym poszedł do garażu, mój syn pomyślałby, że nadal zdradzam jego matkę.

Ostatnio Josh zaczyna swoje relacje od podania liczby dni, które minęły od zniknięcia Naomi. Nazywa to odliczaniem i aktualnie ta liczba wynosi dwadzieścia dwa. Od piątku trzynastego minęły dwadzieścia dwa dni, a Josh jeździ z policjantami po opuszczonych budynkach, szopach i bunkrach. Jakiś ekspert stwierdza, że prawdopodobnie nic to nie da, ponieważ Owen też ogląda wiadomości, a zatem nie trzymałby Naomi w opuszczonym budynku, szopie ani bunkrze. Poza tym kobietę można przetrzymać gdziekolwiek. W jednym pokoju, w blaszanym magazynie. W szafie.

Raport kończy się w zaledwie kilka minut. Dawniej zajmował pół wieczornych wiadomości. Historia zaczyna tracić moc, ponieważ nie wydarzyło się nic nowego i Naomi nie jest już dziewczyną z sąsiedztwa. Splamiła się. Widzowie się zniecierpliwili.

A mnie zahipnotyzowała niebieska kropka. Przez te wszystkie lata małżeństwa nigdy się nie zastanawiałem, ile czasu zajmuje Millicent pokazanie domu, jak długo je lancz ani ile nieruchomości ogląda w ciągu dnia. Teraz, gdy ją śledzę, to wszystko zaczęło mnie intrygować.

Przy każdej okazji sprawdzam apkę. Przed lekcjami tenisa i po nich, gdy jestem w samochodzie, w klubie, w szatni. Nie ma śladu Naomi. Millicent nie zagląda do żadnych nietypowych budynków ani opuszczonych biurowców, wszystkie odwiedzane

przez nią domy są wystawione na sprzedaż. Jeździ do sklepu, do szkoły, a na zakończenie dnia pracy do banku. Po czterech dniach zaczynam się zastanawiać, czy Naomi nie jest już martwa.

To niepokojące, ale myślę, że taki scenariusz mógłby się okazać najlepszy.

Jeśli zniknęła i nigdy jej nie znajdą, Owen będzie mógł zniknąć razem z nią. Gdy przestaną o nim mówić w wiadomościach, będzie tak, jakby w ogóle nie wrócił.

Nie przywróci to życia Triście. To niemożliwe. Ale Jenna przestanie się bać. Przestanie myśleć o Owenie Oliverze.

Potem, za rok, Owen znów pojawi się w serwisach informacyjnych. Rocznicą porwania zostanie upamiętniona filmami dokumentalnymi, wydaniem specjalnymi i dramatycznymi rekonstrukcjami wydarzeń, lecz nie będzie żadnych nowych doniesień. Usłyszymy o Naomi i o anonimowych mężczyznach ze zniekształconymi głosami.

Owen znowu odejdzie w niepamięć. Naomi odejdzie razem z nim.

Jenna będzie o rok starsza i zacznie opowiadać o chłopcach. Odrasną jej włosy i nie będzie trzymała noża pod materacem.

Z czasem zaczynam nabierać przekonania, że właśnie tak się stało. Naomi już nie żyje, a Millicent jej nie torturuje, nie odwiedza. Policja wciąż nie ma dowodów. Wszystko, co zrobiliśmy, po prostu odejdzie w niepamięć.

Z uśmiechem patrzę na niebieską kropkę. Po południu Millicent wraca do domu, odbiera dzieci ze szkoły, a potem znów wychodzi. Zatrzymuje się w kawiarni i wiem, że zamawia waniliowe latte. Może z podwójnym syropem, ale trudno to wywnioskować na podstawie punktu na mapie.

Jestem tak pochłonięty obserwowaniem żony, że omijają mnie sensacyjne doniesienia. Jakaś kobieta twierdzi, że Owen Oliver Riley ją zaatakował.

# 40

Pierwszy raz słyszę o tej kobiecie w EZ-Go. Telewizor wisi nad automatem z napojami, widoczny dla wszystkich ludzi w sklepie, a do tego także w lustrach obserwacyjnych. Wszystkie paski zapowiadają sensacyjną wiadomość, ale nie zwracam na nie uwagi, dopóki na ekranie nie pojawia się Josh. Mówi, że zgłosiła się kobieta, która twierdzi, że zaatakował ją Owen Oliver Riley.

Nie pokazują jej w telewizji, nawet pod postacią ciemnej sylwetki. Na razie jest tylko kimś, kto zgłosił się na policję. Reporterka odczytuje tekst, który pojawił się na ekranie.

*We wtorek wieczorem o mało nie zostałam ostatnią ofiarą Owena Olivera Rileya. Dzięki Bogu udało mi się uciec. Jestem fryzjerką i po pracy poszłam z koleżankami na drinka. Później byłam w barze przy Mercer Road, ale wkrótce postanowiłam iść do domu, bo następnego dnia miałam pracę. Było koło jedenastej. Zapamiętałam to, bo ktoś wspomniał o tym na głos; pomyślałam, że wkrótce powinnam iść do domu, więc postanowiłam się pożegnać. Zaparkowałam za budynkiem. Tam nawet nie jest ciemno, bo palą się światła, a poza tym bardzo jasno świecił księżyc – może była pełnia, ale nie sprawdziłam. Było wystarczająco jasno, żebym mogła iść sama, więc poszłam. Szczerze mówiąc, w ogóle nie myślałam o Owenie. Nawet nie przyszedł mi do głowy.*

*Parę kroków od samochodu poczułam pchnięcie. Coś jakby zahaczyło o moją torebkę, o jej pasek. Pchnięcie nie było silne, nie wystraszyłam się. Po prostu zatrzymałam się i pociągnęłam za torebkę. Byłam przekonana, że o coś zahaczyła. No więc się odwróciłam. Stał za mną i trzymał pasek mojej torebki. To dlatego myślałam, że o coś zahaczyła. Tym czymś była ręka Owena.*

*Poznałam go, mimo że głęboko nasunięta czapka zasłaniała mu pół twarzy. Ale wciąż widziałam jego usta. Jego uśmiech. Wszyscy znają ten uśmiech – ciągle pokazują go w wiadomościach, bo uśmiechnął się, pozując do tego dziwnego policyjnego zdjęcia, i dzięki temu poznałam, że to on. Dlatego wypuściłam torebkę i zaczęłam biec.*

*Nie uciekłam daleko, szybko mnie dogonił. To stąd mam te wszystkie zadrapania, próbowałam się spod niego wydostać. Ale nie mogłam, był bardzo silny i za każdym razem, kiedy próbowałam się poruszyć, ścisnął mnie jeszcze mocniej.*

*Żyję tylko dzięki mojej komórce. Zadzwoił mój brat. Wiedziałam, że to on, bo poznałam dzwonek. Personalizuję wszystkie dzwonki, bo dobrze jest wiedzieć, kto dzwoni, prawda? Dzwonek mojego brata brzmi jak eksplozja, bo właśnie taki jest mój brat – kojarzy się z wielką eksplozją. W jego życiu ciągle coś wybucha, a wtedy brat do mnie dzwoni. Ale nie mogę narzekać, bo to dzięki niemu i temu dzwonekowi wciąż jestem wśród żywych. Dźwięk eksplozji był tak głośny, że Owen aż podskoczył. Gwałtownie odwrócił głowę i chyba myślał, że coś naprawdę wybuchło.*

*Udało mi się podnieść i pobiegłam prosto do baru. Nie gonił mnie.*

*Chyba nie wiedział, że tak naprawdę nic nie wybuchło. Może dalej myśli, że to była eksplozja.*

To koniec oświadczenia, a przynajmniej jego części przeczytanej w wiadomościach. Słowa znikają i znów pojawia się Josh. Stoi na parkingu za tym barem przy Mercer. Ostatni raz byłem tam, kiedy miałem jakieś dwadzieścia lat. Wtedy bar słynął z tego, że nie sprawdzali w nim dowodów.

Josh jest poważny. Smutny. Robi coraz lepsze wrażenie, bo już nie wygląda, jakby się ekscytował okropnymi wydarzeniami. Kobietę, która została zaatakowana, nazywa Jane Doe.

– Przepraszam.

Obok mnie przeciska się jakaś starsza pani. Wciąż stoję w sklepie, tuż obok automatu z napojami, i wpatruję się w ekran. Jedyłą oglądającą wiadomości osobą oprócz mnie jest facet przy kasie. To nie Jessica, czyli kasjerka, którą zazwyczaj tu widuję. Facet jest łysy, a jego głowa lśni w świetle jarzeniówek.

Patrzy na mnie i kręci głową, jakby chciał powiedzieć: „Czy to nie okropne? Czy to nie karygodne?”

Kiwam głową, kupując jak zwykle kawę i paczkę chipsów o smaku grillowanego mięsa.

Właśnie tak wygląda życie z Millicent. Wszystko jest tak, jak powinno, od czasu do czasu zdarza się jakiś wybój na drodze, ale poza tym jazda przebiega dość gładko. Aż nagle ziemia się otwiera, tworząc przepaść, która może wszystko pochłonąć. Czasami w środku jest coś dobrego, wręcz wspaniałego, innym razem nie.

Właśnie tak się stało, gdy Millicent oznajmiła, że Holly żyje. Tak się stało, gdy walnęła Robin w głowę gofrownicą. A potem gdy wskrzesiła Owena.

To ważne chwile, w których przepaść staje się szersza od samej ziemi. Nie wszystkie były aż tak ogromne. Czasami otchłań wsysa tylko mnie, jak wtedy, gdy Millicent zabrała dzieci i zniknęła na osiem dni, bo wróciłem do domu pijany.

Poza tym są jeszcze szczeliny. Powstają jednocześnie z przepaścią. Jedne są szersze od drugich, na przykład gdy Jenna trzyma nóż pod materacem. Albo gdy Trista popełnia

samobójstwo. Mają rozmaite rozmiary – są długie, krótkie, różnią się szerokością – ale powstają w związku z przepaścią.

Pierwsza utworzyła się w dniu naszego ślubu.

Pobraliśmy się w domu rodziców Millicent na polu otoczonym kolendrą, rozmarynem i oregano. Miała na sobie zwiewną białą sukienkę sięgającą do kostek, a na głowę włożyła wianek z żonkili i lawendy. Ja zdecydowałem się na spodnie koloru khaki podwinięte w kostkach i białą koszulę wypuszczoną na wierzch. Obydwoje byliśmy boso. Było idealnie – do czasu.

W naszym ślubie brało udział osiem osób. Trzej kumple, z którymi podróżowałem po świecie, w tym Andy. Tristy nie było. Spotykali się, ale jeszcze nie byli małżeństwem i Andy nie czuł się gotowy, by podsuwać jej takie pomysły. Byli również Abby i Stan, rodzice Millicent, a także przyjaciółka Millicent z liceum. Dwie ostatnie osoby to sąsiedzi.

Zdecydowaliśmy się na skromną ceremonię: akt, rytuał. Ani Millicent, ani ja nie byliśmy religijni. W najbliższy poniedziałek zamierzaliśmy zarejestrować swój węzeł w urzędzie w Woodview. Tymczasem udawaliśmy, że bierzemy ślub, a funkcję kapłana pełnił ojciec Millicent. Stan wyglądał bardzo oficjalnie w zapiętej pod szyją koszuli w kratę i z rzadkimi siwymi włosami ułożonymi na żel. Stał na tle pól z ziołami, trzymając w rękach książkę. Nie Biblię, po prostu jakąś książkę, i spisał się niemal doskonale.

– Panie i panowie, ten młody człowiek chce dziś poślubić moją córkę i myślę, że powinien udowodnić, że jest tego godzien. – Udał, że rzuca mi surowe spojrzenie. – No więc postaraj się.

Pisałem i zmieniałem tekst przysięgi z dziesięć razy, wiedząc, że będę musiał wypowiedzieć ją na głos. Resztą ludzi wcale się nie przejmowałem. Denerwowałem się na myśl, że mam skierować te słowa do Millicent. Wzięłem głęboki oddech.

– Millicent, nie mogę ci obiecać całego świata. Nie mogę obiecać, że kupię ci duży dom, luksusowy samochód i pierścionek z olbrzymim brylantem. Nie mogę nawet obiecać, że zawsze będziemy mieli co jeść.

Wpatrywała się we mnie, nie mrugając. W jasnym słońcu jej oczy błyszczały jak kryształ.

– Mam nadzieję, że zdołam ci to wszystko dać, ale nie gwarantuję, że mi się uda. Nie wiem, co nam przyniesie przyszłość, ale wiem, że będziemy razem. To mogę ci obiecać bez wahania, bez obawy, że skłamię. Zawsze będę przy tobie, z tobą, obok ciebie. – Uśmiechnąłem się, bo zobaczyłem małą łzę w jej oku. – I mam nadzieję, że nie będziemy głodowali.

Osiem osób się roześmiało. Millicent kiwnęła głową.

– No cóż – powiedział Stan, zwracając się do córki. – Teraz chyba twoja kolej. Przekonaj nas, że to mężczyzna dla ciebie.

Millicent podniosła rękę i przyłożyła dłoń do mojego policzka. Przysunęła się do mnie, zbliżyła usta do mojego ucha i szepnęła:

– To się jeszcze okaże.

# 41

Przy kolacji nikt nie wspomina o wiadomościach ani o Jane Doe. Jest przy nas, ale wolimy tego nie przyznawać. Rozmawiamy o jakiejś celebrytce, która poszła na odwyk. Znowu.

Rozmawiamy o meczu piłki nożnej, którego nie oglądałem.

Rozmawiamy o tym, co obejrzymy podczas naszego wieczora filmowego. Rory chce obejrzeć komedię dla dwudziestoparolatków, Jenna woli komedię romantyczną.

Jedynym aktualnym wydarzeniem, o którym mówimy, jest niewielka strzelanina w sąsiednim stanie.

– Psychol – stwierdza Rory.

Jenna wskazuje go widelcem.

– To ty grasz w strzelanki.

– Tylko że strzelanki to gry.

– Ale to ci się podoba.

– Zamknij się.

– Sam się zamknij.

– Wystarczy – mówi Millicent.

Milkną.

Po kolacji obydwójce idą na górę i zamykają się w swoich pokojach.

Ja i Millicent wpatrujemy się w siebie bez słowa. Żona wyciąga palec w moją stronę i bezgłośnie pyta: „To byłeś ty?”

Pyta, czy to ja zaatakowałem Jane Doe. Kręcę głową i wskazuję garaż.

Gdy naczynia są już w zmywarce, a dzieci śpią, wychodzimy z domu i wsiadamy do samochodu. Millicent zabiera resztę cukierków z Halloween i pijemy na spółkę wodę gazowaną. Moja żona ma na sobie jasnoniebieską bluzkę z krótkimi rękawami. Chyba nową, bo wcześniej widziałem, że Millicent zajechała do centrum handlowego.

– Nie miałeś nic wspólnego z tą kobietą? – pyta.

– Nic a nic. Nie zrobiłbym czegoś takiego bez porozumienia z tobą. – W każdym razie wydaje mi się, że bym nie zrobił.

– Mam nadzieję, że nie.

- I nie zrobiłbym niczego, co mogłoby jeszcze bardziej przestraszyć Jenę. Millicent kiwa głową.
- Powinam się domyślić.
- Może Jane Doe kłamie – mówię.
- Prawdopodobnie tak. Albo może zaatakował ją jakiś przypadkowy facet, a ona myśli, że to był Owen. Nie wiemy, co widziała.
- Jest jeszcze trzecia możliwość – mówię.
- Tak?
- Odwijam czekoladkę, przełamuję ją i daję jej połowę.
- A jeśli on naprawdę wrócił?
- Owen?
- Jasne. Co, jeśli to był on?
- Nie był.
- Skąd możesz wiedzieć?
- Bo to by było głupie. Po co miałyby wracać akurat, kiedy go szukają?
- Racja.

Znowu jestem w beżowym gabinecie. Czekam, aż Jenna wyjdzie od psychologa. Lekarz zadzwonił do nas, gdy usłyszał o Jane Doe, i oznajmił, że chciałby przeprowadzić dodatkową sesję. Obawia się, że ten nowy atak doprowadzi do regresu. Nie jestem pewny, czy nastąpił na tyle duży progres, by teraz mógł nastąpić regres, ale i tak ją do niego zawożę. Millicent mówi, że nie da rady, więc siedzę sam w poczekalni i obserwuję niebieską kropkę. Moja żona jest w domu przy Danner Drive. Wystawiono go na sprzedaż za blisko pół miliona dolarów.

Potem jedzie do baru z kanapkami.

Czasami jada lancz z klientami, ale nigdy nie słyszałem, żeby zabierała ich w takie miejsca.

Millicent jest zaledwie kilka minut drogi od gabinetu psychologa, ale nie przyjeżdża tu. Jedzie do baru i wciąż tam przebywa, gdy drzwi gabinetu się otwierają i Jenna wychodzi. Moja córka nie wydaje się ani wesoła, ani smutna, czyli w zasadzie nic się nie zmieniło, odkąd tam weszła.

Tym razem ona musi zaczekać, aż ja porozmawiam z lekarzem. Z Doktorem Beżowym. Dla mnie na zawsze pozostanie Doktorem Beżowym. Przewisko nie jest ani sprawiedliwe, ani trafne, ponieważ beżowy jest tylko gabinet, a nie osobowość terapeuty. Pan doktor to kolorowy, arogancki dupek. Nigdy nie poznałem lekarza, który byłby inny.

– Cieszę się, że poprosiłem o dodatkową sesję – oznajmia. – Ten nowy atak był dużym zaskoczeniem.



Doktor Beżowy nie mówi, że Jenna była zaskoczona, ale właśnie to ma na myśli. W ten sposób obchodzi tajemnicę lekarską.

- Z pewnością był dużym zaskoczeniem – mówię.
- Ważne, żeby wiedziała, że nic się nie zmieniło. Że jest bezpieczna.
- Jest bezpieczna.
- Oczywiście.

Wpatrujemy się w siebie.

- Zauważył pan jakieś zmiany w jej zachowaniu? – pyta. – Jakiegokolwiek.
- Właściwie to chciałem pana o coś spytać. Jenna ma problemy żołądkowe. Mdłości.
- Kiedy się zaczęły?
- Nie tak dawno temu, ale jest coraz gorzej. Czy te sprawy mogą być powiązane?
- Ależ oczywiście. Napięcie psychiczne z całą pewnością może dawać objawy fizjologiczne. Ma jeszcze jakieś kłopoty?

Udaję, że się zastanawiam, a potem kręcę głową.

- Nie, chyba nie.

Zastanawiam się, czy potrafi poznać, że kłamię. Nikt nie wie o nożu pod łóżkiem.

Nasza rozmowa dobiega końca, gdy wibruje mój telefon. Pisze Millicent.

*Wybacz, nie dałam rady. Jak poszło?*

Niebieska kropka właśnie opuszcza bar z kanapkami.

Jenna jest w poczekalni, gryzmoli w notesie, oglądając jakiś talk-show. Krótkie włosy sprawiają, że jej oczy wydają się ogromne. Ma na sobie długą koszulkę, džinsy i trampki. Mówię jej, że zanim pojedziemy po jej brata, wrzucimy coś na ruszt. Uśmiecha się.

Do Joeś mamy dokładnie siedem minut. Gdy wjeżdżam na parking, Millicent już dawno tam nie ma. Bar ma już za sobą czasy świetności, być może z powodu lokalizacji. Stoi w starszej części miasta, która przegrywa bitwę z nowszą i elegantszą stroną.

W środku jest wystarczająco jasno, by było widać zadrapania na ladzie i oszklonej witrynie. Mięsa, sery i gotowe sałatki wyglądają na odrobinę sfatygowane. Jesteśmy jedynymi klientami i w środku panuje cisza, dopóki Jenna nie obraca stojaka z chipsami ziemniaczanymi, który skrzypi – prawdopodobnie dlatego, że jest zardzewiały. Zjawia się jakaś kobieta, jakby dotąd siedziała i nagle wstała. Jest pulchna, ma jasne włosy i wydaje się zmęczona, ale gdy się uśmiecha, cała jej twarz się rozjaśnia.

- Witamy w Joeś – mówi. – Jestem Denise.
- Miło nam, Denise – odpowiadam. – Jeszcze nigdy tu nie byliśmy. Jaka jest wasza specjalność?

Unosi palec, dając mi znak, żebym zaczekał, po czym znika za ladą. Wsuwa rękę do jednej z witryn i bierze półmisek z plasterami wędliny. Stawia go przed nami.

- Indyk z cukrem i przyprawami. Trochę ostrości, trochę słodczy. Ale nie za dużo.

Patrzę na Jennę.

– Spoko – mówi.

Kupujemy dwie kanapki: dla niej w pieczywie z siedmiu ziaren, a dla mnie w kajzerce, obie przybrane tylko sałatą i pomidorem.

– Żeby było czuć smak indyka – mówi kobieta.

Z boku baru jest taras, niewidoczny z parkingu przed budynkiem. Na ogrodzonym terenie stoi kilka rozproszonych stolików. Jest czysto i panuje tam porządek, ale brakuje charakteru. Po chwili traci to jednak znaczenie, bo indyk smakuje wyśmienicie. Nawet Jenna je.

– Znalazłeś to miejsce w internecie? – pyta Jenna.

– Nie. Dlaczego?

– To by do ciebie pasowało. Szukanie miejsc z dziwnymi kanapkami.

– Nie są dziwne. Są dobre.

– Mamie by nie smakowały – mówi. – Nie są organiczne.

– Nie mów jej, że tu byliśmy.

– Mam skłamać?

Ignoruję to pytanie.

– Co sądzisz o tym psychologu? Pomaga ci?

Wzrusza ramionami.

– Chyba tak.

– Nadal się boisz?

Wskazuje coś palcem. Przez boczne drzwi baru ma widok na telewizor nad szklaną ladą. Blondynka siedzi na krześle obok kasy i ogląda wiadomości. Tekst na pasku informuje, że jutro wieczorem Jane Doe wystąpi na konferencji prasowej.

## 42

Stoimy z Millicent na pustym parkingu centrum handlowego Ferndale. Jedyne dźwięki dobiegają od strony autostrady za naszymi plecami. Jest piątek wieczorem i Jenna poszła na piżamową imprezę, a Rory nocuje u kolegi, gdzie właśnie gra w gry wideo.

Konferencja prasowa Jane Doe skończyła się godzinę temu. Obejrzeliśmy ją z Millicent w popularnym barze sportowym przynależącym do centrum handlowego. Pokazywały ją wszystkie telewizory. Ostatni odcinek naszej historii o seryjnym zabójcy zmienił się w piątkowe spotkanie towarzyskie ze skrzydełkami i piwem. Oglądaliśmy konferencję z Rhinehartami, drugą parą. Uwierzyli w każde słowo Jane Doe.

Millicent stoi oparta o samochód, trzyma ręce splecione na piersi, zbłąkany kosmyk jej włosów unosi się na lekkim wietrze. Zawsze jest ubrana stosownie do okazji, nawet do tak poważnej okazji w barze sportowym. Do czarnych dżinsów włożyła koszulkę z napisem JEDNOŚĆ WOODVIEW. To slogan, który narodził się po zaginięciu Naomi. Włosy zaplotła w warkocz, wymknął się tylko ten jeden kosmyk.

Kręci głową.

– Ona mi się nie podoba – mówi. – Nie podoba mi się jej historia.

Myślę o Lindsay, którą przetrzymywała. Może Lindsay też jej się nie podobała.

– To bez znaczenia – mówię.

– Nie wiadomo.

– Więc co...

– Po prostu musimy się dowiedzieć czegoś więcej – oznajmia.

– Chyba nie myślisz o...

– O niczym nie myślę.

Przez chwilę stoimy w milczeniu, następnie Millicent odwraca się i otwiera drzwi. Patrzę, jak wsiada do mojego samochodu od strony pasażera. Zamyka drzwi i spogląda na mnie. Nie poruszyłem się. Prawie słyszę, jak wzdycha, gdy znów wysiada. Ma na nogach buty z gumową podeszwą, podchodzi do mnie bezgłośnie.

Kładzie dłonie na mojej klatce piersiowej i patrzy na mnie.

– Hej – mówi.

– Hej.

– Wszystko w porządku?

Wzruszam ramionami.

– To znaczy nie – stwierdza.

Teraz moja kolej, żeby westchnąć. Albo się obrazić. Zacząć gwałtownie oddychać. Cokolwiek.

– Wiesz, że spieprzyliśmy sprawę – mówię.

– Tak?

– Tak mi się wydaje.

– Mów.

Nie wiem, od czego zacząć. Wszystko jest bardzo zagmatwane, a poza tym nie chcę powiedzieć niczego, czego nie powinienem. Na przykład wspomnieć o Petrze, o której nigdy nie wspominałem. Ani o szantażu Rory'ego. Millicent wie o Jennie, ale nie o wszystkim. Nie wie, dlaczego Trista popełniła samobójstwo. Nie wie o nadajniku przyczepionym do samochodu. O barze Joe's.

Jest tyle spraw, o których moja żona nie wie. A mimo to czuję, że jest jeszcze wiele do odkrycia.

– Ta historia z Owenem – mówię w końcu. – Wymknęła się spod kontroli.

– Nie sądzę.

– A co z Jenną?

– Powinnam była to przewidzieć.

Jej odpowiedź mnie zaskakuje. Millicent nieczęsto popełnia błędy, a jeszcze rzadziej się do nich przyznaje. Dlatego postanawiam nie wspominać, co powiedział Doktor Beżowy. To chyba nieodpowiedni moment, by mówić, że cała ta sprawa odbija się na zdrowiu Jenny.

Uderza w nas światło reflektorów, gdy z za centrum handlowego wyjeżdża jakiś samochód. Kiedy się zbliża, zauważam, że to coś innego. Ochrona centrum handlowego korzysta z wózków golfowych. Ten prowadzi kobieta w średnim wieku. Zatrzymuje się i pyta, czy wszystko w porządku.

Millicent macha do niej.

– Nic się nie stało. Po prostu rozmawiamy z mężem o stopniach naszego syna.

– Aha, rozumiem. Sama mam trzech.

– No więc wie pani, o co chodzi.

Pracownica ochrony kiwa głową. Wymienia uśmiechy z moją żoną i rodzi się między nimi jakieś matczyne porozumienie.

– Ale lepiej niech państwo stąd odjadą. Centrum jest już zamknięte.

– Dzięki. Już się zbieramy – mówi Millicent.

Kobieta czeka, aż wsiądziemy do samochodu i odjedziemy. Gdy zatrzymujemy się na czerwonym świetle, Millicent kładzie rękę na moim ramieniu.

– Zastanawiałam się, czy nie powinniśmy zapisać Jenny na kurs samoobrony. Chyba pomógłby jej nabrać pewności siebie.

– Dobry pomysł. – I na tym koniec.

– Jutro się tym zainteresuję.

Okazuje się, że wizyta Millicent w barze Joe's nie była jednorazowa. Jedzie tam ponownie następnego dnia w porze lunchu i spędza tam czterdzieści minut. Potem pokazuje kolejny dom. Nie zatrzymuje się w żadnych nietypowych miejscach. Sprawdza nawet dwie różne szkoły sztuk walki i opowiada mi o nich po kolacji, gdy jesteśmy sami w sypialni.

– Jedna z nich uczy taekwondo. Mają zgrupowania i drużyny, rywalizują o wstążki. W śródmieściu jest też szkoła krav magi. Trochę droższa, ale bardziej nastawiona na samoobronę.

– Mogłaby wypróbować obie, niech wybierze tę, która bardziej jej się spodoba.

Millicent podchodzi i całuje mnie w nos.

– Jesteś taki mądry.

Przewracam oczami. Chichocze.

Nie wspomina o sklepiku z kanapkami ani o pulchnej blondynce z szerokim uśmiechem. Staram się znaleźć sposób, żeby zagadnąć ją o lunch, nie pytając ni stąd, ni zowąd: „Co dziś jadłaś?”. Nie jestem jednak taki mądry, jak mówi Millicent, bo gdy zaczynam się rozwódzić nad tym, jak pyszny był mój lunch, wcale nie opowiada mi o swoim. Po prostu z uśmiechem kiwa głową, szykując się do snu, udając zainteresowanie moim długim monologiem o fikcyjnym posiłku. Kładziemy się spać, nie rozmawiając o barze z kanapkami.

W środku nocy wstaję i idę do biblioteczki. Nazywamy ją biblioteczką, ponieważ wypełniliśmy ją regałami i książkami i wstawiliśmy do środka duże mahoniowe biurko, ale korzystamy z niej tylko, gdy chcemy na osobności porozmawiać przez telefon. Zacząłem też na osobności korzystać tam z internetu.

Bar Joe's powstał dwadzieścia dwa lata temu. Ma dwoje właścicieli, niespokrewnionych ze sobą, i zawsze mieścił się w tym samym budynku. Lokal jest wydzierżawiony. Właściciele nie mieli żadnych kłopotów oprócz pozwu wniesionego przez mężczyznę, który poślizgnął się i upadł na podłogę, bo, jak twierdził, była mokra. Zakończyło się na ugodzie pozasądowej. Poza tym żadnych innych przestępstw, pozwów ani poważnych naruszeń przepisów o ochronie zdrowia. Bar Joe's jest dokładnie taki, jaki się wydaje: zwyczajny. Ta jego zwyczajność sprawia, że cała historia wygląda na podejrzaną. Millicent nie ma powodu, by tam jeździć – a tym bardziej dwukrotnie.

Mapa satelitarna terenu ukazuje wolno stojący budynek obok drogi, która kiedyś była znacznie bardziej ruchliwa. Po drugiej stronie ulicy jest mały komis samochodowy. Obok działa sklep hydrauliczny, a dalej zegarmistrz.

Gdyby Millicent zatrzymała się tam tylko raz, to mógłby być przypadek. Usłyszała od kogoś o takim miejscu na uboczu i postanowiła tam zajechać, ale szybko zdała sobie sprawę, że nie jest w jej stylu. Byłbym nawet skłonny uwierzyć, że się tam zatrzymała, bo zachciało jej się pić, a w pobliżu był tylko Joeś – mimo że to teren oddalony o całe kilometry od części miasta, w której zwykle przebywa. Uwierzyłbym chyba w każdy jednorazowy powód jej wizyty w tym miejscu. Tylko że dwa dni później znowu tam pojechała.

Ma jeszcze jeden powód, żeby jeździć do Joeś. Z początku myślę, że chodzi o Naomi – może przetrzymuje ją w tej okolicy – ale Millicent nie zatrzymywała się nigdzie indziej. W pobliżu nie ma żadnych opuszczonych budynków ani porzuconych lokali użytkowych, brakuje miejsc, do których mogłaby pójść, zostawiwszy samochód na parkingu obok baru.

To bez sensu. Chyba że zasmakowała w niezdrowych, nieorganicznych kanapkach.

A wiem, że tak nie jest.

## 43

Po Holly nigdy nie przyszło mi do głowy, że będzie następna. Dopóki na progu naszego domu nie zjawiała się Robin, grożąc, że jeśli jej nie zapłacę, wszystko popsuje.

Po Robin nigdy nie przyszło mi do głowy, że będzie jeszcze jedna. Dopóki nie zapragnąłem zrobić tego kolejny raz.

Ta myśl krążyła wokół mnie przez jakiś czas, najpierw na imprezie sylwestrowej, gdy rozmawialiśmy o tym z Millicent. Kontynuowaliśmy tę rozmowę miesiącami, aż w końcu zaczęliśmy szukać kobiet w internecie. Stało się to naszym afrodyzjakiem.

Rozmawialiśmy o tym, jak byśmy ją zabili i jak uszłoby nam to na sucho. Te wieczory zawsze kończyły się fantastycznym seksem. Dzikim seksem. W każdym miejscu, w jakim się dało, byle tylko w pobliżu nie było dzieci. Jeśli siedzieliśmy w domu, staraliśmy się zachowywać cicho.

To było prawie jak wspinanie się po drabinie. Żartowaliśmy z tego, rozmawialiśmy o tym, wybieraliśmy kobiety i planowaliśmy. Ilekroć wspięliśmy się na jeden szczebel, zaczynaliśmy wchodzić na następny. Potem ktoś zasugerował, żebyśmy zrobili to naprawdę. Tym kimś byłem ja.

Powiedziałem to w kuchni. Był późny ranek i siedzieliśmy nadzy na zimnych płytkach. Przed chwilą znaleźliśmy w internecie Lindsay. Obydwoje zgodnie uznaliśmy, że jest idealna.

– Powinniśmy po prostu to zrobić – powiedziałem.

Millicent zachichotała.

– Chyba właśnie to zrobiliśmy.

– Nie mówię o tym. To też, ale miałem na myśli coś innego.

– Miałeś na myśli, że powinniśmy zabić Lindsay.

Na chwilę zamilkłem.

– Tak. Właśnie to miałem na myśli.

Millicent spojrzała na mnie z zaskoczeniem zmieszonym z czymś innym. Wtedy nie byłem pewny, co to jest. Teraz myślę, że to było zainteresowanie. Albo zaintrygowanie. Ale nie odraza.

– Czyżbym wyszła za psychopatę? – powiedziała.

Roześmiałem się. Ona też.

Klamka zapadła.

Millicent nigdy nie przypominała mi o tej rozmowie, nigdy nie powiedziała, że to był mój pomysł. Nigdy nie powiedziała, że to była moja wina. Ale wiem, że tak jest. Gdyby nie ja, nie byłoby Lindsay, nie byłoby Naomi, a Owen by nie wrócił. Nasza córka wciąż miałaby długie, lśniące włosy i nie trzymałaby noża pod materacem.

A może to wszystko sprawiła Millicent. Może od początku prowadziła mnie w tym kierunku.

Sam już nie wiem.

W każdym razie kilka dni później znowu przypominam sobie o tej decyzji. I o jej niezamierzonych konsekwencjach.

Szkoły sztuk walki zgodziły się, by Jenna przyjrzała się zajęciom dla początkujących i oceniła, czy jej się podobają. Najpierw pojechalśmy na taekwondo. Pół godziny później Jenna spojrzała na mnie, pokręciła głową i wyszliśmy. Nie chce brać udziału w rywalizacji, zdobywać wstążek i trofeów. Moja córka chce się obronić przed Owenem.

Następnego dnia po południu pojechalśmy na krav magę. W przeciwieństwie do szkoły taekwondo tu nie wymaga się określonych strojów ani pasów, co Jennie spodobało się o wiele bardziej niż białe gi, które muszą nosić wszyscy na taekwondo. Woli swoje spodnie od dresu i koszulkę.

Nigdy nie przyszło mi do głowy, że mogłaby zrobić krzywdę chłopakowi, który będzie próbował ją czegoś nauczyć, a tym bardziej, że pozbawi go przytomności.

Wszystko stało się tak szybko, że nikt tego nie zauważył. Nawet ja, a przecież obserwowałem Jennę, siedząc na jednym z krzeseł przeznaczonych dla rodziców. W pierwszej chwili obydwój stali i chłopak pokazywał Jennie, jak prawidłowo wyprowadzić cios. W następnej padł na ziemię, krzycząc z bólu.

Na matę spadło kilka kropel krwi i wszyscy oszaleli.

– Co się dzieje, do...

– Jak to się...

– To kamień?

Jakaś matka w turkusowym swetrze wskazała Jennę.

– To ona. Uderzyła go kamieniem.

Rozpętało się pandemonium, któremu towarzyszyły kolejne okrzyki i poważne oskarżenia.

Wyjaśnienie sprawy zajęło kilka godzin, między innymi dlatego, że przyjechała matka rannego chłopaka i zaczęła krzyczeć, że nikt nie wezwał pogotowia. To skłoniło kogoś do zadzwonienia po karetkę. I policję.



Zjawiło się dwóch umundurowanych funkcjonariuszy, którzy spytali, co się stało. Matka chłopaka wskazała Jennę i powiedziała:

– Ona uderzyła mojego syna.

Funkcjonariusze, co rozumiałe, byli zdezorientowani, bo znajdowaliśmy się w szkole krav magi, gdzie regularnie ktoś kogoś uderza. Poza tym wydało im się trochę zabawne, że dziewczyna pobiła chłopaka. Właściciel szkoły nie widział w tym jednak nic śmiesznego.

Ostatecznie okazało się, że chłopakowi nic nie jest. Z niewielkiej rany na wardze popłynęła krew, ale naprawdę było to tylko kilka kropel. Nikt nie trafił do szpitala i nikogo nie aresztowano, lecz mnie i Jennę poproszono, żebyśmy nie przychodzili więcej do szkoły krav magi.

W ciągu tego popołudnia matka chłopaka co najmniej raz groziła, że nas pozwie. Na domiar złego byłem zmuszony odwołać kilka lekcji tenisa i wkurzyłem co najmniej jednego klienta.

Gdy już byliśmy sami w samochodzie, spytałem:

– Dlaczego?

Jenna wpatrywała się w coś za szybą.

– Musiałas mieć jakiś powód – powiedziałem.

Wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Może chciałam sprawdzić, czy dam radę.

– Czy dasz radę walnąć tego chłopaka kamieniem?

– Czy dam radę tak go walnąć, żeby stracił przytomność.

Nie zwracam jej uwagi na oczywistą sprawę. Nie pozbawiła go przytomności. Udało jej się tylko rozciąć mu wargę.

– Zamierzasz powiedzieć mamie? – spytała.

– Tak.

– Naprawdę?

W zasadzie to nie miałem pojęcia, czy to zrobię. W tamtej chwili nie potrafiłem nawet spojrzeć na Jennę.

Nigdy nie przypominała Millicent. Rory już po urodzeniu miał kępkę rudych włosów. Jenna urodziła się łysa. Gdy w końcu zaczęły jej rosnąć włosy, miały taki kolor jak moje: były ciemnobrązowe, bez najmniejszego śladu rudego. Oczywiście też miała takie jak ja.

Byłem bardzo zawiedziony.

To nie była jej wina. Nie chodziło o to, że Jenna coś zrobiła albo czegoś nie zrobiła. Chciałem po prostu, żeby rudowłosa dziewczynka pasowała do mojego syna oraz mojej żony i też miała włosy koloru płomieni. Miałem w głowie taki obraz i widziałem go, gdy

myślałem o swojej rodzinie. Prawdziwa Jenna do niego nie pasowała, bo była podobna do mojej, a nie do swojej matki.

Pierwszy raz wydała mi się podobna do Millicent, gdy uderzyła tego chłopaka kamieniem. Wyglądała całkiem jak moja żona uderzająca Robin w naszej kuchni.

To, co u żony wydawało mi się seksowne, u córki okazało się przerażające.

# 44

Jest późny wieczór. Jesteśmy z Millicent w jej biurze. Pracuje dla Abbott Realty, małej agencji nieruchomości, w której od lat jest grubą rybą. Biuro mieści się w galerii handlowej, wciśnięte między siłownię a chińską restaurację. W środku jest pusto i zacisznie, bo o tej porze nikt nie szuka nieruchomości. Minus to przeszklony front, który oznacza, że każdy może zajrzeć do środka. Otwarty układ biurek nie zapewnia nam żadnej osłony, więc gasimy światło i siadamy w głębi pomieszczenia. W innych okolicznościach mogłoby być romantycznie.

Millicent wie o Jennie. Jakaś koleżanka powiedziała jej o tym, zanim sam zdążyłem to zrobić, i moja żona wpadła we wściekłość. Zadzwoiła i krzyczała tak głośno, że wibrował mi bębenek. Mówiła, że powinienem być do niej zadzwonić jeszcze w szkole krav magi. Miała rację.

Teraz Jenna jest bezpieczna w domu, śpi w swoim łóżku i w nikogo nie rzuca kamieniami. Nie wymiotuje. Nie obcina tego, co zostało z jej włosów. Millicent jest spokojna. Przyniosła nawet deser, jednego eklera z polewą czekoladową. Przekrawa go na dwie idealnie równe części. Odgryzam kęs swojej, ona odgryza kęs swojej, a potem ścieram czekoladę z jej górnej wargi.

- Niedobrze z nią – mówi Millicent.
- Niedobrze.
- Musimy porozmawiać z jej lekarzem. Mogę zadzwonić...
- Jest podobna do Holly? – pytam.

Millicent odkłada eklera, jakby za chwilę miał eksplodować.

- Do Holly?
- Może to to samo. Ta sama choroba.
- Nie.
- Ale...
- Nie. Holly zaczęła dręczyć robaki, gdy miała dwa lata. Jenna jest zupełnie inna.

Jeśli porównywać je w ten sposób, to Millicent ma rację. Jenna zawsze krzyczy na widok robaków. Nie potrafi nawet zabić pająka, a co dopiero go dręczyć.

- W takim razie to nasza wina – mówię. – Musimy się pozbyć Owena.

- Próbowaliśmy.
- Myślę, że poszukiwania Naomi powinny się zakończyć – ciągnę. – Powinni ją znaleźć.
- Jak to miałyby pomóc...
- Na dobre pozbędziemy się Owena. – Gdy Millicent chce zwrócić uwagę na oczywisty problem, podnoszę rękę. – Wiem, wiem. Trudno pozbyć się kogoś, kogo nawet nie ma, prawda?
- Można to tak ująć.
- Pomysł z Owenem był świetny, nie zaprzeczam. Ale wywołaliśmy bardzo dużo problemów.
- Bardzo dużo?
- Jenna. Ludzie w mieście. Kobiety naprawdę się boją. – Pilnuję się, żeby nie wspomnieć o tym, o czym Millicent nie wie, na przykład o Triście.
- Moja żona kiwa głową.
- Nigdy nie chciałam skrzywdzić Jenny.
- Wiem. – Pochyliłam się na krześle, przysuwając się do Millicent, żeby dobrze usłyszała to, co zamierzam powiedzieć. – Upozorowanie jego śmierci byłoby trudne, może nawet niemożliwe, skoro nie będzie zwłok. Jedyne, co wchodziłoby w grę, to utonięcie w oceanie albo w jakimś jeziorze, w którym nigdy go nie znajdą. Ale nawet wtedy byłyby wątpliwości. A żeby to było choć trochę wiarygodne, potrzebowalibyśmy kogoś wiarygodnego, kto by o tym opowiedział.
- Na przykład Naomi – mówi Millicent.
- A jakie są szanse, że pozwolimy Naomi to zrobić?
- Małe.
- Więc może Owen nie umrze. Może po prostu wyjedzie. – Milknę na chwilę, czekając na jej reakcję. Gdy nie odpowiada, mówię dalej. – Owen ma tak wielkie ego, że napisał do reportera, by wszyscy wiedzieli, że wrócił, i poznali dokładną datę zniknięcia jego kolejnej ofiary. Dlaczego nie miałby ogłosić, że zamierza wyjechać? To typ, który chętnie się tym, co robi. Powiedziałaby: „Napisałem wam, co dokładnie zamierzam zrobić i kiedy, a i tak mnie nie złapaliście. Teraz nigdy mnie nie znajdziecie”.
- Millicent lekko kiwa głową, jakby się nad tym zastanawiała.
- Wiem, że to nie jest idealne rozwiązanie – mówię. – Ale jeśli Owen zniknie, wszyscy przestaną o nim rozmawiać i może Jenna nie będzie się więcej bała.
- Trzeba wybrać odpowiedni moment – mówi Millicent. – Powinni znaleźć Naomi, zanim wyślesz kolejny list.
- Oczywiście.
- Najpierw się tym zajmę.
- Może powinniśmy to zrobić razem.

Patrzy na mnie, lekko przechylając głowę. Przez chwilę myślę, że się uśmiechnie, ale tego nie robi. Sprawa stała się zbyt poważna. Posunęliśmy się dalej niż do traktowania tego jako gry wstępnej.

– Mogę się zająć Naomi – mówi. – Ty skup się na liście. Wszyscy muszą uwierzyć, że Owen wyjechał.

Mam ochotę się spierać i forsować swoje rozwiązanie, ale zamiast tego kiwam głową. Jej pomysł ma sens.

Lekko wzdycha.

– Mam nadzieję, że to zadziała.

– Ja też.

Biorę ją za rękę. Siedzimy tak, aż w końcu Millicent sięga po to, co zostało z mojego eklera, i odgryza kawałek. Robię to samo z jej połową ciastka. Na jej ustach pojawia się maleńki uśmiech. Ściskam jej dłoń.

– Wszystko będzie dobrze – mówię.

Wcześniej mówiła tak Millicent. Mówiła tak, gdy byliśmy młodzi i splukani z małym dzieckiem i następnym w drodze. Mówiła tak, gdy kupiliśmy swój pierwszy dom, a potem drugi, większy.

Powiedziała tak również po Holly, gdy zwłoki jej siostry z głową roztrzaskaną rakietą do tenisa leżały w naszym salonie.

Kiedy stałem nad Holly, próbując pojąć, co przed chwilą zrobiłem, Millicent od razu wzięła się do pracy.

– Nadal mamy w garażu tę plandekę? – spytała.

Jej pytanie dotarło do mnie dopiero po chwili.

– Plandekę?

– Tę, którą kupiliśmy, gdy mieliśmy przeciek.

– Chyba tak.

– Przynies ją.

Stałem przez chwilę, myśląc, że powinniśmy wezwać policję. Bo przecież tak się robi, gdy zabija się kogoś w samoobronie. Wzywa się policję i wyjaśnia, co się stało, ponieważ nie zrobiło się nic złego.

Millicent czytała w moich myślach.

– Myślisz, że policja uwierzy, że Holly ci zagrażała? – spytała.

Mnie, sportowcowi. Mnie, ze złamaną rakietą do tenisa.

Holly, która nie była uzbrojona.

Nie spierałem się. Poszedłem do garażu i przekopywałem półki oraz plastikowe pojemniki, dopóki nie znalazłem zrolowanej niebieskiej plandeki. Gdy wróciłem do

salonu, zwłoki Holly leżały już w innej pozycji: nogi wyprostowane, ręce ułożone wzdłuż ciała.

Rozłożyliśmy plandekę na podłodze i razem owinęliśmy zwłoki jak mumię.

– Przenieśmy ją do garażu – powiedziała Millicent.

Prawie jakby nie musiała się nad tym zastanawiać.

Robiłem, co kazała, i w końcu ciało znalazło się w bagażniku mojego samochodu. Zawiozłem je do lasu i zakopałem, podczas gdy Millicent usuwała resztki krwi. Kiedy dzieci wróciły ze szkoły, nie było już żadnego śladu Holly.

To samo zrobiliśmy z Robin, tylko że ona nie spoczęła w ziemi. Jej zwłoki i mały czerwony samochód wylądowały na dnie jeziora.

Millicent ma rację. Zawsze nam się układało.

Nadeszła moja kolej, by tego dopilnować.

Obie połówki eklera już zniknęły i Millicent wyrzuca okruszki do kosza. Wstajemy, przechodzimy przez ciemne biuro i idziemy do samochodu. Jest późno. Nawet chińska restauracja jest już zamknięta, ale siłownia działa dwadzieścia cztery godziny na dobę. Wyróżnia się jak samotna żarówka na tle ciemnego nieba.

Zanim zapuszczę silnik, odwracam się do Millicent. Sprawdza swój telefon. Wyciągam rękę i przykładam dłoń do jej policzka, tak jak ona wiele razy przykładła do mojego. Patrzy na mnie zaskoczona.

– Więc mamy plan? – pytam.

Uśmiecha się i ten uśmiech obejmuje także jej oczy.

– Zdecydowanie tak.

## 45

Wreszcie mam jasność. Choć może się to wydawać nieprawdopodobne, nagle po raz pierwszy coś sobie uświadamiam. Dopóki nie zobaczyłem tego chłopaka uderzonego przez Jennę, nie zdawałem sobie sprawy, że robimy z Millicent coś więcej, niż nam się wydawało. Że niszczymy własną rodzinę.

Ostatni list pisze mi się najłatwiej. Mam teraz cel – pozbyć się Owena – i chyba wiem, jak go osiągnąć.

Choć jak zwykle wyślę go do Josha, tak naprawdę adresuję do opinii publicznej. Mówię jej, że jest głupia.

*Dałem wam wszystko. Próbowałem wam pomóc mnie złapać, wyjawiając, kiedy dokładnie porwę kolejną ofiarę. Dałem wam nawet dwa tygodnie na przygotowania, na stworzenie planu. Mimo to zawiedliście. Nie powstrzymaliście mnie, nie zdołaliście mnie złapać i przez was Naomi nie żyje. Niech to będzie jasne: jej śmierć to nie moja wina, lecz wasza.*

*Wiedziała, co się dzieje. Oglądała te same doniesienia w telewizji co wy, czytała mój poprzedni list, a mimo to była sama w piątek trzynastego. Wiedziała, że postąpiła głupio. Ale miała wiarę. Wierzyła, że jej szukacie i ją znajdziecie. W pewnym sensie miała rację.*

*Gdybym miał czas, opowiedziałbym wam o wszystkim, co jej zrobiłem. O każdym zadrapaniu, każdej ranie, każdym sińcu. To jednak zbędne. Macie już jej ciało.*

*W zasadzie nie zostało mi nic do dodania. Zagraliśmy w tę grę i przegraliście. Naomi przegrała. Przegrali wszyscy oprócz mnie. A teraz mam dość. Wróciłem i osiągnąłem swój cel. Nie mam nic więcej do udowodnienia. Ani wam, ani sobie.*

*Żegnajcie.*

*Nareszcie.*

Gdy tylko ostateczna wersja jest gotowa, mówię o tym Millicent. Przyjechała do klubu po Rory'ego, który po szkole grał w golfa i skończył wcześniej niż ja. Zatrzymuje się obok kortu tenisowego, gdzie czekam na kolejnego klienta. Jej cieliste szpilki stukają w beton, gdy zbliża się do mnie z uśmiechem.

Od naszej wieczornej rozmowy minęło kilka dni. Odkąd Jane Doe się ujawniła, udziela wywiadów każdemu, kto się do niej zgłosi. Nie sposób było jej uniknąć, dopóki

poprzedniego dnia wieczorem nie zjawiała się Jane Doe #2.

Zamiast zwołać konferencję prasową, nagrała oświadczenie i zamieściła je w internecie, a lokalne serwisy informacyjne pokazały je ponownie. Kobieta jest młodsza od pozostałych, być może wciąż studiuje. Ma kruczoczarne włosy, bladą skórę i usta wyglądające, jakby pomalowała je krwią. Jane #2 to prawie zupełne przeciwieństwo typowych ofiar Owena, ale opowiada niemal taką samą historię jak Jane #1. Inny jest tylko parking, a także kilka dramatycznych szczegółów. Ta Jane twierdzi, że Owen uderzył ją w twarz, i obnosi się z fioletowym sińcem na policzku.

Gdy tylko nagranie się skończyło, na ekranie telewizora pojawił się mój stary przyjaciel Josh. Ostatnio był bardzo poważny, lecz wczoraj wieczorem brzmiał wręcz sarkastycznie. Nie powiedział wprost, że jego zdaniem Jane Doe #2 kłamie, ale równie dobrze mógłby to zrobić. Nie wyobrażam sobie, by ktoś jej uwierzył. Wiem, że ja nie uwierzyłem.

Problem polega na tym, że przez takie kobiety jak ona Owen pozostaje tematem dnia. Nie muszę przypominać o tym Millicent, gdy wchodzi na kort tenisowy.

– Jeśli masz ochotę zagrać, wystarczy słowo – mówię.

Ciemne okulary osłaniają jej oczy zarówno przed słońcem, jak i przed moim wzrokiem, ale kiwa głową.

– Też się cieszę, że cię widzę.

– Wybacz. – Przysuwam się i całuję ją w policzek. Pachnie cytrusami. – Cześć.

– Cześć. List jest gotowy?

– Chcesz go przeczytać? – Pragnę, żeby odpowiedziała tak, pragnę patrzeć, jak go czyta, lecz ona kręci głową.

– Nie muszę. Ufam ci.

– Och, wiem. Tak tylko pytałem.

Uśmiecha się i całuje mnie w policzek.

– Do zobaczenia w domu. Kolacja o szóstej.

– Jak zawsze.

Patrzę, jak odchodzi.

Dziś nie jedzie do baru z kanapkami. Dziś cały dzień pracuje: albo jest w biurze, albo pokazuje domy.

Wciąż obserwuję niebieską kropkę, wciąż sprawdzam, dokąd jeździ, ale nie dlatego, że chcę się dowiedzieć, co się dzieje z Naomi. To już wiem. Jeśli nie jest martwa, to niedługo będzie.

Obserwuję niebieską kropkę, bo lubię obserwować Millicent.

Mija następny dzień, potem kolejny, i Josh znów odlicza dni od momentu zaginięcia Naomi. Cały czas obserwuję go w telefonie, czekając na sensacyjne wieści o odnalezieniu zwłok. Nawet budząc się w środku nocy, czuję przemożną chęć sprawdzenia, czy coś się



wydarzyło. W internecie wiadomości mogą się pojawiać o dowolnej porze. Zazwyczaj to nie problem. Ale teraz, gdy na nie czekam, doprowadza mnie to do szału. I utrudnia mi życie.

Schodzę na dół i wmykam się na podwórko za domem, by tam zajrzeć do telefonu. Wiadomości są takie same jak wtedy, gdy szedłem spać. Żadnych sensacji, nic się nie dzieje. To przypomina nudną powtórkę programu.

Nie jestem jednak zmęczony. O drugiej w nocy powietrze jest nieruchome, podobnie jak nasza okolica. W Hidden Oaks nikt nie wyprawia nocnych imprez ani lecz nie puszcza głośnej muzyki. W żadnej z naszych prawie rezydencji nie widzę nawet światełka.

Chciałbym móc powiedzieć, że to był nasz wymarzony dom, że wystarczyło jedno spojrzenie, byśmy wiedzieli, że chcemy tu mieszkać, że to właśnie na niego tak ciężko pracowaliśmy. Ale to nieprawda. Nasz wymarzony dom stoi trochę głębiej w Hidden Oaks, gdzie nieruchomości stają się prawdziwymi rezydencjami. W wąskim gronie chirurgów i właścicieli funduszy hedgingowych.

Mieszkamy nieco dalej od centrum, i to tylko dzięki paskudnemu rozwodowi, który doprowadził do zamrożenia aktywów i przejęcia nieruchomości przez bank. Jako że Millicent podszyła temu bankowi mnóstwo klientów zainteresowanych kredytami hipotecznymi, mogliśmy kupić dom, na który normalnie nie byłoby nas stać. To dlatego mieszkamy w Hidden Oaks. Mieszkalibyśmy na obrzeżach, ale znowu udało mi się znaleźć drogę w głąb.

Podskakuję na szelest krzewów. Tej nocy nie ma wiatru.

Dźwięk dobiega z boku domu. Gdybyśmy mieli psa, założyłbym, że to on, ale go nie mamy. W okolicy nie ma nawet saren.

Znowu słychać szelest i jakiś trzask.

Ściskając telefon, wstaję, żeby sprawdzić, co się dzieje. Nasza tylna weranda zajmuje mniej więcej połowę długości domu, ciągnie się od kuchni do narożnika. W ciemności podchodzę do balustrady. Ścieżkę biegnącą wzdłuż domu częściowo oświetla lampa. Nikogo tam nie widać. Żadnych zwierząt, włamywaczy ani seryjnych zabójców.

Z góry dobiega ciche szuranie. Podnoszę głowę w samą porę, by zobaczyć, jak Rory wślizguje się z powrotem do domu.

Nie miałem pojęcia, że się wymknął.

## 46

Impreza, narkotyki, dziewczyny. Albo tak po prostu.

Oto powody, dla których Rory wymyka się z domu. Są takie same u wszystkich nastoletnich chłopców. Ja wymknąłem się pierwszy raz, żeby palić trawę. Drugi – bo za pierwszym mi się upiekło. W końcu wymykałem się z powodu Lily. Rodzice nigdy się nie dowiedzieli. Albo raczej nigdy ich to nie obchodziło.

A jednak nawet gdy Rory przyłapał mnie na wykradaniu się z domu, nie przyszło mi do głowy, że on też to robi. Oto jaki byłem nieuważny.

Zamiast od razu skonfrontować się z Rorym, czekam do następnego dnia. Dzięki temu mam szansę sprawdzić, czy czegoś nie przeoczyłem, czy przed rozmową z nim nie powinienem wiedzieć o czymś więcej.

W jego pokoju jak zwykle panuje bałagan, który nie obejmuje biurka. Na biurku jest niemal obsesyjno-kompulsywny porządek, lecz to porządek nieoficjalny, bo poza tym Rory nie jest drobiazgowy w żadnej dziedzinie życia. Nie obchodzi go, że jego ubrania leżą na kupie ani że książki walają się po podłodze, ale na biurku zawsze jest czysto. Może w ogóle nie korzysta z biurka.

W zwykłych okolicznościach nie przeszukiwałbym mu pokoju. Nigdy dotąd tego nie robiłem. Z drugiej strony nigdy dotąd nie widziałem, żeby się wymykał. Mój syn ma sekrety, a według mnie sekrety uzasadniają konieczność przeszukania.

Rory jest w szkole. Wziął ze sobą telefon, a w pokoju nie może mieć komputera, więc moje poszukiwania odbywają się w świecie analogowym. Na pierwszy ogień idzie szafka nocna, potem biurko, następnie komoda i szafa. Zaglądam nawet pod łóżko, pod komodę i w głąb szuflady ze skarpetkami.

To najbardziej rozczarowujące poszukiwania, jakie można sobie wyobrazić.

Nie ma pornosów, bo ogląda je online. Nie ma liścików od dziewczyn, bo komunikują się przez komórkę. Nie ma zdjęć, bo trzyma je w telefonie. Nie ma narkotyków ani alkoholu, ponieważ jeśli je zażywa, nie jest aż taki głupi, by chować je w pokoju. To już coś – chyba. Mój syn nie jest kretynem.

Nie mówię o tym Millicent, bo ma wystarczająco dużo na głowie.

Moja żona nie wie. Gdyby się dowiedziała, Rory dostałby szlaban do końca życia. Ona jednak nie wie, bo go nie słyszała. Śpi jak zabita. Nie jestem pewny, czy obudziłby ją alarm przeciwpożarowy.

Gdy kończę te bezsensowne poszukiwania, jest już prawie pora lunchu, więc jadę do szkoły. Pani w sekretariacie wysłała do nauczyciela Rory'ego wiadomość z prośbą, by przysłał mojego syna. Choć Rory i Jenna chodzą do prywatnej szkoły, mundurki nie są obowiązkowe. Trzeba jednak przestrzegać kodeksu odzieżowego, więc Rory codziennie nosi spodnie koloru khaki i koszulę zapinaną na guziki. Tym razem ma na sobie białą. Plecak przewiesił przez ramię. Jego rudym włosom przydałoby się strzyżenie. Na mój widok od razu odsuwa grzywkę z czoła.

– Wszystko w porządku? – pyta.

– Jasne. Po prostu pomyślałem, że moglibyśmy spędzić razem popołudnie.

Unosi brwi, ale nie protestuje. Na razie bycie ze mną wydaje mu się lepsze niż popołudniowe lekcje.

Jemy lunch w ulubionej restauracji Rory'ego. Zamawia stek, którego Millicent nigdy dla niego nie przyrządza. Niczego nie kwestionuje, dopóki kelnerka nie przynosi gazowanego napoju, którego nigdy nie kupujemy do domu. Rory wie, że coś się święci, więc nie jestem zaskoczony, gdy pyta:

– O co chodzi, tato?

Doznaję jednak szoku, gdy po chwili dodaje:

– Rozwiedź się z mamą?

– Rozwiedzimy się? Skąd ci to przyszło do głowy?

Wzrusza ramionami.

– Bo właśnie tak zachowują się rodzice, kiedy mają powiedzieć coś w tym rodzaju.

– Poważnie?

– No. – Mówi tak, jakby to było oczywiste.

– Nie rozwiedzimy się.

– Jasne.

– Naprawdę. Nie rozwiedzimy się.

– Słyszę.

Upijam duży łyk mrożonej herbaty, a on napoju. Nic więcej nie mówi, zmusza mnie, żebym zaczął.

– Co słychać?

– Wszystko w porządku, tato. A co u ciebie?

– Super. Co nowego?

Waha się. Przynoszą nam jedzenie, dzięki czemu ma więcej czasu, żeby się zastanowić nad moim pytaniem.

Gdy kelnerka odchodzi, Rory lekko kręci głową.

– W zasadzie nic.

– W zasadzie?

– Tato.

– Hmm? – Wkładam do ust kawałek steku.

– Po prostu powiedz, dlaczego tu jesteśmy.

– Chcę się dowiedzieć, jakie nowe i ekscytujące rzeczy dzieją się w twoim życiu – mówię. – Bo na pewno są nowe i ekscytujące, skoro wyciągają cię z domu w środku nocy.

Ręce Rory'ego zastygają podczas krojenia mięsa. Prawie widzę, jak przez jego głowę przebiegają różne możliwości.

– To było tylko raz – mówi.

Milczę.

Rory wzdycha i odkłada sztucce.

– Umówiłem się z Danielem. Chcieliśmy sprawdzić, czy ktoś zauważy.

– Więc on też się wymknął?

– Na to wygląda.

– I co robiliście?

– W sumie nic. Poszliśmy na boisko, pokopaliśmy piłkę. Trochę połaziliśmy.

Możliwe. W wieku czternastu lat samo przebywanie poza domem o północy wydaje się ekscytujące. Ale nie sądzę, żeby to było jego pierwsze wymknięcie się przez okno.

Tej nocy ani następnej Rory się nie wykrada. Nic dziwnego, skoro niedawno go przyłapałem. Jestem jednak czujny nie tylko w nocy – zwracam uwagę na wszystko, co dotąd ignorowałem.

Wieczorem obserwuję go, gdy pisze wiadomości, gdy jego komórka wibruje i Rory sprawdza, kto do niego napisał, oraz gdy siedzi przy komputerze. W wieczór filmowy zauważam, że trzyma telefon schowany, ale często na niego spogląda. Raz ktoś do niego dzwoni, ale spersonalizowany dzwonek nie jest żadnym rockowym kawałkiem ani dźwiękiem z gry wideo. To piosenka, której nie rozpoznaję: śpiewa ją kobieta z ochryłym głosem i brzmi to tak, jakby stała nad przepaścią.

Odbierając dzieci ze szkoły, zjawiam się z wyprzedzeniem, by zapewnić sobie dobry widok na drzwi. Właśnie wtedy zauważam dziewczynę, za którą najwyraźniej szaleje mój syn.

To drobniutka blondynka z różowymi ustami, mleczną cerą i prostymi włosami sięgającymi podbródka. Gdy rozmawiają, odsuwa je i przestępuje z nogi na nogę. Jest równie zdenerwowana jak on.

Zastanawiam się, od jak dawna to trwa. Jak długo ma tę dziewczynę – albo prawie dziewczynę? Gdyby nie to, że przyłapałem go na nocnym powrocie do domu, w ogóle

bym tego nie zauważył. Może dożyłbym swoich dni, nie mając pojęcia o drobnej blondynce, która podobała się mojemu synowi.

Czy były inne dziewczyny – blondynki, brunetki albo rude – za którymi mój syn szalał tak jak za tą? Czy przegapiłem pierwszą, drugą i trzecią? Na tym etapie nie sposób się tego dowiedzieć. Gdybym spytał, nie powiedziałby mi. Nie powiedział mi nawet o tej.

A ja nie zauważyłem, nie miałem o tym pojęcia, dopóki się trochę nie wysiliłem. W przeciwnym razie to też by mi umknęło.

Zastanawiam się, czy właśnie tak było z moimi rodzicami. Nigdy się nie wysilili, więc się im wymknąłem.

W czasie kolacji nasze telefony leżą w rzędzie na blacie za Millicent. Jemy risotto z grzybami, a do tego pory i minimarchewki. Nagle mój smartfon wyje jak syrena.

Sensacyjne wieści.

Millicent wyciąga rękę i ścisza dzwonek.

– Wybacz – mówię. – Apka sportowa.

Piorunuje mnie spojrzeniem. W czasie kolacji telefony powinny być wyciszone.

Sensacyjne wieści mogą dotyczyć czegokolwiek, ale tym razem wiem, o co chodzi. Filtr w mojej aplikacji newsowej jest ustawiony na imiona Naomi i Owena Olivera oraz na słowa „znaleziono zwłoki”. Technologia to wspaniała sprawa.

Jednocześnie technologia to okropna sprawa, bo teraz muszę wysiedzieć do końca kolacji, zanim dowiem się czegoś więcej. To gorsze niż życie w zupełnej nieświadomości przez dwadzieścia minut.

Gdy wreszcie kończymy jeść i dzieci sprzątaję ze stołu, łapię telefon.

#### *ZNALEZIONO ZWŁOKI KOBIETY*

Patrzę na Millicent. Stoi przed zlewem ubrana w starą bluzę dresową, czarne legginsy i moje skarpetki. Przyciągam jej spojrzenie i wskazuję komórkę.

Odpowiada mi leciutkim skinieniem głowy i uśmiechem.

Resztę historii poznaję dopiero, gdy naczynia są w zmywarce, a dzieci siedzą przed telewizorem. Wtedy idę na górę, wchodzę do łazienki i oglądam wiadomości.

Jest doskonale.

Zwłoki Naomi znaleziono w kontenerze na śmieci za hotelem Lancaster. Ostatni raz widziano ją właśnie na tym parkingu, niedaleko tego kontenera, gdy wyszła z pracy w piątek trzynastego. Na nagraniu monitoringu widać, jak szła w stronę samochodu. Kamery obejmują tylko część parkingu. Zarówno samochód Naomi, jak i kontener na śmieci znajdowały się poza ich zasięgiem.

Josh stoi na ulicy naprzeciw hotelu, dokładnie tam, gdzie kiedyś parkowałem, żeby obserwować Naomi. Wydaje się nabuzowany kofeiną albo adrenaliną, a może jednym

i drugim. Miło jest znowu go widzieć w takim stanie. Chyba obie Jane Doe, zwłaszcza ta druga, działały na niego przygnębiająco.

Teraz tryska energią, pełen podtekstów i spekulacji, ponieważ ujawniono niewiele faktów. Wiemy tylko tyle, że martwa kobieta podobna do zaginionej Naomi została znaleziona w kontenerze na śmieci podczas opróżniania go przez zakład gospodarki komunalnej. Wezwano policję, odgrodzono cały obszar i wieczorem być może zostanie zwołana konferencja prasowa – Josh jest tego prawie pewny.

Jedynie o przeszłości Naomi nikt nie wspomina. Teraz, gdy kobieta już nie jest zaginiona, lecz martwa, mówienie o niej niepochlebnych rzeczy byłoby w złym tonie.

Josh zwraca uwagę, że upłynęły tygodnie, odkąd ostatni raz odezwał się do niego Owen Oliver Riley.

Uśmiecham się.

List zaadresowałem na stację telewizyjną, zaznaczając na kopercie, że to „poufna wiadomość dla Josha”. Przypuszczam, że gdy dotrze do celu, na twarzy reportera odmaluje się orgazmiczny wyraz, choć Josh z pewnością nie będzie zachwycony, kiedy się dowie, że to ostatni list od Owena. Te wiadomości zrobiły z niego gwiazdę, w każdym razie lokalną, i wieść niesie, że zabiega o niego kablówka. Pasowałby do kablówki. Jest taki poważny i uczciwy, że trudno mu nie wierzyć.

Josh to jedna z nielicznych osób, którym po tej historii będzie się żyło lepiej.

Trista nie należy do tego grona.

Biednej, martwej Tristy nikt nawet nie uzna za ofiarę. A przecież była ofiarą, nawet jeśli sama odebrała sobie życie. Naprawdę mam wyrzuty sumienia z jej powodu, przede wszystkim dlatego, że ona miała wyrzuty sumienia z powodu innych. Trudno nie lubić kogoś tak empatycznego.

Najlepsze, co możemy teraz zrobić, to nie dopuścić, by to się powtórzyło.

Schodzę na dół, gdzie dzieci kłócą się, co teraz oglądać. Millicent grozi, że jeśli nie dojdą do porozumienia, pošle ich do pokojów, żeby czytali książki, i nagle w salonie robi się cicho. Słysząc melodię lecącą na początku serialu dla nastolatków. To ulubiony serial Jenny, ale jakimś cudem Rory powstrzymuje się od narzekania. Przypuszczam, że ma to związek z drobną blondynką. Prawdopodobnie ogląda te same seriale co Jenna.

Millicent daje mi znak i przechodzimy przez kuchnię do jadalni, z której korzystamy tylko w święta i podczas imprez.

– Znaleźli ją? – szepcze.

Kiwam głową.

– Tak. Czekają na oficjalne potwierdzenie.

– Teraz powinienes...

– Wyślę go jutro.

– Doskonale.

Uśmiecham się. Całuje mnie w czubek nosa.

Wracamy do salonu i dołączamy do dzieci, ale ponieważ oglądamy telewizję na żywo, nie udaje nam się uniknąć wiadomości o Naomi. Przekazują ją bez zapowiedzi w przerwie na reklamę i dzieje się to tak szybko, że nie ma czasu, by zmienić kanał.

Telefon Rory'ego się rozświecila. Mój syn sięga po niego i zaczyna coś pisać.

Jenna nie reaguje. Wpatruje się w telewizor, jakby wciąż oglądała swój serial, a nie doniesienia o martwej kobiecie.

– Kto ma ochotę na lody? – odzywa się Millicent.

Rory podnosi palec.

– Ja.

– Jenna?

– Pewnie.

– Jedną gałkę?

– Trzy.

– Jasne, skarbie – mówię, wstając z kanapy.

Millicent spogląda na mnie, unosząc brew, a potem idzie za mną do kuchni. Wyjmuję cztery miseczki i każdy z nas dostaje po trzy gałki. Millicent zaczyna coś mówić, ale jej przerywam.

– Nie rozmawiajmy dziś o zawartości cukru. Musi być gorzej, zanim będzie lepiej. – To prawda. Naomi codziennie będzie w wieczornych wiadomościach, będą wałkowali wszystkie szczegóły jej odnalezienia i tego, jak zginęła. Gdy Josh dostanie mój list, zrobi się jeszcze gorzej, bo wtedy zaczną się wielogodzinne debaty na temat tego, czy Owen naprawdę zniknął, czy tylko się przyczaił, żebyśmy wszyscy znów popadli w samozadowolenie.

W końcu sprawa przycichnie. Coś innego zajmie jej miejsce i Owen zniknie na dobre.

Ale do tego czasu – trzy gałki lodów.

Wracamy do salonu. Serial dla młodzieży się skończył. Rory zmienia kanał i oglądamy końcówkę jednego programu w oczekiwaniu na następny. Tymczasem przekazują wiadomości. Zanim Millicent dopada pilota, na ekranie naszego telewizora pojawia się Josh. Powtarza te same informacje, które słyszeliśmy na innym kanale.

Gdy kończy mówić o odnalezieniu zwłok Naomi, Rory odwraca się do siostry.

– Myślisz, że ją torturował?

– No.

– Bardziej czy mniej niż poprzednią?

– Ej – wtrącam się. Bo nie wiem, co innego mógłbym powiedzieć.

– Bardziej – odpowiada Jenna.



– Założysz się?

Jenna wzrusza ramionami. Pieczętują zakład uściskiem ręki.

Millicent wstaje i wychodzi z pokoju.

Odnoszę swoją miseczkę z lodami do kuchni. Kończy mi się bateria w telefonie, więc szperam w szufladzie z różnościami w poszukiwaniu ładowarki. Zawsze się gdzieś walają, ale nigdy ich nie ma, kiedy potrzebuję, i teraz też żadnej nie widzę. Próbuję w spiżarni, bo lądują w niej różne rzeczy. Gdy Jenna była młodsza, znajdowałem tam pluszaki siedzące obok ciasteczek, których miały pilnować. Teraz znajduję gadzety elektroniczne.

Dziś jednak nie ma tam ładowarki. Ale na dolnej półce za puszkami z zupą zauważam fiolkę kropeł do oczu.

Tych, na które Millicent jest uczulona.

# 48

Na widok kropel do oczu myślę o Rorym. Skoro Millicent służyły do zatajenia przed rodzicami, że jest upalona, to inne dzieciaki z pewnością też wpadają na taki pomysł. Może właśnie po to mój syn wymyka się w nocy. Może on i jego drobna dziewczyna popalają trawkę.

Istnieją gorsze rzeczy. O wiele gorsze rzeczy.

Spizarnia to niezbyt logiczne miejsce przechowywania kropel do oczu, ale przypuszczam, że po prostu chciał je ukryć. Może przyszedł do domu ujarany i włożył je tam w ostatniej chwili. Albo pomyślał, że nikt nie będzie zaglądał za puszką z zupą na dolnej półce.

Z drugiej strony krople mogą należeć do Jenny. Może to ona popała.

Nie, to się nie trzyma kupy. Jenna nie zaszkodziłaby swoim płucom. Piłka nożna jest dla niej zbyt ważna.

Biorę buteleczkę z kroplami. W drodze do pracy zastanawiam się, co oprócz dymu, brudu albo jakiejś drażniącej substancji powoduje zaczerwienienie oczu. Alergie i zmęczenie, ale ich nie trzeba ukrywać. Może kac. Może jakiś nowy narkotyk, o którym nawet nie słyszałem.

Gdy Kekona przyjeżdża na lekcję, siedzę na ławce i wpatruję się w te krople do oczu.

Kekona jest tak nabuzowana plotkami, że podskakuje, jakby miała sześć, a nie sześćdziesiąt lat. Zaraz po wejściu na kort zaczyna mówić, bo musi to wszystko z siebie wyrzucić, zanim wyjedzie z miasta. Co roku spędza miesiąc na Hawajach i termin wycieczki zbliża się wielkimi krokami. Kekona boi się, że sporo ją ominie, skoro właśnie znaleziono zwłoki Naomi.

– Uduszona – mówi. – Tak jak poprzednie.

– Wiem.

– I torturowana. Mnóstwo śladów po skaleczeniach papierem.

Moje serce na chwilę zamiera.

– Po skaleczeniach papierem?

– Policja mówi, że cała była nimi pokryta. Były nawet na jej powiekach. – Kekona drży, jakby zrobiło się zimno.

Ślady po skaleczeniach papierem.

Zamykam oczy, próbując sobie wyobrazić, jak Millicent to robiła. Próbując nie myśleć o tym, że zmieniła nasz prywatny żart w coś tak chorego.

Jest dopiero jedenasta przed południem. Wcześniej ogłoszono, że oprawca spiłował Naomi opuszki palców, ale policja miała już przygotowaną jej kartotekę stomatologiczną. To ona.

– Policja powiedziała o tych skaleczeniach papierem? – pytam.

– Nie oficjalnie. Tylko anonimowe źródła – odpowiada Kekona. – Ale jeśli chcesz znać moje zdanie, zastanawiające jest to przyspieszenie. – Robi pauzę.

– Jak to? – pytam zatem.

– Przecież poprzednią kobietę przetrzymywał przez rok. A Naomi? Półtora miesiąca.

– Może znudziło mu się czekanie, aż znajdzie go policja.

Kekona uśmiecha się do mnie.

– Jakiś ty dzisiaj pyskaty.

Wzruszam ramionami i unoszę piłkę do tenisa, dając do zrozumienia, że powinniśmy grać, skoro mi za to płaci. Kekona robi małą rozgrzewkę i wymachuje rakieta.

– Gdyby to był film, ta różnica czasu na pewno miałaby znaczenie – mówi.

Ma rację, choć kieruje się niewłaściwymi przesłankami.

– Czy to nie ty powiedziałaś, że życie to nie film grozy?

Kekona milknie.

– Twój serw – mówię.

Serwuje dwa razy. Nie odbijam piłki, bo Kekona wciąż nie chce uderzać z woleja. Chce serwować asy.

– Mówili też, że była poparzona – dodaje Kekona.

– Poparzona?

– Tak powiedzieli. Wszędzie miała ślady po poparzeniach, jakby ktoś oblewał ją wrzątkiem.

Krzywię się na myśl o przypadkowym poparzeniu. Tylko że Millicent zrobiła to specjalnie.

– Wiem, mnie też robi się od tego słabo – mówi Kekona. Serwuje jeszcze raz, a potem przestaje. – Rano mówili, że Owen może odtwarzać swoje dawne zbrodnie. Poparzył jedną ze swoich ofiar, Biancę albo Briannę. Jakoś tak. Dziś rano pokazali jej zdjęcie, była bardzo podobna do Naomi.

To wszystko mnie ominęło. Zakaz oglądania wiadomości w domu bywa problemem.

– To dziwne – mówię. – Serwuj.

Kekona serwuje dziewięć razy, a potem znowu przestaje, tylko że już nie mówi o Owenie.

Mówi o Jennie.

– Słyszałam o twojej córce.

Nie dziwi mnie, że do Kekony dotarła informacja o incydencie w szkole krav magi. Zawsze plotkowaliśmy właśnie o takich zdarzeniach. Po prostu wcześniej nie dotyczyły mojej rodziny.

– No – mówię, próbując jakoś to wytłumaczyć, usprawiedliwić córkę, która uderzyła inne dziecko kamieniem. Miała kiepski dzień, oblała klasówkę, zapomniała wziąć leki? Wszystko brzmi źle. Wszystko brzmi tak, jakby moja córka nie potrafiła nad sobą zapanować.

Kekona podchodzi i klepie mnie po ramieniu.

– Bez obaw – mówi. – Twoja córka wyrośnie na twardzielkę.

Śmieję się. I mam nadzieję, że rzeczywiście tak będzie. Biorąc pod uwagę drugą możliwość, wołałbym, żeby Jenna była twardzielką.

Gdy lekcja Kekony dobiega końca, wreszcie mogę sprawdzić wiadomości. Miała rację w kwestii dawnej ofiary. Bianca i Naomi rzeczywiście wyglądają podobnie: obie miały ciemne włosy i zdrowy wygląd dziewczyny z sąsiedztwa. Bianca też została poparzona, ale nie wrzątkiem.

Olejem.

To podobieństwo skłania media do ponownego zainteresowania się Lindsay. Znajdują wcześniejszą ofiarę, która także miała jasne, proste włosy.

Mnie to wszystko wydaje się naciągane. Media po prostu potrzebują czegoś, o czym można mówić, a skoro brakuje prawdziwych informacji, wynajdują związki, które w rzeczywistości nie istnieją. Gdyby Millicent chciała odtworzyć zbrodnię, szczegóły nie byłyby podobne. Byłyby identyczne.

Te wiadomości trochę mnie przygnębiają. W drodze do pracy wysłałem list do Josha. Było dość wcześnie i parking przed pocztą świecił pustkami, więc nikt nie widział chirurgicznych rękawiczek na moich dłoniach, gdy wsuwałem list do skrzynki. Gdybym jednak obejrzał wiadomości, zmieniłbym jego treść. Napisałbym, że media się mylą i jak zwykle po prostu zmyślają. Nikt nie odtwarza dawnych zbrodni, więc niech przestaną rozprawiać o przeróżnych sposobach tortur.

Moja córka nie musi tego słuchać.

Nie widziałem jednak wiadomości, nie słyszałem o Biance, a teraz jest już za późno.

W klubie widać Josha na wielu ekranach, wygląda na wyczerpanego, lecz jednocześnie jest podekscytowany. Wciąż stoi przed hotelem Lancaster. W dziennym świetle budynek wygląda trochę tandetnie.

– *Choć wiemy, że kobietą znalezioną w kuble za tym hotelem była Naomi George, żadne z pozostałych doniesień nie zostało potwierdzone. Nasze źródła informują jednak, że gdy*

*znaleziono Naomi, nie żyła zaledwie od doby...*

Dane GPS z nadajnika Millicent nie pokazują tego dnia nic szczególnego. Nie pojechała nawet do Joe's – tylko do szkoły, do której podwiozła dzieci, do biura, do kilku domów na sprzedaż, do sklepu spożywczego i na stację benzynową. Nic nie wskazuje na to, gdzie przetrzymywała Naomi. Chyba że w którymś z domów na sprzedaż. To jednak wydaje się nieprawdopodobne, bo przecież ciągle przychodzą do nich ludzie, którzy chcą je oglądać.

Nie żeby na tym etapie miało to jakiegokolwiek znaczenie, bo przecież Naomi została znaleziona. A jutro Josh dostanie mój list.

Nie będzie zwlekał z oznajmieniem tego na antenie. Poprzednim razem myślałem, że policyjne analizy potrwią dłużej, ale wiadomość gruchnęła prawie natychmiast. Teraz powinno być podobnie. List wygląda tak samo jak poprzednie, pachnie tak samo jak poprzednie, nawet papier pochodzi z tej samej rzy. Nikt nie będzie miał wątpliwości, że przesłała go ta sama osoba. Gdybym był hazardzistą, postawiłbym na to, że media zaczną trąbić o liście, jeszcze zanim wrócę z pracy.

Ale nie jestem hazardzistą. W ciągu trzydziestu dziewięciu lat zmieniłem się w stratega. Może nawet w całkiem dobrego stratega.

## 49

Trudno powiedzieć, czy wygrałem, czy przegrałem swój wymagany zakład. Zależy, jak na to spojrzeć, bo w tym wypadku decydują godziny.

Myślałem, że Josh pochwali się listem na antenie jeszcze przed wieczornym wydaniem wiadomości i dzięki temu gdy ludzie zasiądą do kolacji, będą o tym mówiły wszystkie stacje. Następuje to jednak kilka godzin wcześniej, kiedy jestem z Jenną w gabinecie Doktora Beżowego. Jego zdaniem moja córka potrzebuje intensywniejszej terapii. Moim zdaniem potrzebuje innego terapeuty. Odkąd zaczęła do niego chodzić, przeszła od obcinania sobie włosów do wymiotowania, a potem do walenia innych kamieniem.

Ostatnio na zmianę wozimy Jennę na terapię. Żadne z nas nie może zrywać się z pracy trzy razy w tygodniu, a właśnie taką częstotliwość wizyt zaleca Doktor Beżowy po incydencie w szkole krav magi. Dziś wypada moja kolej siedzenia w poczekalni, gdzie mam do wyboru terapeutyczne komiksy, magazyny edukacyjne albo telewizję. W pobliżu nie ma nikogo oprócz surowej recepcjonistki, która nosi kruczoczną perukę i wszystkich ignoruje. Włączam teleturniej i po cichu wczuwam się w rolę zawodnika.

Podają tę wiadomość jakieś dziesięć minut po wejściu Jenny do gabinetu. Na ekranie pojawia się Josh i po krótkim wstępie zaczyna czytać na głos list od Owena.

Recepcjonistka podnosi głowę.

Gdy Josh czyta to, co napisałem, po moich plecach przebiega dreszcz. Kiedy dociera do końca, do ostatniego pożegnania Owena, muszę powstrzymać uśmiech. W tym liście Owen naprawdę brzmi jak zarozumiały drań.

*Żegnajcie.*

*Nareszcie.*

Josh odczytuje list jeszcze dwa razy, zanim Jenna wychodzi z gabinetu Doktora Beżowego. Wygląda na znudzoną.

Terapeuta idzie tuż za nią. Wygląda na zadowolonego.

– Zamiana – mówi moja córka. Teraz moja kolej na wizytę w gabinecie, by Doktor Beżowy mógł mnie nakarmić miską swoich bzdur koloru owsianki.

Tym razem odmawiam.

– Przepraszam, ale po prostu nie mamy czasu. Będę mógł później do pana zadzwonić? Dobry pan doktor nie wydaje się zadowolony.

Nic mnie to nie obchodzi.

– Chyba tak – odpowiada. – Jeśli nie będę mógł odebrać, proszę zostawić...

– Wspaniale. Bardzo dziękuję.

Podaję mu rękę, ale dopiero po chwili postanawia ją uścisnąć.

– No cóż, w takim razie do widzenia.

– Do widzenia.

Gdy tylko wchodzimy na parking, Jenna spogląda na mnie z ukosa.

– Dziwnie się zachowujesz – mówi.

– Myślałem, że zawsze dziwnie się zachowuję.

– Dziwniej niż zazwyczaj.

– Czyli bardzo dziwnie.

– Tato. – Splata ręce na piersi i spogląda na mnie.

– Chcesz hot doga?

Przygląda mi się, jakbym zaproponował, żebyśmy skoczyli na drinka.

– Hot doga?

– No. Wiesz, taki mały wałeczek mięsa czy co to tam jest, w bułce z musztardą i...

– Mama nie pozwala na hot dogi.

– Powiem, żeby do nas dołączyła.

Myślałem, że na samą myśl o czymś takim Jennie eksploduje mózg, ale moja córka bez słowa wsiada do samochodu.

W Top Dog serwują trzydzieści pięć rodzajów hot dogów, w tym hot dogi z tofu. Właśnie takiego zamawia Millicent. I nie mówi ani słowa, gdy Rory wybiera dwa chili dogi z wołowiną. Czuję się, jakbyśmy coś świętowali, i w zasadzie tak jest. Owen zniknął na dobre. Wszystkie telewizory zawieszane nad naszymi głowami podają tę wiadomość. Tym razem poszło zgodnie z planem i chyba każde z nas to czuje.

– Czy odtąd w domu znowu może być normalnie? – pyta Rory.

Millicent się uśmiecha.

– Uściślij, co to znaczy „normalnie”.

– Bez zaciemnienia. Powrót do cywilizacji.

– Chcesz oglądać wiadomości? – pytam.

– Nie chcę mieć zakazu oglądania wiadomości.

Jenna przewraca oczami.

– Po prostu chcesz zrobić wrażenie na Faith.

– Kto to jest Faith? – pyta Millicent.

– Nikt – odpowiada Rory.

Jenna chichocze. Rory ją szczypie, a ona piszczy.

– Przestań – mówi.

– Zamknij się.

– Sam się zamknij.

– Zaczekaj, mówicie o Faith Hammond? – pyta Millicent.

Rory nie odpowiada, a to oznacza, że tak. Oznacza to również, że Millicent zna rodziców Faith, prawdopodobnie dlatego, że sprzedała im dom.

– Dlaczego go nie złapali? – pyta Jenna. Wpatruje się w telewizor.

Może jednak nie do końca wróciliśmy do normalności.

– Wcześniej go złapali – mówi Rory. – I się wywinął.

– Więc nie mogą go złapać.

– Złapią go. Tacy ludzie jak on nie mogą być wiecznie wolni – mówię.

Rory otwiera usta, żeby coś powiedzieć, ale Millicent ucisza go spojrzeniem.

Wszystko, co mi przychodzi do głowy, brzmi głupio nawet w moich myślach, więc trzymam gębę na kłódkę. Rory też się nie odzywa. Milczenie przerywa Jenna.

– Niezbyt dobrze się czuję. – Masuje się po brzuchu. Zjadła hot doga z grillowanym mięsem i cebulą, prawie tak dużego jak mój z chili i serem. Tym razem nie wydaje mi się, żeby to była wina stresu.

Millicent rzuca mi wymowne spojrzenie.

Kiwam głową. Tak, to moja wina, to ja zaproponowałem hot dogi.

Millicent sięga po torebkę i daje nam znak, że pora wychodzić. Robiła dobrą minę do tej gry z hot dogami, zwłaszcza że nie uzgodniliśmy tego wcześniej, więc biorę ją za rękę. Idziemy za dziećmi na parking.

– A twój brzuch? – pyta.

– Doskonale. A twój?

– Nigdy nie czuł się lepiej.

Przysuwam się i próbuję ją pocałować. Odwraca głowę.

– Obrzydliwie cuchnie ci z ust.

– A ty pachniesz jak tofu.

Śmieje się i ja też się śmieję, ale mój żołądek wcale nie czuje się tak dobrze, jak twierdzą. Gdy tylko docieramy do domu, obydwój z Jenną zaczynamy wymiotować. Ona idzie do łazienki na górze, mnie zaś nie udaje się zdążyć. W końcu korzystam z tej w korytarzu.

Millicent biega między obiema łazienkami, przynosząc nam piwo imbirowe i zimne kompresy.



– Rzygają jak koty! – wydziera się Rory. Śmieje się i w głębi duszy śmieję się razem z nim.

Dziś wieczorem wszystko jest zabawne, nawet gdy siedzę na podłodze w łazience i wymiotuję. Dziś wieczorem czuję się, jakbym wreszcie znów zaczął oddychać.

A nawet nie zdawałem sobie sprawy, że wstrzymywałem oddech.

## 50

Przez tego hot doga nie spałem całą noc, więc nazajutrz rano trochę drzemię. Gdy wychodzę z domu, jest już za późno, by zatrzymać się przy EZ-Go. Zamiast tego jadę do kawiarni tuż za bramą Hidden Oaks. To jedna z tych, w których kawa kosztuje pięć dolarów, a podaje ją gapiący się w telewizor barista ze wstrętną brodą. Kręci głową, gdy nie odrywając oczu od ekranu, nalewa mi kubek zwykłej kawy.

– Muszę przestać oglądać wiadomości – mówi.

Kiwam głową, bo rozumiem go lepiej, niż przypuszcza.

– To tylko człowieka przygnębia.

– Mowa.

Nie wiedziałem, że wciąż się tak mówi, ale ten wielki brodaty gość najwyraźniej nie ma co do tego wątpliwości.

Wychodzę, nie pytając o najnowsze informacje. W telewizji nadal się zastanawiają, czy Owen naprawdę wyjechał, ale poza tym nie mówią nic, czego by już nie powiedzieli. Żadnych nowinek. Tylko starocie powtarzane na nowe sposoby.

Owen zaczyna odchodzić w zapomnienie. Wciąż jest wiadomością dnia, ale już nie dominuje w całym przekazie.

Dokładnie tak, jak myślałem.

Teraz moje myśli krążą wokół rodziny, wokół dzieci. Myślę o dziewczynie Rory'ego, której wciąż nie znam. Doszedłem do tego, że Hammondowie mieszkają przy następnej przecznicy. Gdyby Rory poszedł na skróty, wydostanie się z naszego domu i dotarcie do nich zajęłoby mu raptem sześćdziesiąt sekund. Już dawno powinienem o tym wiedzieć, powinienem wiedzieć, że Rory się wymyka, ale sam byłem zajęty wymykaniem się. Teraz nadrabiam stracony czas.

Jenna odkryła w sobie fascynację makijażem. Zaczęło się to zaledwie w zeszłym tygodniu, może dlatego, że nie próbuje się już ukrywać przed Owenem. Pewnego ranka przyłapałem ją, jak przed wyjściem do szkoły malowała usta błyszczkiem, a Millicent powiedziała, że któreś z dzieci było chyba w naszej łazience.

Jenna wciąż trzyma ten nóż pod materacem. Zaczynam się zastanawiać, czy przypadkiem o nim nie zapomniała.

Nie zauważyłbym żadnej z tych rzeczy, gdyby moją uwagę wciąż pochłaniali Owen, Naomi, Annabelle i Petra. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz łądowałem telefon na kartę.

I jeszcze Millicent. Planujemy prawdziwą wieczorną randkę. Jeszcze do niej nie doszło, ale gdy tak się stanie, nie będziemy rozmawiali o Holly, o Owenie ani o niczym w tym rodzaju. Tymczasem Millicent rozpoczęła antyhotdogową krucjatę w internecie.

Zdejmuję nadajnik z jej samochodu. Teraz chcę patrzeć na moją żonę, a nie na symbolizującą ją niebieską kropkę.

Nawet w pracy idzie mi doskonale, mam dwóch nowych klientów, ponieważ mój grafik przestał być nieprzewidywalny. Większość dnia spędzam w klubie, więc gdy nie uczę gry w tenisa, mam czas na nawiązywanie kontaktów.

Andy. Nie rozmawiałem z nim, odkąd wyprowadził się z Hidden Oaks. Zrobił to zaraz po śmierci Tristy. Wystawił dom na sprzedaż i od tej pory go nie widziałem. Już nie przychodzi do klubu. Chyba źle robię, że pozwalam mu zniknąć z mojego życia. To po trosze wina mojego rozkładu dnia. Ale poza tym chodzi o Tristę.

Dzwonię do niego, żeby spytać, co słyszc. Andy nie odbiera i nie oddzwania. Bez większego przekonania próbuję go znaleźć w internecie, ustalić, gdzie teraz mieszka, lecz po kilku minutach rezygnuję.

Wciąż mam tę fiołkę kropel do oczu, choć nie znalazłem żadnych dowodów świadczących, że Rory lub ktokolwiek inny zażywa jakieś narkotyki. Nie mam pojęcia, dlaczego te krople znalazły się w domu, a tym bardziej w spiżarni. Przecież kropel do oczu nie trzeba ukrywać.

Kekona spędza miesiąc na Hawajach, więc moją pierwszą klientką jest pani Leland. Nie lubi rozmawiać o przestępstwach, Owenie ani niczym w tym rodzaju. Pani Leland to poważna zawodniczka, która rozmawia tylko o tenisie.

Po jej lekcji mam chwilę przerwy między klientami, akurat na tyle długą, by przeczytać esemesa od Millicent.

?

Nie wiem, co to znaczy ani o co pyta. Odpisuję.

Co?

W połowie lekcji z emerytem o imieniu Arthur żona przesyła mi link do wiadomości. Nagłówek brzmi bez sensu.

*OWEN NIE ŻYJE*

Czytam artykuł raz, potem drugi. Za trzecim razem wydaje się bardziej niewiarygodny niż za pierwszym.

*Piętnaście lat temu oskarżono Owena Olivera Riley'a o morderstwo, lecz wypuszczono go z powodu błędu proceduralnego. Zniknął bez śladu i nie było o nim słyhać aż do niedawna, gdy znaleziono zwłoki młodej kobiety i ktoś podający się za Riley'a wysłał do lokalnego reportera list, biorąc odpowiedzialność za morderstwo i obiecując, że zabije kolejną kobietę, a nawet podając dzień jej zniknięcia. Gdy znaleziono ciało następnej ofiary, wydawało się, że spełnił obietnicę. W kolejnym liście oznajmił, że ma dość i tym razem zniknie na dobre. Ale czy kiedykolwiek naprawdę wrócił?*

*– Nie – zapewnia Jennifer Riley. W ubiegłym tygodniu siostra Owena skontaktowała się z lokalną policją, a następnie wydała oświadczenie.*

*W sprawie nastąpił tak szokujący zwrot, że wydaje się wręcz nierealny: Jennifer Riley twierdzi, że piętnaście lat temu, gdy Owen Riley został wypuszczony z aresztu, obydwójce przeprowadzili się do Europy. Żadne z nich nie wróciło do Stanów Zjednoczonych, nie bywali w ojczyźnie nawet z wizytą. Zmienili imiona i żyli incognito.*

*Riley wyjaśniła policji, że pięć lat temu u jej brata zdiagnozowano raka trzustki i po kilku seriach naświetleń w końcu przegrał z chorobą i zmarł. W jej oświadczeniu czytamy, że zwłoki skremowano.*

*Nekrolog Owena Riley'a nie ukazał się w żadnej amerykańskiej gazecie. Jennifer Riley twierdzi, że wiadomość o jego śmierci opublikowała jedynie pewna brytyjska gazeta, w której podano tylko jego pseudonim. Pokazała policji egzemplarz tej gazety oraz akt zgonu brata. Aktualnie trwa weryfikowanie tych informacji.*

*Jennifer Riley powiedziała policji, że do niedawna nie miała pojęcia, że jej brat „wrócił” do miasta, w którym się wychowali. „Nie chciałam mieć z tym nic wspólnego” – oznajmiła. „Wyjechaliśmy stamtąd wiele lat temu i nie chciałam więcej słyhać o tym miejscu. Jednak dawna przyjaciółka skontaktowała się ze mną i przekonała, że powinnam zabrać głos, ponieważ policja jest przekonana, że to Owen”.*

*„Powiem to jasno i wyraźnie: niedawne przypadki zamordowania dwóch młodych kobiet to rozdzierająca tragedia. Zapewniam jednak, że mój brat nie miał z nimi nic wspólnego”.*

# 51

Mój telefon leży z roztrzaskanym ekranem na betonowym korcie. Nie pamiętam, żebym go upuścił. A może go rzuciłem.

Czuję na ramieniu czyjąś rękę. Arthur, mój klient, wpatruje się we mnie bez słowa. Jego oczy są przysłonięte gęstymi siwymi brwiami, a te są zmarszczone. Zatroskane.

– Dobrze się czujesz? – pyta.

Nie. Nie czuję się dobrze.

– Przepraszam. Muszę iść. Sprawy rodzinne...

– Oczywiście. Idź.

Zabieram komórkę i torbę, a potem schodzę z kortu. W drodze na parking słyszę, jak ludzie się ze mną witają, ale nie widzę ich twarzy. Przed oczami mam jedynie nagłówek.

*OWEN NIE ŻYJE*

W samochodzie, gdy silnik już pracuje, uświadamiam sobie, że nie mam pojęcia, gdzie jest Millicent. Zdjąłem nadajnik z jej auta.

Mimo potłuczonego wyświetlacza wysyłam jej wiadomość.

*Wieczorna randka.*

Odpisuje:

*Popołudniowa randka. Teraz.*

Od razu wyjeżdżam z parkingu.

Dzieci są w szkole, więc spotykamy się w domu. Jej samochód stoi przed budynkiem, a ona jest już w środku i krąży po salonie. Dziś ma na nogach granatowe buty, nie stukają podczas chodzenia. Skróciła włosy, nie dotykają ramion. Nie chciała, żeby Jenna była jedyną krótkowłosą dziewczyną w rodzinie.

Gdy wchodzę, przestaje krążyć i spoglądamy na siebie. Nie mamy nic do powiedzenia.

Poza tym, że spieprzyliśmy sprawę.

Uśmiecha się lekko. Nie jest to wesoły uśmiech.

– Nie spodziewałam się tego.

– Nie mogliśmy się tego spodziewać.

Wyciągam rękę, a ona podchodzi i wtula się w moje ramiona. Serce bije mi szybciej niż zwykle. Millicent pochyła głowę i przywiera do niego.

– Zaczną szukać prawdziwego zabójcy – mówię.

– Tak. – Znowu podnosi głowę i patrzy na mnie.

– Moglibyśmy po prostu wyjechać.

– Wyjechać?

– Wyprowadzić się. Nie musimy tu mieszkać. Nie musimy nawet mieszkać w tym stanie. Tenisa mogę uczyć gdziekolwiek. Ty możesz gdziekolwiek sprzedawać nieruchomości. – Wpadłem na ten pomysł dopiero przed chwilą, stojąc z Millicent w salonie. – Wybierz miejsce.

– Nie mówisz poważnie.

– Czemu nie?

Odsuwa się ode mnie i znowu zaczyna krążyć. Czuję, że tworzy w myślach listy spraw do załatwienia, próbuje zebrać wszystko, co należy zrobić.

– Jest środek roku szkolnego.

– Wiem.

– Nie wiedziałabym nawet, od czego zacząć.

– Razem coś wymyślimy.

Millicent milknie.

Powtarzam to, co oczywiste.

– Będą szukali mordercy.

Dotąd nie stanowiło to problemu. Przed Lindsay nie znaleziono żadnych ciał. Nikt nawet nie wiedział, że istnieje jakiś morderca. Nikogo nie szukali.

A teraz szukają. I wiedzą, że ten ktoś podawał się za Owena.

– Nigdy nie odkryją, że to my – mówi.

– Nigdy?

Millicent kręci głową.

– Nie wiem, jak mieliby to zrobić. Dzieliliśmy się wszystkimi zadaniami. Nigdy nie dotknęłam listów...

– Ale tam, gdzie trzymałaś Naomi...

– Nigdy cię tam nie było. Ktoś cię widział z...

– Nie. Nigdy z nią nie rozmawiałem – mówię.

– Nigdy? – Millicent na chwilę milknie. – W takim razie dobrze. Nikt cię z nią nie widział.

– Zgadza się.

– A z Lindsay?

Kręcę głową. Rozmawialiśmy z Lindsay tylko w czasie pieszych wędrówek.

– Nikt nas nie widział.

– To dobrze.

– Jenna – mówię. – Chyba powinniśmy się wyprowadzić ze względu na...

– Przynajmniej zaczekajmy i przekonajmy się, czy to prawda. To może być jakaś podpucha.

Uśmiecham się. Sytuacja jest na tyle ironiczna, że trudno się nie uśmiechnąć.

– Jak listy Owena. Podpucha.

– Tak. Coś w tym rodzaju.

Mój telefon wydaje z siebie dźwięk przypomnienia. Za piętnaście minut mam kolejnego klienta. Powinienem albo się zbierać, albo odwołać lekcję.

– Jedź – mówi Millicent. – Teraz możemy tylko czekać.

– Jeśli to prawda...

– Porozmawiamy o tym znowu.

Podchodzę do niej i całuję ją w czoło.

Kładzie dłoń na moim policzku.

– Poradzimy sobie.

– Jak zawsze.

– Tak.

Dzieci już słyszały wiadomości. Zamierzaliśmy przekazać im je razem przy kolacji, ale one już wiedzą. Internet i ich rówieśnicy są szybsi od nas.

Jeśli Rory się przejął, to zupełnie tego po nim nie widać. Ścisną w dłoni telefon, linę ratunkową łączącą go z jego dziewczyną.

Twarz Jenny jest nieruchoma jak głaz. Jej oczy, zazwyczaj tak ekspresyjne, patrzą na wskroś nas. Nie słucha, co mówimy, nawet nie ma jej z nami w pokoju. Nie wiem, gdzie jest. Nie odzywa się, dopóki ja i Millicent nie skończymy mówić tego, co powtarzamy jej od tygodni: „Jesteś bezpieczna”.

Chyba nam nie wierzy. Nie wiem nawet, czy sam nam wierzę. Wszystko, co uważała za prawdę, okazuje się fałszem. Owena w ogóle nie było. Od początku chodziło o kogoś innego i nikt nie ma pojęcia o kogo.

Nie dziwię się jej, że zamknęła się w sobie. Mam ochotę zrobić to samo.

Gdy kończymy mówić, Rory zrywa się z miejsca i pędzi w stronę schodów. Już pisze jakąś wiadomość.

Jenna bez słowa patrzy przed siebie.

– Kochanie? – zagajam, wyciągając rękę, by dotknąć jej dłoni. – Wszystko w porządku? Odwraca się do mnie i skupia na mnie wzrok.

– Więc to wszystko kłamstwo. Może morderca wcale nie zniknął.

– Tego jeszcze nie wiemy – mówi Millicent.

– Ale to możliwe.

Kiwam głową.

– Możliwe.

Mija minuta, potem następna.

– Okej. – Wysuwa dłoń spod mojej dłoni. Wstaje. – Idę na górę.

– Dobrze się...

– Nic mi nie jest.

Patrzemy z Millicent, jak odchodzi.

Resztę wieczora spędzam w internecie, szukając miejsca, w którym moglibyśmy zamieszkać. Skaczę po stronach, czytam o pogodzie, szkołach, kosztach życia i aktualnych wydarzeniach.

Dziwnie się czuję, nie wiedząc, co teraz będzie. Odkąd napisałem pierwszy list do Josha, większość wiadomości nie była dla mnie zaskoczeniem. Wiedziałem, co będzie w listach, i mogłem się domyślić, do jakich wniosków dojdą eksperci. Nie zaskoczyły mnie nawet zwłoki Naomi. Nie znałem szczegółów, ale wiedziałem, że zostaną znalezione.

Zaskoczyły mnie tylko skaleczenia papierem.

Teraz już nic nie wydaje się znajome, nic nie jest takie, jak się spodziewałem. I to mi się nie podoba.



## 52

Patrzę na rozwijającą się w telewizji historię, jakbym nie był w nią zamieszany. Jakbym był tylko jednym z widzów. I ponieważ nie jestem w stanie zmienić biegu tej historii, pozostaje mi jedynie mieć nadzieję. Ilekroć włączam wiadomości, mam nadzieję, że siostra Owena okaże się kłamczuchą. Jednak pewnego wieczora, gdy siedzę na werandzie z tyłu domu i oglądam wiadomości o jedenastej, Josh mówi coś zupełnie innego.

Tym razem jest w studiu, ma na sobie marynarkę i krawat i wygląda, jakby ogolił się kilka minut przed wystąpieniem. Brzmi jak poważny reporter, gdy oznajmia, że Jennifer Riley wraca do kraju. Chce oczyścić imię brata.

Przemożna chęć ponownego rzucenia telefonem mija mi dopiero, gdy słyszę szuranie z boku domu. Wstaję i zaglądam tam.

Rory.

Tylko że wcale się nie przejmuję, że go przyłapałem, i wymyka się dalej.

Albo raczej: tylko jemu mogłoby dalej uchodzić na sucho wymykanie się z domu po tym, jak przyłapałem go na wymykaniu się z domu. Zastanawiam się, ile razy go przeoczyłem.

Zauważa mnie, gdy jego stopy dotykają ziemi. Tym razem nie wraca, lecz wychodzi.

– O – mówi. – Cześć.

– Wychodzisz zaczerpnąć trochę nocnego powietrza?

Wzrusza ramionami, do niczego się nie przyznaje.

– Chodź, usiądziemy – mówię.

Zamiast usiąść na werandzie, idziemy w głąb podwórka. Mamy tam stół piknikowy z parasolem, ustawiony między dużym dębem a rozmontowaną zjeżdżalnią.

– Kto jak kto, ale ty nie powinienes mi wypominać, że się wymykam z domu – mówi Rory.

Kilka dni temu, gdy wydawało się, że Owen zniknął na zawsze, pewnie nie przejąłbym się taką uwagą. Nie mogłem się doczekać, kiedy syn porozmawia ze mną o swojej pierwszej dziewczynie. Teraz wydaje się to żmudnym obowiązkiem.

Wskazuję jedną z ławek.

– Posadź. Tu. Swoje. Dupsko.

Robi, co mu każę.

– Po pierwsze – mówię – być może nie zauważyłeś, ale twoja siostra przechodzi trudny okres. A jestem pewny, że ty, jej jedyny brat, nie chcesz, żeby jej się pogorszyło.

Kręci głową.

– Oczywiście, że nie chcesz. Dlatego wiem, że nie przedstawiś jej swojej małej teorii na temat tego, że zdradzam jej matkę.

– Teorii?

Patrzę na niego bez słowa.

Znowu kręci głową.

– Nie. Nic nie powiem.

– I wiem, że nie będziesz się ze mną porównywał, wymykając się w nocy z domu. Bo jestem przeszło dwa razy starszy od ciebie. Daleko ci jeszcze do dorosłości. Nie masz prawa się wymykać.

Kiwa głową.

– Co? – pytam.

– Nie. Nie zamierzam się z tobą porównywać.

– Poza tym wiem, że jeśli spytam, dlaczego się wymykasz, nie powiesz, że umówiłeś się z Danielem. Bo robisz coś innego, prawda?

– Tak.

– Wymykasz się na spotkanie z Faith Hammond.

– Tak.

– Doskonale. Cieszę się, że to sobie wyjaśniliśmy.

Telefon Rory'ego wibruje. Mój syn zaczyna popatrywać to na mnie, to na swoją komórkę, ale nie sprawdza, kto do niego napisał.

– Śmiało – zachęcam.

– Nie trzeba.

– Nie każ Faith czekać.

Odczytuje wiadomość i odpowiada na nią, odsuwając z oczu rude włosy. Faith odpisuje natychmiast, za chwilę coś dodaje. Korespondencja trwa, a ja czekam, dopóki mój syn nie odłoży telefonu na stół. Wyświetlaczem do góry.

– Przepraszam – mówi.

Wzdycham.

Nie jestem zły na Rory'ego. To tylko dzieciak, który odkrył, że dziewczyny nie są jednak takie złe. Dawniej mówił, że są „wstrętne, paskudne, a przede wszystkim brzydkie”. To cytat z książki, którą kiedyś czytał. Zawsze mnie rozśmieszał. Odwracałem się do Millicent i mówiłem: „To ty prowadziłaś go co tydzień do biblioteki”. Jeśli przypadkiem byliśmy w kuchni, obrywałem za to ścierką. Raz dostałem tak mocno, że

miałem ranę na ręce. Była powierzchowna, skóra została ledwie przecięta, ale matka zrobiła na Rorym wielkie wrażenie. Ja mniejsze.

A teraz mój syn wymyka się późnym wieczorem na spotkanie z drobną blondynką o imieniu Faith.

– Ona też się wymyka? – pytam. – Spotykacie się gdzieś?

– Czasami. Ale mogę też wejść do niej przez okno.

Mam ochotę mu tego zabronić, zamontować zamek w jego oknie, zadzwonić do rodziców Faith i powiedzieć, że nasze dzieci są za małe, a to jest zbyt niebezpieczne. Owen nie żyje i morderca wciąż pozostaje na wolności.

Tylko że to nieprawda. Po prostu muszę udawać, że tak jest. Tak jak muszę udawać, że nie pamiętam mojej pierwszej dziewczyny.

– Musisz przestać – mówię. – Widziałeś wiadomości. To zbyt niebezpieczne, żebyście byli sami w nocy.

– No wiem, ale...

– I w ogóle nie powinieneś się wymykać. Gdybym powiedział matce, zamknęłaby twoje okno na klucz i rozmieściła kamery wokół domu.

Rory gwałtownie unosi brwi.

– To ona nie wie?

– Gdyby wiedziała, dostałbyś szlaban aż do college'u. I twoja dziewczyna tak samo.

– Okej. Przestaniemy.

Biorę głęboki oddech. To, że jestem wkurzony, nie znaczy, że stałem się nieodpowiedzialny.

– A skoro już masz dziewczynę, czy wiesz, jak należy się zabezpieczyć...

– Tato, umiem kupić kondomy.

– Dobrze, dobrze. No więc w nocy tylko do siebie piszcie, dobrze? Spotykajcie się w ciągu dnia.

Kiwa głową i szybko wstaje, jakby się bał, że zmienię zdanie.

– Jeszcze jedno – mówię. – Tylko odpowiedz szczerze.

– Okej.

– Bierzesz jakieś narkotyki?

– Nie.

– Nie palisz trawy?

Kręci głową.

– Przysięgam, że nie.

Pozwalam mu odejść. Na razie nie mam czasu, żeby ustalać, czy kłamie.

Gdy nie oglądam wiadomości, potrafię myśleć jedynie o tym, co jeszcze mogliśmy przeoczyć. Myślę o wszystkich śladach, które mogą nas pogrążyć, o wszystkich danych

gromadzonych przez specjalistów medycyny sądowej, o jakich słyszałem w telewizji. O DNA, traseologii, włóknach – to wszystko przelatuje przez mój umysł, jakbym rozumiał, o co chodzi, mimo że nie rozumiem. Wiem jednak, że żadne dowody nie wskażą na mnie. Nigdy nie powiedziałem słowa do Naomi, a tym bardziej jej nie dotknąłem. Wszelkie dowody, jakie znajdą, doprowadzą ich do Millicent.

Pierwszy raz widzę siostrę Owena, gdy występuje w telewizji. Owen zabijał, mając trzydzieści kilka lat. Teraz miałby około pięćdziesięciu. Jennifer wygląda na nieco młodszą, dałbym jej jakieś czterdzieści pięć. Ma takie same niebieskie oczy jak on, ale jej jasne włosy wydają się jakby brudniejsze. Jest tak chuda, że wystają jej obojczyki i żyły na szyi. Podobno kamera dodaje pięć kilogramów. Jeśli to prawda, na żywo Jennifer musi wyglądać, jakby była chora.

Jest na wszystkich ekranach w klubie, gdzie ludzie, którzy wpadli tu na lancz, zostali na kolejnego drinka, by obejrzeć konferencję prasową. Społeczeństwo pierwszy raz widzi siostrę Owena.

Obok niej siedzi komendant policji, a z drugiej strony lekarz medycyny sądowej. Jeden z nich ma włosy, drugi nie, a ich brzuszyska są identycznej wielkości.

Jennifer przedstawia się jako siostra Owena Olivera Rileya i mówi, że mylimy się w kwestii niedawnych morderstw.

– *Mogę udowodnić, że w ciągu ostatnich pięciu lat Owen nikogo nie zabił. Przyjechałam z daleka, by wszyscy zrozumieli, że mój brat nie żyje.* – Jennifer podnosi kartkę, mówiąc, że to akt zgonu Owena, podpisany przez brytyjskiego koronera i opatrzony urzędową pieczęcią. – *On nie żyje* – powtarza.

Lekarz medycyny sądowej przysuwa się do mikrofonu i potwierdza jej słowa.

– *Nie żyje.*

Następnie głos zabiera komendant policji; rozwodzi się na temat tego, że jego komisariat z oczywistych powodów skupił się na Owenie, ale został wprowadzony w błąd. Na koniec potwierdza słowa Jennifer.

– *On nie żyje.*

Teraz wszyscy mamy jasność. Wierzymy jej. Owen nie żyje, a policja wraca do analizowania dowodów, by sprawdzić, co przeoczyła.

Najpierw jednak Jennifer pragnie coś dodać.

– *Współczuję rodzinom ofiar. Przykro mi, że zmarnowano tyle czasu, skupiając się na moim bracie, zamiast szukać prawdziwego mordercy. Skontaktowała się ze mną dawna przyjaciółka, od której dowiedziałam się, co się dzieje w Woodview. Gdy zaczęła błagać, żebym przyjechała, wiedziałam, że muszę postąpić, jak należy.*

Jennifer daje znak komuś stojącemu za nią i lekarz medycyny sądowej odsuwa się na bok. Kamera skupia się na przyjaciółce.

Tak mocno kręci mi się w głowie, że o mało nie tracę przytomności.

Kobieta, która zadzwoniła do Jennifer Riley, jest pulchną blondynką, a jej uśmiech rozjaśnia cały ekran.

To Denise. Ekspedientka z Joe's.

## 53

Nadajnik GPS leży na desce rozdzielczej mojego samochodu. Przewracam go na bok, potem na drugi, i zaczynam od nowa. Tak samo obracałem go w myślach po tym, jak w telewizji pokazała się ekspedientka z baru z kanapkami, nowego ulubionego lanczowego lokalu mojej żony.

Denise. Ta sama kobieta, która obsługiwała mnie i Jenę.

To zbieg okoliczności. Na pewno. To, że Owen nie żyje, w żaden sposób nie pomaga Millicent ani mnie. Szkodzi nam.

Gdyby bar Joe's był organicznym bistro serwującym pieczoną wołowinę krów karmionych ekologiczną trawą, nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że to nie jest zbieg okoliczności. Jednak Joe's to lokal innego rodzaju. To miejsce, w którym słowo „organiczne” brzmi jak wyraz w obcym języku.

Gdybym mógł spytać Millicent o tę jej nową słabość do tanich kanapek z baru, zrobiłbym to. Ale nie powinienem o tym wiedzieć. Zdobyłem te informacje, śledząc moją żonę.

Nigdy wcześniej tego nie robiłem. Myślałem o tym, lecz tego nie robiłem. Nawet gdy Millicent pracowała z mężczyzną, który lubił ją bardziej niż zwykłą koleżankę z pracy. To było oczywiste od pierwszej chwili, w której go poznałem. Cooper. Niegdysiejszy członek uczelnianego bractwa, który nigdy się nie ożenił i nie chciał się ożenić. Chciał tylko sypiać z Millicent.

To Cooper pojechał z Millicent na konferencję w Miami. W ten weekend, kiedy Crystal mnie pocałowała.

Byłem przekonany, że on zrobił to samo z Millicent.

Gdy wrócili, to przekonanie o mało nie skłoniło mnie do szpiegowania ich obydwójga. Nie zrobiłem tego. Przynajmniej nie jej. Ale Coopera obserwowałem wystarczająco długo, by odkryć, że miał ochotę sypiać z każdą napotkaną kobietą. Nie chodziło wyłącznie o Millicent.

I o ile wiem, nie przespali się ze sobą.

Teraz, gdy już zdarzyło mi się szpiegować żonę, widzę związany z tym problem. Nie mogę nic zrobić ze zdobytą informacją. Nadajnik leży na mojej desce rozdzielczej, a ja

siedzę na parkingu przed klubem i wpatruję się w ten gadżet, ponieważ szpiegowanie prowadzi jedynie do dalszego szpiegowania. Gdybym wiedział, że to takie błędne koło, nigdy bym tego nie zrobił.

Kiedy to roztrząsam, pisze do mnie Millicent.

*Pho z kurczaka na kolację?*

*Brzmi doskonale.*

Czekam, aż napisze coś jeszcze, na przykład zapowie wieczorną randkę albo odniesie się w jakiś sposób do dzisiejszych wiadomości, ale telefon milczy.

Gdy wracam do domu, samochód Millicent stoi już w garażu. Zastanawiam się, czy znowu nie przyczepić do niego nadajnika, jednak tego nie robię.

Millicent gotuje w kuchni pho z kurczaka. Kiedy dorzuca do wywaru młodą cebulę i imbir, zaczynam jej pomagać – kroję warzywa.

Dzieci nie ma w pobliżu.

– Są na górze – mówi, zanim zdążę spytać. – Odrabiają lekcje.

– Widziałaś wiadomości?

Zaciska usta i kiwa głową.

– On nie żyje.

– Powiedzieli to co najmniej tysiąc razy.

Uśmiecham się lekko. Ona też. Nie możemy zmienić tego, że Owen nie żyje.

Milczymy przez kilka minut, szykując kolację. Próbuję znaleźć sposób, by wspomnieć o Denise. Dzieci przychodzą wcześniej niż jakiś pomysł.

Powtarzam, że nie powinny zwracać uwagi na wszystko, o czym mówią w wiadomościach.

– Nic wam nie grozi.

To zupełnie sprzeczne z tym, co niedawno powiedziałem Rory'emu, gdy twierdziłem, że wymykając się z domu, naraża się na niebezpieczeństwo, ale to nie Rory wali ludzi kamieniami, tylko Jenna.

Mimo to nie uchodzi to jego uwagi. Patrzy na mnie i przewraca oczami. Niewiele ze sobą rozmawialiśmy od czasu spotkania za domem. Nie jestem pewny, czy jest zły dlatego, że go przyłapałem, czy dlatego, że spytałem, czy bierze narkotyki. Pewnie z obu powodów.

Gdy nikt nie ma nic więcej do powiedzenia na temat Owena, rozmowa zbacza w stronę soboty. Rory gra w golfa. Jenna ma mecz piłki nożnej i tym razem pojedzie z nią Millicent. Ja pracuję. Wszyscy spotkamy się na lanczu.

Temat Owena wraca dopiero później, gdy kolacja dobiega końca, naczynia są w zmywarce, a dzieci śpią. Millicent jest w naszej łazience, szykuje się do snu, ja zaś

oglądam wiadomości i czekam na nią. Wychodzi w jednej z moich klubowych koszulek i w spodniach dresowych, jej twarz lśni od kremu. Wciera go także w dłonie, wpatrując się w telewizor.

Josh stoi przed hotelem Lancaster, w którym zatrzymała się Jennifer Riley. Mówi o konferencji prasowej, a potem puszczają nagranie.

– Nie widziałam tego – mówi Millicent.

– Nie?

– Nie. Czytałam o tym w internecie.

Nastawiam głośniej. Pokazują urywki konferencji prasowej, w tym wszystkie momenty, w których użyto słów „nie żyje”. Nikt nie powiedział, że Owen zmarł, nawet jego siostra.

Gdy na ekranie pojawia się Denise, patrzę na Millicent.

Lekko przechyla głowę.

Czekam.

Kiedy nagranie dobiega końca, mówi:

– Dziwne.

– Co jest dziwne?

– Znam tę kobietę. To moja klientka.

– Naprawdę?

– Prowadzi bar. Całkiem dobrze jej idzie. Szuka domu.

Millicent znowu wchodzi do łazienki.

W głębi ducha oddycham z ulgą. Denise to jej klientka. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że właścicielkę takiego baru byłoby stać na kupno domu – w każdym razie nie takiego, jakie sprzedaje Millicent – a jednak.

Ale ja jestem głupi.

Choć ulżyło mi na wieść, że to wszystko było tylko dziwnym zbiegiem okoliczności, zrodzonym wyłącznie z mojego szpiegowania, nasz problem nie zniknął. Jest jeszcze gorzej. Owen nie żyje, a policja szuka prawdziwego mordercy.

Komendant policji powiedział, że do sprawy przydzielono nowego detektywa. Przyjedzie z innego rewiru i spojrzy na problem świeżym okiem. Szkoda, że nie spojrzałem świeżym okiem na Denise.

Gdy Millicent wychodzi z łazienki, telewizor i światło są już wyłączone. Kładzie się do łóżka, a ja odwracam się do niej, mimo że jest zbyt ciemno, żeby cokolwiek zobaczyć.

– Nie chcę się stąd wyprowadzać – mówi.

– Wiem.

Wsuwa swoją dłoń w moją.

– Martwię się.



- Z powodu Jenny? Czy z powodu policji?
- Jednego i drugiego.
- A może wyjedziemy z miasta? – proponuję.
- Przecież przed chwilą powiedziałam...
- Miałem na myśli urlop.

Milczy. Wymieniam w myślach wszystkie powody, dla których nie możemy teraz wyjechać. Dzieci opuściłyby lekcje. Nie mamy oszczędności. Millicent musi domknąć kilka transakcji. Nie powinienem odwoływać kolejnych lekcji. Zapewne te same powody przelatują przez umysł mojej żony.

- Zastanowię się nad tym – obiecuje. – Zobaczymy, jak to będzie.
- Okej.
- Dobrze.
- Pho z kurczaka było wspaniałe – mówię.
- Niemądry jesteś.
- Nawet jeśli nie pojedziemy na urlop teraz, powinniśmy to zrobić, gdy ta historia się skończy.
- Zrobimy to.
- Obiecuj.
- Obiecuję. A teraz śpij.

## 54

Okazuje się, że nowy detektyw jest kobietą. Nazywa się Claire Wellington i brzmi to tak, jakby jej rodzina przyplłynęła na pokładzie Mayflower, ale założę się, że wcale tak nie było. Zresztą to bez znaczenia.

Claire jest poważną panią z krótkimi brązowymi włosami, bladą skórą i ustami umalowanymi brązową szminką. Nosi praktyczne garnitury dla kobiet, wyłącznie w ciemnych kolorach, i nigdy się nie uśmiecha. Wiem o tym, bo bez przerwy pokazują ją w telewizji. Jej wyobrażenie o pracy detektywistycznej sprowadza się do proszenia społeczeństwa o pomoc.

*– Wiem, że ktoś z was coś widział, nawet jeśli nie zdaje sobie z tego sprawy. Może to było w nocy, gdy zniknęła Naomi. Wszyscy się wtedy pilnowali i wszyscy wiedzieli, że coś się wydarzy. Albo może gdy do kontenera za hotelem Lancaster podrzucano zwłoki Naomi George. Proszę, przypomnijcie sobie tamtą noc, zastanówcie się, co wtedy robiliście, z kim byliście i co widzieliście. Możliwe, że coś zobaczyliście, ale nie przywiążaliście do tego wagi.*

Stworzono stronę internetową dla osób chcących przesłać jakieś informacje. Mogą też zachować anonimowość, dzwoniąc na specjalną linię, by zgłosić wszystko, co ma jakikolwiek związek z Lindsay i Naomi.

Nie podoba mi się taki rozwój wypadków. Przez to telewizyjne tournée Claire mogą wypłynąć przeróżne nowe informacje. Josh już donosi, że pojawiły się dziesiątki nowych tropów.

*– Policja korzysta także z innowacyjnego programu komputerowego stworzonego na uniwersytecie w Sarasocie. Studenci napisali algorytm przesiewający informacje w poszukiwaniu wielokrotnie używanych słów, a następnie szeregujący te informacje od najbardziej do najmniej przydatnych.*

To wszystko wydarza się w ciągu kilku dni od przyjazdu Claire. Wystarcza mi, że muszę ją oglądać w telewizji. Bez przerwy. Teraz muszę także słuchać, jaka jest innowacyjna i skuteczna. Nawet w domu nie sposób jej uniknąć. Millicent nalega, byśmy nie oglądali wieczorem telewizji, ponieważ Claire ciągle pojawia się w przerwach na reklamę. Lokalne stacje zaczęły przekazywać ogłoszenia administracji publicznej dotyczące numeru telefonu, pod którymi odbierane są zgłoszenia.

Zamiast oglądać telewizję, gramy w gry. Millicent wygrzebuje skądś talię kart oraz plastikowe żetony i uczymy dzieci grać w pokera, bo to lepsze niż oglądanie Claire.

Rory już umie grać. Ma w telefonie pokerową aplikację.

Jenna szybko się uczy, ponieważ Jenna wszystkiego uczy się szybko. Poza tym ma najlepszą pokerową twarz. Chyba nawet lepszą niż Millicent.

Moja pokerowa twarz jest beznadziejna i przegrywam wszystkie rozdania.

Gdy gramy, Rory wspomina, że następnego dnia w szkole będzie apel. Millicent marszczy brwi, ale jej czoło szybko znów robi się gładkie. Moja żona obawia się zmarszczek.

– Nie dostałam zawiadomienia o apelu – mówi.

– Przyjeżdża do nas ta pani detektyw – wyjaśnia Jenna.

– Ta laska – mówi Rory.

Millicent znowu marszczy brwi.

– Dlaczego pani detektyw przyjeżdża do waszej szkoły? – pytam.

Rory wzrusza ramionami.

– Pewnie żeby spytać, czy czegoś nie wiedzieliśmy. To samo robi w telewizji. Daniel mówi, że zamierza odwiedzić wszystkie szkoły.

Jenna kiwa głową, jakby też o tym słyszała.

– Jest denerwująca – mówi Rory. – Ale przynajmniej nie będzie lekcji.

Millicent rzuca mu wymowne spojrzenie. Rory udaje, że tego nie zauważył, i przygląda się swoim kartom.

– A mnie się ona podoba – mówi Jenna.

– Ta pani detektyw? – pytam.

Kiwa głową.

– Wydaje się twarda. Jakby naprawdę miała go dopaść.

– O, z tym bym się zgodził – wtrąca Rory. – Zachowuje się, jakby miała obsesję albo coś.

To chyba logiczne, że kobieta, która może nas złapać, poprawia Jennie samopoczucie.

– Wszyscy pokładają w niej wielkie nadzieje – mówię.

– Liczę, że uda mi się z nią porozmawiać – oznajmia Jenna.

– Na pewno jest bardzo zajęta.

– Jasne. Tak tylko mówię.

W szkole Jenny i Rory'ego apele nie odbywają się w sali gimnastycznej. Służy do tego specjalne pomieszczenie nazwane na cześć sponsora, który za nie zapłacił. Gdy przyjeżdżam, jest już wypełnione dziećmi, nauczycielami i rodzicami. Claire tak często pokazuje się w wiadomościach, że prawie została celebrytką.

Jest wyższa, niż się spodziewałem, i nawet w zatłoczonym pomieszczeniu wywołuje onieśmienie. Nie chce rozmawiać o sobie, o swojej przeszłości ani doświadczeniu. Na początek zapewnia dzieci, że są bezpieczne.

– Ktokolwiek zabił te kobiety, nie szuka was. Dzieci i młodzież go nie interesują. Najprawdopodobniej nigdy nie zetkniecie się z osobą, która zabiła Naomi i Lindsay.

Jenna siedzi wśród koleżanek po prawej stronie sceny. Mimo że widzę ją od tyłu, zauważam, jak się pochyla, starając się wszystko usłyszeć i zobaczyć.

Rory jest w środku, siedzi obok swojej dziewczyny i niekoniecznie słucha, co mówi pani detektyw. Trudno stwierdzić.

– Niemniej – ciągnie Claire – jeśli zetknęliście się z tym człowiekiem, możliwe, że nie zdajecie sobie z tego sprawy. Być może coś widzieliście, ale nie przypuszczacie, że to coś ważnego. Wszystko, co wydaje wam się nietypowe albo zwróciło waszą uwagę, może okazać się ważne.

Mówi to samo co w telewizji, ale używa krótszych słów i zdań. Na koniec dodaje, że jeśli ktoś chce z nią porozmawiać, przez jakiś czas będzie dostępna w szkole. Właśnie dlatego tu jestem. Po pierwsze po to, by dopilnować, że Jenna będzie miała szansę poznać Claire. Po drugie po to, by też ją poznać.

Jenna jest wśród koleżanek, więc nie przytula mnie na powitanie. Razem czekamy, żeby porozmawiać z panią detektyw. Ustawiła się do niej krzywa kolejka. Gdy przychodzi pora na nas, ruszam w stronę Claire i się przedstawiam. Jest wystarczająco wysoka, byśmy mogli stać oko w oko. W telewizji jej oczy wydają się po prostu brązowe. Z bliska zauważam złote plamki.

– To moja córka Jenna – mówię.

Zamiast spytać Jennę, ile ma lat albo w której jest klasie, Claire pyta moją córkę, czy chciałaby zostać detektywem.

– Bardzo! – odpowiada Jenna.

– W takim razie pierwsze, co powinnaś wiedzieć, to że wszystko ma znaczenie. Nawet drobnostki, które wydają się nieważne.

Jenna kiwa głową. Ma roziskrzony oczy.

– To wiem.

– Nie wątpię. – Claire zwraca się do mnie. – Pana córka ma zadatki na doskonałego detektywa.

– Chyba już nim jest.

Uśmiechamy się do siebie.

Pani detektyw przechodzi do kolejnej osoby i odwraca się do nas plecami.

Jenna lekko podskakuje.

– Myślisz, że naprawdę mogłabym zostać detektywem?

– Możesz zostać, kimkolwiek zechcesz.

Przestaje podskakiwać.

– Tato, mówisz jak w reklamie.

– Wybacz. Ale to prawda. Moim zdaniem byłabyś wspaniałym detektywem.

Wzdycha i odwraca się do machających do niej koleżanek. Zbывa mnie, gdy próbuję ją uściskać.

– Muszę lecieć.

Patrzę, jak podbiega do koleżanek, które reagują na jej wieści bardziej entuzjastycznie niż ja.

Porażka taty numer 79 402. A Jenna ma dopiero trzynaście lat.

Jestem wdzięczny Claire, która stara się wzbudzić w tych dzieciach poczucie bezpieczeństwa. Dawno nie widziałem, żeby Jenna była taka szczęśliwa.

Nie mogę jednak powiedzieć, żebym dzięki temu polubił panią detektyw. W zasadzie teraz, gdy już ją poznałem, zaczynam jej nienawidzić.

## 55

Zanim udaje mi się znaleźć czas, by poszukać informacji o naszej nowej pani detektyw, robi to Jenna. Przy kolacji raczy nas historią życia Claire Wellington w internetowej wersji. Urodzona w Chicago, college w Nowym Jorku, pierwsza praca w nowojorskiej policji. Przeprowadziła się na rolniczy środkowy zachód, gdzie została detektywem i pracowała w wydziale antynarkotykowym. Opuściła małe miasta na rzecz większych, a w końcu awansowała na stanowisko detektywa w wydziale zabójstw. Była członkinią zespołu, który rozpracował zbiorowe morderstwa z River Park. Sprawcę aresztowano w ciągu dwóch miesięcy od rozpoczęcia dochodzenia.

Claire została jednym z najskuteczniejszych detektywów do spraw zabójstw w swoim wydziale. Osiągnęła średnią zatrzymań o pięć procent wyższą niż inni.

Jej wyniki budzą równie wielki szacunek jak jej wygląd.

Nie tylko ja i dzieci poznaliśmy Claire. Poznała ją także Millicent. Pani detektyw potrzebowała mieszkania do wynajęcia, ponieważ hotel jest za drogi jak na policyjny budżet. Dlatego zgłosiła się do agencji nieruchomości, by znaleźć coś na wynajem. Coś małego, prostego i umeblowanego, co można wynająć na miesiąc. Millicent nie zajmuje się lokalami na wynajem, ale akurat była wtedy w biurze.

W niedzielę wcześnie rano, gdy jesteśmy sami w kuchni, a dzieci jeszcze śpią, pytam Millicent, co sądzi o Claire Wellington.

– Jest bardzo wysoka.

– I bystra – mówię.

– A my nie?

Wymieniamy uśmiechy.

Millicent właśnie wróciła z przebieżki. Stoi obok zlewu ubrana w obcisły strój, a ja podziwiam widok. Przyłapuje mnie na tym i unosi brew.

– Masz ochotę wrócić do łóżka? – pytam.

– Chcesz mi pokazać, jaki jesteś bystry?

– Tak.

– Ale muszę wziąć prysznic.

– Potrzebujesz towarzystwa?

Potrzebuje.

Zaczynamy pod prysznicem i przenosimy się na łóżko. Nasz seks jest raczej czuły i znajomy niż namiętny i nieprzewidywalny. Nie ma w tym nic złego.

Gdy wstaje Rory, jesteśmy jeszcze w łóżku. Wiem, że to on, bo mój syn nie potrafi zamknąć drzwi, nie trzaskając, a gdy idzie do kuchni, głośno tupie. Wkrótce wstaje Jenna i wykonuje te same rutynowe czynności co on – w łazience i kuchni – ale wszystko odbywa się subtelniej.

Millicent leży obok mnie zwinięta w kłębek. Jest naga i ciepła.

– Kawa wciąż się parzy – mówi. – Będą się zastanawiali, gdzie jesteśmy.

– Niech się zastanawiają. – Nie mam zamiaru wstawać z łóżka, dopóki nie będę musiał. Przeciagam się i zamykam oczy.

Ktoś włącza telewizor, robi się głośno. Dzieci pewnie się cieszą, że nie ma nas na dole. Zazwyczaj nie oglądamy telewizji w niedzielę rano, więc to dla nich rarytas. Skaczą po kanałach z kreskówkami i jakimś filmem, w którym coś wybucha.

– Założę się, że jedzą płatki – mówi Millicent.

– Mamy płatki?

– Organiczne. Bez cukru.

– Mamy mleko?

– Sojowe.

Nie mówię głośno „fuj”, ale wypowiadam to słowo w myślach.

– W takim razie nie jest źle.

– Chyba nie.

Wtula się we mnie trochę bardziej.

Właśnie tak wyglądało nasze życie przed Holly. Wszystko działo się trochę wolniej, mniej gorączkowo, bez większych emocji.

Dni zlewały się ze sobą, urozmaicane jedynie ważnymi wydarzeniami. Nasz pierwszy dom był bardzo mały, ale wydawał się ogromny, przynajmniej dopóki z niego nie wyrosliśmy – potem Millicent sfinalizowała swoją pierwszą dużą transakcję, Jenna poszła do szkoły, kupiliśmy większy dom i wzięliśmy większy kredyt. Kolega Rory'ego skaleczył go papierem.

Gdy Jenna miała cztery lata, dopadło ją przeziębienie, które przeszło w zapalenie oskrzeli. Nim przespała godzinę, znów budził ją kaszel. Spędziliśmy z Millicent trzy noce w jej pokoju – ja na podłodze, a Millicent w wąskim łóżku Jenny. Razem staraliśmy się, by Jenna spała więcej niż my.

Nauczyłem Rory'ego jeździć na rowerze. Nigdy by się do tego nie przyznał, ale bardzo długo korzystał z bocznych kółek. Równowaga nie była jego mocną stroną. Wciąż nie jest.

Wtedy żadna z tych rzeczy nie wydawała się ekscytująca. To były rutynowe obowiązki, sporadycznie urozmaicane uśmiechem albo nawet śmiechem. Chwile szczęścia, po których następowały długie serie nijakich, monottonnych dni.

Teraz pragnę, żeby to wróciło. Może emocje mi się przejadły albo rzeczywistość stała się zbyt emocjonująca – w każdym razie już za nimi nie tęsknię.

– Ej – odzywa się Millicent. Siada na łóżku, zasłaniając się kołdrą. Jej rude włosy są potargane. – Słyszysz to?

Na dole w telewizorze dudni muzyczka zapowiadająca najnowsze informacje. Milknie, gdy któraś z dzieci przełącza na kreskówkę.

Przewracam oczami.

– Co pięć minut pojawiają się jakieś informacje. – Ciągnę Millicent z powrotem na łóżko, w moje ramiona, i nie mam zamiaru się ruszyć, dopóki policja nie wyważy drzwi.

– Pewnie aresztowali jakiegoś celebrytę.

– Albo umarł.

– Albo przyłapali polityka na oszustwie – mówię.

– O czymś takim nawet nie warto wspominać.

Śmieję się i zagrzebuję głębiej pod kołdrą.

Mam nadzieję, że aresztowali kogoś w związku z morderstwami. Nie byłby to zabójca Naomi ani Lindsay, ale ktoś, kto ma na sumieniu inne złe uczynki. Ktoś, kto zasługuje, by go zamknęli, zanim kogoś skrzywdzi. Wyobrażam go sobie jako niechlujnego, zaniedbanego mężczyznę o spojrzeniu szaleńca.

– Okej, dość tego – mówi Millicent. – Wstaję. – Gwałtownie odrzuca kołdrę, jakby stosowała stary sposób na zrywanie plastra z rany. To działa. Bez niej w łóżku już nie jest przytulnie.

Narzuca szlafrok i idzie na dół. Ja najpierw wskakuję pod prysznic.

Dzieci siedzą na kanapie i oglądają serial dla młodzieży o kosmitach. Na stoliku do kawy stoją puste miseczki po płatkach śniadaniowych i dziwię się, że Millicent na to pozwala. Znajduję ją w kuchni, stoi obok ekspresu do kawy. Jej kubek leży przewrócony, a jego zawartość spływa z blatu na podłogę. Millicent nawet na nią nie patrzy. Wpatruje się w mały telewizor, który trzymamy w kuchni.

Na ekranie widać Josha. Stoi na tle zalesionego obszaru tak gęsto porośniętego krzakami, że nie zauważam budynku za jego plecami, tylko strzelistą wieżę wznoszącą się nad koronami drzew. Nie znam tego miejsca i nie wiem, gdzie się znajduje. Drewniany znak przed kościołem jest zniszczony i wyblakły. Josh porusza ustami, ale nie słychać żadnego dźwięku. Telewizor jest za bardzo ściszony.

Nie potrzebuję jednak dźwięku. U dołu ekranu widnieje wiadomość napisana czerwonymi literami.



*DOM BOŻY CZY DOM STRACHU?  
W OPUSZCZONYM KOŚCIELE ZNALEZIONO PODZIEMNY LOCH*

## 56

Przez chwilę sądziłem, że Millicent się zdenerwowała, bo wiadomość była przerażająca, bo wywołała szok, bo nie miała z nami nic wspólnego. Albo raczej chciałbym myśleć, że tak sądziłem.

Już w następnej sekundzie wiedziałem, że to była ona. Że właśnie w tym kościele przetrzymywała Lindsay i Naomi.

– W kościele?

Znowu jesteśmy na górze, w naszej sypialni, ale atmosfera zupełnie się zmieniła. Loch w kościele nie ma w sobie nic seksownego.

Nasza rodzina nie chodzi do kościoła, nigdy nie chodziła. Millicent została wychowana w duchu agnostycyzmu, ja w wierze katolickiej, ale szybko od niej odszedłem. W kościołach zjawiamy się tylko z okazji ślubów, pogrzebów i kiermaszów dobroczynnych. Nawet ja uważam jednak, że taka lokalizacja to jeden z najbardziej niepokojących wyborów, jakich mogła dokonać Millicent. Gorsze byłoby tylko przedszkole.

Millicent otrząsnęła się już z szoku i wcale nie jest wystraszona. Przeszła do pozycji obronnej.

– Potrzebowałam miejsca. Takiego, w którym nikomu nie przyszłoby do głowy szukać.

– Mów ciszej. – Dzieci są na dole i oglądają telewizję, lecz mimo to obawiam się, że usłyszą.

– Nikt go nie znalazł, prawda? Nie, kiedy jeszcze żyły.

– To prawda. Nikt nie znalazł tego kościoła, dopóki w mieście nie zjawiała się Claire. – Josh twierdzi, że znaleźli kościół dzięki jakiemuś zgłoszeniu. Ktoś widział samochód w zachwaszczonym miejscu, w którym kiedyś był parking.

Millicent stała przede mną, trzymając się pod boki. Wciąż była w szlafroku.

Telewizor za jej plecami był włączony. Do kościoła nie wpuszczono dziennikarzy, nie ujawniono żadnych zdjęć, więc Josh powtarza to, co usłyszał od swoich anonimowych źródeł.

– *Potworna sceneria... łańcuchy przyłączone do ścian... żelazne kajdany skąpane we krwi... nawet policyjny weteran nie zdołał powstrzymać łez... to wyglądało jak w jakimś*

*filmie.*

Millicent gwałtownie odwróciła głowę, zbywając te słowa machnięciem ręki.

– Nic nie było skąpane we krwi. To nie żadna krypta, tylko piwnica. A ten kościół musi mieć ze sto lat. Kto wie, co się tam wcześniej działo.

– Ale posprzątałaś?

Mruży oczy.

– Naprawdę mnie o to pytasz?

W odpowiedzi podnoszę rękę.

Millicent podchodzi do mnie i przysuwa twarz do mojej, bliżej, niż gdy leżeliśmy w łóżku, ale tym razem nie ma w tym żadnej czułości ani ciepła.

– Nie waż się we mnie wątpić. Nie teraz.

– Przecież nie...

– Właśnie że tak. Przestań.

Jej szlafrok szeleści, gdy Millicent odwraca się i znika w łazience.

Rozumiem jej gniew. Złości się, że odkryto kościół i że zadaję jej pytania. Ale ja nie zostawiłbym w tej piwnicy ani kropli krwi. Zalałbym wszystko amoniakiem, wybielaczem albo czymkolwiek, co usuwa ślady krwi, płynów ustrojowych i wszelkiego rodzaju DNA. Może zostawiłbym w środku zapalonego papierosa, żeby wszystko spłonęło i wyglądało na wypadek.

Nigdy nie miałem szansy, żeby coś takiego zrobić, bo nie wiedziałem o kościele. Nie potrafiłem zdobyć się na to, by spytać.

Millicent postanawia, że po południu wszyscy powinniśmy pójść do kina. Biorąc pod uwagę okoliczności, pomysł jest absurdalny, ale tłumaczę sobie, że to na pewno lepsze niż oglądanie wiadomości przez cały dzień. Tak, wyrwanie się z domu to dobry plan. Oddalę się od tego, co się dzieje w mojej głowie. Od Josha. Powtarzam to sobie, kiedy się ubieram, próbując nie myśleć o tym kościele i jego piwnicy. Prawie mi się udaje.

– Kiepsko się czuję. – Dla podkreślenia tych słów łapię się za brzuch.

Millicent rzuca mi wymowne spojrzenie.

– Może polepszy ci się po popcornie.

– Nie, nie, idźcie beze mnie. Bawcie się dobrze.

Wychodzą sami.

Nie włączam wiadomości. Zamiast tego jadę do kościoła.

Telewizja mi nie wystarcza. Chcę zobaczyć na własne oczy miejsce, w którym Millicent przetrzymywała Lindsay i Naomi.

Kościół stoi przy samotnej drodze na środku pustkowia. Jadąc tam, mijam tylko bar zabity deskami, zniszczoną stację benzynową i puste ranczo na końcu prywatnej drogi. To dlatego nigdy nie zauważyłem kościoła na GPS-ie. Ranczo jest wystawione na

sprzedaż, jego adres kilkakrotnie pokazywał się w aplikacji. Millicent mogła wyjść tylnymi drzwiami i w kilka minut dotrzeć do kościoła. Nikt przejeżdżający drogą by jej nie zauważył.

Wokół roi się od samochodów, vanów stacji telewizyjnych i gapiów. Wkładam kurtkę i czapkę bejsbolową, a potem próbuję wmieszać się w tłum.

Przed wejściem do kościoła kręcą się dziennikarze, a nad nimi góruje strzelista wieża. Stoją tuż przy żółtej taśmie, której pilnują umundurowani policjanci. Część z nich wygląda jak dzieci. Inni mają nalane twarze i chyba szykują się do emerytury.

Nigdy nie byłem tak blisko Joshua, nie widziałem go nigdzie indziej jak tylko w telewizji. Jest niższy i chudszy niż na ekranie.

Obok mnie stoi jakaś starsza kobieta, jej spojrzenie kursuje między trzema reporterami.

– Przepraszam, orientuje się pani, czy powiedzieli coś nowego? – pytam.

– Od kiedy? – Ma zachrypnięty głos palaczki, a do tego bujne siwe włosy i żółtawe oczy.

– W ciągu ostatniej półgodziny.

– Nie, nic pana nie ominęło.

Za gęstymi drzewami widać czubek białego namiotu. Wygląda jak te wykorzystywane podczas wesel i imprez dla dzieci.

– Co to?

– Policja ustawiła go na samym początku. Nazywają go bazą.

– W środku jest komendant – mówi stojący za mną mężczyzna. Wszystko ma olbrzymie, jest ode mnie o dobre dziesięć centymetrów wyższy i co najmniej trzydzieści szerszy.

– Chcą się upewnić – dodaje.

– O czym?

– Że były tam tylko te dwie dziewczyny – mówi. – Nie więcej.

– Boże uchroni – wtrąca kobieta.

Oczywiście były jeszcze dwie – Holly i Robin – ale żadna nie trafiła do tej piwnicy.

W każdym razie nic mi o tym nie wiadomo.

Jasne migające światelko sygnalizuje transmisję na żywo. Josh ponownie wspomina o tym, czego dowiedział się ze swoich źródeł. Żadne z nich nie ma nazwiska.

Podają mu więcej informacji o podziemnym pomieszczeniu pod kościołem. Mówi, że coś tam znaleźli. Wygląda na to, że na ścianie w kącie ktoś, kogo tu przetrzymywano, próbował zostawić wiadomość.

Przez chwilę myślę o tym, by spytać Josha, czy ma jeszcze jakieś informacje. Nigdy ze sobą nie rozmawialiśmy, komunikowałem się z nim tylko listownie, ale pogłoska o ukrytej wiadomości wywołuje u mnie panikę. Prawie.

Zamiast zrobić coś głupiego, co często zdarzało mi się w przeszłości, wycofuję się. Zastanawiam. Oceniam. I dochodzę do wniosku, że to bzdura. Cała ta historia to bzdura.

Źródła Josha się mylą. Jeśli znalezienie tej tak zwanej wiadomości zajęło policji niespełna jeden dzień, Millicent na pewno by jej nie przeoczyła. Może i nie wie, że jej syn wymyka się nocą z domu, ale kurz zauważy z odległości dwóch pomieszczeń. Nie przeoczyłaby wiadomości na ścianie.

Zresztą jaką wiadomość mogłaby zostawić Naomi albo Lindsay? Pomocy? Jestem uwięziona?

Nie wyobrażam sobie, by Millicent wyjawiała im swoje prawdziwe nazwisko, więc nie mogły znać tożsamości osoby, która je wprowadziła.

Ta ukryta wiadomość to na pewno kłamstwo wymyślone przez Claire, bez wątpienia po to, by wywabić nas z ukrycia. Każdy, kto ogląda telewizję, wie, że policja kłamie. To chyba wystarczy, bym mógł opuścić to miejsce. Wrócić do domu. Porozmawiać z Millicent.

Gdy przyjeżdżam, w domu nikogo nie ma. Włączam telewizję i skaczę po kanałach informacyjnych. Josh nadal mówi o tej rzekomej wiadomości, ale nie podaje szczegółów. Jakiś reporter na innym kanale powtarza jego słowa. Trzeci dziennikarz mówi o kościele.

Chrześcijański Kościół Chleba Życia zaczął się od jednej rodziny, a potem urósł do kongregacji zrzeszającej ich około pięćdziesięciu. Na starych zdjęciach widać posępną grupę ludzi o zniszczonych twarzach i w znoszonych ubraniach. Później chyba dobrze im się powodziło, mieli o wiele więcej chleba, nabrali ciała, a kilkoro z nich nawet się uśmiechało. W latach pięćdziesiątych przeżywali rozkwit, ale potem ich szeregi zaczęły topnieć i w osiemdziesiątych przestali istnieć. O ile wiadomo, budynek stał pusty co najmniej od dwóch dekad. Jest niedziela, więc nie ma dostępu do map miejskiego wydziału urbanistyki, lecz lokalni historycy przypuszczają, że piwnica od początku należała do budynku. Mogła być rodzajem chłodni.

Skaczę po kanałach, czekając, aż coś się wydarzy. Millicent i dzieci wracają dopiero koło piątej. Popołudnie spędzili w kinie oraz w centrum handlowym, gdzie Jenna kupiła sobie kolejną parę butów, a Rory nową bluzę z kapturem. Obydwoje biegną na górę, zostawiając mnie i Millicent samych.

– Lepiej się czujesz? – pyta Millicent. Brzmi to sarkastycznie.

– Nie bardzo.

Unosi brew.

Telewizor jest wyłączony. Nie mam pojęcia, ile informacji do niej dotarło.

– Mówią o jakiejś wiadomości – oznajmiam.

– O czym? – Millicent idzie do kuchni, żeby przygotować kolację. Idę za nią.

– O wiadomości na ścianie. Zostawionej przez kogoś, kogo tam przetrzymywano.

– Niemożliwe.

Wpatruję się w nią. Rwie sałatę.

– No, też tak pomyślałem – mówię.

– Masz, dokończ. – Podsuwa mi miskę z sałatą. – Myślałam, żeby zrobić kanapki z tuńczykiem i roztopionym serem.

– Zjadłem tuńczyka na lancz.

– Całego?

– Większość.

Za moimi plecami słychać huk otwieranych drzwi zamrażarki. Millicent nic nie mówi, ale słyszę jej złość.

Zatrząskuje drzwi.

– Chyba mogę zrobić zapiekanekę z bakłazanem albo coś – mówię.

– Brzmi doskonale.

Pracujemy ramię w ramię: ona kroi bakłazana, a ja ścieram ser na wierzch. Gdy wreszcie potrawa trafia do piekarnika, Millicent odwraca się do mnie. Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby miała aż tak podkrążone oczy.

– Przepraszam za moje wcześniejsze zachowanie – mówię.

– Nie ma sprawy. Obydwoje jesteśmy podenerwowani z powodu Clair, tego kościoła i w ogóle.

– Boisz się?

– Nie.

– Naprawdę? – Wydaje się zdziwiona.

– A ty?

– Nie.

– Więc wszystko jest dobrze, prawda?

Obejmuje mnie za szyję.

– Jest wspaniale.  
Na to wygląda.

Wstaję, żeby powiedzieć dzieciom dobranoc. Rory zgasił światło, ale nie śpi i korzysta z telefonu.

Zanim zdążę cokolwiek powiedzieć, mówi:

– Tak, piszę do Faith. I do Daniela. A poza tym gram w grę.

– Czy którąkolwiek z tych rzeczy robisz dobrze?

Opuszcza telefon i posyła mi to spojrzenie. Takie samo jak spojrzenie Millicent.

– I nie palę trawy.

Tak jak myślałem, wciąż jest na mnie zły.

– Co u tej twojej dziewczyny? – pytam.

– Ma na imię Faith.

– Co u Faith?

Wzdycha.

– Nadal jest moją dziewczyną.

– Nie będziesz się dzisiaj wymykał, prawda?

– Tylko jeśli ty też nie będziesz.

– Rory.

– Tak, ojczy? – Jego głos ocieka cwaniactwem. – Jaką lekcję chcesz mi dać dziś wieczorem?

– Dobranoc.

Zamykam drzwi, zanim zdąży odpowiedzieć. Nie chcę słyszeć tej odpowiedzi. Nie dzisiaj.

Jenna właśnie się kładzie, więc siadam, żeby z nią porozmawiać. Dzieci już wiedzą o kościele i o piwnicy pod nim, bo o wszystkim dowiadują się z prędkością światła. Żałuję, że nie można temu jakoś zapobiec, bo moja córka jest jeszcze bardzo młoda. Nie aż tak młoda, by wciąż spać z pluszakami, ale wystarczająco, by trzymać je w pobliżu. Mimo wszystko za dużo wie o tej sprawie. Dziewczyny są porywane i więzione w książkach, filmach, programach telewizyjnych i prawdziwym życiu. Trudno by było to przeoczyć, a Jenna nie przeoczyła.

– Były przykute łańcuchami, prawda? – pyta.

Kręcę głową.

– Jeszcze nie wiadomo.

– Nie kłam.

– Prawdopodobnie tak.

Kiwa głową i przewraca się na bok, w stronę szafki nocnej. Stojąca na niej lampka ma abażur w kształcie kwiatu. Pomarańczowego, rzecz jasna.

- Dalej boli cię brzuch? – pyta.
- Już nie.
- To dobrze.
- Dlaczego ktoś miałby tak krzywdzić ludzi?

Wzruszam ramionami.

- Niektórzy są po prostu wadliwie skonstruowani. Myślą, że to, co złe, jest dobre.
- Założę się, że Claire go złapie.
- Założę się, że masz rację.

Uśmiecha się lekko.

Mam nadzieję, że się myli.



Pierwsze zdjęcia piwnicy są zaskakujące. Nie przypomina średniowiecznego lochu, który zbudowałem w swojej głowie.

Wygląda raczej jak niedokończona piwnica w starym budynku. Klepisko, drewniane półki na ścianie, wiekowe schody. Tylko ściana najbardziej oddalona od schodów jest inna, jedynie ona wskazuje, co mogło się dzieć w tym pomieszczeniu. Została wzniesiona z cegieł i otynkowana. Na ziemi obok niej leżą kajdanki i płatanina łańcuchów.

Claire pokazuje te zdjęcia na wieczornej konferencji prasowej, a ja oglądam je w barze. To ten sam bar, w którym byłem, gdy znaleziono zwłoki Lindsay.

Trzymam w dłoni piwo i siedzę tak, by mieć widok na frontowe okno. Po drugiej stronie ulicy jest First Street Bar & Grill, gdzie robią olbrzymie hamburgery podawane z olbrzymimi piwami rzemieślniczymi, a wszystko kosztuje mniej, niż by się oczekiwało. Millicent nie jest fanką burgerów ani piwa, więc bywamy tam tylko na spotkaniach z klientami albo na imprezach.

Claire pokazuje kolejne zdjęcia i opisuje szczegóły. Są zbliżenia plam na ścianach i na klepisku. Wyglądają jak rdza, ale ona mówi, że to krew.

Barman kręci głową. Nikt nie wydaje z siebie dźwięku. Wszyscy są zbyt zajęci pić i oglądaniem.

Nie wyobrażam sobie, że Millicent mogłaby zostawić tyle krwi – jeśli to rzeczywiście krew. Claire może kłamać. Jej oczy patrzą prosto w kamerę, więc mam wrażenie, że wpatrują się we mnie. Albo w faceta obok mnie. Albo w barmana. To denerwujące.

Nie znoszę tych jej garniturów. Dziś wieczorem ma na sobie granatowy zestawiony z ciemnoszarą bluzką. Zawsze wygląda, jakby wybierała się na pogrzeb.

Claire stoi na podeście w pobliżu kościoła, jednak na tyle daleko, że nie widać niczego oprócz drzew. Nawet strzelistej wieży. Obok stoją komendant i burmistrz, z drugiej strony umieszczono sztalugę. Są na niej olbrzymie odbitki zdjęć, odsuwane kolejno przez dwóch umundurowanych gliniarzy.

– *Przeprowadzamy już badania krwi, porównując je z krwią Naomi i Lindsay – mówi Claire. – Znaleźliśmy też ślady śliny, które także poddajemy badaniom.*

Nie odpowiada na pytania. Cała konferencja prasowa trwa jakieś dwadzieścia minut, dzięki czemu dziennikarze i eksperci mają czas, żeby rozłożyć ją na czynniki pierwsze. Claire nie wspomniała o wiadomości zostawionej na ścianie, nie było też żadnego związanego z tym zdjęcia.

Barman przełącza na wiadomości sportowe. Zamawiam następne piwo, ale prawie go nie tykam.

Czterdzieści minut później zauważam go. Do First Street Bar & Grill wchodzi Josh. To jego ulubiona restauracja.

Odkryłem ten fakt przypadkiem, jadąc po First Street parę dni temu wieczorem. Gdy stałem na czerwonym świetle, widziałem, jak Josh wysiada z samochodu i wchodzi do lokalu. Następnego dnia też tędy przejeżdżałem i zauważyłem jego samochód zaparkowany przed budynkiem. Trzeciego dnia wieczorem – to samo. Przeszedłem obok i zobaczyłem, jak siedzi sam przy barze i pije piwo, oglądając telewizję.

Przechodzę przez ulicę i siadam kilka miejsc od niego. Kolację już zjadłem, więc zamawiam szota i piwo. Tak jak on.

Spoglądam na niego i odwracam wzrok. Potem patrzę jeszcze raz, jakbym go rozpoznał.

– Tak – mówi, nawet nie patrząc w moją stronę. – Jestem tym facetem z wiadomości.

– Tak myślałem. Prawie codziennie widzę pana w telewizji – stwierdzam. W prawdziwym życiu Josh wygląda zupełnie inaczej. Nie ma aż tak gładkiej twarzy. Jego cera odznacza się nierówną teksturą. Nos jest czerwony, tak jak oczy. Szkoda, że nie przyniosłem kropel.

Wzdycha i wreszcie się do mnie odwraca.

– Dzięki, że pan ogląda.

– Nie, to ja dziękuję za pana relacje. Jest pan specjalistą w tej poważnej sprawie, no nie? W sprawie tych zamordowanych kobiet.

– Byłem.

– Wciąż pan jest. Zdaje się, że o wszystkim dowiaduje się pan pierwszy.

Josh wypija jednym haustem jedną trzecią swojego piwa.

– Należy pan do tych osób, które mają świra na punkcie prawdziwych zbrodni?

– A skąd. Po prostu mi zależy, żeby złapali tego dupka.

– To fajnie.

Daję barmanowi znak, żeby podał następnego szota.

– Hej – mówię do Josha – może panu postawię?

– Bez urazy, ale nie jestem gejem.

– Nie czuję się urażony. Też nim nie jestem.

Josh przyjmuje szota. Barman podaje jeszcze dwa piwa.

Oglądamy razem kanał sportowy, wymieniając uwagi na temat tej czy innej drużyny. Kupuję jeszcze dwa szoty, ale gdy Josh nie patrzy, wylewam swój do miseczki z orzeszkami. Josh wypija wódkę i zamawia dwie kolejne.

Gdy zaczyna się mecz piłki nożnej, kiwa głową w stronę telewizora.

– Stawiam na Blazers. A pan?

– Też. – Kłamstwo.

– Gra pan? Wygląda pan na sportowca.

Wzruszam ramionami.

– Nie bardzo.

Dużymi łykami dopija piwo i daje kelnerowi znak, żeby przyniósł dwa kolejne.

– Kiedyś grałem w drużynie, która nazywała się Marauders. Byliśmy do bani, ale i tak sialiśmy postrach. Było nieźle.

– Domyślam się.

W przerwie na reklamę pojawia się zapowiedź wiadomości, w której mówią o dzisiejszej konferencji prasowej. Na ekranie znowu widać Claire Wellington.

Josh kręci głową i spogląda na mnie. Jego wzrok nie jest już tak przejrzysty jak w chwili, w której wszedłem do baru.

– Chce pan usłyszeć informacje z pierwszej ręki? – pyta.

– Pewnie.

Wskazuje na telewizor.

– To suka.

– Naprawdę?

– Nie dlatego, że jest kobietą. Naprawdę, to nie ma nic do rzeczy. Ale problem z powierzaniem dowodzenia kobietom polega na tym, że one wszystko muszą zmieniać. Dowodzą swojej wartości, wie pan? To nie ich wina, są do tego zmuszone, rozumiem. Po prostu chciałbym, żeby wszystkiego nie spieprzyły.

– Naprawdę?

– Na milion procent.

Młody, poważny reporter, na którego patrzę, nie jest tą samą osobą, którą staje się w telewizji. Nie wiem, dlaczego myślałem, że nią będzie.

Zamawiam jeszcze dwa szoty. Josh wypija swój i z hukiem odstawia kieliszek na bar.

– Parę dni temu przekazałem informacje, które uzyskałem z pewnego źródła. Następnego dnia zadzwoniła do mnie i powiedziała, że mam o tym więcej nie wspominać. Formalnie rzecz biorąc, policjant może zostać zwolniony za rozmawianie z dziennikarzami. A ona postanowiła egzekwować te przepisy. – Josh unosi ręce, jakby to była jakaś obelga. – Mimo że rozmawiano ze mną. I że to ja współpracowałem z policją,

gdy dostawałem listy od Owena. Albo od kogoś, kto je wysyłał. Nie musiałem tego robić. Mogłem po prostu przeczytać je na antenie i niczego nie zgłaszać.

– Co to oznacza? – pytam. – Pana źródła niczego więcej nie powiedzą?

– O, nadal dużo mówią. Po prostu nie wolno mi przekazywać tych informacji na antenie. To znaczy pewnie mógłbym to zrobić, ale jestem miłym gościem. Nie chcę, żeby ktoś wyleciał z pracy, zwłaszcza ktoś, kogo potrzebuję. Przecież ta suka nie będzie tu wiecznie.

Zanim zdążę coś powiedzieć, wibruje jego telefon. Josh spogląda na ekran i przewraca oczami.

– Widzi pan, właśnie o tym mówię. Dostaję cynk od informatora, już drugi raz, ale nie mogę tego wykorzystać. Zastrzega, że to informacja poufna. – Głośno wzdycha. – Najgorsze słowa na świecie.

– No to kicha.

– Co pan nie powie.

Czekam. Wpatruję się w telewizor, nie mówiąc ani słowa i mając nadzieję, że wygląda to tak, jakby ten temat w ogóle mnie nie obchodził. Bo im mniej mnie to obchodzi, tym większe są szanse, że Josh coś mi powie.

Potrzeba mu jeszcze jednego szota.

– Okej, muszę komuś powiedzieć – bełkocze. – Ale jeśli komuś pan to powtórzy, zaprzeczę, że to wyszło ode mnie. Przynajmniej dopóki tego nie upublicznią.

– Myśli pan, że to zrobią?

– Nie mają innego wyjścia.

Josh podsuwa mi telefon. Wiadomość jest na ekranie. Przysłał ją ktoś podpisujący się „J”. Cała ta sytuacja przypomina mi trochę bycie Tobiasem.

Dopóki nie zacznym czytać wiadomości.

*Informacja poufna:*

*Pod kościołem są pochowane zwłoki.*

## 59

Myślałem, że wiadomość będzie dotyczyła rzekomego napisu na ścianie. Zamiast tego dowiaduję się o zakopanych zwłokach.

– No i co z tego? – mówię.

– No i co z tego? – dziwi się Josh.

– Ten kościół ma ponad sto lat. Pewnie jest pod nim cały cmentarz.

– Bez wątpienia. Ale jemu chodzi o coś innego. – Josh przysuwa się do mnie i lekko ścisza głos. Woń stwierdzam wypitego przez niego alkoholu uderza mnie w twarz. – Był pan tam?

Prawie potwierdzam, lecz potem sobie przypominam, że nie mam świra na punkcie prawdziwych zbrodni.

– Nie.

– Rozstawili tam taki wielki namiot, ale ukryli go za drzewami. To tam zanoszą ciała.

– Ciągłe pan to powtarza. Jakie ciała?

– Ciała w piwnicy nie pochodzą sprzed stu lat – mówi. – To kobiety, które zabito niedawno.

– Nie.

– Tak. A ja nie mogę o tym powiedzieć na antenie.

Josh gładzi dalej, znowu narzekając na Claire i swoje źródła. Już go nie słucham.

Naomi i Lindsay znaleziono, więc zostają Holly i Robin. Holly zakopałem w lesie na środku pustkowia.

Robin zginęła w naszej kuchni. Jej samochód i ciało spoczywają na dnie pobliskiego jeziora.

Przerywam Joshowi.

– Wie pan, kiedy upublicznią tę informację?

– Niedługo. Jestem tego pewny. Nie mogą wiecznie ukrywać tych zwłok.

Mówi dalej, lecz ja myślę tylko o Claire Wellington. Będzie potrzebowała jedynie krótkiej chwili, by się zjawić pod naszymi drzwiami i spytać o Holly, siostrę Millicent.

I o to, dlaczego nigdy nie zgłoszono jej zaginięcia.

„Bo myśleliśmy, że po prostu się wyprowadziła”.

„Bo nas to nie obchodziło”.

„Bo w przeszłości dręczyła moją żonę”.

„Bo była stuknięta”.

Piszę do Millicent.

*Potrzebujemy wieczornej randki.*

Odmawia.

*Żadnych randek. Jestem w szpitalu.*

Czytam to trzy razy, a potem rzucam pieniądze na stół i wychodzę z First Street Bar & Grill, nie mówiąc do Josha ani słowa więcej. A może mówię, że muszę już iść. Nie jestem pewny.

Millicent dzwoni do mnie, gdy ja próbuję się dodzwonić do niej. Mówi szybko, a ja jestem trochę pijany, więc wyłapuję tylko to, co najważniejsze.

Rory. Pogotowie. Wypadł z okna.

Nie zawracam sobie głowy samochodem, bo jestem wystarczająco blisko, żeby dobiec do szpitala. Stoi tylko trzy przecznice dalej, a kiedy docieram na miejsce, Millicent niespokojnie krąży po korytarzu.

Gdy tylko spoglądam na jej twarz, mogę odetchnąć z ulgą.

Z Rorym wszystko w porządku. A przynajmniej będzie.

Millicent zaciska pięści i usta. Wygląda, jakby przeszywał ją prąd. Gdyby Rory'emu naprawdę coś się stało, byłaby zmartwiona, płakałaby albo była w szoku. Ale nie jest. Gotuje się ze złości.

Łapie mnie i przytula. Robi to szybko i brutalnie, a potem odsuwa się, by powąchać mój oddech.

– Piwo – wyjaśniam. – Co się stało?

– Nasz syn wymknął się z domu na spotkanie z dziewczyną. Spadł, wspinając się do jej okna.

– Ale nic mu się nie stało?

– Nie. Myśleliśmy, że złamał sobie nadgarstek, to jednak tylko zwichnięcie. Będzie musiał nosić rękę na temblaku...

– Dlaczego nie zadzwoniłaś od razu? – pytam.

– Wysłałam do ciebie wiadomość.

Wyjmuję telefon. Rzeczywiście, na popękany ekranie czeka esemes. Pod pewnym kątem jest słabo widoczny.

– Boże, przepraszam...

– Nie ma o czym mówić. Już jesteś. Najważniejsze, że nic mu się nie stało. – Złość Millicent powraca, o ile w ogóle na chwilę minęła. – Ale on dostanie szlaban na sto lat.

Ktoś się śmieje.

Za rogiem w poczekalni siedzi Jenna. Macha do mnie. Odmachuję. Millicent prowadzi mnie do automatu z kawą. Kawa jest gorzka i parzy w język, lecz to dokładnie to, czego mi trzeba. Uspokaja mnie, zamiast pobudzać, bo po niedawnym sprincie, wypitym alkoholu i wiadomości o tym, że mój syn trafił do szpitala, serce bije mi bardzo szybko.

Millicent znika w pokoju zabiegowym, by być przy naszym dziecku. Gdy wychodzą, Rory ma szynę na ręce i temblak na ramieniu. Millicent przeszła złość, przynajmniej na razie.

Rory unika mojego spojrzenia. Może wciąż się na mnie gniewa, a może wie, że wpakował się w kłopoty. Trudno powiedzieć, bo aktualnie jestem rozdarty między chęcią dania mu w łeb i uściskania go. Mierzwię mu włosy.

– Jeśli nie chcesz grać w golfa, wystarczyło po prostu powiedzieć – mówię.

Nie uśmiecha się. Uwielbia grać w golfa.

Do domu docieramy po północy. Zaglądam do Rory'ego kilka minut po tym, jak idzie spać. Nawet on natychmiast zasypia.

Wyczerpany, siadam na łóżku.

Mój samochód wciąż stoi przed First Street Bar & Grill.

A pod kościołem leżą pochowane zwłoki.

– Millicent – odzywam się.

Wychodzi z łazienki, jest już prawie gotowa do snu.

– Co?

– Dziś wieczorem piłem piwo z Joshem. Tym reporterem.

– Po co miałbyś...

– Powiedział mi, że w piwnicy tego kościoła są pochowane zwłoki.

– Zwłoki?

Kiwam głową, obserwując ją. Jej zaskoczenie wydaje się szczere.

– Powiedział czyje? – pyta.

– Zakładam, że Holly i Robin.

– Obie są daleko od tego kościoła. Przecież wiesz. – Odwraca się i znowu wchodzi do łazienki.

Idę za nią.

– Naprawdę nic nie wiesz o tych zwłokach?

– Oczywiście, że nie.

– Po prostu w piwnicy kościoła jest sterta przypadkowych zwłok.

– Jezu, nie mam pojęcia. To ten sam reporter, który twierdził, że na ścianie jest jakaś wiadomość. I co się z nią stało?

Ma rację.

Może Josh się pomylił. Albo może ktoś podsuwa mu kłamstwa, żeby trzymać go z dala od prawdy.

Policjanci w filmach ciągle tak robią. A Claire może być równie sprytna jak oni.



## 60

Skoro Millicent już wie, że Rory ma dziewczynę i wymykał się z domu, by się z nią widywać, moja żona chce się spotkać z rodzicami Faith, żeby omówić sytuację. Hammondowie są jej klientami i ochoczo przystają na wspólną kolację. Ani Rory, ani Faith nie są na nią zaproszeni.

Jesteśmy w drodze do restauracji, tradycyjnego lokalu z białymi obrusami i menu pełnym wysokokalorycznych potraw. To ich wybór, nie Millicent.

– To rozsądni ludzie – mówi moja żona.

– Na pewno – odpowiadam.

Gdy docieramy na miejsce, Hammondowie już czekają przy stoliku. Hank Hammond, podobnie jak jego córka, jest niski i ma jasne włosy. Corinne Hammond nie jest aż taka niska, a jej blond nie jest naturalny. Obydwoje noszą się klasycznie i uprzejmie się uśmiechają. Od razu przechodzimy do zamawiania jedzenia. Nikt nie decyduje się na wino.

Głos Hanka byłby dobry dla mężczyzny o dwukrotnie potężniejszej posturze.

– Faith to grzeczna dziewczyna. Nigdy nie wymykała się z domu, dopóki nie poznała waszego syna – mówi.

Prawie widzę, jak piłka wpada na naszą połowę kortu. Millicent się uśmiecha, uprzejmie i słodko.

– Mogłabym powiedzieć to samo o naszym synu, ale wzajemne obwinianie się do niczego nas nie doprowadzi.

– Nie mówię o obwinianiu. Mówię o tym, żeby ich od siebie odseparować.

– Chcecie zabronić Faith spotykać się z Rorym?

– Faith już ma zakaz spotykania się z waszym synem poza szkołą – mówi Hank. – Bo przypuszczam, że w szkole nie da się tego uniknąć.

– Moglibyście kształcić ją w domu – odpowiada Millicent. – Wtedy w ogóle by się nie widywali.

Kładę dłoń na ramieniu żony. Strąca ją.

– Może to wasz syn potrzebuje kształcenia w domu – mówi Hank.

Corinne potakuje.

– Naprawdę myślicie, że zakazanie im spotkań sprawi, że... przestaną się spotykać? – pyta Millicent.

– Nasza córka zrobi to, co jej każemy – oznajmia Hank.

Czuję, jak Millicent gryzie się w język, bo sam też to robię.

Corinne próbuje rozładować napięcie. Jej głos brzmi mocniej, niż się spodziewałem.

– Tak będzie najlepiej – mówi.

Millicent spogląda na nią i po chwili oznajmia:

– Nie mam w zwyczaju zakazywać czegokolwiek moim dzieciom.

Kłamstwo.

– Chyba pod tym względem się różnimy – mówi Hank.

– Może powinniśmy wrócić do bieżącej sprawy – wtrącam się. – Nie musimy się zagłębiać w swoją filozofię rodzicielstwa.

– Dobrze – mówi Hank. – Macie trzymać swojego syna z dala od mojej córki, koniec tematu.

Kelner przynosi rachunek i Millicent sięga po niego, ubiegając Hanka. Podaje mi go i mówi.

– My go uregulujemy.

Kolacja kończy się oschłym pożegnaniem.

Millicent milczy całą drogę powrotną.

Gdy wchodzimy do domu, Rory czeka przy drzwiach. Ma skręcony nadgarstek, nie może grać w golfa, a do tego dostał szlaban. Ma tylko Faith, albo raczej wydaje mu się, że ją ma. Nie spieszy mi się, żeby mu powiedzieć, że ją także stracił.

Tylko że wcale mu o tym nie mówimy. Millicent podchodzi do Rory'ego i przykłada dłoń do jego policzka.

– Wszystko w porządku – mówi.

– W porządku? Naprawdę?

– Po prostu nigdy więcej nie wymykaj się z domu.

– Obiecuję.

Rory odchodzi, by zadzwonić do Faith, która usłyszy od rodziców inną wiadomość.

Millicent puszcza do mnie oko.

Zastanawiam się, czy właśnie w taki sposób niektóre dziewczyny uczą się przebiegłości. Od cudzych matek.

Następnego dnia dzwonią do nas ze szkoły. Nie chodzi o Rory'ego, lecz o Jennę. I tym razem nie ma to związku z bronią ani z żołądkiem. Tym razem chodzi o oceny.

Jenna zawsze była wzorową uczennicą, ale od miesiąca dostaje gorsze stopnie. Dziś nie oddała wypracowania. Nie potrafi się nawet usprawiedliwić.

Millicent i ja nie mieliśmy o tym pojęcia. Jenna uczyła się tak dobrze, że nawet nie zaglądałem do cotygodniowych raportów zamieszczanych w internecie. Po lawinie wiadomości i telefonów postanawiamy porozmawiać z córką po kolacji.

Na początek Millicent informuje ją, że dzwoniли do nas ze szkoły, a potem prosi, by Jenna powiedziała nam, co się dzieje.

Nasza córka nie potrafi tego wytłumaczyć. Tylko wzdycha, chrząka i kręci głową.

– Nie rozumiem – mówi Millicent. – Zawsze byłaś doskonałą uczennicą.

– No i po co? – pyta Jenna. Wstaje z łóżka i zaczyna chodzić po pokoju. – Jaki to ma sens, skoro ktoś może mnie po prostu zamknąć w piwnicy i torturować?

– Nikt ci tego nie zrobi – mówię.

– Założę się, że te martwe kobiety też tak myślały.

Kolejny cios w brzuch. Mam wrażenie, że tym razem zadała go szpikulcem do lodu.

Millicent bierze głęboki wdech.

Odkąd Jenna poznała Claire, wydawało się, że jej stan się poprawił. Bez przerwy mówiła o tym, że chce zostać detektywem. Wszystko się skończyło, gdy dowiedzieliśmy się o kościele.

Tkwimy w martwym punkcie, próbując wyperswadować jej strach za pomocą racjonalnych argumentów. Bez większego powodzenia. Dostajemy jedynie obietnicę, że nie będzie więcej olewała lekcji.

Wychodząc z pokoju Jenny, zauważam na jej łóżku otwarty zeszyt. Szuka informacji o tym, ile kobiet uprowadzono i zamordowano w poszczególnych latach.

Millicent sięga po telefon i próbuje znaleźć innego terapeutę.

To już trzeci dzień bez nowych informacji w sprawie kościoła. Claire codziennie wieczorem zwołuje konferencję prasową, by powtarzać to, co już wiemy.

Czwarty dzień zaczyna się od szczekania psa. W okolicy jest ich kilka, więc trudno powiedzieć, który z nich budzi mnie o piątej rano, ale nie przestaje szczekać.

Siadam na łóżku, zastanawiając się, dlaczego nigdy dotąd nie zwróciłem na to uwagi.

Pies.

Pies wystarczająco duży, by Jenna mogła poczuć się bezpieczna, i wystarczająco obronny, by zaczął szczekać, gdy ktoś znajdzie się w pobliżu domu. Na przykład Rory próbujący wymknąć się w nocy.

Nie pojmuję, jak mogłem nie wpaść na to wcześniej. Pies rozwiązałby wiele naszych problemów.

Dla odmiany wstaję wcześniej niż Millicent. Gdy moja żona schodzi po schodach w stroju do biegania, piję kawę i szukam psów w internecie. Na mój widok nieruchomieje.

– Czy chcę wiedzieć, dlaczego...

– Spójrz. – Wskazuję ekran. – Jest w schronisku. Mieszanka rottweilera z bokserem. Millicent wyjmuję kawę z mojej dłoni i upija łyk.

– Szukasz psa.

– Dla dzieci. Żeby chronił Jennę i pilnował, by Rory nie wymykał się z domu.

Spogląda na mnie i kiwa głową.

– To w zasadzie genialne.

– Miewam takie momenty.

– Będziesz się nim zajmował?

– Dzieci będą.

Uśmiecha się.

– Skoro tak twierdzisz.

Uznaję to za zgodę.

W przerwie między lekcjami zajeżdżam do schroniska. Oprowadza mnie po nim miła pani, a ja wyjaśniam, czego szukamy. Poleca mi dwa różne psy. Jeden z nich to mieszaniec rottweilera z bokserem. Wabi się Digger. Kobieta sprawdza w papierach i mówi, że będzie z niego dobry pies dla rodziny, ale zanim dostaniemy pozwolenie na adopcję, dzieci muszą przyjść do schroniska i go poznać. Obiecuję, że się zjawimy.

Dzięki temu psu nabieram trochę optymizmu.

Zatrzymuję się przy restauracji dla zmotoryzowanych, by kupić mrożoną kawę i panini. Gdy czekam przy okienku na odbiór lanczu, w środku zauważam telewizor. Claire Wellington zwołała kolejną konferencję prasową. Na widok słów u dołu ekranu zamiera mi serce.

### KOLEJNE CIAŁA ODKRYTE W KOŚCIELE

Gdy kasjer otwiera okienko, by podać mi jedzenie, słyszę głos pani detektyw.

– *...znaleziono ciała trzech młodych kobiet zakopane w piwnicy.*

Reszty konferencji prasowej wysłuchuję przez radio, siedząc w zaparkowanym samochodzie.

Trzy kobiety. Wszystkie zamordowane niedawno.

Policja na pewno myli się co do czasu zgonów. To niemożliwe, by ktoś zakopał tam zwłoki, gdy Lindsay...

– *Co najmniej dwie z tych trzech kobiet zginęły wystarczająco niedawno, by śledczy mogli określić, w jaki sposób je zamordowano. Podobnie jak reszta, zostały uduszone. Nosiły także ślady tortur.*

Nie mogę złapać tchu, bo Claire wciąż mówi.

– *Znaleźliśmy też słowa napisane na ścianie za półką. Wprawdzie nie mamy jeszcze wyników badań DNA, ale grupa krwi odpowiada grupie krwi Naomi.*

Gdy Claire wypowiada słowa widniejące na ścianie, moje serce przestaje bić.

*Tobias.*

*Głuchy.*

# 61

Naomi nie mogła napisać imienia Tobiasa. Nigdy go nie poznała.

Obracam tę myśl w głowie, próbując zrozumieć, co się stało. Lindsay знаła Tobiasa. Wiedziała, że jest głuchy.

Ale jej zwłoki znaleziono przed zniknięciem Naomi. Kobiety nie mogły ze sobą rozmawiać, nie mogły się wymieniać takimi informacjami.

Tylko Millicent o tym wiedziała.

To bez sensu. To wszystko jest bez sensu.

Konferencję prasową komentują spikerzy. Bez końca powtarzają słowa napisane na ścianie.

*Tobias.*

*Głuchy.*

Naomi nie wiedziała o Tobiasie.

Lindsay tak.

I Millicent.

Zjeżdżam na pobocze. Mam taki mętlik w głowie, że nie potrafię jednocześnie prowadzić i myśleć.

*Tobias.*

*Głuchy.*

Wyłączam radio i zamykam oczy. Widzę tylko Naomi w piwnicy kościoła, przykutą do ściany. Próbuję wyrzucić ten obraz z głowy, by myśleć trzeźwo. Wciąż jednak ją widzę, skuloną w kącie, brudną i zakrwawioną.

Niedobrze mi. Żółć podchodzi mi do gardła, czuję jej smak. Wsiadam z samochodu i wtedy dzwoni telefon.

Millicent.

Gdy odbieram, od razu zaczyna mówić.

– Złapałeś gumę? – pyta.

– Słucham?

– Siedzisz na poboczu.

Podnoszę głowę, jakby wisiał nade mną dron z kamerą, ale niebo jest czyste. Nie widać nawet ptaka.

– Skąd wiesz, gdzie jestem?

Wzdycha. To głębokie, pełne poirytowania westchnienie. Nie znoszę, gdy tak robi.

– Zajrzyj pod samochód – mówi.

– Co?

– Pod. Samochód.

Kłękam i zaglądam. Nadajnik. Taki sam jak ten, który przyczepiłem do jej samochodu.

To dlatego nie miałem pojęcia o kościele.

Wiedziała, że ją obserwuję.

Świadomość, co się dzieje, eksploduje w mojej głowie niczym bomba.

Tylko jedna osoba mogła napisać tę wiadomość na ścianie, używając krwi Naomi. Wiedziałem o tym już w chwili, gdy to usłyszałem – po prostu szukałem innego wytłumaczenia.

Nie ma innego wytłumaczenia.

– Wrobiłaś mnie – mówię. – Wrobiłaś mnie w je wszystkie. Lindsay, Naomi...

– I trzy pozostałe. Nie zapominaj o nich.

Mój umysł zalewają obrazy, na których Millicent samotnie zabija kobiety i wrabia mnie w morderstwa.

Już wiem, co robiła, gdy ja siedziałem z Jenną przez te wszystkie dni i noce, kiedy nasza córka źle się czuła.

Przyszłość rozwija się przede mną jak jakiś cholerny czerwony dywan.

Zamykam oczy, odchylam głowę i myślę o tych wszystkich sposobach, w jakie Millicent może mnie wrobić. O wszystkich śladach DNA, do których ma dostęp. O wszystkim, co mogła podrzucić, podsunąć policji. Nie wspominając o ludziach, którzy znali mnie jako głuchego Tobiasa.

Annabelle. Petra. Nawet barmani.

Na pewno mnie pamiętają.

Wszystkie ślady doprowadzą do mnie.

Mój umysł broni się przed tą myślą. Krążę, szukając jakiegoś rozwiązania, podążając za nim aż do końca i uświadamiając sobie, że będzie nieskuteczne. Wszystkie ścieżki są zablokowane, Millicent przygotowała się na każdy scenariusz. Czuję się jak w olbrzymim labiryncie bez wyjścia. Bo przecież nie jestem mistrzem planowania, nie takim jak moja żona.

Chodzę w tę i z powrotem obok samochodu. Mam wrażenie, że moją głowę raz po raz przeszywa prąd.

– Millicent, dlaczego to zrobiłaś?

Śmieje się. To brzmi jak warknięcie.

– Otwórz bagażnik.

– Co?

– Bagażnik – mówi. – Otwórz go.

Waham się, wyobrażając sobie, co zobaczę w środku. Zastanawiam się, czy może być jeszcze gorzej.

– Zrób to – rozkazuje.

Otwieram bagażnik.

W środku jest tylko mój sprzęt do tenisa. Wszystkie rakiety na swoim miejscu.

– O co ci...

– Koło zapasowe – podpowiada.

Mój telefon, ten na kartę, w którym były wiadomości od Lindsay i Annabelle. Sięgam do środka, ale go nie wyczuwam. Moja dłoń natrafia za to na coś innego.

Pixy Stix.

Lindsay.

Pierwsza, z którą się przespałem.

To się stało po drugiej wędrówce.

„Jesteś słodki”. Tak powiedziała.

„Nie, to ty jesteś słodka”.

Głos Millicent przywołuje mnie z powrotem do rzeczywistości.

– Wiesz, to zadziwiające, co ludzie są skłonni powiedzieć, gdy przez rok siedzą w zamknięciu.

– O czym ty...

– Lindsay zobaczyła cię tej nocy, kiedy ją uprowadziliśmy. Ocknęła się, zanim wyszedłeś. Była bardzo zaskoczona, że jednak nie jesteś głuchy.

Uderza we mnie fala mdłości. Z powodu tego, co zrobiłem. Z powodu tego, co zrobiła moja żona.

– Zabawne – ciągnie. – Lindsay myślała, że torturuję ją dlatego, że się z tobą przespała. Próbowałam jej wyjaśnić, że nie o to chodzi, w każdym razie nie o to chodziło na początku, ale chyba mi nie uwierzyła.

– Millicent, coś ty zrobiła?

– Ja nic – odpowiada. – To ty. Ty to wszystko zrobiłeś.

– Nie wiem, co się twoim zdaniem stało...

– Nie traktuj mnie z góry i nie zaprzeczaj.

Gryzę się w język, aż czuję smak krwi.

– Od jak dawna to planowałaś?

– Czy to ważne?



Nie. Już nie.

– Mogę to wyjaśnić? – pytam.

– Nie.

– Millicent...

– Co? Jest ci przykro, to się po prostu stało, ale nie miało żadnego znaczenia?

Znów gryzę się w język. Dosłownie.

– Więc co zamierzasz zrobić? – pyta. – Uciekniesz i gdzieś się schowasz czy zostaniesz i będziesz walczył?

Ani jedno, ani drugie. Jedno i drugie.

– Proszę, nie rób tego.

– Widzisz, właśnie na tym polega twój problem.

– Co?

– Zawsze skupiasz się na niewłaściwych sprawach.

Zaczynam pytać, co w tym takiego niewłaściwego, ale się powstrzymuję.  
Potwierdziłbym tylko jej rację.

Śmieje się.

Połączenie zostaje przerwane.

## 62

Powinno mnie zemdlić. Powinienem z wymiotować całą zawartość żołądka, bo gdy kobieta, która od piętnastu lat jest twoją żoną, wrabia cię w zamordowanie kilku osób, powinno ci się zrobić niedobrze. Zamiast tego czuję się tak, jakby całe moje ciało ostrzyknięto nowokainą.

To całkiem nieźle, bo mogę myśleć, zamiast czuć.

Uciec i się schować. Zostać i walczyć.

Żadna z tych możliwości nie wydaje się kusząca. Podobnie jak więzienie, kara śmierci, uśmiercający zastrzyk.

Uciekać.

Najpierw zaopatrzenie. Samochód, pół baku paliwa, panini, już nie do końca zimna kawa mrożona i jakieś dwie stówy w gotówce. Nie mogę używać kart kredytowych, bo Millicent na pewno będzie mnie obserwować.

Zastanawiam się, czy jest czas, by wypłacić gotówkę w banku.

Poza tym moje możliwości znacznie się zawężają. Nie mogę długo korzystać z auta, chyba że pozbyłbym się tablic rejestracyjnych. Oprócz tego musiałbym zdecydować, dokąd jechać. Kanada jest za daleko. Zanimbym tam dotarł, moje zdjęcie pokazywaliby we wszystkich wiadomościach.

Jedyną opcją jest Meksyk, ale nawet od niego dzieli mnie spory kawałek. Wszystko zależy od tego, jak szybko rozwinie się sytuacja. Niewykluczone, że moje nazwisko i zdjęcie zostaną upublicznione w ciągu kilku godzin.

Mógłbym polecieć za granicę, ale z całą pewnością potrzebowałbym do tego paszportu. Wiedzieliby, gdzie wylądowałem. Nigdy nie przygotowywałem się do takiej ucieczki.

Millicent o tym wie.

Ucieczka skończy się tym, że mnie złapią.

Poza tym oznacza zostawienie dzieci. Z Millicent.

Teraz robi mi się niedobrze. Na poboczu, za samochodem, opróżniam żołądek. Wymiotuję, dopóki nic w nim nie zostaje.

Uciec i się schować. Zostać i walczyć.

Zaczynam rozważać trzecią możliwość. A gdybym po prostu poszedł na komisariat i opowiedział o wszystkim policji?

Nie. Aresztowaliby Millicent, ale mnie też. Twierdzenie, że jestem niewinny, nie wchodzi w rachubę, bo to nieprawda.

Musi być jednak jakiś sposób. Sposób, by obciążyć ją, a nie siebie, bo przecież ja nigdy nikogo nie zabiłem. Odpowiedni adwokat, odpowiedni prokurator, odpowiedni dowód mógłby doprowadzić do ugody. Tylko że nie mam takiego dowodu. W przeciwieństwie do Millicent nie wrabiam współmałżonka w morderstwo.

„Zawsze skupiasz się na niewłaściwych sprawach”.

Może ma rację, może powody nie mają znaczenia. Ale będą miały. Będą mnie prześladowały, będę o nich rozmyślał nocami, leżąc w łóżku. O ile będę leżał w łóżku. Może raczej na więziennej pryczy. Millicent ma rację w kwestii powodów. Nie powinienem o nich myśleć.

Uciec i się schować. Zostać i walczyć.

Możliwości powtarzają się w kółko jak te słowa napisane na ścianie piwnicy. Millicent wymieniła te opcje, jakby żadne inne nie istniały. Jakbym mógł wybrać albo jedną, albo drugą.

Myli się. To nie są dobre możliwości.

Po pierwsze, zostanę. Nie opuszczę dzieci.

A skoro zostanę, będę musiał się ukryć. Przynajmniej dopóki nie wymyślę sposobu, by przekonać policję o winie Millicent.

To oznacza, że muszę walczyć.

Zostać, schować się, walczyć. Pierwsze jest łatwe. Nie uciekać.

Policja. Mógłbym pójść na policję i o wszystkim opowiedzieć, opowiedzieć o...

Nie. Nie mogę tego zrobić. Mam krew na rękach i nawet żółtodziób się tego domyśli. A skoro nie mogę iść na policję, będę musiał jej unikać.

Pieniądze. Mam w portfelu dwieście dolarów, taka kwota jednak nie starczy mi na długo. Ruszam prosto do banku i wypłacam tyle gotówki, ile się da, by nie zwracać na siebie uwagi. Millicent się o tym dowie, bo wciąż mam nadajnik przyczepiony do samochodu.

Millicent. Od jak dawna wiedziała? Od jak dawna mnie śledzi? Kiedy zaczęła to planować? Niezliczone pytania bez odpowiedzi.

Po wszystkim, co przeszliśmy, po wszystkim, co razem robiliśmy, nie mogę pojąć, że ze mną nie porozmawiała, nie spytała, nie dała mi kredytu zaufania. Zamiast tego zostałem bez szans, bez możliwości wytłumaczenia się.

To chyba trochę nienormalne.

Łamie mi serce.

Nie mam jednak czasu myśleć ani o jednym, ani o drugim. W niespełną godzinę moje życie zostało zredukowane do najbardziej podstawowego poziomu: do przetrwania.

Na razie nie jestem w tym zbyt dobry. Millicent wie, gdzie się znajduję, a ja nie mam pojęcia, co robić.

Dom. Wciąż pozostaje miejscem, do którego wracam.

Zabieram, co się da: ubrania, przybory toaletowe, laptopa. Ten, którego używaliśmy do szukania kobiet w internecie, zniknął, prawdopodobnie został zniszczony, ale znajduję tablet Millicent i jego też zabieram. Oraz zdjęcia. Zdejmuję parę zdjęć dzieci prosto ze ścian. Poza tym wysyłam do nich wiadomość.

*Nie wierzcie we wszystko, co słyszycie. Kocham was.*

Zanim odjadę, wyłączam nadajnik GPS, ale zabieram go ze sobą. Przez jakiś czas będzie się zastanawiała, czy po prostu nie siedzę w domu. Może. Zakładając, że w ogóle znam swoją żonę.

Cofam na podjeździe i jadę ulicą, nie mając pojęcia, co robić.

Pusty budynek, przydrożny motel, parking? Mokradła, las, szlaki do pieszych wędrówek? Nie mam pojęcia, ale przebywanie na nieznanym terenie nie wydaje się mądre. Potrzebuję spokoju, miejsca, w którym będę mógł pomyśleć. W którym przez kilka godzin nikt nie będzie mnie niepokoił.

Zupełny brak możliwości i oryginalności pcha mnie w stronę country clubu.

Jako pracownik mam klucz do biura, z którego nigdy nie korzystam, a także do pomieszczeń ze sprzętem i do kortów. Zatrzymuję się na chwilę obok sklepu, by kupić dużą torbę jedzenia, głównie śmieciowego, i staram się nie rzucać w oczy, dopóki nie minie dziewiąta. Wtedy na kortach tenisowych gasną światła i ochrona zamyka teren na noc.

Właśnie tam jadę. W klubie kamery są wewnątrz budynku. Na kortach nie ma ani jednej.

Na kortach tenisowych wszystko wygląda znajomo. Dorastałem na nich. To tu nauczyłem się grać w tenisa, ale robiłem tutaj także inne rzeczy. Trener kazał mi biegać wokół tych kortów niezliczoną ilość razy, bym nabrał kondycji. Zdobywałem na nich trofea i dostawałem po dupie, czasami tego samego dnia.

Tu był mój azyl, tu przychodziłem, by ukryć się przed przyjaciółmi, szkołą, a przede wszystkim przed rodzicami. Początkowo chciałem się przekonać, czy zaczną mnie szukać. Nigdy nie zaczęli, więc traktowałem korty jak swoją kryjówkę. Nawet całowałem się tutaj pierwszy raz.

Lily. Była ode mnie o rok starsza i o wiele bardziej doświadczona, albo tak mi się wtedy wydawało. W wieczór Halloween, jakieś milion lat temu, przebrałem się z kumplami za piratów. Ona i jej koleżanki przebrały się za lalunie. Wpadliśmy na siebie gdzieś w Oaks, gdy chodziliśmy po domach, żądając cukierków, i Lily powiedziała, że jestem całkiem milutki. Założyłem, że to oznacza, że mnie kocha, i chyba naprawdę tak było.

Od słowa do słowa, wkrótce spytałem, czy ma ochotę pójść w jakieś fajne miejsce. Zgodziła się.

Chyba trochę przesadziłem, mówiąc „fajne”, ale gdy miałem trzynaście lat, myślałem, że fajnie jest przebywać poza domem – na dodatek w nocy i z dziewczyną. Lily chyba też się to podobało, bo mnie pocałowała. Smakowała jak czekolada i lukrecja, a ja byłem tym zachwycony.

Przez chwilę jestem tak pochłonięty tym wspomnieniem, że wszystko wydaje się w porządku. Ale nie jest. Znalazłem się na tym korcie tenisowym dlatego, że szuka mnie policja i nie mogę wrócić do domu.

Na myśl o Lily uświadamiam sobie jednak, że mam dokąd pójść.

Budzik w telefonie dzwoni o piątej. Zrywam się, zbieram rzeczy i wsiadam do samochodu. Próba zaśnięcia na ławce obok kortu zapewniła mi dużo czasu na ułożenie planu. Internet w telefonie pomógł go udoskonalić. Okazuje się, że istnieją dziesiątki stron z poradami, jak się ulotnić, jak zniknąć z sieci, jak omijać policję, szefa albo rozgniewaną żonę. Każdy chce od czegoś uciec.

Wyjeżdżam z miasta drogą międzystanową i nie zatrzymuję się co najmniej przez godzinę. W końcu zjeżdżam na stację benzynową, włączam nadajnik GPS i przyczepiam go do podwozia jakiejś półciężarówki. Wyjmuję baterię z telefonu, zachodzę do niewielkiego sklepu i kupuję tani telefon na kartę.

Potem wracam do Hidden Oaks.

Internet nie zaleca takiego posunięcia, ale internet nie ma dzieci. Gdybym ich nie miał, jechałbym dalej, zmieniałbym tablice rejestracyjne albo w ogóle się ich pozbył. Wsiadałbym w kolejne greyhoundy, aż w końcu dotarłbym do Meksyku.

To nie wchodzi w grę. Nie, gdy Jenna i Rory wciąż są z moją żoną.

W połowie drogi powrotnej zatrzymuję się i napełniam bagażnik produktami spożywczymi. Sprawdzam gazety, szukając w nich swojej twarzy, ale nigdzie jej nie widać. Nagłówki to tylko te dwa słowa.

### GLUCHY TOBIAS

Jadąc ponownie w stronę domu, zastanawiam się, czy znowu nie robię czegoś głupiego.

W Oaks są dwie bramy. Frontowej pilnują strażnicy. By wjechać, trzeba ich minąć.

Ale Hidden Oaks jest dość duże, bo przecież obejmuje całe pole golfowe oraz setki domów. Dlatego jest jeszcze tylna brama. A raczej dwie. Jedna wymaga wprowadzenia kodu, druga użycia pilota, takiego jak do bramy garażowej; nie ma tam strażników. Właśnie tamtędy wjeżdżam.

Gdy już jestem w środku, mijam tańsze nieruchomości, te ze średniej półki, i wreszcie docieram do domu dwukrotnie większego niż mój. Ma sześć pokoi, co najmniej tyle łazienek i basen z tyłu. Stoi pusty, ponieważ Kekona wciąż jest na Hawajach.

To najgenialniejsza część mojego planu. Albo najgłupsza. Nie dowiem się, dopóki nie spróbuję dostać się do środka.

Tutaj mieszkała Lily. Tamtej halloweenowej nocy została moją pierwszą dziewczyną. Wiele razy wymykałem się z domu i szedłem do niej. Tak jak mój syn do swojej dziewczyny.

Minęło wiele lat, odkąd to robiłem, a dom przemaalowano, przebudowano i unowocześniono. Prawdopodobnie kilka razy zmieniano zamki. Ale tak to już jest, że zazwyczaj zmienia się je tylko w drzwiach frontowych i tylnych. Mogę się założyć, że z tyłu na pierwszym piętrze w drzwiach tarasowych tego nie zrobiono. A tamten zamek nigdy dobrze nie działał. Nie potrzeba było klucza, żeby otworzyć drzwi.

Wspinanie się w moim wieku nie jest takie łatwe, jak było kiedyś, ale nie obawiam się, że ktoś mnie zobaczy. Dom Kekony stoi w głębi Oaks, w drogiej okolicy, w której wszyscy mają więcej ziemi, niż potrzebują. Od frontu ledwie widać najbliższych sąsiadów, a co dopiero od tyłu.

Jakimś cudem udaje mi się nie spać i jeszcze przed podjęciem próby czuję, że się uda. Drzwi pomalowano, może nawet uszczelniono, ale zamek pozostał ten sam. Uśmiecham się pierwszy raz od dwudziestu czterech godzin.

Kilka minut później jestem już w środku, a po chwili wychodzę przez garaż. Kekona ma jeden samochód, SUV-a, dzięki czemu jest też miejsce na moje auto.

Wnoszę zakupy, biorę prysznic i zadamawiam się. Pierwszy raz czuję, że mogę mieć szansę. Nie jestem pewny na co, ale przynajmniej nie muszę już spać na korcie.

Gdy otwieram laptopa, pojawia się problem numer jeden: hasło do wi-fi.

Kekona usunęła z modemu naklejkę z kodem, więc mam kłopot. Mija stanowczo za dużo czasu, zanim znajduję ją na drzwiach lodówki.

Gdy już jestem online, próbuję się dostać do tabletu Millicent. Wymaga wprowadzenia czterocyfrowego PIN-u. Nie muszę próbować, by wiedzieć, że moja żona nie użyłaby daty urodzenia albo ślubu. Potrzebuję czegoś lepszego.

W wiadomościach ciągle mówią o konferencji prasowej, o Tobiasie i o trzech martwych kobietach w piwnicy.

Staram się zgadnąć, kim były, kogo wybrała Millicent. Kobiety z naszej listy? Kobiety, które odrzuciłem, na przykład Annabelle albo Petrę? Mam nadzieję, że to nie Annabelle. Nie zrobiła niczego, by zasłużyć na Millicent.

Nie, to nie miałoby sensu. Ktoś musiał przeżyć, by zidentyfikować głuchego Tobiasa. Nie mogła zabić wszystkich, którzy go widzieli.

Może Millicent wybierała obce osoby, kobiety, których nigdy nie widziałem ani z którymi nie rozmawiałem. A może byłoby to jak na nią zbyt przypadkowe.

Powtarzam sobie, że powinienem przestać. Moje myśli krążą bez sensu i do niczego nie prowadzą.

Cały czas pracuję nad tabletem, mając nadzieję, że znajdę w nim jakieś odpowiedzi. Słońce zachodzi, a ja wciąż nie mogę się do niego dostać.

Jest szósta, powinienem być w domu i jeść kolację. Dziś wypada wieczór filmowy, a mnie tam nie ma. Jeśli mój esemes nie uświadomił Rory'emu i Jennie, że coś jest nie tak, robi to moja nieobecność.

Budzę się przekonany, że jestem w domu. Nasłuchuję kroków Millicent na dole. Powinna już być po przebieżce i szykować śniadanie. Przez głowę przebiega mi rozkład dnia: pierwsza lekcja o dziewiątej. Przewracam się na drugi bok i z łoskotem spadam na podłogę.

Nie jestem w domu. Spałem na kanapie w salonie Kekony. Jej miękka zielona rogowka jest olbrzymia, ale i tak łąduję na ziemi. Rzeczywistość zderza się z drewnianą podłogą.

Telewizor gra dalej, parzy się jedna kawa, włącza się komputer. Poprzednia noc upłynęła mi na robieniu list: co wiem, czego nie wiem, czego muszę się dowiedzieć. Jak

zdobyć potrzebne informacje. Ostatnia jest dość krótka, bo nie jestem ani hakerem, ani detektywem. Wiem jednak, że mam dwie możliwości: udowodnić, że Millicent zabiła te kobiety, albo udowodnić, że ja tego nie zrobiłem. Najlepiej jedno i drugie.

W dniu zaginięcia Naomi wróciłem do domu i byłem z dziećmi, a Millicent została z nią sama. Podobnie było w wypadku Lindsay. Zostałem z Jenną, bo się rozchorowała. Dzieci są moim alibi, ale kiepskim. Niedługo potem zasnęły, więc nie mogą niczego potwierdzić.

Ale czy zdołam dowieść, że Millicent to zrobiła? Nie lepiej niż dam radę udowodnić, że tego nie zrobiłem.

Tablet Millicent to większy problem, niż myślałem. Choć można skorzystać z oprogramowania resetującego PIN, wymaga to zalogowania się do skrzynki e-mail. Wymaga też podania następnego hasła, którego nie mam i nawet się nie domyślam. W środku nocy uciekam się do czytania forów hakerskich, na których roi się od nastolatków szukających tych samych informacji co ja.

Być może istnieje inny sposób. Być może. Ale tylko jeśli zdołam kogoś przekonać, żeby mi pomógł.

Przez pół poranka zastanawiam się, czy lepiej poprosić teraz, gdy jeszcze nie pokazują mojej twarzy we wszystkich wiadomościach, czy dopiero gdy stanę się poszukiwany. Próbuję sobie wyobrazić, że ktoś taki przychodzi po pomoc do mnie – ktoś, kto może, ale nie musi być psychopata. Pomógłbym mu czy zatrzasnąłbym drzwi przed nosem i zadzwonił na policję?

Odpowiedź brzmi tak samo. To zależy.

Moje możliwości są ograniczone. Moi przyjaciele to także przyjaciele Millicent, są naszymi wspólnymi przyjaciółmi. Mam wielu klientów, ale większość z nich nie jest dla mnie nikim więcej. Tylko jedna osoba przychodzi mi do głowy – jedyny człowiek, który może chcieć i jednocześnie być w stanie mi pomóc.

Jeśli Andy się zgodzi.



## 64

The Golden Wok to chiński bufet oddalony od Hidden Oaks o pół godziny jazdy. Byłem tam raz, w drodze do innego miejsca, i wyglądał jak wszystkie inne chińskie bufety, które widziałem. Docieram tam przed czasem i napełniam talerz wołowiną po mongolsku, wieprzowiną w sosie słodko-kwaśnym, kurczakiem chow mein i smażonymi sajgonkami. W połowie posiłku do lokalu wchodzi Andy Preston i dołącza do mnie.

Wstaję i podaję mu rękę. Odsuwa ją na bok i wita się ze mną uściskiem.

Andy nie jest tym samym człowiekiem, którego znałem przed samobójstwem Tristy. Nie jest nawet tym samym człowiekiem, którego widziałem na jej pogrzebie. Zbędne kilogramy zniknęły. Teraz jest wręcz za chudy. Wygląda niezdrowo. Mówię, żeby wziął talerz.

To on wybrał ten chiński bufet. Po śmierci Tristy wyprowadził się z Hidden Oaks, a potem dowiedziałem się od Kekony, że rzucił pracę i całymi dniami siedzi w internecie, przekonując obcych ludzi, żeby nie popełniali samobójstwa. Wierzę, że tak jest.

Andy siada przy stoliku i uśmiecha się do mnie. Jego uśmiech wydaje się pusty.

– No więc co słyhać? – pytam. – Jak się czujesz?

– Nie jest wspaniale, ale mogło być gorzej. Zawsze może być gorzej.

Kiwam głową. Jestem pod wrażeniem, że po tym, co go spotkało, potrafi powiedzieć coś takiego.

– Masz rację, może.

– A u ciebie? Jak się miewa Millicent?

Odchrząkam.

– Oho! – mówi.

– Potrzebuję pomocy.

Kiwa głową. O nic nie pyta, bo nadal jest moim przyjacielem, nawet jeśli ja nie do końca byłem przyjacielem dla niego.

Przez cały ranek roztrząsałem, ile powinienem mu powiedzieć na temat swojej sytuacji. Po pierwsze: tablet. Wyjmuję go ze sportowej torby i przesuwam w stronę Andy'ego po laminowanym stoliku.

– Możesz mi pomóc się do niego dostać? Jest zabezpieczony PIN-em, a ja nie mam pojęcia jakim.

Andy spogląda na tablet, a potem na mnie. Jego oczy stają się trochę czujniejsze.

– Każdy ośmiolatek potrafiłby to zrobić.

– Nie mogę poprosić o to dzieci.

– Więc to tablet Millicent.

Potakuję.

– Ale to nie to, co myślisz.

– Nie?

– Nie. – Wskazuję jego talerz. – Dokończ jeść. Potem ci wszystko powiem.

Mówię „wszystko”, lecz wcale nie mam tego na myśli.

Po posiłku idziemy posiedzieć w jego furgonetce. To stary pickup, zupełnie niepodobny do sportowych samochodów, jakimi kiedyś jeździł.

– Co zrobiłeś? – pyta Andy.

– Dlaczego myślisz, że coś zrobiłem?

Patrzy na mnie z ukosa.

– Wyglądasz koszmarnie, masz nowy numer telefonu i chcesz się dostać do tabletu żony.

Choć bardzo bym chciał komuś wszystko powiedzieć, nie mogę tego zrobić. Bez względu na to, jak długo się znamy, przyjaźń ma pewne granice. Morderstwo wyznacza jedną z nich. Podobnie jak sekrety dotyczące żony przyjaciela.

– Zdradziłem Millicent – mówię.

Nie wydaje się zaskoczony.

– Domyślam się, że to kiepskie posunięcie.

– Mało powiedziane.

– Więc cię wyrzuciła i chce ze wszystkiego oskubać? Z domu, planu emerytalnego, forsy na studia dzieci?

Chciałbym, żeby tak było.

– Niezupełnie – mówię. – Millicent chce czegoś więcej.

– Nie mogę powiedzieć, żeby mnie to zdziwiło. – Na chwilę milknie i kręci głową. – Skoro już wszystko spieprzyłeś, mogę powiedzieć ci prawdę.

– Jaką prawdę?

– Nigdy nie lubiłem Millicent. Zawsze wydawała się trochę zimna.

Mam wielką ochotę się roześmiać, ale wydaje się to niestosowne.

– Wrabia mnie w coś, czego nie zrobiłem. W coś bardzo złego.

– Nielegalnego? – pyta.

– Bardzo nielegalnego.

Unosi rękę, jakby chciał mnie powstrzymać od powiedzenia czegoś więcej.

– Więc miałem rację. Jest zimna.

– Miałaś rację.

Milknie na kilka minut. Przesuwa ręką po kierownicy – to ruch, który wykonuje się bez zastanowienia, dlatego że człowiek jest zbyt zaabsorbowany myśleniem. Z trudem powstrzymuję się od otwarcia ust i pozwalam, by sam ocenił, jak bardzo mi odbiło.

– Jeśli chcesz tylko dostać się do tabletu, po co mówisz mi resztę? – pyta.

– Bo długo się znamy. Jestem ci winny prawdę.

– I?

– I dlatego, że prawdopodobnie niedługo zaczną o mnie mówić w wiadomościach.

– W wiadomościach? Co ona chce ci zrobić, do cholery?

– Jesteś pierwszą osobą, która mnie widzi od wczoraj – odpowiadam. – Proszę, nie mów nikomu.

Gapi się przez szybę na neonowy szyld Golden Wok.

– Nie chcę wiedzieć nic więcej, prawda?

Kręcę głową.

– W takim razie to prawdziwa przysługa – mówi. – Trzymać gębę na kłódkę.

– Tak jakby. Tak. Ale poza tym muszę się do niego dostać – mówię, wskazując tablet Millicent. Leży na desce rozdzielczej Andy'ego. – Pomożesz mi?

Znowu milknie.

Zgodzi się. Może jeszcze o tym nie wie, ale postanowił mi pomóc. W przeciwnym razie już by go nie było. A sądząc po jego wyglądzie, może tego potrzebować tak samo jak ja.

– Zawsze byłeś wrzodem na dupie – mówi. – I żeby to było jasne: twoje lekcje tenisa są zdecydowanie za drogie.

Uśmiecham się lekko.

– Przyjąłem do wiadomości. Za to ty oskarżyłeś mnie, że sypiam z twoją żoną. Jesteś mi coś winny.

Kiwa głową.

– Daj mi go.

Podaję mu tablet.

Najgorsze jest czekanie. To jakby wiedzieć, że wybuchnie bomba, ale nie mieć pojęcia, kiedy ani gdzie. Ani kto ją zdetonuje. Następny dzień spędzam w pokoju kinowym Kekony. Jest tam ekran na całą ścianę i sztucznie postarzone skórzane fotele z podnóżkami. Patrzą, jak Josh bez przerwy mówi o Tobiasie. Nawet pyta ekspertów, jak to jest być głuchym.

Muszę przyznać, że część tych informacji jest interesująca. Szkoda, że ich nie miałem, gdy mogły mi się przydać.

Muzyczka zapowiadająca najświeższe wiadomości wyrywa mnie z zadumy. Na widok zdjęcia na ekranie zamiera mi serce.

Annabelle.

Słodka Annabelle, parkingowa, której chłopaka zabił pijany kierowca.

Annabelle wciąż żyje.

I wciąż jest urocza, ma krótkie włosy i delikatne rysy twarzy, ale się nie uśmiecha. W ogóle nie wydaje się szczęśliwa, gdy Josh przedstawia ją jako „kobietę, która poznała głuchego mężczyznę o imieniu Tobias”.

Nie jestem zaskoczony, że to ona zgłosiła się pierwsza. Nie zdołała uratować swojego chłopaka, więc chce ocalić wszystkich pozostałych.

Annabelle opowiada naszą historię – taką wersję, jaką zna – zaczynając od chwili, w której o mało nie wystawiła mandatu za złe parkowanie samochodu rzekomo należącego do mnie. Wyjaśnia, jak wpadliśmy na siebie na ulicy i jak zaprosiłem ją na drinka. Wymienia nawet nazwę baru. Jeśli barman Eric jeszcze się nie zgłosił, na pewno wkrótce to zrobi.

Annabelle nie pomija żadnych szczegółów, nawet wysłanego do mnie esemesa. Teraz policja ma mój numer telefonu.

Zastanawiam się, czy Millicent odbierze, gdy zadzwonią.

Na koniec Annabelle dodaje, że spędziła rano z policyjnym rysownikiem. Zaraz po wywiadzie telewizja pokazuje portret pamięciowy.

Wyglądam na nim dokładnie tak jak ja i jednocześnie zupełnie nie jak ja.

Przypuszczam, że Millicent to ogląda i krytykuje efekt, uznając, że nos jest trochę za duży, a oczy chyba za małe. Powiedziałyby, że pominęli pieprzyk obok ucha albo że mam inny odcień skóry. Zauważyłaby wszystko, bo zawsze zauważa.

Nie minie dużo czasu, zanim mnie zidentyfikują. Pewnie już mnie szukają. Na przykład mój pracodawca. Millicent na pewno udaje, że odchodzi od zmysłów, że po prostu zniknąłem bez powodu.

Jenna i Rory – kto wie, co się dzieje w ich głowach.

Reszta dnia upływa mi w domu Kekony. Boję się wychodzić, gdy jest widno.

Wracam myślami do dnia, w którym ożeniłem się z Millicent w domu jej rodziców na środku pustkowia. Widzę ją w prostej sukience, z upiętymi włosami poprzątkanymi małąkimi kwiatkami, jakby była jakąś wróżką albo nimfą z innego świata. Właśnie taka była, wszystko, co się z nią wiązało, było niezwykłe. Przypuszczam, że wciąż jest.

Myszę także o tym, co powiedziała tamtego dnia, ponieważ jej słowa wydają się bardzo pasować do obecnej sytuacji.

„To się jeszcze okaże”.

Wiadomości zaczynają napływać szybciej, co nie jest żadnym zaskoczeniem. Opinia publiczna otrzymała dość informacji, by dostarczyć więcej.

Drugą osobą, która twierdzi, że zna Tobiasa, jest barman, ale nie Eric. Ten młody mężczyzna pracuje w miejscu, w którym poznałem Petrę. Josh, choć niezwykle podekscytowany wszystkimi doniesieniami, wydaje się nim raczej rozczarowany – barman nie pamięta, kiedy dokładnie poznał Tobiasa. Pamięta tak niewiele, że to wręcz żenujące, przynajmniej dla niego. Na domiar złego myli mu się drink. Tobias nigdy nie zamawiał wódki z tonikiem.

Czuję się niemal urażony. Zawsze sądziłem, że Tobias bardziej zapada w pamięć.

A może ten barman jest po prostu kretynem.

Gdy nie dzieje się nic nowego, wszystko powtarzają. W kółko oglądam wywiad z Annabelle. Puszczają najlepsze fragmenty, aż uczę się ich na pamięć. W przerwach na reklamy zastanawiam się, czy moje dzieci oglądają ten sam kanał.

Wiem, że Millicent go ogląda. Dosłownie widzę, jak siedzi na kanapie i patrzy na Annabelle na naszym dużym telewizorze. Wyobrażam sobie, jak się uśmiecha. Albo ze złością mruży oczy. Jedno i drugie.

W wieczornych wiadomościach pojawia się Eric, tyle że na innym kanale. Tego wywiadu nie przeprowadza Josh. Z Erikiem rozmawia kobieta w średnim wieku, jedna ze słynniejszych lokalnych osobowości. Wcześniej nie widziałem, żeby zajmowała się tą sprawą – ani gdy wrócił Owen, ani gdy się okazało, że nie żyje. Jej udział mnie niepokoi. Niebawem zacznie się poważny pościg – może już się zaczął – i wszyscy będą mnie szukali.

Eric pamięta więcej niż pierwszy barman, zaczynając od drinka: dżin z tonikiem. Opisuje mój garnitur, łącznie z rodzajem krawata, który wtedy miałem. Pamięta kolor moich oczu, opaleniznę, a nawet długość włosów.

Po każdej z tych rewelacji czuję ucisk w żołądku. Jakimś cudem udało mi się znaleźć jedynego w mieście barmana z fotograficzną pamięcią.

Już po kilku minutach inne kanały podchwytyją to, co powiedział Eric. Robi mi się niedobrze, gdy słyszę, jak Josh powtarza te wszystkie szczegóły dotyczące mojej osoby. Żałuję, że nie wiedziałem, jakim okropnym jest człowiekiem. Gdybym wiedział, nigdy nie słałbym do niego listów.

Choć chyba nie mam prawa osądzać, kto jest okropny, a kto nie.

Mija godzina za godziną, zapada noc, aż w końcu zaczynają lecieć stare filmy przerywane reklamami. Otwieram laptopa i szukam stron poświęconych prawdziwym zbrodniom. Mój portret pamięciowy jest wszędzie, tak jak wywiady, które widziałem. Przeglądam fora. Nigdzie nie ma mojego nazwiska, bo i nie powinno go być. W każdym razie jeszcze nie teraz.

## 65

Nie śpię długo. W ciągu godziny od mojej pobudki stacje informacyjne zebrały się na zorganizowanej przez Claire Wellington konferencji prasowej. Gdy czekam na jej rozpoczęcie, kawa przelewa mi się w żołądku. Claire nie powiedziała jeszcze nic konkretnego i wiem, że zrobi to tego ranka.

W komisariacie ustawiono podest. Po jego jednej stronie umieszczono flagę Stanów Zjednoczonych, a po drugiej flagi stanowe, całość otaczają mikrofony, kamery i światła. Dziesięć minut po wyznaczonej godzinie na podwyższenie wchodzi Claire. Nie ma na sobie garnitur. Dziś włożyła granatową spódnicę i żakiet do kompletu. Przypomina to garsonki, jakie nosi Millicent, tylko mniej obcisłe. Z jakiegoś powodu czuję, że to zły znak.

Claire zaczyna od portretu pamięciowego, który już rozpowszechniono, a potem prosi ludzi, by rozwiesili go w siedzibach firm, w szkołach i budynkach użyteczności cywilnej, a także udostępnili w mediach społecznościowych. Choć chyba tylko ktoś, kto nie ma telewizji albo nie korzysta z internetu, mógł się jeszcze z nim nie zetknąć. Albo ktoś, kto jest w śpiączce.

Claire zwołała jednak konferencję prasową z innego powodu. To tylko wstęp. Po chwili przychodzi pora na gwóźdź programu.

*– Mam już najświeższe informacje dotyczące kobiet, które znaleźliśmy w piwnicy kościoła. Próba ich zidentyfikowania to żmudny proces, ponieważ ciała znajdują się w różnych stadiach rozkładu. Dodatkowo usunięto im linie papilarne.*

Na chwilę milknie, głęboko oddycha.

*– Mimo trudności specjaliści medycyny sądowej i śledczy z Woodview spisali się doskonale. Zidentyfikowano pierwszą z zamordowanych i skontaktowaliśmy się z jej rodziną. Dzięki ciężkiej pracy wielu osób ciało tej młodej kobiety wreszcie może zostać złożone na wieczny spoczynek.*

Zanim wymienia nazwisko, na ekranie pojawia się zdjęcie.

Znam ją.

To Jessica.

Kasjerka z EZ-Go, gdzie kupuję kawę. Niedawno odeszła z pracy. Gość, który zajął jej miejsce, powiedział, że wybierała się do szkoły w innym stanie. Jestem w szoku, że Millicent ją znała. Moja żona nie kupuje w EZ-Go ani kawy, ani niczego innego.

Widocznie śledziła mnie o wiele dłużej, niż przypuszczałem. Może zawsze obserwowала, co robię. I z kim rozmawiam.

Ta myśl sprawia, że moje serce zaczyna bić zbyt szybko. Odstawiam kawę.

Na podzielonym ekranie telewizora widać Jessicę i Claire. Pani detektyw wciąż mówi: wyjaśnia, że pozostałych kobiet jeszcze nie zidentyfikowano.

Teraz już wiem, co zrobiła Millicent. Zabiła kobiety, które znałem, które można ze mną powiązać. Może na tym polegał jej plan.

A może myśli, że z nimi sypiałem.

Może zastosowała metodę spalonej ziemi, niszcząc wszystkich, którzy mogli jej zagrażać.

Kręci mi się w głowie, gdy się zastanawiam, kim mogą być dwie pozostałe kobiety. Nie jest to żadna z moich klientek. Żadna ostatnio nie zaginęła – wiedziałbym, gdyby tak było. Gdy znikają bogaci ludzie, zawsze ktoś ich szuka.

Myszę o wszystkich kobietach, które znam, zwłaszcza o młodych, pasujących do profilu Owena. Kilka z nich pracuje w klubie jako barmanka, kelnerka czy ekspedientka. Znam je wszystkie z widzenia i większości mówiłem cześć. Niektóre pracują dłużej niż inne. Większość wciąż tam jest. Nie leżą martwe w piwnicy kościoła.

Oprócz jednej.

Beth.

Żwawej Beth z Alabamy, kelnerki. Nigdy nie mieliśmy ze sobą romansu. Była po prostu miłą młodą kobietą i czasami z nią rozmawiałem, gdy jadłem w klubie. Nic więcej.

Niedawno odeszła z powodu jakiejś pilnej sprawy rodzinnej w Mobile. Tak mi powiedział menedżer restauracji. Nikt tego nie kwestionował. Nikt nie przypuszczał, że coś jej się stało. Nikt o nią nie pytał.

Gdyby minęło więcej czasu, może zaczęłyby jej szukać rodzina.

Wstaję i zaczynam krążyć – najpierw po pokoju telewizyjnym, potem po całym domu. Na górze, na dole, we wszystkich pokojach, cały czas krążę.

Nie potrafię przestać.

Millicent zabiła trzecią kobietę. Nikt inny nie zniknął – w każdym razie o nikim innym nie wiem – więc zastanawiam się, czy to może być Petra. Skoro Annabelle i barmani mogli rozpoznać Tobiasa, dlaczego nie miałyby się pozbyć Petry?

Dzwonek telefonu wyrywa mnie z paniki. Jediną osobą, która ma mój numer, jest Andy.

– To ty – mówi. Nie wspomina o portrecie pamięciowym. Nie musi.

Kiwam głową, jakby mógł mnie zobaczyć.

– Właśnie o tym ci mówiłem – odpowiadam. – Wrabia mnie.

– Tak, tego się domyśliłem. Ale nie udało ci się oddać skali jej gniewu.

– Mówiłem, że wolałbyś nie wiedzieć. Mówiłem.

– Jak ona to właściwie robi?

Znowu chcę mu powiedzieć, ale nie mogę. Poza tym nie mam dobrej odpowiedzi.

– Gdybym wiedział, powiedziałbym policji.

Wzdycha. Zanim się rozłącza, mówi tylko:

– Niech to szlag.

I wciąż ma tablet Millicent.

Przez cały dzień oglądam wiadomości, przeszukuję internet i zaglądam na profile moich dzieci. Dalsze poszukiwania informacji na ich temat nie przynoszą niczego nowego – tylko kilka starych artykułów w lokalnej gazecie o drużynie piłkarskiej Jenny albo o turnieju golfowym Rory'ego.

Oglądam zdjęcia zabrane z domu. Mam wrażenie, że pochodzą sprzed stu lat, z czasów, w których miałem życie wydające się teraz snem.

Noc. Jestem przy basenie, krążę wokół niego. Gdyby Kekona miała sąsiadów, wzięliby mnie za szaleńca, którym być może jestem, ale w pobliżu nikogo nie ma. Ponieważ jestem sam, wskakuję do basenu w ubraniu i wytrzymuję pod wodą najdłużej, jak potrafię. Gdy się wynurzam, powietrze działa na mnie jak rażenie prądem. Budzi mnie i jednocześnie uspokaja.

Wychodzę z basenu, kładę się na tarasie. Gapię się na niebo i próbuję się nie zastanawiać, jak bardzo sytuacja może się jeszcze pogorszyć.

Moje życie właśnie eksplodowało i powinienem czuć złość. Myślę, że ta złość we mnie jest, buzuje pod powierzchnią, zmieszana ze smutkiem, rozpaczą, poczuciem winy, wstydem i przerażeniem. To wszystko nadejdzie i mnie przytłoczy, ale jeszcze nie teraz. Dopiero gdy wymyślę, jak się wyplątać z tego bałaganu.

I jak odzyskać dzieci. Zасыpiam, myśląc o nich. Tylko o nas, nie o Millicent.

Budzą mnie ptaki i słońce. U Kekony jest tak spokojnie, tak łatwo udawać, że reszta świata nie istnieje. Rozumiem, dlaczego rzadko wyjeżdża z Oaks. Po co ktokolwiek miałby opuszczać to miejsce i wracać do rzeczywistości? Nie robiłbym tego, gdybym nie musiał.

W końcu wracam do środka i włączam telewizor.

Ja.

Jestem na całej ścianie i gapię się na siebie. Moje zdjęcie wypełnia ekran, a na dole pojawia się moje nazwisko razem z napisem:



## POSZUKIWANY

Mimo że się tego spodziewałem, padam na kolana.

Tak szybko. Całe moje życie rozpadło się w niespełna tydzień. Gdyby nie przytrafiło się to mnie, nie uwierzyłbym, że to możliwe.

Głos Josha skłania mnie do podniesienia głowy. Reporter mówi, cały czas mówi, ale dziś nie jest reporterem. Ponieważ spotkaliśmy się w First Street Bar & Grill, tym razem to on udziela wywiadu. Jest gwiazdą.

Większość tego, co mówi, to kłamstwa, na dodatek w skróconej wersji. Podszedłem do niego. Spytałem o sprawę. Błagałem, by podał nazwiska swoich informatorów. Pomija fakt, że się upił, że nazwał Claire Wellington suką, że narzekał na informacje, które miał i którymi się podzielił, ale których nie mógł przekazać na antenie.

*– Rozumiem, mężczyzna jest poszukiwany i może jest tylko świadkiem. Ja mogę jedynie powiedzieć, co czułem. Znajdą państwo to wrażenie, kiedy coś jest nie tak? Jakby w głowie uruchamiał się cichy alarm nakazujący uciekać? Właśnie tak czułem się przy tym człowieku.*

Jego słowa brzmią wystarczająco złowieszczo, bym od razu wydał się winny, mimo że gdy spotkałem się z Joshem, był w stanie, w którym chyba niczego nie czuł.

Mam ochotę z powrotem włożyć baterię do telefonu. Sprawdzić, czy dzieci coś do mnie napisały, czy się martwią, czy wierzą w to, co się o mnie mówi. Albo przekonać się, ile razy dzwoniła do mnie policja.

Zamiast tego siedzę sam w pięknym domu Kekony i nie mam z kim porozmawiać.

Dopóki nie dzwoni telefon. Andy.

Odbieram, ale nie mówię ani słowa. Zaczyna bez wstępów.

– Te morderstwa bardzo przygnębiły Tristę. Prawie się cieszę, że nie może zobaczyć, ile ich było.

Gdyby Trista wciąż żyła, wiedziałaby, że Owen nie zabił tych kobiet. I nie miałyby powodu popełniać samobójstwa. Nie wspominam o tym.

– Pamiętam – mówię. – Napomknęła o tym w klubie.

– Ale ty tego nie zrobiłeś.

– Nie zabiłem tych kobiet. – To prawda. Zabiłem tylko Holly, a jej nikt nie znalazł.

– Jeśli się dowiem, że kłamiesz...

– Zadzwoń na policję – mówię. – Donieś na mnie.

– Zamierzałem powiedzieć, że sam cię zabiję.

Biorę głęboki oddech.

– Umowa stoi.

– Mam twój tablet. Możesz mi powiedzieć, gdzie jesteś?

– Dla twojego dobra...

– Jasne. – mówi. – Nie chcę wiedzieć.

Spotykamy się na innym parkingu, nie na tym przed Golden Wok. Moje przebranie to czapka bejsbolowa i okulary przeciwsłoneczne, do tego nie goliłem się od dwóch dni. To niewiele, ale nikt mi się nie przygląda, gdy jadę SUV-em Kekony. Wyjeżdżam z Hidden Oaks przez tylną bramę, by uniknąć strażników.

Jest już ciemno, bo nie chcę wychodzić przed zmrokiem. Nie chcę też, by Andy zobaczył samochód albo tablice rejestracyjne, więc parkuję dwie przecznice dalej i docieram na parking pieszo. Stoi obok swojej furgonetki i trzyma tablet Millicent. Wokół nie ma innych samochodów, nie pali się światło. Parking należy do zamkniętego sklepu z częściami samochodowymi.

Andy trzyma się trochę prościej niż poprzednim razem. Ma uniesioną głowę.

– Szuka cię całe pieprzone hrabstwo – mówi.

– Zauważyłem.

Andy odwraca się i kładzie tablet na masce. Przytrzymuje go dłonią.

– Jeśli powiesz, że ci się nie udało, przestanę wierzyć w twój geniusz – mówię.

– Zawsze mi się udaje. Ale nie wiem, czy coś ci to pomoże. – Włącza ekran, na którym pojawia się klawiatura. – Nowy kod dostępu. Sześć, trzy, siedem, cztery. Po pierwsze, zła wiadomość. Chyba przewidziała, że go zabierzesz, bo usunęła wszystko z chmury.

– Jasne, że usunęła.

– Bez obaw, są też dobre wieści. Pewne informacje zapisały się na twardym dysku. Tych nie zdołała usunąć.

Pokazuje mi kilka zdjęć. Parę fotek dzieci, parę domów na sprzedaż, zdjęcie listy zakupów.

Kręcę głową. To wszystko jest zbyt przyziemne, by mogło mi się przydać.

– Lubiła gry – mówi Andy. Otwiera kilka gier Match 3 i krzyżówek.

Opuszcza mnie wszelka nadzieja. To jasne, że w tablecie niczego nie ma. Millicent nie byłaby taka głupia.

– Znalazłem też kilka przepisów – mówi Andy, otwierając pliki PDF.

– Faszerowane pieczarki?

– Hummus ze szpinakiem brzmi nieźle.

Wzdycham.

– Dupek z ciebie.

– Ej, to twoja żona – mówi. – Na koniec historia wyszukiwania i odwiedzane strony. Wyczyściła ją, ale większość odzyskałem, o ile ma to jakąś wartość.

Niewielką. Kolejne przepisy, artykuły medyczne o skręconych nadgarstkach i kłopotach żołądkowych, internetowy kalendarz szkolny i garść stron poświęconych nieruchomościom.

- Nie widać dymiącego pistoletu – podsumowuję.
- Wygląda na to, że nie.

Wzdycham.

- To nie twoja wina. Dzięki za dobre chęci.
- Wiesz, że jesteś moim dozgonnym dłużnikiem – mówi.
- O ile nie spędzę reszty życia w więzieniu.

Ściska mnie na pożegnanie, a potem odjeżdża swoją starą furgonetką.

Znowu zostaję sam, nie spieszy mi się z powrotem do domu Kekony. Nawet wielki dom bywa przytłaczający.

Zamiast tego znowu włączam tablet, przeglądam wszystkie strony o nieruchomościach, które odwiedzała moja żona. Nikt nie jest doskonały, powtarzam sobie. Nawet Millicent. Gdzieś kiedyś musiała popełnić jakiś błąd.

Gdy go znajduję, prawie zaczynam żałować, że szukałem.

Na stronie, którą Millicent odwiedzała najczęściej, znajduje się baza danych nieruchomości. Moja żona zaglądała tam codziennie, szukając zapisów transakcji i transferów, bo takie informacje są ogólnodostępne. Jej przeglądarka rejestrowała wyszukiwane adresy.

Pod jednym z nich znajduje się budynek przy Brownfield Avenue 1121. Pół roku temu niejaki Donald J. Kendrick sprzedał go za sto sześćdziesiąt dwa tysiące dolarów. Budynek stoi od ponad dwudziestu lat i ma tylko jednego wieloletniego dzierżawcę.

Bar z kanapkami Joe's.

Donald sprzedał go spółce z ograniczoną odpowiedzialnością należącej do innej spółki z ograniczoną odpowiedzialnością, która z kolei należała do trzeciej spółki. Ostatecznie obecnym właścicielem budynku jest spółka z ograniczoną odpowiedzialnością R.J. Enterprises.

Rory. Jenna.

Z perspektywy Millicent to przejaw sprytu, ona nie uznałaby tego za błąd. Nasze dzieci nigdy nie były dla niej błędem. Zrobiła to celowo.

Cofam się myślami o pół roku i uświadamiam sobie, że dokonała tego zakupu zaraz po tym, jak sprzedała trzy domy z rzędu. Dysponowała mnóstwem gotówki.

Denise nigdy nie była klientką Millicent.

Jest jej dzierżawcą. Dzierżawcą, który przypadkiem przyjaźnił się z siostrą Owena.

Millicent z pewnością poświęciła wiele godzin, by zgłębić historię Owena – gromadziła informacje o jego rodzinie, domu, szkole. Szukała, aż odkryła, że Owen tak naprawdę nie żyje, a potem znalazła kogoś, kto mógł to udowodnić. Siostrę Owena. Musiała jedynie ściągnąć ją z powrotem do kraju.

Któż nadawałby się do tego lepiej niż stara przyjaciółka? Zwłaszcza stara przyjaciółka dzierżawiąca lokal od wymagającej osoby. Ktoś, kto skontaktował się z Jennifer Riley i ubłagał ją, by powiedziała o śmierci Owena.

Millicent. Cała Millicent. To wszystko rozegrało się w ciągu ostatniego półrocza.

Teraz rozumiem jej reakcję na obie Jane Doe z wiadomości. Moja żona była przekonana, że kłamia. Uparcie twierdziła, że prawdziwy Owen nie wrócił. Wiedziała, że

nie żyje.

Jej poświęcenie dla sprawy pogrążenia mnie byłoby godne podziwu, gdyby nie to, że jest zupełnie chore.

A jednak wciąż nie mam dowodu. Tylko spółkę z ograniczoną odpowiedzialnością i lokal użytkowy, który nawet przez kiepskiego adwokata zostałby przedstawiony jako inwestycja, a nie fortel mający zrobić kogoś w morderstwo.

Wracam do Hidden Oaks przez tylną bramę, otwierając ją pilotem Kekony. Gdy już jestem w środku, czuję neodpartą potrzebę przejechania obok swojego domu. Słońce wschodzi i zastanawiam się, czy dzieci śpią. Czy mogą spać. Gdybyśmy mieszkali w innym miejscu, dom otaczaliby dziennikarze. Ale tu nie. Reszta społeczeństwa nie ma wstępu do Hidden Oaks.

Nie przejeżdżam jednak obok domu. To byłoby głupie.

Zamiast tego jadę do Kekony i włączam jej ogromny ekran.

Ja. Ciągłe mówią o mnie.

Odkąd mnie zidentyfikowali, wszyscy mają coś do powiedzenia na mój temat i wszyscy mówią to do kamer. Byli klienci, współpracownicy, znajomi – każdy dorzuca swoje trzy grosze, wypowiadając się o poszukiwanym. O poszukiwanym, który zaginął.

– *Miły facet. Może trochę zbyt wymuskany, ale czego można oczekiwać od nauczyciela tenisa?*

– *Moja córka chodziła do niego na lekcje i teraz się cieszę, że żyje.*

– *Widywałem go w klubie. Ciągłe polował na klientów.*

– *Znamy ich z żoną od lat. Nigdy nie przyszłoby nam to do głowy. Nigdy.*

– *Tu, w Hidden Oaks? To niewiarygodne. Naprawdę.*

– *Przerażająca sprawa.*

Josh udziela wywiadów innym reporterom, bo odkąd ze mną rozmawiał, stał się elementem tej historii.

Mój szef mówi, że byłem najlepszym tenisistą, jakiego kiedykolwiek zatrudniał, i wielka szkoda, że okazałem się psycholem.

Jest jeszcze Millicent. Nie występuje przed kamerą ani nie pokazują jej zdjęcia, ale moja żona wydaje oświadczenie.

*Ja i moje dzieci prosimy o uszanowanie naszej prywatności w tym niewyobrażalnie trudnym czasie. Współpracuję z policją i aktualnie nie mam nic do dodania.*

Krótko, uroczo i w stylu Millicent. Prawdopodobnie podyktował jej to adwokat, może któryś z jej klientów. Ktoś, kto kiedyś był moim przyjacielem.

Teraz mam tylko Andy'ego, choć gdyby Andy znał prawdę, zabiłby mnie.

Myszę o Kekonie: zastanawiam się, czy jest moją przyjaciółką, czy uwierzyłaby mi, gdyby tu była. Znamy się co najmniej pięć lat i w czasie lekcji miło sobie gawędzimy.

Nawet jeśli opuści trening, płaci mi za niego, a gdy organizuje imprezę, zawsze nas zaprasza. Czy to znaczy, że jest moją przyjaciółką? Sam już nie wiem.

Nie przywykłem do takiej samotności. Przez siedemnaście lat była ze mną Millicent, a przez większość tego czasu także dzieci. Miałem rodzinę, o którą mogłem się troszczyć, a ona mogła się troszczyć o mnie. Po kilku latach od powrotu do Hidden Oaks moi dawni przyjaciele zaczęli się żenić, wyprowadzać, zakładać rodziny. Jakoś mi nie przeszkadzało, że nie ma ich w pobliżu. Nawet bez nich byłem wystarczająco zajęty.

Teraz zauważam swój błąd. Skupienie wyłącznie na rodzinie doprowadziło mnie do izolacji i samotności. Mam tylko jednego starego przyjaciela, a on nie może poznać prawdy.

Mój festiwal uzalania się nad sobą przerywa Claire Wellington, która, założę się, nie znosi festiwali. Na wszelkich imprezach na pewno spogląda na zegarek, sączy wodę i czeka, aż nadarzy się okazja, by się ulotnić. Nie mam pojęcia, czy naprawdę tak jest, ale i tak w to wierzę.

O piątej zwołuje kolejną konferencję prasową – w samą porę, żeby zdążyć przed wieczornym wydaniem wiadomości. Dziś ma na sobie garnitur w brzydkim odcieniu szarości. Ubranie wygląda, jakby było z flaneli, lecz nie jest, ponieważ mieszkamy na Florydzie i byłoby to niedorzeczne. Claire ma nijakie włosy i równie nijaką skórę. Nie wysypia się i prawdopodobnie nie powinna aż tyle pracować.

*– Jak wszystkim wiadomo, sztab ludzi stara się zidentyfikować kobiety znalezione w piwnicy kościoła. Pierwszą z nich okazała się dwudziestotrzyletnia Jessica Sharpe. Teraz znamy tożsamość dwóch pozostałych.*

Oddycha głęboko. Ja też.

Po obu stronach pani detektyw stoją sztalugi. Oba zdjęcia są zasłonięte. Policjant w mundurze odsłania pierwsze.

Miałem rację. To Beth.

Na zdjęciu jest bez makijażu i ma włosy ściągnięte w kucyk. W tym wydaniu wygląda na jakieś dwanaście lat.

*– Beth Randall miała dwadzieścia cztery lata, pochodziła z Alabamy i ostatnio pracowała jako kelnerka w country clubie Hidden Oaks. Niedawno jej rodzice dostali list i byli przekonani, że to list od ich córki. Ktokolwiek go napisał, twierdził, że Beth przeprowadziła się do Montany, by pracować na farmie.*

Millicent. Wszędzie poznałbym jej poczucie humoru. Jedyłą rzeczą, której nie znosiła bardziej niż kutrów rybackich, były farmy.

*– Jednocześnie jej pracodawca otrzymał list z wiadomością, że z powodu pilnych spraw rodzinnych Beth wraca do Alabamy. Nikt się nie domyślił, że wiadomości napisał ktoś inny.*

Claire na chwilę milknie, kamera przybliża zdjęcie. Następnie pani detektyw zwraca się w stronę drugiej sztalugi. Wciąż myślę, że to musi być Petra. Nie przypominam sobie nikogo innego, kto zniknął albo się przeprowadził. I dawno nie sprawdzałem, co słychać u Petry. Może zrobiłbym to teraz, gdybym mógł wychodzić z domu.

Policjant odsłania zdjęcie.

Tym razem się pomyliłem. To nie Petra.

To Crystal.

Kobieta, która u nas pracowała.

Ta, która mnie pocałowała.

Nawet nie przeszło mi przez myśl, że to może być ona. Teraz, gdy się nad tym zastanawiam, wiem, że powinienem był zgadnąć, ale nie widziałem Crystal od ponad roku. Nie mieliśmy ze sobą żadnego kontaktu, odkąd przestała dla nas pracować.

Czy Millicent wiedziała o pocałunku? Czy dlatego zabiła Crystal? A może Crystal była tylko przypadkową ofiarą, elementem większego planu mojej żony?

Być może nigdy się nie dowiem. Ze wszystkich pytań, jakie chciałbym zadać Millicent, te nie znalazłyby się w pierwszej dziesiątce.

Ale przypuszczam, że Crystal powiedziała Millicent. W czasie tortur.

Nie chcę o tym myśleć.

Konferencja prasowa trwa dalej. Claire przedstawia mężczyznę, którego kojarzę z filmu dokumentalnego o Owenie. To dość sławny profiler, już na emeryturze, teraz jest niezależnym konsultantem i napisał kilka książek o prawdziwych zbrodniach. Ten człowiek – wysoki, chudy, zniedołężniały – wchodzi na podest i mówi, że nigdy nie spotkał się z takim zabójcą.

*– Zabija kobiety, które przelotnie zna, takie jak ta kasjerka, a do tego stworzył odrębną osobowość, głuchego Tobiasa, którego wykorzystuje do szukania kolejnych ofiar. Być może to właśnie dzięki tym zróżnicowanym metodom udawało mu się tak długo działać w ukryciu.*

Albo może to wszystko jest kłamstwem. Tego jednak nikt nie mówi.

Kawałek po kawałku niszczą moje życie, jakby nigdy nie było prawdziwe. Jakby było jedynie rządkiem kostek domina ustawionych przez Millicent. Im szybciej się przewracają, tym mniej prawdopodobne, że uda mi się wyjść z tego cało.

Mimo to oglądam dalej.

Oglądam, aż rozmazuje mi się obraz przed oczami, a głowa zaczyna tak ciężać, jakby za chwilę miała zapaść się w szyi.

Rozstrzygający dowód. Oto czego potrzebuję. Czegoś w rodzaju DNA pozostawionego na narzędziu zbrodni albo nagrania, na którym Millicent zabija którąś z tych kobiet.

Tylko że tego nie mam.

Budzi mnie telefon. Zasnąłem podczas oglądania mojej osobistej apokalipsy. Fotele z podnóżkami Kekony są po prostu zbyt wygodne.

Odbieram połączenie i słyszę głos Andy'ego.

– Oddychasz jeszcze?

– Ledwo, ledwo.

– Nie mogę uwierzyć, że cię nie złapali.

– Nie doceniasz mojej inteligencji.

W telewizji pokazują moje zdjęcie ze studniówki.

Na domiar złego mam poczucie winy. Andy we mnie wierzy, bo nie zna nawet połowy prawdy.

Pokazują następnego profilerę. Mówi z silnym nosowym akcentem, na dźwięk którego mam ochotę zmienić kanał. Ale tego nie robię.

– *Okrucieństwo tortur można bezpośrednio skorelować z nasileniem złości, jaką morderca odczuwa w stosunku do ofiary. Na przykład poparzenia na ciele Naomi wskazują, że sprawca z jakiegoś powodu był na nią wściekły. Nie sposób się dowiedzieć, czy tę złość wywołało coś, co Naomi zrobiła, czy ktoś, o kim mu przypominała. Najprawdopodobniej dowiemy się tego, gdy zostanie złapany.*

Tym razem przełączam na inny kanał. I widzę ducha. Mojego ducha.

Petrę.



## 67

Nie tylko żyje, ale inaczej wygląda. Nie ma aż tak mocnego makijażu i nie jest tak krzykliwie ubrana. Wydaje się subtelniejsza, jakby w ostatnich dniach przeszła metamorfozę. Jej niebieskie oczy są przenikliwe i skupione, a włosy, które dawniej niczym się nie wyróżniały, lśnią i zostały elegancko ostrzyżone.

Pamiętam jej mieszkanie, łóżko. Kota o imieniu Lionel. Petra lubi jasnozielony kolor i lody z francuską wanilią, a poza tym nie mogła uwierzyć, że smakuje mi pizza z szynką. Nie smakuje mi.

Pamiętam też brzmienie jej głosu, gdy spytała, czy naprawdę jestem głuchy. Teraz, w telewizji, mówi tym samym tonem. Podejrzliwym. Oskarżycielskim. Lekko urażonym.

– *Poznałam Tobiasa w barze.*

Gdy reporter pyta, dlaczego zwlekała tyle dni ze zgłoszeniem się na policję, Petra przez chwilę się waha.

– *Dlatego, że się z nim przespałam.*

– *Przespała się z nim pani?*

Potakuje i ze wstydem opuszcza głowę. Wstydzi się tego, że uprawiała seks, albo tego, że uprawiała go ze mną – nie jestem pewny. Może jednego i drugiego.

Początkowo media przedstawiały mnie tylko jako chorego, pokręconego, psychopatycznego seryjnego mordercę. Teraz jestem chorym, pokręconym, psychopatycznym seryjnym mordercą, który zdradza żonę.

Jakby ludzie potrzebowali kolejnego powodu, żeby mnie nienawidzić.

Gdyby wiedzieli, gdzie jestem, przyszliby po mnie z widłami. Ale nie wiedzą, więc wciąż mogę tu siedzieć, oglądać telewizję, jeść śmieciowe żarcie i czekać, aż mnie znajdą albo aż Kekona wróci do domu. Cokolwiek nastąpi pierwsze.

Petra, której jeszcze niedawno nie było nigdzie, nagle jest wszędzie. W pewnych sprawach kłamie, w innych mówi prawdę. Z każdym wywiadem jej historia staje się coraz bardziej szczegółowa, a mnie dopada coraz większe przygnębienie.

Wciąż miewam chwile, w których wydaje mi się, że mogę coś zrobić, więc godzinami ślęczę przy tym głupim tablecie, jakby mogło się w nim pokazać coś nowego. Na przykład nagranie Millicent w tej piwnicy albo jej lista kobiet do zabicia.

Gdy nie zajmuję się niczym nieprzydatnym, jestem nieprzydatny. Bezkształtna masa żalu i nienawiści do samego siebie zastanawiająca się, dlaczego w ogóle się ożeniłem. Żałuję, że poznałem Millicent, że usiadłem obok niej w tamtym samolocie. Gdyby nie ona, nie stałbym się tym, kim jestem.

Kiedy nie brnę przez ruchome piaski przygnębienia, gapię się w telewizor. Udaję, że to problem kogoś innego.

Zastanawiam się, jak bardzo nienawidzą mnie moje dzieci. I co o mnie mówi Doktor Beżowy. Założę się, że powiedział Jennie, że jestem źródłem wszystkich jej problemów. Nigdy nie chodziło o jej matkę, nigdy nie chodziło o Owena – zawsze o mnie. Bo przecież nie o Millicent.

Znowu dzwoni Andy.

– Widziałem twoją żonę – mówi.

– Co?

– Widziałem Millicent. Podjechałem pod wasz dom i zobaczyłem ją – mówi.

– Dlaczego?

– Słuchaj, próbuję ci pomóc. Nie myśl sobie, że chciałbym się znaleźć w jednym pomieszczeniu z tą kobietą – odpowiada. – No więc ją zawołałem. Mamy ze sobą wiele wspólnego. Obydwoje straciliśmy współmałżonka.

Tylko że ja nie umarłem.

– Były tam dzieci?

– Tak, widziałem obydwójce. Nic im nie jest. Może trochę je nosi, bo ciągle siedzą w domu. Media i tak dalej.

– Mówili coś o mnie?

Chwila milczenia.

– Nie.

To chyba dobrze, ale i tak zabolęło.

– Słuchaj, cokolwiek zamierzasz zrobić, zrób to szybko – mówi Andy. – Millicent powiedziała, że chce zabrać dzieci i na jakiś czas stąd wyjechać.

Byłaby to rozsądna decyzja w wypadku żony, która odkryła, że jej mąż jest seryjnym mordercą. Byłaby rozsądna także w wypadku seryjnej morderczyni, która wrabia swojego męża.

– Pewnie nie powiedziała, dokąd się wybiera?

– Nie.

– Tak myślałem.

– Jeszcze jedno – mówi Andy.

– Co?

– Gdyby nie to, że z tobą rozmawiałem, zanim to wszystko się stało, nie wiem, czybym ci uwierzył. Nie po tym, jak zobaczyłem, w jakim stanie jest Millicent.

– W jakim jest stanie?

– Jakby była zdruzgotana.

To mnie martwi. Nikt nie uwierzy w ani jedno moje słowo. Nie, jeśli nie będę miał dowodów.

Mijają kolejne godziny, a ja coraz bardziej zapadam się w fotelu Kekony. Obrazy z telewizji przelatują mi przed oczami: Lindsay, Naomi, ja, Petra, Josh. Josh mówi, cały czas mówi, a potem wszystko powtarza. „Autopsja”. „Uduszone”. „Torturowane”. To ostatnie słowo wypowiedział chyba z milion razy.

Słyszając, jak robi to po raz milion pierwszy, siadam prościej.

Zrywam się i zaczynam biegać po domu Kekony, przerzucając swoje ubrania i śmieci, aż w końcu go znajduję.

Tablet Millicent.

Szukała w internecie informacji o dolegliwościach dzieci, ale może chodziło o coś więcej. Może coś przeoczyłem.

Gdybym zamierzał torturować kogoś tak, żeby go nie zabić, musiałbym się przygotować. I zacząłbym od czytania o różnych obrażeniach na stronach medycznych.

Szanse są niewielkie. Bardzo, bardzo niewielkie.

Choć czuję się jak głupiec, licząc na to, że znajdę w tablecie takie dowody, napędza mnie myśl, że byłoby mi jeszcze bardziej głupio, gdybym tego nie sprawdził... a miałbym te informacje cały czas pod nosem.

Znajduję go w jadalni Kekony, na stole tak ogromnym, że pomieściłby szesnaście osób. Wygląda na idealne miejsce, by usiąść i jeszcze raz przejrzeć zawartość tabletu. Sprawdzam każdą stronę, szukając czegoś związanego z torturami i duszeniem. Szukam informacji o poparzeniach wrzątkiem i rozgrzanym olejem, o krwotokach wewnętrznych i ranach na powiekach. Czytam nawet o przypalaniu papierosem, co wydaje się absurdalne, bo Millicent stroni od tytoniu.

Niczego nie znajduję.

Sprawdzała, ile czasu goi się skręcona kostka. Poza tym czytała o kłopotach żołądkowych – o tym, co je powoduje i jak je leczyć.

To wszystko.

Nic na temat tortur, żadnych przydatnych informacji. Powinienem był to przewidzieć.

Gwałtownie odsuwam tablet, aż ślizga się po stole. Odruchowo sprawdzam, czy nie porysowałem blatu. Jakby to miało jakieś znaczenie – ale i tak to robię. Wstaję i spoglądam na drewnianą powierzchnię, przesuwam po niej palcem i nagle coś na ekranie przykuwa mój wzrok.

Wciąż wyświetla się strona o kłopotach żołądkowych. Po prawej widnieje lista ich możliwych przyczyn. Jedna z nich jest fioletowa, a nie niebieska, dlatego że ktoś kliknął link.

Krople do oczu.

Tetrahydrozolina to aktywny składnik krople do oczu, który usuwa zaczerwienienie. Połknięcie dużej ilości tego związku chemicznego może spowodować poważne problemy. Krople obniżają ciśnienie krwi i mogą wywołać śpiączkę. Albo zabić.

Ale połknięcie małej ilości grozi jedynie bólem brzucha i wymiotami. Bez gorączki.

Krople do oczu należą do Millicent.

Podawała je Jennie.

Nie.

Niemożliwe.

Ta myśl mnie powala. Jenna jest naszym dzieckiem, naszą córką. To nie Lindsay ani Naomi. Nie jest kimś do torturowania.

A może jest. Może Jenna niczym się od nich nie różni. Nie dla Millicent.

Moja córka nie ma nawracających problemów żołądkowych.

Ma matkę, która ją truje.

Mam ochotę zabić Millicent. Mam ochotę wejść do swojego domu, zabić żonę i mieć to z głowy. Taki jestem wściekły.

To dla mnie nowe uczucie. Nigdy dotąd nie myślałem: „Chcę zabić kobietę” ani nawet „Chcę zabić tę konkretną kobietę”. Moje pragnienie nie było tak jasno określone, tak skryzalizowane. Chodziło o Millicent, o nas dwoje, i moje pragnienia były bardziej złożone.

Teraz sprawa jest prosta. Chcę śmierci mojej żony.

Ruszam do drzwi wejściowych – bez czapki, bez przebrania, bez jakiegokolwiek broni. Jestem zły, zniesmaczony i nic mnie nie obchodzi, czy mam jakiś plan. Gdy moja dłoń dotyka gałki w drzwiach, uświadamiam sobie, jaki jestem głupi. Jaki zawsze jestem głupi.

Prawdopodobnie udałoby mi się przejść niepostrzeżenie przez Hidden Oaks. Większość ludzi myśli, że uciekłem, a nie że ukrywam się na swoim osiedlu. A gdybym już dotarł do domu, mógłbym wejść do środka, bo mam klucz. Oczywiście zakładając, że mój dom nie jest pod obserwacją.

Pozostaje jednak kwestia mojej żony, która, jak już wiem, jest potworem.

Całkiem jak prawdziwy Owen.

Oraz kwestia moich dzieci. Są w domu i obydwójce wierzą, że to ja, a nie ona. Że to ja jestem potworem. Wszystko, co mam teraz przed oczami, to ich reakcja w chwili, gdy zabiję ich matkę.

Nie otwieram drzwi.

I wiem, że potrzebuję nie tylko planu. Potrzebuję dowodu. Bo w telewizji jest pełno dowodów przeciwko mnie.

Moje DNA. Choć to nie powinno być zaskoczeniem, Millicent wciąż mnie zdumiewa. Powtarzam to, odkąd ją poznałem.

Zdołała rozrzucić moje DNA po całym Chrześcijańskim Kościele Chleba Życia. Mój pot znaleziono na klamce drzwi frontowych, na zamku w drzwiach do piwnicy, a nawet na poręczy schodów. Jakby miała fiolkę wypełnioną moim potem i wszędzie zostawiała po kropelce.

Na półkach pod ścianą znaleziono ślad mojej krwi.

Mój pot na kajdankach.

Krew na łańcuchach i podłodze.

Zadbała, by wyglądało to tak, jakbym sprzątał, ale przeoczył kilka miejsc.

Clair zwołuje w południe konferencję prasową, by to wszystko ogłosić. Oficjalnie awansuję z poszukiwanego na podejrzanego. Jedyne podejrzanego.

Mówi nawet, że jestem „prawdopodobnie uzbrojony i z całą pewnością niebezpieczny”.

Po wielogodzinnym oglądaniu ekspertów, reporterów i dawnych przyjaciół, którzy mnie teraz kamienują, w końcu wychodzę z domu. Wyjeżdżam z Hidden Oaks w stronę świata, w którym ktoś może mnie rozpoznać.

Przejeżdżam obok EZ-Go, gdzie dawniej kupowałem kawę. Zamiast się zatrzymać, jadę jeszcze piętnaście kilometrów drogą międzystanową do innego EZ-Go, w którym mają taki sam automat. W czapce bejsbolowej na głowie i z prawie tygodniowym zarostem na twarzy wchodzę do środka, żeby kupić kawę.

Młody gość za ladą prawie na mnie nie patrzy, pochłonięty swoim telefonem. To wręcz rozczarowujące.

Poza tym trochę mnie to ośmiela. Nie szukają mnie wszyscy ludzie na świecie. Prawdopodobnie mógłbym zjeść w restauracji, zrobić zakupy w centrum handlowym i pójść do kina, zanim ktoś by mnie rozpoznał. Tylko że na żadną z tych rzeczy nie mam ochoty.

Gdy znów jestem w Hidden Oaks, coś skłania mnie do przejechania obok mojego domu. Na trawniku nie ma zabawek, a z drzwi zniknęła tabliczka z napisem „Witamy”. Rolety są opuszczone, zasłony zaciągnięte.

Zastanawiam się, czy Millicent kupiła następną buteleczkę kropeł do oczu. Albo czy w ogóle szukała starej.

Zastanawiam się też, czy truła tylko Jenę.

Ja też kilka razy się pochorowałem. Skoro Millicent może doprowadzać do wymiotów własną córkę, jest zdolna to zrobić każdemu.

Jednak nie wchodzę do domu. Jeszcze nie. Wracam do Kekony. Policja na mnie nie czeka, nikt mnie nie śledzi. Wszystko w środku wygląda jak dawniej.

Prawie rezygnuję z włączenia telewizora, żeby zrobić sobie przerwę, ale nie mogę.

Chyba wszyscy mówią o DNA. Jedynym wyjątkiem jest Josh. Znów stał się reporterem i przeprowadza wywiad z patologiem sądowym. Głos tego człowieka nie jest tak irytujący jak głos poprzedniego, ale gość trochę przynudza, jak jakiś profesor, przynajmniej dopóki nie przechodzi do skaleczeń papierem.

*– Umiejscowienie tych ran jest istotne dla określenia, co je spowodowało. Ze względu na rodzaj obrażeń mówimy o skaleczeniach papierem, ale są przecież różne rodzaje papieru. Na przykład Naomi miała płytsze nacięcia na twardszych partiach skóry, takich jak podeszwy stóp, i głębsze na tych miękkich, takich jak wewnętrzna strona ramion. To wskazuje, że w obu wypadkach użyto tego samego przedmiotu, ale nie mogła to być zwykła kartka. To musiało być coś, co jest w stanie przeciąć piętę.*

Zeskakuję z kanapy jak rażony prądem. Bo w pewnym sensie przeszył mnie prąd. Wiem, czego użyła Millicent, by zadać te rany.

## 69

Millicent rzadko robi coś przez przypadek. Wszystko ma u niej jakieś uzasadnienie, nawet jeśli chodzi tylko o rozrywkę.

To jeden z takich przypadków.

Zaczęło się wiele lat temu, gdy spytała, jak bym ją obronił przed dupkami w samolotach, którzy próbują ją poderwać.

„Zepchnąłbym ich na środkowe miejsce, zablokował podłokietnikami i pociął kartą bezpieczeństwa”.

Karta bezpieczeństwa. Ta, którą jej dałem w nasze pierwsze wspólnie spędzone Boże Narodzenie. Zachowała ją.

W jej dawnym mieszkaniu wisiała przyklejona taśmą do lustra w łazience.

W naszym pierwszym wspólnym domu, małym i wynajmowanym, była przyczepiona do lodówki magnesem w kształcie twarzy z wybałuszonymi oczami.

Gdy kupiliśmy swój pierwszy dom, Millicent wsunęła ją za ramę dużego lustra.

W naszym większym, droższym domu mamy jednak dwoje dzieci, które nie doceniały żartu z kartą bezpieczeństwa. Uważały, że jest kiepski. Millicent wozi ją zatem w swoim samochodzie, zatkniętą za osłonę przeciwsłoneczną. Gdy opuszcza osłonę, bo razi ją słońce, karta ją rozśmiesza.

To właśnie tą kartą zadała te wszystkie rany. Niczego nie byłem bardziej pewny.

Nie jest łatwo ukryć się w Hidden Oaks. Ludzie zauważają nowe samochody, zwłaszcza te, które zjawiają się nagle i parkują. Nie zauważają jednak osób uprawiających jogging oraz poruszających się pieszo. Mieszkańcy ciągle zaczynają i porzucają różne plany treningowe, więc danego dnia może tu biegać dziesięć osób albo i nikt. Nieliczni biegają regularnie, tak jak Millicent, ale większość zaczyna i po jakimś czasie przestaje.

W tej samej czapce bejsbolowej co poprzednio, z większym zarostem, w workowatych spodniach dresowych i obszernej koszulce – dzięki Kekonie, która jest posiadaczką niezwyklej liczby oversize'owych ubrań – wychodzę z domu tylnymi drzwiami, przeskakuję przez ogrodzenie i wybiegam na ulicę.



Od mojego zniknięcia minął zaledwie tydzień i dziennikarze wciąż są wszędzie. Moja rodzina nie mogłaby teraz prowadzić normalnego życia. Żona nie może pracować, a dzieci nie mogą chodzić do szkoły, ale chcę sprawdzić, czy Millicent kiedykolwiek opuszcza dom. Byłoby mi znacznie łatwiej zdobyć kartę bezpieczeństwa, gdyby wyjechała samochodem z garażu i zaparkowała w jakimś łatwo dostępnym miejscu.

Ten plan może nie wypalić z mnóstwa powodów. Mogła starannie wyczyścić kartę, nie pozostawiając na niej żadnych śladów DNA – ani swoich, ani którejkolwiek z ofiar. Mogła też się jej pozbyć, wyrzucić ją albo spalić.

Mam nadzieję, że tego nie zrobiła.

Może nie wiem o wszystkim, co robi, ani o wszystkim, co zrobiła, ale wiem, jaka jest naprawdę. Przechowuje tę kartę, żeby jej o nas przypominała. I żeby przypominała jej o tym, co zrobiła tamtym kobietom. To jej sprawia frajdę. Teraz już rozumiem.

Czy policja mi uwierzy, jeśli przyniosę tę kartę? Jeśli będzie na niej DNA co najmniej jednej z martwych kobiet oraz Millicent, a nie będzie mojego? Prawdopodobnie nie.

Czy uwierzą, jeśli im opowiem o budynku, który Millicent kupiła za pośrednictwem trzech spółek z ograniczoną odpowiedzialnością, o Denise i o siostrze Owena, i jeśli pokażę, co robiłem w chwili zaginięcia tych wszystkich kobiet? Zawsze byłem w domu. Nie mam pojęcia, co o tych wieczorach powiedzą moje dzieci.

Nie, nie uwierzyliby mi. W piwnicy jest moje DNA i kilka osób zidentyfikowało mnie jako Tobiasa, że nie wspomnę o popisach Millicent, więc nawet przez chwilę nie będą wierzyli w moją niewinność. Ale mogliby uwierzyć, że ja i Millicent zabiliśmy te kobiety razem. Dzięki temu moje dzieci będą bezpieczne.

To moja jedyna szansa. Nie tylko uratować siebie, lecz umieścić ją tam, gdzie jej miejsce. W więzieniu albo w piekle – odpowiadają mi oba warianty, byleby tylko nie zbliżała się do moich dzieci.

Biegnę ulicą równoległą do mojej, wypatrując samochodu Millicent między domami. Następnie przemierzam ulicę, w którą musiałaby skręcić, jadąc w stronę szkoły.

Tak jak się spodziewałem, nigdzie nie widać jej auta.

Sprawdzam jeszcze w ciągu dnia, ale ani razu nie widzę, żeby wychodziła. Nie mam jednak pewności. Byłoby o wiele prościej, gdybym nie odczepił nadajnika od jej samochodu. Mimo to próbuję, bo muszę próbować. Bieganie i chodzenie stało się moim nowym hobby. Szkoda, że nie zdążyłem adoptować psa ze schroniska. Przydałby mi się teraz.

Dzwonię do Andy'ego. Wydaje się zaskoczony. Może jest zdziwiony, że wciąż żyję.

– Chcę tylko zadać ci pytanie – mówię.

– Wal.

Pytam, czy Millicent kiedykolwiek wychodzi z domu.

– Zakładam, że nie jeździ nawet do pracy – mówię.

Waha się, ale odpowiada.

– Chyba nie. Sąsiedzi codziennie przynoszą jej jedzenie. W domu jest go pełno. Chyba się przyczaiła, unika mediów.

– Tak przypuszczałem.

– Dlaczego? – pyta.

– Nieważne. Jeszcze raz dzięki. Nie masz pojęcia, jak to doceniam.

Chrząka.

– Co? – pytam.

– Muszę cię prosić, żebyś więcej nie dzwonił. – Gdy milczę, dodaje: – Chodzi o DNA.

Cała ta sprawa po prostu za bardzo...

– Rozumiem. Nie przejmuj się.

– Naprawdę ci wierzę – mówi. – Tylko nie mogę dalej...

– Wiem. Więcej nie zadzwonię.

Rozłącza się.

Jedynym zaskoczeniem jest dla mnie to, że został przy mnie tak długo. Nie zasługuję na jego przyjaźń. Nie po Triście.

Słońce zaczęło zachodzić i postanawiam ostatni raz przebiec obok domu, zanim spróbuję dostać się do środka. Muszę jedynie wejść do garażu i otworzyć samochód, ale powinienem z tym poczekać, aż Millicent zaśnie.

No i mam klucze.

Piętnaście minut później przechodzę równoległą ulicą i rozglądam się w poszukiwaniu czegoś nietypowego. Na przykład nieoznakowanego radiowozu, w którym policjanci czekają, aż zrobię dokładnie to, co zamierzam zrobić. Niczego takiego nie zauważam. Nie ma obcych samochodów, nie ma furgonetek firm remontowych. Nie zauważam w okolicy niczego, czego bym nie znał. Oprócz mnie, brodatego faceta, który za dużo biega. Dziwne, że nikt mnie jeszcze nie zatrzymał.

Biegnę z powrotem do domu Kekony innymi ulicami. To dłuższa droga, ale krótszą już wykorzystałem. Gdy docieram na skraj okrągłego podjazdu przed jej domem, staję jak wryty.

Przed budynkiem widzę limuzynę.

Kierowca wyjmuję walizkę z bagażnika.

Słyszę jej głos. Kekona wróciła.

# 70

Domyśli się. Wszyscy się domyślą.

Kekona w kilka sekund pojmie, że ktoś mieszkał w jej domu. Kilka sekund później policja będzie wiedziała, że to ja. Mój samochód stoi w garażu. Wszędzie są moje odciski palców. Podobnie jak moje DNA. A na stole w kuchni leży tablet Millicent.

O, i jeszcze mój portfel. Nie zabrałem go na przebieżkę. On też leży na stole w kuchni.

Wracam tą samą drogą, którą przybiegłem, i kieruję się w stronę najtańszych domów w Oaks. Jest tam mała strefa zieleni obok placu zabaw. Zatrzymuję się przy kępie drzew i udaję, że się rozciągam.

Nie mam dokąd pójść. Nie mam Andy'ego, do którego mógłbym zadzwonić, ani telefonu, z którego mógłbym to zrobić. Nie mam pieniędzy, nie mam przyjaciół i straciłem prawie całą nadzieję. Ale mam klucze. To jedyne, co włożyłem do kieszeni.

Tak czy inaczej, właśnie nadeszła ta noc – noc, w której wejdę do garażu, by zdobyć kartę bezpieczeństwa. Pod tym względem nic się nie zmieniło. Zmieniło się tylko to, że potrzebuję miejsca, w którym mógłbym się ukryć, dopóki Millicent nie zaśnie.

Pierwszy przychodzi mi do głowy klub. Mnóstwo małych pomieszczeń i schowków, w których można się zaszyć i wyjść dopiero grubo po zmroku. Problemem jest dostanie się do środka i wydostanie się z powrotem. Zbyt wiele kamer.

Pole golfowe jest w nocy puste, ale pełno na nim otwartych przestrzeni widocznych od strony ulicy.

Nigdzie nie znajdę niezamkniętego samochodu, nie w Hidden Oaks. Tu królują nowoczesne, drogie auta, wyposażone w komputery, które robią wszystko, z ryglowaniem drzwi włącznie.

Przez chwilę rozważam ukrycie się pod samochodem. Boję się tylko, że ktoś wsiaądzie do środka i ruszy.

W oddali słyhać syreny. Zbliżają się, ale nie jadą po mnie. Jadą do Kekony.

Kończą mi się możliwości i muszę się przemieścić. Nie mogę wiecznie sterczeć w tym małym parku. Chyba że bym się zakopał.

Rozważam nawet ukrycie się na podwórku za własnym domem. I ostatecznie postanawiam tak zrobić.

Z góry wszystko wygląda inaczej. Okolice, samochody, niebo. Mój dom. Moja kuchnia, w której świeci się światło.

Millicent.

To ona mnie kiedyś namówiła, żebym wspiął się na drzewo. Nie sądziłem, że to powtórzę, ale oto jestem, schowany na dużym dębnie na podwórku za naszym domem. Wystarczająco daleko od okien, by nikt nie usłyszał szelestu liści, kiedy się wspinałem.

Millicent sprząta w kuchni. Jest za daleko, bym mógł zauważyć jakiegokolwiek szczegółu oprócz jej rudych włosów i czarnego ubrania. Założę się, że ostatnio ciągle nosi się na czarno, zwłaszcza gdy rozmawia z policją. Jest w żałobie po tych kobietach, po swoim mężu i po swojej rodzinie, która właśnie się rozpadła.

Czuję podziw i jednocześnie odrazę.

Rory zjawia się w kuchni i idzie prosto do lodówki. Nie porusza prawą ręką. Przypuszczalnie dlatego, że wciąż trzyma ją na temblaku. Wyjmuje coś ze środka i spędza w kuchni kilka minut, rozmawiając z Millicent.

Jenna nie przychodzi, ale pozostaje mi wierzyć, że nic jej nie jest. Że nie choruje. Millicent nie ma powodu, żeby ją dzisiaj truć.

Nogi zaczynają mi drętwieć i nieznacznie zmieniam pozycję, mimo że mam niewielkie pole manewru. Światło w kuchni gaśnie, ale w salonie wciąż jest jasno. Jeszcze za wcześnie, by iść spać.

W okolicy robi się ciszej, dzień powoli dobiega końca. Na ulicy widać bardzo niewiele samochodów. Jest wtorkowy wieczór, niezbyt popularny dzień na wielkie wyjścia. Opieram głowę o pień drzewa i czekam.

O dziesiątej wszyscy powinni być w łóżkach. O jedenastej prawie schodzę na ziemię, ale po namyśle postanawiam poczekać jeszcze pół godziny. O wpół do dwunastej schodzę i idę wzdłuż ogrodzenia w stronę domu.

Kierując się ku bocznym drzwiom prowadzącym do garażu, podnoszę głowę.

Światło u Rory'ego jest zgaszone, okno zamknięte.

Prawie nigdy nie korzystamy z bocznych drzwi do garażu. Jestem trochę za bardzo widoczny, bo znajdują się naprzeciwko dodatkowej furtki w ogrodzeniu. Wsuwam klucz do zamka i przekręcam go. Dźwięk wydaje się o wiele głośniejszy, niż prawdopodobnie jest. Przed wejściem do środka na chwilę zastygam.

Stoję w garażu obok drzwi i czekam, aż moje oczy przywykną do ciemności, żebym nie musiał włączać światła.

Powoli wyłania się zarys samochodu. Luksusowy crossover stoi zaparkowany na środku garażu. Millicent już nie musi zostawiać miejsca dla mnie. Podchodzę do drzwi kierowcy, ciesząc się, że zostawiła opuszczoną szybę. Nawet nie muszę pociągać za

klamkę. Tylko wyciągam rękę i opuszczam osłonę przeciwsłoneczną. Coś spada na siedzenie.

Macam, ale nie znajduję karty bezpieczeństwa ani niczego, co by ją przypominało. Otwieram drzwi samochodu. Nagle włącza się światło i zauważam coś leżącego na beżowym skórzanym siedzeniu.

Kolczyk z niebieskiego szkła.

Petra.

Millicent wiedziała. Wiedziała o obu kobietach, z którymi się przespałem.

Rory nie powiedział Jennie. Powiedział matce.

Osuwam się na kolana. Słowo „porażka” to za mało. To koniec. Już po mnie.

W końcu kładę się na betonowej podłodze i kulę do pozycji embrionalnej. Nie ma we mnie woli podniesienia się, a tym bardziej ucieczki. Łatwiej jest zostać i zaczekać, aż mnie znajdą.

Zamykam oczy. Podłoga wydaje się taka chłodna, niemal zimna, a w powietrzu czuć mieszaninę kurzu, oleju i odrobiny spalin. Ani to pokrzepiające, ani przyjemne. Mimo to nie poruszam się.

Mija godzina albo dwie. Nie mam pojęcia. Może tylko pięć minut.

Tym, co zmusza mnie do wstania, są moje dzieci.

Oraz to, co Millicent może im zrobić.

# 71

W domu nie jest całkiem ciemno. Przez okna wpada światło ulicznych latarni i księżyc, dzięki czemu widzę akurat tyle, żeby się nie potknąć. By nie narobić hałasu. Wiem, że mnie złapią, i to niedługo, ale nie mogą tego zrobić już teraz.

U podnóża schodów przystaję i nasłuchuję. Na górze nikt się nie porusza. Wchodzę.

Piąty stopień lekko trzeszczy. Może o tym wiedziałem, a może nigdy nie zwracałem na to uwagi.

Idę dalej.

Pokój Jenny jest z lewej strony, dalej znajduje się pokój Rory'ego, a na końcu korytarza główna sypialnia.

Zaczynam od córki.

Leży na boku, zwrócona w stronę okna, i miarowo oddycha. Spokojnie. Duża biała kołdra spiętrzyła się wokół niej i przypomina chmurę. Mam ochotę dotknąć Jenny, ale wiem, że to zły pomysł. Patrzę i zapisuję wszystko w pamięci. Jeśli na zawsze zamkną mnie w więzieniu, właśnie tak chcę zapamiętać moją córeczkę. Bezpieczną. Wygodnie ułożoną. Zdrową.

Po kilku minutach wychodzę i zamykam drzwi.

Rory leży rozwalony na łóżku, ma rozrzucone kończyny. W każdym razie większość. Tylko ręka na temblaku spoczywa u jego boku. Śpi z otwartymi ustami, ale nie chrapie. Przedziwna sprawa. Obserwuję go tak, jak obserwowałem Jennę, zapamiętując każdy szczegół. Mając nadzieję, że mój synek wyrośnie na kogoś lepszego niż jego ojciec. Mając nadzieję, że nigdy nie pozna takiej kobiety jak Millicent.

Nie mogę mieć do niego pretensji, że powiedział o wszystkim matce. Mam pretensje do siebie. Do Petry. I że zabrałem te kolczyki. O to wszystko.

Wychodzę z pokoju Rory'ego, bezgłośnie zamykam drzwi i ruszam korytarzem. Wyobrażam sobie Millicent w łóżku, skuloną pod kołdrą, jej rude włosy rozrzucone na białej poduszce. Słyszę jej spokojny oddech towarzyszący głębokiemu snowi. I widzę przerażenie w jej oczach, gdy się obudzi i poczuje moje dłonie na swoim gardle.

Bo zamierzam ją zabić.

Gdy Millicent odkryła, że ją zdradzam, poznała swoją granicę wytrzymałości.

Dziś wieczorem ja poznałem swoją.

Docieram do zamkniętych drzwi sypialni i przysuwam się, nasłuchując. Niczego nie słyszę. Gdy otwieram drzwi, mój wzrok pada na łóżko.

Puste.

W pierwszym odruchu zaglądam za drzwi. Może dlatego, że wiem, że Millicent dźgnęłaby mnie w plecy.

Nie ma jej tam.

– Najwyższa pora.

Jej głos dobiega z drugiego końca pokoju. Widzę cień, zarys jej sylwetki. Moja żona siedzi obok okna, w ciemności. Obserwuje mnie.

– Wiedziałam, że przyjdiesz – mówi.

Robię kilka kroków w jej stronę. Nie za wiele.

– Naprawdę?

– Oczywiście. To w twoim stylu.

– Przyjść do domu?

– Poza tym nie masz dokąd iść.

Prawda uderza mnie, jakbym został spoliczkowany. Najgorsze jest to, że słyszę, jak Millicent się uśmiecha. Jest za ciemno, żeby to zobaczyć, dopóki nie włącza światła i nie wstaje. Ma na sobie długą bawełnianą koszulę nocną, białą i kołyszącą się wokół jej stóp. Nie byłem przygotowany na to, że nie śpi. Nie zabrałem nawet żadnej broni.

Ale ona tak.

W opuszczonej ręce trzyma pistolet zwrócony lufą do podłogi. Nie mierzy do mnie. Ale też go nie ukrywa.

– Tak wygląda twój plan? – pytam, wskazując pistolet. – Chcesz mnie zabić w samoobronie?

– Po to tu przyszedłeś? Żeby mnie zabić?

Unoszę obie ręce. Puste.

– Mało prawdopodobne – mówię.

– Kłamiesz.

– Czyżby? Może po prostu chcę porozmawiać.

Śmieje się.

– Nie możesz być aż tak głupi. Gdybyś był, nie wyszłabym za ciebie.

Dzieli nas łóżko. Jest szerokie i zastanawiam się, czy zdążyłbym przez nie przeskoczyć, nim uniosłaby broń i strzeliła.

Prawdopodobnie nie.

– Nie znalazłeś karty bezpieczeństwa, prawda? – pyta.

Milczę.

– Dostałam ten tani kolczyk od Rory'ego – ciągnie. – Myślał, że mnie zdradzasz, ale potem zrozumiał, że wymykałeś się z domu, żeby zabijać kobiety. Oczywiście nie powiedziałam mu, że trafił za pierwszym razem.

Kręcę głową, próbując zrozumieć.

– Dlaczego...

– Zostawiłam tę kobietę przy życiu, żeby wszyscy się dowiedzieli, jaki z ciebie kłamliwy drań – mówi.

Petra.

Petra wciąż żyje dlatego, że się ze mną przespała. I nawet nie ma o tym pojęcia.

– Wyobrażasz sobie, jak długiej terapii będzie potrzebował nasz syn? – pyta Millicent.

Nie potrafię ogarnąć szaleństwa tego, co zrobiła. Jej oszałamiającej cierpliwości. Dyscypliny.

– Dlaczego po prostu ode mnie nie odeszłaś? – pytam. – Po co to wszystko?

– Jakie wszystko? Stworzenie domu, troszczenie się o dzieci, dbanie o to, by dobrze nam się układało? Płacenie rachunków i gotowanie kolacji? Czy może masz na myśli Owena? Bo pierwotny plan polegał na wskrzeszeniu go. Dla nas. – Robi krok w stronę łóżka, ale nie okrąża go.

– Nie...

– Byłeś taki chętny. Prawie nic nie musiałam robić. To ty zabiłeś Holly, nie ja.

– Groziła ci. Zagrażała naszej rodzinie.

Millicent odrzuca głowę do tyłu i się śmieje. Ze mnie.

Wpatruję się w nią, przypominając sobie jej wszystkie opowieści o Holly. Obrażenia, wypadki, groźby. Ranę na dłoni między kciukiem a palcem wskazującym. Elementy tej układanki przesuwają się w mojej głowie jak puzzle, które umieszczono w niewłaściwych miejscach.

Millicent robiła to sobie sama. Po prostu wina spadała na Holly.

– Jezu – mówię. – Holly nigdy nie była zagrożeniem, prawda?

– Moja siostra była tylko słabą, mazgającą się dziewczyną, która zasłużyła na wszystko, co jej zrobiłam.

– Rozbiła samochód, bo ją dręczyłaś – mówię. – Nie na odwrót.

Millicent się uśmiecha.

W jednym momencie wszystko do mnie dociera. To wystarcza, by zakręciło mi się w głowie. Millicent wrobiła swoją siostrę tak samo, jak wrabia mnie.

Zawsze dręczyła ludzi. Swoją siostrę. Lindsay. Naomi.

Jennę. Może podtruwała Jennę nie tylko po to, żeby usunąć mnie z drogi.

Oraz mnie. Może wszystkie moje choroby to była jej sprawka.

Bo Millicent lubi krzywdzić ludzi.



– Jesteś potworem – mówię.

– To zabawne, bo policja mówi to samo o tobie.

Ma triumfalną minę i pierwszy raz widzę, jaka jest brzydka. Nie wierzę, że kiedykolwiek mogła mi się wydawać piękna.

– Znalazłem krople do oczu – mówię. – W spizarni.

W jej oczach pojawia się błysk.

– Podtruwałaś naszą córkę – mówię.

Nie spodziewała się tego. Nie przypuszczała, że się dowiem.

– Naprawdę jesteś stuknięty – mówi. Z trochę mniejszym przekonaniem.

– Nie, nie myślę się. Od początku wywoływałaś u niej mdłości.

Kręci głową. Kątem oka zauważam jakiś ruch. Spoglądam w stronę drzwi.

Jenna.

Moja córka stoi na progu, ubrana w pomarańczowo-białą piżamę. Jest rozczochrana i wytrzeszcza oczy. Nie śpi. Wpatruje się w matkę.

– To przez ciebie chorowałam? – pyta. Mówi tak cicho, że brzmi jak dwuletnie dziecko. Dwuletnie dziecko ze złamanym sercem.

– Oczywiście, że nie – mówi Millicent. – Jeśli ktoś cię podtruwał, to twój ojciec. Jenna odwraca się do mnie. Jej oczy wypełniają się łzami.

– Tato?

– Nie, kochanie. To nie byłem ja.

– Kłamie – mówi Millicent. – Podtruwał cię i zabił te kobiety.

Wpatruję się w Millicent, nie mając pojęcia, z kim się ożeniłem. Wytrzymuje moje spojrzenie. Odwracam się do córki.

– Dodawała ci do jedzenia krople do oczu, żeby wywołać wymioty.

– Odbiło ci – mówi Millicent.

– Przypomnij sobie – mówię do Jenny. – Kto dla ciebie gotował, kiedy byłaś chora? Jak często zdarza mi się gotować?

Jenna wpatruje się we mnie, a potem spogląda na matkę.

– Kochanie, nie słuchaj go – mówi Millicent.

– Co się dzieje?

Nowy głos zaskakuje nas wszystkich.

To Rory.

Staje za Jenną. Ma zaspane oczy i przeciera je, spoglądając to na mnie, to na matkę, to na siostrę. Wydaje się zupełnie skołowany. W ostatnim tygodniu moje dzieci patrzyły, jak wali im się cały świat. Ich ojca oskarżono o serię morderstw, matka prawdopodobnie to potwierdziła. Nie wiem, czy uwierzyły.

– Tato? – odzywa się Rory. – Po co przyszedłeś?

– Rory, nie zrobiłem tego, co mówią. Musisz mi uwierzyć.

– Przestań kłamać – mówi Millicent.

Jenna spogląda na brata.

- Tata mówi, że mama mnie podtruwała.
- To prawda – potwierdzam.
- On kłamie – zaprzecza Millicent. – Potrafi tylko kłamać.

Rory spogląda na nią i pyta:

- Wezwałaś policję?

Millicent kręci głową.

- Nie zdążyłam. Przed chwilą wszedł do pokoju.
- I przypadkiem miałaś pistolet w ręce? – pytam.

Rory wybałusza oczy. Millicent wciąż trzyma opuszczoną broń.

- Czekala, aż się zjawię – mówię. – Żeby mogła mnie zabić i powiedzieć, że ją zaatakowałem.

- Zamknij się – warczy Millicent.
- Mamo? – odzywa się Jenna. – To prawda?
- Wasz ojciec przyszedł mnie zabić.

Kręcę głową.

- Nieprawda. Przyszedłem, żeby zabrać was od matki – mówię. Posuwam się dalej, bo muszą się dowiedzieć. – Wasza matka mnie wrobiła. Nie zabiłem tych kobiet.

- Zaraz, zaraz – mówi Rory. – Czegoś tu nie...
- Co się dzieje? – krzyczy Jenna.
- Dość tego – mówi Millicent. Jej głos jest cichy, ale mocny.

Wszyscy milkniemy, jak zawsze, gdy tak mówi. Jest tak cicho, że słyszymy swoje oddechy.

- Dzieci – mówi Millicent – wyjdźcie stąd. Idźcie na dół.
- Co zamierzasz zrobić? – pyta Jenna.
- Na dół!
- Tata nie ma broni – mówi Rory.

Znowu podnoszę puste ręce.

- Nie mam nawet telefonu.

Rory i Jenna odwracają się do matki.

Millicent rzuca mi wściekłe spojrzenie, odsuwa się od nich i unosi rękę. Mierzy do mnie z pistoletu.

- Mamo! – krzyczy Jenna.
- Zaczekaj. – Rory wskakuje między mnie a pistolet. Zrzuca temblak i podnosi rękę.

Millicent nie opuszcza broni. Podnosi drugą rękę, żeby przytrzymać pistolet obiema. Teraz mierzy do naszego syna.

- Odsuń się – mówi.

Rory kręci głową.

– Rory, musisz się odsunąć – mówię.

– Nie. Opuść pistolet.

Millicent robi krok do przodu.

– Rory.

– Nie.

Widzę złość w jej oczach, nawet na twarzy. Robi się nienaturalnie czerwona.

– Rory – mówi. – Odsuń się.

Jej głos przypomina warczenie. Zauważam, że Jenna się wzdryga.

Rory się nie odsuwa. Wyciągam rękę, żeby złapać go za ramię i odsunąć. Wtedy Millicent przesuwa broń i oddaje strzał. Kula trafia prosto w nasze łóżko.

Jenna krzyczy.

Rory zastyga.

Millicent robi krok w jego stronę.

Straciła panowanie nad sobą. Widzę to w jej czarnych jak węgiel oczach. Jeśli będzie musiała, zastrzeli Rory'ego.

Zastrzeli nas wszystkich.

Rzucam się na Rory'ego i powalam go na ziemię, przykrywając jego ciało swoim. Gdy uderzamy w podłogę, widzę rozmazaną pomarańczową piżamę w białe kropki. I błysk metalu.

Jenna. Wyjęła nóż spod materaca. Nawet nie zauważyłem, że go trzyma.

Z uniesionym ostrzem rusza prosto na Millicent i zadaje jej cios. Obie padają na łóżko.

Słysząc drugi wystrzał pistoletu.

Drugi krzyk.

Zrywam się z podłogi. Rory jest tuż za mną. Łapie pistolet, który wypadł Millicent z ręki. Ja chwytam i odciągam Jennę. Nóż porusza się razem z nią. Wyślizguje się z Millicent.

Krew.

Mnóstwo krwi.

Millicent leży już na podłodze, trzymając się za brzuch. To jej krew.

Za mną krzyczy Jenna. Odwracam się, żeby sprawdzić, czy nie jest ranna. Rory kręci głową i wskazuje ścianę. Druga kula utkwiała właśnie tam, nie w mojej córce.

– Zabierz ją stąd – mówię.

Rory wywleka Jennę z sypialni. W korytarzu moja córka cały czas histerycznie krzyczy, po drodze upuszcza zakrwawiony nóż.

Odwracam się do Millicent.

Leży na podłodze i wpatruje się we mnie. Jej biała koszula nocna robi się czerwona. To wszystko rozgrywa się na moich oczach. Millicent wygląda całkiem jak moja żona

i jednocześnie wcale jej nie przypomina.

Otwiera usta i próbuje coś powiedzieć. Wypływa więcej krwi. Millicent patrzy na mnie, w jej oczach widać wściekłość. Nie zostało jej dużo czasu. Kilka minut, kilka sekund. A ona o tym wie. Ciągle próbuje coś powiedzieć.

Chwytam nóż i z całej siły wbijam go w jej pierś.

Ostatnie słowo nie będzie należało do Millicent.

# Epilog

## *Trzy lata później*

Mapa na ścianie pokazywała cały świat, od Australii po obie Ameryki, od bieguna północnego po południowy. Nie skorzystaliśmy z rzutek, bo wszyscy mamy awersję do metalowych przedmiotów z ostrym zakończeniem. Zamiast tego wyjęliśmy starą grę w doczepianie ogona osiołkowi i posmarowaliśmy końcówki ogonów świeżym klejem. Kolejno zakładaliśmy sobie opaskę na oczy. Jenna była pierwsza, potem Rory. Ja na końcu.

Westchnąłem z ulgą, gdy dwa z trzech pierwszych ogonów wylądowały w Europie. Ani Arktyka, ani Antarktyka nie wydawały mi się zbyt zachęcające.

Powiesiliśmy mapę Europy i graliśmy dotąd, aż znaleźliśmy nowe miejsce do życia: Aberdeen w Szkocji.

Decyzja zapadła.

To było dwa i pół roku temu, tuż po tym, jak w końcu oczyszczono mnie z zarzutów. Nie sądziłem, że tak się stanie. Myślałem, że uznają Millicent za moją kolejną ofiarę. Nikt nie wiedział, że dźgnęła ją Jenna, bo wytarłem nóż i dopilnowałem, by znalazły się na nim tylko moje odciski palców. Poza tym przyznałem się do winy. Powiedziałem policji, że zabiłem żonę w samoobronie, bo to ona była prawdziwą morderczynią. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że ktokolwiek mi uwierzy.

Nie uwierzyliby, gdyby nie Andy, który twierdził, że to nie mogłem być ja. Powiedział, że nawet nie umiem korzystać z tabletu, więc jak, do diabła, miałbym zabić tyle kobiet i uniknąć schwytania?

Następna była Kekona, która oznajmiła, że zupełnie nie potrafię kłamać i nigdy nie mógłbym być seryjnym mordercą. Choć dodała, że jestem całkiem dobrym nauczycielem tenisa.

I moje dzieci. Jenna powiedziała policji, że podsłuchiwała naszą kłótnię i że jej matka przyznała, że mnie wrobiła. Rory powiedział, że działałem w samoobronie, bo matka chciała go zabić. Żadne z nich nie wyjawilo, co naprawdę zaszło. Te szczegóły są bez znaczenia.

Lubię myśleć, że policja uwierzyła wszystkim, którzy się za mną wstawili i twierdzili, że nie mogłem być mordercą. Przeważało jednak DNA. Wszelkie dowody znalezione w piwnicy kościoła poddano rygorystycznym badaniom w laboratorium FBI w Quantico. Wyniki potwierdziły to, co już wiedzieliśmy: DNA było moje.

Próbki pochodziły z dwóch źródeł: z potu i krwi. I to one mnie uratowały. A raczej uratowała mnie niewiedza Millicent. Testy wykazały, że wszystkie próbki krwi i potu znajdowały się w identycznym stadium rozkładu. Wyglądało na to, że zebrała moje płyny, a potem podrzuciła je wszystkie za jednym zamachem. W raporcie stwierdzono, że musiałbym przebywać w tej piwnicy tylko raz, ponieważ całe DNA zostawiono w ciągu jednego dnia. Byłoby to niemożliwe, gdybym zabił te kobiety w różnym czasie.

Szkoda, że Millicent nigdy się nie dowiedziała, jak bardzo spieszyła sprawę.

Gdy tylko oczyszczono mnie z zarzutów, sprzedaliśmy dom i wyjechaliśmy z Hidden Oaks. Najpierw musiałem przywyknąć do zimna. I do śniegu.

Nigdy wcześniej nie mieszkałem w miejscu, gdzie pada śnieg, a teraz śnieg nas otacza. Początkowo jest biały i puszysty jak ręcznie nawijana wata cukrowa. Gdy pokrywa miasto, wszystko cichnie. Jakby Aberdeen wzniosło się do chmur.

Następnego dnia robi się brejowaty i brudny, a całe miasto wygląda jak pokryte sadzą.

Zbliża się nasza trzecia zima i już trochę się do tego przyzwyczailem. Rory nie. Wczoraj wieczorem pokazał mi stronę internetową college'u w Georgii.

– Za daleko – powiedziałem.

– Jesteśmy w Szkocji. Wszystko jest daleko.

Ma rację. Ale właśnie o to chodziło – żeby jak najbardziej oddalić się od naszego dawnego życia. Dobrze sobie radzimy. Mogę to powiedzieć, nie krzyżując palców.

Jenna ma nowego terapeutę i zażywa parę leków na receptę. To zadziwiające, że w ogóle jakoś funkcjonuje, biorąc pod uwagę, co jej robiła Millicent. Rory też ma swojego terapeutę, podobnie jak ja. Raz na jakiś czas bierzemy udział w terapii grupowej i jak dotąd nie robimy sobie krzywdy.

Dzieci nie wiedzą, że za nią tęsknię. Czasami. Tęsknię za rodziną, którą zbudowała, za strukturą, za sposobem, w jaki wszystko organizowała. Ale nie cały czas. Teraz nie mamy aż tylu zasad, choć kilka zachowaliśmy. Wszystko zależy ode mnie, mogę ustanowić jakąś regułę albo i nie. Złamać ją albo i nie. Nie ma nikogo, kto mi powie, czy robię dobrze, czy źle.

Dziś jestem w Edynburgu, mieście większym niż Aberdeen. Przyjechałem spotkać się z doradcą podatkowym. Przeprowadzka do innego kraju to skomplikowana sprawa. Trzeba płacić podatki w wielu miejscach, w zależności od tego, gdzie trzyma się pieniądze. Nasz dom w Hidden Oaks dobrze się sprzedał. Na razie żyje nam się całkiem

komfortowo. Poza tym uczę gry w tenisa. W Szkocji to bardzo popularny sport, ale przez większość czasu gramy na krytych kortach.

Po spotkaniu z doradcą podatkowym stwierdzam, że zostało mi trochę czasu do następnego pociągu do Aberdeen. Zachodzę do pubu niedaleko dworca i daję barmanowi znak, by nalał mi piwa z beczki. Napełnia kufel ciemnym, przypominającym syrop płynem, zupełnie niepodobnym do piwa, jakie pijałem w domu.

Kobieta siedząca obok mnie ma ciemne włosy i jasną skórę. Jest ubrana jak ktoś, kto przed chwilą wyszedł z pracy i przed powrotem do domu skoczył na drinka. Wyczuwam jej ulgę, że dzień już prawie dobiegł końca.

W połowie drinka spogląda na mnie i się uśmiecha.

Odwzajemniam uśmiech.

Odwraca wzrok, ale po chwili znowu na mnie patrzy.

Wyjmuję telefon, piszę wiadomość i przesuwam komórkę po barze.

*Cześć. Jestem Quentin.*



# Podziękowania

Siadając do pisania podziękowań, uświadomiłam sobie, że nie mam pojęcia, od czego zacząć. Nigdy dotąd ich nie pisałam, lecz wiem jedno: wiele, bardzo wiele osób ciężko pracowało, by ta książka mogła trafić w twoje ręce. Nigdy nie zdołam im wszystkim odpowiednio podziękować, ale i tak spróbuję.

Dziękuję mojej agentce Barbarze Poelle. Bez niej *Moja doskonała żona* nigdy nie zostałyby wydana. Okazuje się, że Barbara jest równie zaburzona jak ja (może nawet bardziej) i wystarczająco szalona, by dać szansę takiemu „nikomu” jak ja.

Dziękuję mojej redaktorce Jen Monroe. Ulepszyła tę książkę, wyłapała wszystkie moje pomyłki i nie pozwoliła, żeby cokolwiek uszło mi na sucho. Moje serce zamiera, ilekroć widzę jej nazwisko w skrzynce odbiorczej, ale to dobrze.

Dziękuję wszystkim z Berkley. Tak się cieszę, że postanowiliście wydać tę książkę, i jestem wam wdzięczna za cały czas oraz wszelkie inne zasoby, jakie jej poświęciliście.

Dziękuję przyjaciółom, recenzentom i kolegom po piórze, bez których do niczego bym nie doszła. Poczynając od Rebekki Vonier, która nie pozwoliła, bym dała za wygraną. Gdyby nie ona, nigdy nie skończyłabym książki i nie zostałyby wydana. Dziękuję Marti Dumas, która wyłapuje wszystkie problemy z fabułą i postaciami i zawsze ma rację. Dziękuję Laurze Cherry, która zauważa najdrobniejsze szczegóły i mi o nich donosi. Oraz Hoy Hughes, założycielce pierwszej grupy pisarskiej, w której poznałam tych wszystkich cudownych ludzi.

Jest jeszcze wiele, wiele innych osób, które poświęciły czas, by czytać to, co napisałam, i przedstawiać mi swoje opinie (większość była niepochlebna). Nawet nie próbuję ich wymieniać, bo na pewno bym o kimś zapomniała. Wiedzą, że jestem im wdzięczna.

Dziękuję wszystkim blogerom, pisarzom, recenzentom i każdemu, kto sięgnął po tę książkę. Jestem przede wszystkim czytelniczką. Nie umiałabym żyć bez radości, jaką sprawiają mi książki, i dziękuję każdemu, kto zechciał przeczytać to, co napisałam.

Nie mogę zapomnieć o Andrei, mojej szefowej i wieloletniej przyjaciółce, która zawsze mnie wspiera.

Na koniec równie mocno dziękuję rodzinie. Mamie, która nieustannie mi kibicuje, nawet w najbardziej szalonych przedsięwzięciach. Oraz bratu, dzięki któremu jestem

twarda.